

Pismo Akademii Pedagogicznej w Krakowie

ISSN 1509 - 6726

konspekt

nr 14/15

wiosna-lato 2003

Co Polacy robią z historią?

■ Przeszłość i współczesność Instytutu Historii AP

przedstawiają Jerzy Centkowski, Kazimierz Karolczak,
Feliks Kiryk, Czesław Michalski, Czesław Nowarski,
Jerzy Wyrozumski, Henryk W. Żaliński

O XVII. Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Krakowie

piszą Feliks Kiryk i Jacek Chrobaczynski

■ Gość Konspektu

O akademickim i kulturalnym Krakowie

mówi profesor Jacek Majchrowski, prezydent Miasta Krakowa

■ Rozmowy Konspektu

Jesteśmy niewolnikami naszej kultury historycznej i polityki

O metodologicznych problemach historii

mówią Andrzej Chwalba, Jacek Chrobaczynski,
Czesław Rybotycki i Krzysztof Zamorski

O pożytkach ze znajomości kultury antycznej płynących rozmowa z profesorem Aleksandrem Krawczukiem

■ Bertrand Degott

Widzieć i wskazywać świat wierszem

Eseje ■ Konferencje ■ Wydarzenia ■ Książki

KONSPEKT W INTERNecie:
www.wsp.krakow.pl/konspekt

Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej

**ul. Studencka 5
31-116 Kraków
tel./fax (012) 430 09 83
e-mail: wydawnictwo@wsp.krakow.pl**

Poleca

bogaty wybór skryptów,
podręczników i innych pomocy
dydaktycznych dla studentów
poradniki i materiały metodyczne
dla nauczycieli i wychowawców
monografie naukowe
ze wszystkich dziedzin wiedzy

Do nabycia

w księgarni Academicus
(gmach Akademii Pedagogicznej)
w wybranych księgarniach naukowych
na terenie całego kraju
w sprzedaży wysyłkowej

**Zespół doświadczonych
autorów i redaktorów
to gwarancja
wysokiego poziomu
naszych publikacji**

Na życzenie przysyłamy aktualny katalog

Od redakcji

Najnowszy numer „Konspektu”, zgodnie z zapowiedziami, ma charakter monograficzny. Tematy historyczne stworzyły możliwość zaprezentowania dorobku naszego Instytutu Historii, przypomnienia związanych z nim uczonych, a także pokazania nowych kierunków badań w perspektywie planowanego XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich. Szczególną satysfakcję i uznanie budzi mobilizacja, skuteczność działań i współpraca środowiska historyków — w rezultacie dostaliśmy bogaty, syntetyczny obraz jego dokonań oraz możliwości naukowych i dydaktycznych.

O potrzebie refleksji metodologicznej świadczy zainicjowana przez nas dyskusja o problemach badań historycznych z udziałem profesorów Jacka Chrobaczyńskiego, Andrzeja Chwalby, Czesława Robotyckiego oraz Krzysztofa Zamorskiego. „Konspekt” przynosi także pouczające rozważania profesora Aleksandra Krawczuka, który w rozmowie z profesorem Markiem Wilczyńskim dzieli się swoimi przemyśleniami na temat kierunków rozwoju kultury europejskiej oraz znaczenia tradycji antycznej dla kultury współczesnej.

Liczne są w tym numerze portrety uczonych, wspomnienia i szkice na temat szkolnej i akademickiej dydaktyki historii.

Niezwykle ciekawe odpowiedzi na nasze pytanie: Co Polacy robią z historią? dają zwłaszcza autorzy wielu znakomitych esejów, w których zaznacza się zainteresowanie uczonych literaturą i sztuką jako formą świadomości historycznej. Zwracamy uwagę Czytelników na nową w naszym czasopiśmie formę żywych merytorycznych i jakże inspirujących dyskusji o książkach i problemach badawczych, szczególnie zaś na polemikę Stefana Niesiołowskiego z Jackiem Chrobaczyńskim.

Z przyjemnością informujemy jednocześnie, że Senat postanowił przyznać doktorat honoris causa naszej uczelni profesorowi Franciszkowi Ziejce, wybitnemu badaczowi literatury polskiej i rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, który dołączy do znamenitego grona, w którym znajdują się między innymi profesorowie Henryk Markiewicz i Henryk Samsonowicz.

Powinniśmy również dodać, że następne numery „Konspektu” chcemy poświęcić problemom dydaktyki matematyki oraz szeroko pojmowanym badaniom antropologicznym we współczesnej nauce. Mamy nadzieję, że tak pomyślana i modernizowana formuła kwartalnika społeczno-kulturalnego okaże się interesująca, że Czytelnikom przypadną do gustu również zmiany w wyglądzie pisma — nowa czcionka i układ graficzny... Zapraszamy do współpracy.

Konspekt

numer 14/15



Pismo Akademii Pedagogicznej
im. Komisji Edukacji Narodowej
<http://www.ap.krakow.pl/konspekt>

30-084 Kraków
ul. Podchorążych 2, pok. 7p
tel. (0-12) 662 61 28
fax: (0-12) 635 88 85
e-mail: konspekt@ap.krakow.pl

RADA PROGRAMOWA

prof. Henryk W. Żaliński
— przewodniczący
prof. Tadeusz Budrewicz
prof. Jacek Chrobaczyński
dr Edward Chudziński
prof. Zbigniew Długosz
dr Czesław Michalski
prof. Ryszard Pado
prof. Helena Siwek
prof. Stanisław Sobolewski

REDAKCJA

Henryk Czubala
(redaktor naczelny)
Bogusław Gryszkiewicz
Iwona Pietrkiewicz

WSPÓŁPRACA

Stanisław Jasionowicz,
Marek Karwala, Czesław Michalski,
Janusz Morbitzer, Romuald
Oramus, Mirosław Oset,
Klaudia B. Sosin

ZDJĘCIA

Marian Pasternak
Mieczysław Więclawek

WERSJA ONLINE

Stanisław Skórka

WYDAWCA

Akademia Pedagogiczna im. KEN
w Krakowie, ul. Podchorążych 2

DRUK

Wydawnictwo Naukowe AP
31-116 Kraków, ul. Studencka 5
tel./fax (0-12) 430 09 83
e-mail: redakcja@wydawnictwoap.pl
<http://www.wydawnictwoap.pl>

SKŁAD

Krzysztof Porosło

PROJEKT OKŁADKI

Małgorzata Wyka

Redakcja zastrzega sobie prawo do
skracania tekstów i zmian redakcyjnych.
Proponując reklamy i ogłoszenia prosimy
przekazywać na adres redakcji

5 GOŚĆ KONSPEKTU

*W Krakowie działa 10 państwowych
i 7 niepaństwowych szkół. Te ostatnie
powstały przede wszystkim w okresie
ostatnich dziesięciu lat. Obecnie kształci
się ponad 150 tysięcy studentów
— 60% na studiach stacjonarnych
i 40% na wieczorowych i zaocznych
— mówi profesor Jacek Majchrowski,
prezydent Miasta Krakowa*



15 KONFERENCJE

XVII Powszechny Zjazd Historyków Polskich
zapowiadają Feliks Kiryk i Jacek Chrobaczyński

19 NAUKA

O dorobku Instytutu Historii AP piszą
Czesław Michalski i Jerzy Wyrozumski

30 WSPOMNIENIA

Feliks Kiryk, Henryk W. Żaliński, Czesław Nowarski,
Jerzy Centkowski, Kazimierz Karolczak wspominają
profesorów Ignacego Zarębskiego, Helenę Rzadkowską,
Tadeusza Słowikowskiego, Józefa Garbacika, Adama Przybosa

47 ROZMOWY KONSPEKTU

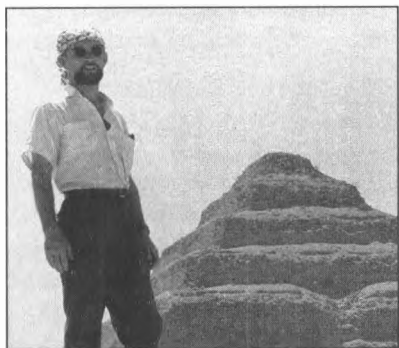
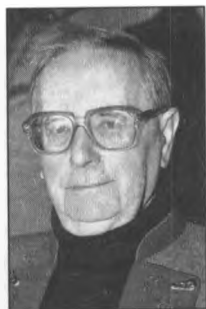
*W polskiej historiografii współczesnej nie doszło
do zasadniczej dyskusji na temat postmodernistycznej
krytyki historii...*

O metodologicznych problemach badań historycznych dyskutują
Jacek Chrobaczyński,
Andrzej Chwalba,
Czesław Robotycki
i Krzysztof Zamorski



58 SYLWETKI UCZONYCH

Uważam, że nasza historia jest zafalszowana, nieprawdziwa i tendencyjna, ale z tymi mitami i stereotypami narodowymi nie walczę. Na szczęście nie muszę, nie chcę i boję się
— mówi profesor **Aleksander Krawczuk**



66 ARCHEOLOGIA

O swoich pasjach historycznych i archeologicznych piszą **Stefan Skowronek i Hubert Chudzio**

113 ESEJE

Zbigniewa Bauera, Tadeusza Bujnickiego, Jana Rybickiego, Włodzimierza Próchnickiego, Stanisława Koziary, Józefa Brynkusa

148 GALERIA KONSPEKTU

Wiersze i szkic o poezji francuskiej **Bertranda Degotta**

163 WŚRÓD GŁOSÓW O KSIĄŻKACH

Teresa Michałowska i Józef Jerzy Kopec piszą o książce Romana Mazurkiewicza, a **Stefan Niesiołowski** polemizuje z **Jackiem Chrobaczyńskim**

KONSPEKT W INTERNECIE

Zajrzyj na naszą stronę, która jest też stroną naszych współpracowników i autorów
www.ap.krakow.pl/konspekt

- 10 Henryk Czubała, Henryk W. Żaliński „FATALNY NATURALIZM”. W JAKI SPOSÓB HISTORIA MOŻE BYĆ JESZCZE „NAUCZYCIELKĄ ŻYCIA”?
- 30 Feliks Kiryk IGNACY ZARĘBSKI — HISTORYK POLSKIEGO HUMANIZMU
- 32 Henryk W. Żaliński HELENY RZADKOWSKIEJ BADANIA DZIEJÓW WIELKIEJ EMIGRACJI I POWSTANIA STYCZNIOWEGO
- 35 Czesław Nowarski TADEUSZ SŁOWIKOWSKI I DYDAKTYKA HISTORII JEGO CZASÓW
- 37 Jerzy Centkowski WSPOMNIENIE
- 40 Feliks Kiryk MEDIEWISTYCZNE BADANIA JÓZEFA GARBACIKA
- 42 Kazimierz Karolczak ADAM PRZYBOS W OCZACH NAJMŁODSZEGO WYCHOWANKA
- 56 Józef Hampel FRANCISZEK ZIEJKA JAKO BADACZ „CHŁOPSKIEJ HISTORII”
- 75 Jacek Chrobaczyński STUDIA DOKTORANCKIE W INSTYTUCIE HISTORII AP
- 78 Janina Mazur UCZNIOWIE I NAUCZYCIELE O „NOWEJ” SZKOLE
- 83 Danuta Konieczka-Słowińska TRANSMISJA WIEDZY HISTORYCZNEJ W SZKOLNEJ NARRACJI PODRĘCZNIKOWEJ
- 86 Andrzej Śniadowski HISTORIA W SZKOLE
- 89 O PRACACH SENATU AP PISZE MIROSLAW OSET
- 90 Odeszli — TERESA NOWACKA, TADEUSZ JAROSIŃSKI
- 93 Bolesław Faron KSIĄŻKA, KTÓRĄ CZYTAM
- 95 Maciej Klakla *WYKORZYSTANIE MATERIAŁÓW DYDAKTYCZNYCH DO ROZWIJANIA AKTYWNOŚCI MATEMATYCZNEJ UCZNIÓW*
- 96 Marek Guzik A NA PODBRZEZIU KRÓLOWAŁY ŻABY I JASZCZURKI
- 99 Jerzy S. Ossowski KRAKOWSKA INAUGURACJA ROKU KONSTANTEGO ILDEFONSA GAŁCZYŃSKIEGO
- 103 Z ŻYCIA TOWARZYSTWA ASYSTENTÓW AP
- 104 Hubert Chudzio CENTRUM DOKUMENTACJI FILMOWEJ NAUK HUMANISTYCZNYCH
- 105 Ryszard Ślęczka OGÓLNOPOLSKI KONKURS NA PRACE MAGISTERSKIE Z HISTORII EDUKACJI
- 106 Joanna Kossewska PROJEKT ON-LINE TRAINAUTISM
- 107 Józef Kuźma ŚWIATOWA RADA STOWARZYSZEŃ EDUKACJI KOMPARATYSTYCZNEJ
- 108 Gabriela Meinardi ZAMIAST LAURKI...
- 110 Jacek Kruk WIZYTA STUDENTÓW Z MOSKWY
- 111 Maciej Kawka DYSKURS AKADEMICKI
- 113 Zbigniew Bauer PRZESZŁOŚĆ, PAMIĘĆ, NARRACJA
- 118 Tadeusz Bujnicki SIENKIEWICZ W POLSKIEJ ŚWIADOMOŚCI HISTORYCZNEJ I POTOCZNEJ
- 123 Jan Rybicki TRYLOGIA PO AMERYKAŃSKU
- 126 Włodzimierz Próchnicki KIEDY HISTORIA PRZYSPIESZA...
- 129 Stanisław Koziara *BIBLIA WUJKA* W JĘZYKU I KULTURZE POLSKIEJ
- 134 Józef Brynkus ŚWIADOMOŚĆ HISTORYCZNA W PERSPEKTYWIE GLOBALNEJ
- 137 Leszek Wrona ARCHIWUM X
- 139 O SPORCIE PISZE CZESŁAW MICHAŁSKI
- 146 Marek Karwala GRAŻYNA BOROWIK — PRZESTRZEŃ SZTUKI ZINTEGROWANEJ
- 150 Regina Lubas-Bartoszyńska POEZJA BERTRANDA DEGOTTA
- 154 Violetta Julkowska JAKA HISTORIA JEST NAM POTRZEBNA?
- 157 Romuald Oramus HISTORIĄ ZWIĄZANI
- 161 Stanisław Jasionowicz MIEJSCA WSPÓLNE
- 163 Teresa Michałowska POCHWAŁA FILOLOGII
- 167 Stefan Niesiołowski ESEJ O POLSKIM WRZEŚNIU 1939
- 172 Jan Małecki, Wojciech Wrzesiński i Alojzy Zielecki o Wielkiej Historii Polski
- 174 Michał Zięba MICHAŁ BAŁUCKI NA NOWO ODCZYTANY
- 176 Jacek Chrobaczyński WOJENNY KRAKÓW
- 178 Iwona Pietrzkiewicz Z DZIEJÓW SZKOLNICTWA PARAFIALNEGO
- 180 Franciszek Leśniak SZLAKAMI DAWNEJ UKRAINY
- 181 Jagoda Cieszyńska PROFESORA BOLESŁAWA FARONA PEREGRYNACJE W CZASIE I PRZESTRZENI
- 183 Jerzy Ciecieląg O FLOCIE CZARNOMORSKIEJ
- 185 Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej przedstawia JOLANTA BARTOSZ

O akademickim i kulturalnym Krakowie

Rozmowa z profesorem Jackiem Majchrowskim, prezydentem Miasta Krakowa

Jednym z podstawowych przedsięwzięć integrujących działalność miasta i uczelni wyższych jest także wspieranie działalności inwestorów na terenie Parku Technologicznego, którego zadaniem jest stworzenie pomostu między środowiskiem naukowym a nowoczesnym przemysłem — mówi profesor Jacek Majchrowski

Henryk Czubała:

Chciałbym prosić Pana Prezydenta o refleksję na temat problemów środowiska akademickiego i kulturalnego Krakowa. Czytelnicy naszego pisma chcieliby poznać Pana opinię na temat udziału miasta, jego władz oraz instytucji, w kształtowaniu środowiska kulturalnego i akademickiego. Czy mógłby Pan Prezydent przybliżyć nam plany i programy rozwoju miasta w tej dziedzinie — te istniejące i te powstające — wskazujące działania instytucjonalne i niezbędne inwestycje, które uwzględniają fakt, że Kraków jest wyjątkowym miejscem w tej części Europy, a o jego atrakcyjności decyduje kształt urbanistyczny w tym samym stopniu, co walory kulturalne, akademickie i naukowe. A zatem — jakie



Fot. Mieczysław Więclawek

Profesor Jacek Majchrowski (ur. 13 stycznia 1947 r. w Sosnowcu) jest historykiem doktryn politycznych i prawnych, znawcą historii II Rzeczypospolitej, a zwłaszcza działalności ugrupowań pravicowych. Doktoryzował się na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego (1974), tu uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego (1988) i profesora zwyczajnego (1993). Dziekan Wydziału Prawa i Administracji UJ w l. 1987–1993. Autor wielu opracowań naukowych i 14 książek, m.in. *Czynnik jednoczący naród w myśl politycznej Obozu Narodowego* (Kraków 1978), *Stronnictwo Pracy — działalność polityczna i koncepcja programowa 1937–1945* (Warszawa 1979), *Silni — zwarci — gotowi* (Warszawa 1985), *Szkice z historii polskiej prawicy politycznej lat Drugiej Rzeczypospolitej* (Kraków 1986), *Uluśnienie Cezara — Bolesław Wieniawa-Długoszowski* (Wrocław, Kraków 1990), *Polska myśl polityczna 1918–1939* (Warszawa 2000), *Pierwsza Kompania Kadrowa — portret oddziału* (Kraków 2002). Wojewoda krakowski (w l. 1996–1997) i prezydent Miasta Krakowa (od 2002). Jest zastępcą przewodniczącego Trybunału Stanu, członkiem SLD (od 1999 w partii, członkostwo zawieszono w 2002 r. na czas prezydentury), Polskiego Towarzystwa Historycznego, Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych, a także Associazione degli Storici Europei.

instrumenty i możliwości oddziaływania na rozwój tego bogatego środowiska posiada Prezydent miasta?

Jacek Majchrowski:

— Programy rozwoju i promocji Krakowa są realizowane między innymi przez udział miasta w najważniejszych europejskich targach artystycznych — w Berlinie, Londynie, Paryżu, Mediolanie, Goeteborgu i w Moskwie. Częściowo także przez organizację prezentacji Krakowa we współpracy z placówkami dyplomatycznymi, organizację Dni Krakowa w miastach partnerskich, rozwój wydawnictw i usług z dziedzin interesujących turystów i inwestorów, a także przez rozwój sieci informacji turystycznej oraz oznakowania turystycznego miasta itp. Dokumentem całościowo przedstawiającym tematykę będzie przygotowywana przez Wydział Promocji strategia promocji Krakowa na najbliższe lata.

A jeśli chodzi o instrumenty stymulowania rozwoju szkolnictwa wyższego, możliwości i środki materialnego wsparcia uczelni istniejących i tych powstających, którymi dysponuje prezydent Miasta Krakowa...

— Środowisko akademickie to społeczność niezależna. Bezpośrednio na funkcjonowanie wyższych uczelni ma wpływ Ministerstwo Edukacji, czy też Komitet Badań Naukowych.

Gdyby brać pod uwagę inne możliwości wspierania środowiska akademickiego ze strony władz miasta, można na przykład rozważyć stworzenie powiatowego funduszu stypendialnego w oparciu o środki budżetu i innych podmiotów gospodarczych dla najbardziej potrzebujących, a uzdolnionych uczniów z terenu Krakowa.

Jako prezydent miasta mogę wpływać na rozwój infrastruktury akademickiej społeczności. Miasto wspiera uczelnie wyższe poprzez budowę infrastruktury technicznej, w szczególności drogowej. Zakończone zostały inwestycje w ramach Specjalnej Strefy Ekonomicznej — Krakowskiego Parku Technologicznego, inwestycje komunikacyjne (ul. Gronostajowa i Grota-Roweckiego, oraz węzeł drogowy

ul. Stelli-Sawickiego, Jana Pawła II, Nowohuckiej). Weźmy także za przykład kampus Uniwersytetu Jagiellońskiego. Najpierw na jego teren doprowadzono wodę, potem wybudowana została ulica. Następnie powstały osiedla i cały kompleks akademicki. Teraz pozostaje jeszcze kwestia doprowadzenia do kampusu linii tramwajowej.

Chciałbym także wnieść pewien wkład w wybudowanie w Krakowie kompleksu akademików — ale dla całego środowiska, nie dla jednej uczelni — mogę dać już przygotowany i uzbrojony teren.

Kiedy można spodziewać się rozpoczęcia prac? Czy jest już przygotowana lokalizacja?

— W tym roku chciałbym podjąć inicjatywę.

Czy środowisko jest zgodne w sprawach finansowania takich przedsięwzięć?

— Sądzę, że panuje zgodność co do jednego: istnienia takiej potrzeby.

A zatem głównym instrumentem, którym dysponuje w tej sprawie miasto są atrakcyjne tereny budowlane oraz, jak sądzę, pomoc w działaniach urbanistyczno-projektowych...

— Jednym z podstawowych przedsięwzięć integrujących działalność miasta i uczelni wyższych jest także wspieranie działalności inwestorów na terenie Parku Technologicznego, którego zadaniem jest stworzenie pomostu między środowiskiem naukowym a nowoczesnym przemysłem. Współpraca ludzi nauki i biznesu ma umożliwić zastosowanie wyników badań naukowych w praktyce i wykorzystanie doświadczeń środowiska naukowego przez firmy i ośrodki badawcze. Stąd lokalizowane są tu firmy i ośrodki badawcze zajmujące się rozwijaniem i transferem nowych technologii oraz ich wdrażaniem do produkcji, produkcją opartą na technologiach proekologicznych i high-tech — m.in. inżynieria genetyczna, biotechnologie, systemy informatyczne — a także zajmujące się projektowaniem i wytwarzaniem związanym z szeroko pojętą ochroną środowiska.

Miasto jest udziałowcem Centrum Zaawansowanych Technologii (udział miasta wynosi 5,71%), wspiera rozwój przez finansowanie budowy infrastruktury umożliwiającej prowadzenie działalności na terenach Parku. Na terenach specjalnych stref ekonomicznych obowiązują również ulgi podatkowe. Do tej pory zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej w Krakowskim Parku Technologicznym uzyskało 19 firm, z czego aż 11 reprezentuje sektor zaawansowanych technologii; wszyscy inwestorzy podpisali umowy o współpracy z krakowskimi uniwersytetami bądź instytucjami naukowo-badawczymi. Deklarowana współpraca polega nie tylko na transferze technologii czy wspólnych przedsięwzięciach badawczych, ale także na opiniowaniu i współfinansowaniu przez środowisko biznesu procesu kształcenia studentów dla potrzeb zastosowań najnowocześniejszych technologii.

Ostatnio uchwalony został bardzo ważny dokument – *Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Krakowa*, w którym uwzględnione są plany, wskazujące także kierunki rozwoju wyższych uczelni. *Studium* przedstawia wizję perspektywnego rozwoju Krakowa, pozwala na kształtowanie ładu przestrzennego, otoczenia o wysokiej jakości funkcjonalno-estetycznej, przedstawia wizję miasta „sąsiedzkiego”, regionalnego i europejskiego. Jednym z najważniejszych celów miasta, zawartych w *Studium*, jest „zapewnienie przestrzennych warunków rozwoju ośrodków naukowo-akademickich, w powiązaniu z parkami technologicznymi i strefami ekonomicznymi”. Takie rezerwy terenowe zostały wyznaczone w poprzednich dokumentach planistycznych, myślę tu o III Kampusie UJ (84 ha), o terenach Politechniki Krakowskiej w Czyżynach (151 ha) oraz rezerwach dawnej Akademii Medycznej w Prokocimiu (15 ha); rozważa się także lokalizację szkół wyższych na terenach poprzemysłowych Huty im. Tadeusza Sendzimiry i Płaszowa.

Panie Prezydencie, oczywiście bardzo istotny jest rozwój i udział w życiu Krakowa tego szkolnictwa, które już jest z mia-

stem związane, ale pojawia się również problem miejsca szkolnictwa prywatnego, które powstaje i będzie zapewne miało dużo większy udział w rynku szkolnictwa wyższego. Czy widzi Pan możliwość, nawet w perspektywie niżu demograficznego, który się zbliża, poszerzenia oferty i udziału tych szkół w Krakowie?

– Na rynku powinno znaleźć się miejsce dla uczelni publicznych, ale także dla prywatnych szkół wyższych. Obowiązywać przy tym powinna zasada zdrowej konkurencji.

Polityka państwa w odniesieniu do dużych ośrodków akademickich kładzie nacisk nie na mnożenie uczelni, lecz na rozwój już istniejących szkół. W obecnej sytuacji gospodarczej kraju rozwój przeżywają niepaństwowe szkoły wyższe. W Krakowie działa 10 państwowych i 7 niepaństwowych szkół. Większość prywatnych uczelni powstała na przestrzeni ostatnich lat. Obecnie kształci się ponad 150 tysięcy studentów – 60% na studiach stacjonarnych i 40% na wieczorowych i zaocznych.

Bardzo żywo i dobrze rozwijają się natomiast szkoły prywatne na prowincji. Są one bliżej studenta, umożliwiają mu kształcenie się mniejszym kosztem...

– Na prowincji rozwijają się nie tylko szkoły prywatne, powstało przecież także wiele filii wyższych uczelni publicznych. W dyskusji na ten temat zawsze ważne jest jedno pytanie: jaki jest poziom nauczania w tych placówkach. Często bywa tak, że na zajęcia do prywatnej szkoły wyższej w małej miejscowości dojeżdża asystent, adiunkt, a rzadko wykładowcą jest osoba z tytułem profesora. A przecież kształcenie na poziomie wyższym to także kształcenie w pewnej atmosferze, środowisku intelektualnym, kulturalnym...

Ale czy Kraków jest przygotowany na przyjęcie i „przechowywanie” tylu studentów, jest to problem dla różnych instytucji, łącznie z bibliotekami. To trudne dać możliwość kształcenia się. Myślę, że na przy-

kład prawo i architektura szczególnie dotkliwie doświadczają problemów związanych z ilością chętnych do studiowania.

– W tej chwili już niekoniecznie. Kończy się również boom na zarządzanie i marketing, na psychologię. Zaoczne studia na prawie nie są już w pełni wykorzystane.

Mimo to, że Kraków na ma tak niezwykle sprzyjające warunki do kształcenia, można odnieść wrażenie, że miasto mogłoby żyć intensywniej życiem studenckim, że obecność studentów w Krakowie mogłaby być bardziej widoczna i lepiej wykorzystana, że mogłaby być źródłem dużych dochodów dla Krakowian, gdyby ci studenci – a jest ich prawie 160 tysięcy! – mogli również znaleźć pracę w czasie wolnym od nauki. Czy można sobie wyobrazić instytucje, które studenta, raczej w tym mieście przebywającego, włączają do jego życia intensywniej – będąc przede wszystkim dla niego i dla miasta źródłem dodatkowych dochodów? Już dzisiaj w postaci różnego typu opłat i codziennych zakupów zostawiają ci przybywający do Krakowa studenci spore pieniądze. To jest jakaś bierna forma ich obecności w mieście. Ale można sobie wyobrazić dość wyrafinowane instytucje, które korzystałyby z tego ogromnego kapitału, wylawiające osoby szczególnie utalentowane w różnych dziedzinach, oferujące sezonowe, krótkotrwale zatrudnienie, nastawione na te umiejętności, które posiada na przykład student informatyk... – lecz, oczywiście, nie sposób w naszej rozmowie wszystkich istniejących możliwości w tym zakresie ukazać, zwłaszcza takich, z których mógłby skorzystać przyszły inżynier lub humanista. Łatwiej wyobrazić sobie udział studentów w życiu kulturalnym, przynoszącym niewielkie raczej dochody – w tej dziedzinie akademicki Kraków ma duże tradycje.

– Ludzie kończący w Krakowie studia wyższe często decydują się związać swoje dorosłe życie z naszym miastem. Tu zakładają rodziny i tutaj szukają pracy. Obowiązują ich takie same zasady, jak wszystkich innych krakowian, poszukujących zajęcia. Stopa bezrobocia w Krakowie wynosi ok. 8 procent. Znaczną część stanowią ludzie z wyższym wykształceniem, taka jest specyfika bezrobocia w naszym mieście.

Znane są plany Pana Prezydenta połączenia terenów przemysłowych Nowej Huty północną obwodnicą, co oznacza przecież rzecz niezwykle ważną – przyłączenie ich do sieci dróg europejskich. W tych planach łatwo dostrzec ważny składnik strategii walki z bezrobociem, modernizacji miasta oraz troski o jego atrakcyjność – przezłączenie Krakowa z Europą. Myślę tu również o zamiarze zorganizowania olimpiady zimowej w Małopolsce...

– Kraków musi stać się atrakcyjny dla potencjalnych inwestorów oraz turystów. Ażebym tak się stało potrzebnych jest wiele zmian, wiele idei musi przybrać konkretny wymiar.

To wszystko określa dziś rozwój środowiska akademickiego, podobnie jak i perspektywa integracji europejskiej. Pojawia się na przykład pytanie, co zrobić żeby umożliwić obcym studentom naukę w Krakowie. Jak wyjść z ofertą dla studentów z Europy? Fascynujący jest tu wzór Pragi, która przyciąga dziś młodych intelektualistów, ludzi świata nauki i kultury nie tylko z Europy... W każdym razie – ten kampus i te akademiki, o których Pan Prezydent wspominał, stwarzają taką możliwość, niezwykle interesującą dla środowiska akademickiego i kulturalnego Krakowa. Jaka jest opinia Pana Prezydenta, jako członka Centralnej Komisji Akredytacyjnej także, na temat utrzymania dydaktycznych kompetencji i kwalifikacji, czyli poziomu nauki

i nauczania w szkołach wyższych, które już istnieją i tych, które powstają?

– Przedstawicielom Komisji Akredytacyjnej leży na sercu poziom kształcenia w naszym kraju. Dlatego tak ważna jest ocena funkcjonujących w Polsce wyższych uczelni. Znaczna część szkół, nie tylko prywatnych, lecz także i państwowych nie spełnia wymaganych standardów. Złe szkoły, nie zapewniające odpowiedniego poziomu kształcenia nie powinny mieć uprawnień.

Chciałbym jeszcze, Panie Prezydencie, podjąć problem właściwie z zakresu kompetencji władz oświatowych. Otóż, również w Krakowie kurczy się ilość szkół i klas; po tych szkołach pozostaną prawdopodobnie jakieś budynki, które można by z udziałem projektów władz miejskich jakoś zagospodarować.

– Sieć szkolnictwa w Krakowie będzie reorganizowana, między innymi w związku z niżem demograficznym. Budynki szkół, które podlegać będą reorganizacji są najczęściej wynajmowane. Jeżeli pojawi się w przyszłości możliwość wykorzystania budynków szkolnych do wzmocnienia bazy instytucji kultury w Krakowie, to z pewnością takie rozwiązania będą rozważane.

Przechodząc do problemów związanych z finansowaniem instytucji kulturalnych Krakowa, także teatrów. W jaki sposób miasto wspiera obecnie ich działalność?

– Miasto prowadzi 23 instytucje kulturalne (ośrodki kultury, biblioteki, orkiestry, teatry oraz galerie i muzea). Miastu podlegają w tej chwili Teatr Ludowy, Teatr Bagatela i Groteska. Finansuje zatem tylko te teatry, dla których jestem organem założycielskim. Działa również program dotacji wspierający ich działalność oraz innych instytucji kultury.

Z budżetu miasta finansowane są utrzymanie, działalność i zadania inwestycyjne tych instytucji,

a także remonty bieżące. Remonty przeprowadziły Teatr Groteska, Muzeum Inżynierii Miejskiej, Muzeum Historii Fotografii, Dom Kultury „Podgórze”, Ośrodek Kultury – Nowa Huta, generalny remont rozpoczęty w 1998 prowadzi Teatr Bagatela. Zakończone zostały główne prace nad rozbudową Nowohuckiego Centrum Kultury, naszego największego miejskiego domu kultury.

Zgłoszone projekty kulturalne i artystyczne uczestniczą w konkursie pod nazwą „Mecenat Kulturalny Miasta Krakowa”. Ważną rolę w życiu kulturalnym Krakowa odgrywają prowadzone przez miasto ośrodki i domy kultury (posiadające swoje filie i osiedlowe kluby), które posiadają wykwalifikowaną kadrę instruktorską do prowadzenia zajęć, i których dyrektorzy współpracują z radami dzielnic.

Miasto współpracuje ze Stowarzyszeniem Willa Decjusza, corocznie są uzgadniane programy współpracy określające wysokość środków finansowych, które miasto przeznaczy na realizowane przez Stowarzyszenie projekty kulturalne oraz zakres zobowiązań Stowarzyszenia wobec miasta. W ramach porozumienia realizowane są sesje prezentujące kulturę mniejszości narodowych, plener teatralny, program udostępniania zabytkowych pomieszczeń Willi do zwiedzania; odbywają się także cyklicznie koncerty muzyki dawnej („Muzyka na dworach Europy”), a także letnie warsztaty na temat kultury krajów Grupy Wyszehradzkiej („Letnia Szkoła Wyszehradzka”).

Na zakończenie jeszcze jedno pytanie – czy planuje się aktywizację tych dzielnic miasta, które wciąż pozostają jego sypialniami?

– Przygotowywane są dwa projekty rewitalizacji miasta, jeden dotyczy Nowej Huty, drugi Zabłocia, Trasy Centralnej i ul. Klimeckiego – powstała koncepcja ulokowania tam kompleksu kulturalnego i wystawienniczego.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Henryk Czubała

„Fatalny naturalizm”

W jaki sposób historia może być jeszcze „nauczycielką życia”?

Kiedy czytamy współczesne prace historyczne lub odwołującą się do historii publicystykę nasuwają się pytania: Co to znaczy, że człowiek „walczy o przeszłość” albo „rozlicza się” z przeszłością? I dlaczego z tym procesem tak silnie związana jest aura przemocy? I czym jest to pragnienie przyswojenia przeszłości, czyli jej „uwewnętrznienia”, „internalizacji”? Albo: czy naprawdę człowiek współczesny „bierze rozbrat” z historią i czy historia nie ma już dla nas tej fascynującej siły i znaczenia, które miała na przykład dla wychodźców politycznych po powstaniu listopadowym, uczestników powstania warszawskiego albo opozycji demokratycznej?

Czy w normalnym okresie swojego bytowania i rozwoju, Polacy potrafią się jeszcze fascynować historią? Czy dzisiaj historia może jeszcze pełnić funkcję „nauczycielki życia”? Być może pozostała ona tylko „sługą nauk politycznych”, jak pisał niegdyś Niccolò Machiavelli? Czego człowiek współczesny szuka jeszcze w historii?

Teza, że Polak — a może w ogóle człowiek współczesny? — używa historii do celów praktycznych, moralistycznych, że traktuje ją instrumentalnie — a przecież tak jednostronnie moglibyśmy ocenić nawet odwołania Wielkiej Emigracji do historii, program obozu księcia Adama Jerzego Czartoryskiego oraz pozytywistyczną dydaktykę — odbiera jej szlachetne i ponadczasowe funkcje, które tradycyjnie skłonni jesteśmy przypisywać historii jako nauczycielce życia... Wydaje się nawet, że ów typowy we współczesnej kulturze wzór poznawczych i myślowych zachowań marginalizuje dziś postawy hermeneutyczne.

Często mamy wrażenie, że wraz ze stylem kultury romantycznej, w przeszłość odchodzi też ta swoista postawa „życia na co dzień historią”, patriotyczna strategia nauczycielska historii jako — wedle słów Maurycego Mochnackiego — „rozumienia siebie

w przeszłości”, a więc hermeneutycznego czynienia własnym przez rozumienie (Paul Ricoeur), jako uwznioślonej przez romantyczny teatr życia codziennego drogi samopoznania, „uznania się w swym własnym jestestwie”.

Joachim Lelewel twierdził, że historia jest przede wszystkim dziejami żywego i czującego człowieka. Jakże często o tej prawdzie zapominają historycy piszący współczesne podręczniki, w których pełno jest „podłoża społecznego”, faktów i szczegółów, brak natomiast żywych ludzi.

Z tej perspektywy przywoływana refleksja Mochnackiego, Mickiewicza, Norwida a zwłaszcza Stanisława Brzozowskiego, kształtująca się pod silnym wpływem niemieckiej myśli historiozoficznej, nadal z trudem przechodzi w codzienne i praktyczne pożytki polskiego życia, do świadomości historycznej Polaków.

Tymczasem łatwo zauważyć we współczesnej masowej kulturze, tak liczne przykłady zaniku „zmysłu historycznego”, a nawet umiejętności myślenia historycznego, w których dostrzec można ucieczkę od historii, obawę przed poznaniem i zrozumieniem swojej sytuacji — strach, który według Nietzschego towarzyszy „świadomości nieszczęśliwej”. We współ-

czesnej kulturze historia jako nauczycielka życia najczęściej przejawia skłonność co najwyżej do naiwnego rozpatrywania teraźniejszości za pomocą przykładów z przeszłości. Czy słusznie więc Ortega y Gasset takie postępowanie uważał za przejaw manii oraz chorobliwej afirmacji siebie z udziałem historii? Jakże często w naszych dziejach ten neurotyczny, „straumatyzowany” historyzm oraz manipulacja historią towarzyszą pamięci martyrologicznej i kombatanckiej! Trudno od tych gorzkich spostrzeżeń powstrzymać się... oczywiście, pod warunkiem że poważnie potraktujemy opinię Martina Heideggera, że historyczne rozumienie jest jednym ze sposobów istnienia człowieka, odnoszenia się do świata i rozumienia siebie. W tym dwudziestowiecznym kontekście szczególnego znaczenia nabierają romantyczne przykłady „życia historią”... historią, jako źródłem „nadziei na lepszą przyszłość”.

Okazuje się, że w dramatycznym i aktywnym stosunku do przeszłości najczęściej doświadczamy dyskomfortu psychicznego i dysonansu poznawczego, gdy nie chcemy jakichś prawd i sensów uznać, ponieważ byłyby dla nas „nie do przyjęcia” – niewygodne, szokujące albo zbyt bolesne. Przemiana zdarzeń w doświadczenia prowadzi bowiem nieuchronnie do dezintegracji, a nawet destrukcji systemu przesądów i form, które na trwałe osadziły się w tradycji, a tym samym również w naszej osobowości, światopoglądzie, i zagrażają nawet ludzkiemu doświadczeniu wolności i poczuciu autonomii osobowej. A przecież wydaje się oczywista opinia Hansa Georga Gadamera, który pisał: „Dzieje – tak jak prawdziwe życie – przemawiają do nas tylko wtedy, gdy apelują do naszego powziętego sądu o rzeczach, ludziach i czasach. Rozumienie czegoś, co ma znaczenie zawsze zakłada tego rodzaju przesady”... Współczesna hermeneutyka skłania nas bowiem do akceptacji opinii, że historia – stapiająca ów horyzont teraźniejszości z horyzontem przeszłości – jest nauczycielką życia, o ile zdolna jest rozszerzać nasze „ja” i o ile umożliwi konfrontację – zderzenie ludzkich przesądów o świecie. Historyczne rozumienie jako „uwewnętrznianie” historii – tak bliskie ro-

mantykom – jako Gadamerowskie „pouczanie siebie”, jest sposobem ludzkiego bycia. „Człowiek stwarza siebie aktami podejmowanego dziedzictwa” – pisał Józef Tischner komentujący Heideggera. Wysiłek świadomości i pamięci historyka prowadzi do rozszerzenia jego „ja”, a owo „sięganie poza siebie” (Max Scheler), historyczne „branie do siebie”, jest sposobem „wyrastania ponad siebie” (by użyć słów Romana Ingardena). Wydaje się, że szczególnie piękne – klasyczne – tego procesu przykłady znaleźć można w dziełach przekształcających relację historyczną w produkt sztuki rozumienia i współodczuwania, artystycznej wyobraźni. Mamy w pamięci zwłaszcza dzieła Jakuba Burckhardta, Ernsta Curtiusa i Johanna Huizingi.

Z tego punktu widzenia poznanie przeszłości okazuje się kształtowaniem i wychowaniem, gdy jest elementem procesu przemiany zdarzeń i faktów w osobiste lub społeczne doświadczenie. Kiedy podejmujemy się rozumienia i wyjaśniania faktów historycznych, dajemy wyraz chęci przekroczenia dotychczasowych wyobrażeń o świecie historycznym, o naszej tradycji. Kierując się ku przyszłości zawsze rozliczamy się z historią. Przyjmujemy – a więc internalizujemy, bo to określenie wydaje się bardziej adekwatne – historyczne „pouczenia”, nadając faktom i zdarzeniom sens. Historia jako nauczycielka życia uczestniczy zatem w procesie kształtowania naszej tożsamości, projektowania siebie.

„Gotując się do przyszłości, potrzeba wracać myślą w przeszłość, ale o tyle tylko, o ile człowiek gotujący się do przeskoczenia rowu wraca się w tył, aby się tym lepiej rozpędzić” – zastrzegał się Adam Mickiewicz (*Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*).

To uwewnętrznianie jest procesem dramatycznym – wiąże się z przeżyciem dystansu wobec wzorów i wyobrażeń o rzeczywistości, które dotychczas skłonni byliśmy traktować instrumentalnie. Internalizacja w poznaniu historycznym dokonująca się przez współodczuwanie i rozumienie, prowadzi do przebudowy naszego światopoglądu oraz wyobrażeń o przeszłości – jest operacją na naszych przesadach. Uruchamia nowy proces powstawania złóż pa-

mięci. Z tego punktu widzenia narracja historyczna jest zawsze procesem osadzania doświadczeń w pamięci, ich krystalizacji w mitach i narracjach historycznych. Jest wyrazem internalizującej siły ducha. I jest zawsze „czymś więcej” niż procesem naturalistycznej indukcji – więcej niż jakimś „zwykłym” gromadzeniem materialnych faktów i źródeł z przeszłości, bo jest zawsze – jak przekonywał Edmund Husserl – odkryciem teleologicznego w nich porządku.

„ZŁUDZENIE OBIEKTYWIZMU”

„Ja sam mam więcej wspomnień, niż mieli wszyscy ludzie jak świat światem”. „Moja pamięć, panie Borges, jest jak ogromny śmietnik” – mówił „pamiętliwy Funes” ze słynnego opowiadania Jorge Luisa Borgesa. Nie ma bowiem porządku tam, gdzie pamięta się wszystko... Nie znajduje uzasadnienia wiara w wymowę „czystych” faktów, obiektywistyczna i naturalistyczna wiara w ich samowyjaśniające się funkcje. Czy w tym kontekście może być jeszcze naszym celem – sformułowane przez Leopolda Rankego jako zadanie historyka – przedstawianie przeszłości w każdym szczególe?

Humanistyka współczesna cierpi wciąż na tę samą chorobę, co Europa zapominająca o swojej teleologii, wpadająca w ów „fatalny naturalizm”, w którym Edmund Husserl dostrzegł przejaw „europejskiego kryzysu bycia człowiekiem”

Trafnie wskazywał również Gadamer: „Poznanie dziejów nie polega nigdy wyłącznie na ich uprzytomnieniu. Ale także rozumienie nie jest tylko rekonstrukcją jakiejś struktury sensu, świadomym wykładem nieświadomego wytworu. Rozumieć się wzajemnie to rozumieć się w jakiejś sprawie. Rozumieć przeszłość to – odpowiednio – słyszeć, co chce nam ona powiedzieć jako prawdę. Prymat pytania nad wypowiedzią oznacza w hermeneutyce, że każde pytanie, które rozumiemy, zadajemy sami. Stopienie horyzontu teraźniejszości i horyzontu przeszłości to sprawa historycznych nauk humanistycznych”.

Historia jako nauczycielka jest więc swoistym narzędziem „usubiektywnienia” (wg Edmunda Husserla) faktów historycznych – które pojmuje się różnie: jako uwewnętrznianie (Maria Janion, Maria Żmigrodzka np.), oswajanie lub czynienie swoim, albo właśnie jako internalizację – czyli przemiany faktycznego, materialnego świata zdarzeń w świat sensu i wartości, przeniesienia ich – ze sfery materialnej w sferę duchową, ze sfery przypadku w sferę konieczności, ze sfery naturalistycznego wyjaśniania w sferę hermeneutycznego rozumienia. Czyż nie potwierdzają tego np. pragnienia i działania polskich emigrantów – wydających czasopisma historyczne, zakładających stowarzyszenia naukowe, którzy uważali, że historia może być elementem wychowania ogólnonarodowego i wskazówką do budowania nowej przyszłości?

W ten oto sposób rozumiana narracja historyczna – jako aktywność poznania i manifestacja ludzkiej wolności – zawsze łączy się z odkryciem teleologicznego porządku zdarzeń i jest formą refleksji człowieka o sobie, który w tych aktach świadomości – według Edmunda Husserla – wychodzi ponad sferę przedmiotowych naoczności w sferę naoczności eidetycznych, co polega – w uproszczeniu rzecz traktując – na odsłonięciu sensu i istoty tych zdarzeń. Przechodzi ze sfery materialnej w sferę wartości, w której historia objawia się jako tradycja i kultura. I taki jest sens poznania historycznego – pojmowanego jako oswajanie, przyswajanie, czyli internalizacja przez rozumienie tego, co jest tylko historycznym „osadem”, dany w faktach i źródłach.

HISTORYK JAKO „ZBŁĄKANY RACJONALISTA”

Analiza słynnego wykładu Edmunda Husserla (1935 r.) o przyczynach kryzysu kultury europejskiej pozwala więc wyodrębnić dwa wzory pojmowania nauczycielskich funkcji historii.

Pierwszy – zgodny z teleologią kultury europejskiej – w którym życie ludzkie jest kulturotwórcze i sensowne, gdy przekracza przez rozumienie świat faktów, dokonując pracy w sferze ducha – „kierując się ku celom”. Husserl spostrzegał, że kryzys nauk

humanistycznych polega na tym, że odmawiają one służby człowiekowi zajmując się tylko opisywaniem świata, niezdolne do przekraczania ograniczeń i skończoności „otaczającego nas świata”.

Z tej perspektywy historia jest nauczycielką życia wtedy, gdy jest czymś więcej niż tylko taką, ufającą sile indukcji, opisującą nauką, będącą produktem kryzysu kultury europejskiej. Można sądzić, że o jej kryzysie świadczy doprowadzona do technicznej perfekcji skłonność nauk humanistycznych do kolekcjonowania źródeł i faktów, która ucieleśnia — nieludzki, dodajmy — mit obiektywizmu i ścisłości nauki traktowanej naturalistycznie i zapominającej o tym, co duchowe. Trzeba jednak również zauważyć, że w tej perspektywie nieuniknionym aspektem poznania historycznego jest manipulowanie faktami. A wówczas jej wychowawcze oddziaływanie — które tworzy jeden z dominujących we współczesnej kulturze wzorów — sprowadza się do manipulowania człowiekiem, bo tam gdzie jest tylko wyjaśnianie, nie ma teleologii i tych nauczycielskich funkcji wobec życia, które ma historia traktowana jako odkrywanie i wskazywanie sensu.

„Nasze życie historyczne kształtuje otaczający nas świat” — twierdził Husserl, który uważał, że świat otaczający nas jest naszym tworem duchowym, powstałym w naszym historycznym życiu.

Wydaje się, że z refleksji o kulturze europejskiej można wyprowadzić model historii jako nauczycielki życia inny, niż ten jaki upowszechniała kultura pozytywistyczna albo właściwe cywilizacji wiktoriańskiej wyobrażenia o dydaktyzmie i wychowaniu. Humanistyka współczesna cierpi bowiem wciąż na tę samą chorobę, co Europa zapominająca o swojej teleologii, wpadająca w ów „fatalny naturalizm”, w którym Husserl dostrzegł przejaw „europejskiego kryzysu bycia człowiekiem”. Temu też kryzysowi właśnie przeciwstawiał się nurt refleksji filozoficznej i literackiej już od czasów romantyzmu.

W kontekście zjawisk kultury masowej „kryzys europejskiego sposobu bycia człowiekiem” diagnozował również Ortega y Gasset, przedstawiając

ułomności i choroby pamięci historycznej człowieka masowego.

Husserl dostrzegał w otaczającym nas świecie twór duchowy powstały w naszym historycznym życiu, podobnie jak w historycznym świecie Greków widział nie świat obiektywny — „w naszym sensie” — lecz ich „przedstawienie świata”, a więc ogół tego, co subiektywne, „co dla nich istniało”. Z punktu widzenia nauczycielskich funkcji historii, które nas tu interesują, szczególne znaczenie ma opisywane przez hermeneutykę rozumienie i współodczuwanie, jako przyswajanie i zawłaszczanie, jako sposoby „czynienia subiektywnym” tego, co znajduje się w sferze materialnej i faktycznej świata. Historia w tej roli odsłania bowiem nowe otwarte ku przyszłości horyzonty. Jest projekcją ludzkich potrzeb skierowanych ku przyszłości i wyrazem pragnienia sensu. Jako nauczycielka życia przemienia życie wspólnoty a jej wychowawcze i dydaktyczne funkcje wpisane są w każdy niemal przejaw świadomości historycznej zmierzającej do przekształcenia ludzkiego sposobu życia.

W całej humanistyce i historii — podobnie jak w filozofii — wydaje się niezbędne zachowanie tej majeutycznej postawy, w której szczególną rolę odgrywa rozumienie jako, opisywane przez Husserla, „odkrywcze badanie i kształcenie” oraz „dążenie do bezwarunkowej prawdy”. W ten sposób historyczne „dawanie” staje się wychowaniem i nauczaniem przekraczającym ograniczenia naiwnego racjonalizmu obiektywistycznego, przyrodniczego myślenia o świecie. W tym sensie historyk jako „zbłąkany racjonalista” — podobnie jak badacz przyrody — powinien jednak sobie w końcu uświadomić, wedle słów filozofa, że „...stałym fundamentem jego subiektywnej pracy myślowej jest otaczający go świat, w którym żyje”.

ZŁUDZENIA KULTURY MASOWEJ

Opisywany przez Husserla kryzys potwierdza również właściwa wielu historykom redukcja historycznej refleksji metafizycznej do refleksji moralizatorskiej (traktowania historii jako zbioru po-

uczeń i środka wymierzania sprawiedliwości), a także ekspansja sensacyjnych, zmedializowanych narracji historycznych – przekształcanie narracji historycznej w literacką, sensacyjną fantasy, w której ważniejsze są funkcje ludyczne i estetyczne, niż metafizyczne. Przez dziennikarzy i polityków historia przedstawiana jest pośpiesznie i traktowana instrumentalnie. W przekazie medialnym wyraźnie dominują różnorodne polityczne strategie korzystania z historii.

Historia nie budzi już takich emocji, jak w czasach zaborów, emigracji czy wojny. Czy wciąż jeszcze pozwala lepiej rozumieć ukryte mechanizmy kształtujące społeczeństwo i państwo? Być może już przestała być podstawowym elementem wychowania patriotycznego i obywatelskiego, kształtowania ludzkiego poczucia odpowiedzialności... Postmodernistyczne zabawy z pamięcią i historią często wydają

się raczej trudem pastiszowego i prestiżowego naśladowania wzorów harwardzkich lub sorbońskich – salonowej ekwilibrystyki naukowej...

Łatwo zauważyć, że podobne funkcje mają te narracje historyczne, które są wpisane w tak popularne wydawnictwa sensacyjno-historyczne, w życie takich nawet instytucji jak... Instytut Pamięci Narodowej, a także narracje, które są narzędziem symbolicznej przemocy, instrumentalnego „zawłaszczania” historii i manipulacji nią, w których przejawiają się „nauczycielskie” funkcje historii w postaci zdegradowanej i wypaczonej.

Henryk Czubala, Henryk W. Żaliński

Tekst powstał w wyniku dyskusji nad тезami zawartymi w artykule Henryka W. Żalińskiego *Czy historia jest jeszcze „nauczycielką życia”?*

XVII Powszechny Zjazd Historyków Polskich

*W 120-letniej z górą historii kongresów historyków polskich
Kraków będzie miejscem ich spotkania po raz czwarty*

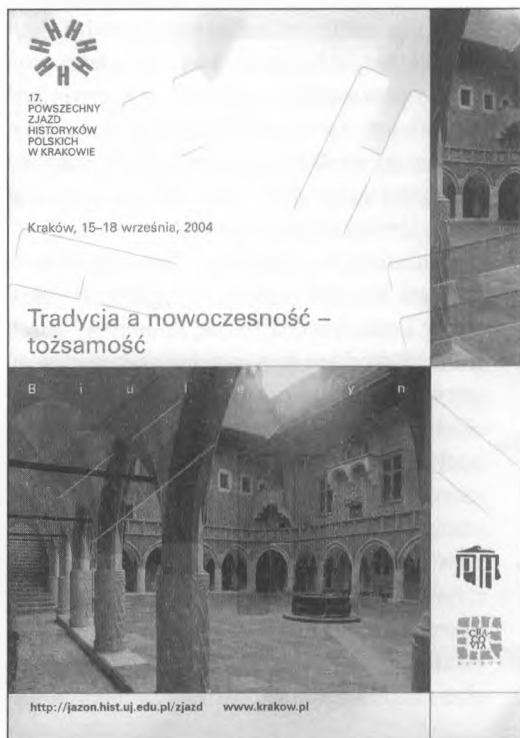
Tu bowiem odbył się w 1880 r. I Zjazd, nazwany *Zjazdem Długoszowym*, następnie w 1900 r. III Zjazd z okazji pięćsetlecia odnowienia Akademii Krakowskiej, wreszcie pamiętny VII Zjazd w 1958 r. nazywany zjazdem rozliczeniowym w okresie przemian polskiego Października. Wniosły one wiele nowego (podobnie jak pozostałe zjazdy, odbywane w innych ośrodkach naukowych kraju) do nauki historycznej, wyznaczając kierunki badań i formułując oceny dotychczasowego dorobku historiograficznego oraz programy unowocześnienia warsztatu historyka, a także oddziaływania historii na szkołę i dorosłe społeczeństwo. XVII Zjazd przypada na 15–18 września 2004 r., patronat nad nim zgodził się objąć Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Organizatorzy tego kongresu reprezentantów nauki historycznej z kraju i z zagranicy, nauczycieli historii, muzealników, archiwistów, historyków sztuki, ustroju, socjologów i przedstawicieli innych nauk pokrewnych, opracowali założenia naukowe Zjazdu, odpowiadające potrzebom badawczym, warsztatowym i popularyzatorskim dyscypliny. Starali się przy tym, aby był to program nowoczesny, a nawet nowatorski. Pamiętali też o tym, że Zjazd odbędzie się w naszym mieście, przewidując moduł tematyczny o *Dawnych stolicach w nowej Europie*, w którym pojawią się odniesienia do dawnego i współczesnego Krakowa.

Pragnę przy tym zauważyć, że wykonana została już ogromna praca koncepcyjna, oparta o dyskusję na poszerzonych spotkaniach organizatorów Zjazdu, w tym również na zebraniach plenarnych Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego. Odpowiedzialność naukową i organizacyjną za powodzenie Zjazdu wzięli na swoje barki członko-

wie krakowskiego Oddziału PTH, w tym szczególnie pracownicy naukowcy Instytutów Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Pedagogicznej. Miło mi dodać, że działania nasze znalazły w tym względzie pełne zrozumienie i poparcie rektorów obu uczelni oraz dyrekcji obu instytutów. Dzięki temu czynne jest Biuro Zjazdu, finansowane przez obie wymienione dyrekcje, mogły się też ukazać pierwsze dwa numery „Biuletynu” zjazdowego.

Stoimy jednak w obliczu wielkich potrzeb finansowych. Tak pomyślanego Zjazdu nie da się zorganizować i przeprowadzić bez solidnego zabezpieczenia środków pieniężnych.



Dramat przemocy w perspektywie historyka

Przemoc. Jedno z najczęściej chyba dziś słyszanych słów – pojęć, słów – kluczy. W różnych kontekstach i dziedzinach, z różnymi dopełnieniami: przemoc na ekranie, przemoc w internecie, w różnych rejonach świata, przemoc pseudokibiców i przemoc w rodzinie. Nie wszystko boli bezpośrednio, przemoc wirtualna niekiedy wręcz „nakręca”, gorzej z tą – gdy bije tato, mama, niekiedy dziecko

Przemoc w wymiarze ogólnym, regionalnym i lokalnym. A także w wymiarze osobistym bądź grupowym – pobity przechodzień, bite dziecko, walczące w wojnie domowej społeczeństwo (Intifada). Przemoc intelektualna i przemoc seksualna, przemoc poprzez wiarę i religię, państwo i ustrój, przemoc domowa... Nie tak dawno przecież wydawało się, że zbliża się koniec przemocy, wojen, zła i cierpienia – koniec historii, co dumnie ogłosił Francis Fukuyama. Nie zdołała jednak jeszcze wyschnąć farba drukarska w jego głośniejszej książce, gdy wybuchł krwawy konflikt na Bałkanach. Fukuyama się pomylił! Nie on pierwszy i nie ostatni, przykłady można mnożyć. Wszak pomyłki przystoją intelektualistom. Sporo, nietrudno to dostrzec, przykładów jak na dość przypadkową wyliczankę. Ze szczególną uwagą, wręcz pieczołowitością, przeanalizowałem świąteczno-noworoczny program filmowy w różnych telewizjach. Dziesiątki filmów, a w nich królująca przemoc i jej pochodne: wojna, terror, krew, śmierć, cierpienie. Również w bajkach i filmach dla dzieci sporo strzelaniny, trup (czasem, przynajmniej, mechaniczno-wirtualny, ale jednak trup) ściele się gęsto. Nie wspomnę już o telewizyjno-gazetowych newsach dla dorosłych. Krew jako ekranowa wiadomość najpierwsza i krew na pierwszych stronach gazet. A przecież to święta najradośniejsze w roku, no, może z wyjątkiem Heroda.

W wolnej świątecznej chwili przeglądałem też sporo różnych podręczników (przede wszystkim historii) i historycznych syntez, po lekturze których, bez żadnego ideowego naciągania, mogę powie-

dzieć, iż od stworzenia świata przemocą posługiwali się bez żenady i wyrzutów sumienia, niemal na co dzień i nasi praszczurowie, pradziadowie, ojcowie. Tysiącletnie dzieje naszej starej i pocziwej Europy są tu jednym z trafniejszych, pouczających przykładów, choć nie odosobnionych. Celnie zauważył Leszek Kołakowski: „Wszyscy wiemy oczywiście, że całe dzieje Europy są również dziejami wojen, czasem przeraźliwie niszczyielskich i krwawych, i że w tych dziejach nie ma niewinnych; wszystkie narody europejskie mają na sumieniu rzezie, inwazje, wyprawy zbójcze”. Inne strony świata, i to nie jest żadne pocieszenie, nie były w tym dziele przemocy mniej aktywne. Nie lepiej jest też z nami, obywatelami świata przecież. I aż się boję to powiedzieć, ale będą się biły nasze dzieci, wnuki, prawnuki. Dlaczego? Czy motorem historii jest przemoc? Czy to jest dobrze czy źle postawione pytanie? Jak się do tej straszliwej hipotezy ma np. postęp? A może przemoc (czytaj: również wojna, terror, śmierć itd.) jest nieodzownym składnikiem, wręcz determinantą, postępu i rozwoju, a w istocie – procesu historycznego? Przyznam, że jako historyk drzę, gdy formułuję takie pytania. Ale przecież stawianie pytań, analiza i wyjaśnianie procesu historycznego jest jedną z głównych powinności historyka. Ale czy tylko historyka? I jak dalece historyka? Przecież przemoc i jej przejawy widoczne są w każdej niemal dyscyplinie nauki i techniki, każdej dziedzinie życia – od kwestii duchowych, aż po nasze codzienne grzechy i grzeszki wobec innych, bliższych i dalszych, obcych, kolorowych, ułomnych, kochających inaczej. Wiem, to problem tolerancji

czy jak to się teraz pięknie, w amerykańskim stylu, mówi – politycznej poprawności. Tak się go opisuje zazwyczaj. Ale jak spoglądam przez pryzmat procesu historycznego, nie dostrzegam tolerancji, lecz przede wszystkim przemoc. To z takiego właśnie dyskursu, takich przemysłów i refleksji, stawiania pytań, a nierzadko i z bezpośrednich doświadczeń, narodził się pomysł jednego z ważniejszych sympozjów przygotowywanych na XVII Powszechny Zjazd Historyków Polskich (Kraków, wrzesień 2004). Sporo dyskutowaliśmy w gronie krakowskich organizatorów zjazdu. Początkowo skłanialiśmy się do uprzywilejowania w czasie obrad zagadnienia Zagłady, szczególnie po nowych wyzwaniach związanych z syndromem Jedwabnego. Byłem przeciwny zawężaniu pola badawczego i dyskursu naukowo-edukacyjnego, choć Zagłada, to również ważny aspekt szczególnego rodzaju przemocy czasu przeszłego i teraźniejszego. Uważałem zawsze i nadal tak uważam, że im szersza czasowo i przestrzennie perspektywa spojrzenia, im więcej w nim interdyscyplinarności, która niemal zawsze bywa kształcąca, tym więcej zyskujemy zarówno w sferze czysto badawczej, jak i w prezentacji wyników na szerszym forum. Nowy kontekst decyzjom programowym Komitetu Organizacyjnego nadał nowojorski dramat 11 września 2001 roku. Niespotykane, dotkliwe i upokarzające doświadczenie, również historyczne. Nowa jakość w moralności? W dopuszczaniu przemocy w zupełnie nowej skali? Ale także i znamienna niemal jedność świata w bólu i współczuciu dla niewinnych ofiar. Myślę, że wrześnieowy dramat Stanów Zjednoczonych (a i świata, w tym Polski) przełamał wątpliwości niektórych kolegów. Osiągnęliśmy konsens zatwierdzając temat sympozjum: *Dramat przemocy w perspektywie historyka*. Moderatorami zostali prof. Wojciech Wrzesiński z Wrocławia, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, i prof. Jacek Chrobaczyński z Krakowa. Warto w tym miejscu podkreślić także pełną zgodność spojrzenia ich obu na koncepcję przyszłego wydania tekstów pokonferencyjnych.

Ponieważ chcieliśmy naszemu sympozjum nadać formę maksymalnie otwartą i interdyscyplinarną,

przyjęliśmy (zaznaczoną zresztą w tytule) perspektywę historyka, a nie historyczną, co oznacza także liczne odniesienia do teraźniejszości. Bieżące i przyszłe zagrożenia przemocą są elementami dynamiki samego procesu historycznego, często jednak odwołują się do czasu przeszłego.

Stąd właśnie wypływały dwie istotne decyzje. Pierwsza: przygotujemy wydanie tekstów jeszcze przed obradami, tak by w czasie zjazdu możliwy był wyłącznie panel, a nie dyskusja nad wygłoszonymi referatami. Druga zaś dotyczyła formy przygotowania tekstu. Wybraliśmy esej, formę intelektualnie nieco luźniejszą niż poważne rozprawy naukowe, ale nie gorszą. Przez wielu uprawianą z powodzeniem, trudną, ale zarazem wielce kształcącą i krzepiącą, dającą pole i piękno języka, i precyzji myśli, ale również i uczuciom. To ważne, bo odbiorcą tych tekstów chcemy uczynić czytelnika przeciętnego, niekoniecznie historyka, każdego komu nieobca jest refleksja mocno usytuowana w otaczającej rzeczywistości, z historyczną, ale nie tylko, perspektywą. Ta dawka przemyślań, dojrzałych i dobrze napisanych tekstów, dobrze redakcyjnie opracowanych i do czytania podanych, również jako materiał dydaktyczny na lekcję historii, religii, lekcję wychowawczą i wychowania seksualnego itp., powinna być najważniejszym atutem naszego przedsięwzięcia. Wszak zakładamy udział w zjeździe sporej grupy czynnych nauczycieli, którzy z przemocą spotykają się na co dzień w różnych miejscach i sytuacjach, także szkolnych.

Pozostał jeszcze problem merytorycznie może i najważniejszy: wyboru opracowanych zagadnień w porozumieniu z potencjalnymi autorami. Ta właśnie praca była dla mnie wielce interesującym i intrygującym doświadczeniem intelektualno-organizacyjnym, myślę, że dla prof. W. Wrzesińskiego również. Niekończące się rozmowy, korespondencja, zarówno ta tradycyjna, jak i nowoczesna, telefony. „Tak”, „nie”, „nie wiem”, „zastanowię się”, „potrzebuję jeszcze trochę czasu”, rzadko ale jednak „muszę odmówić”. A przy tym sporo uwag merytorycznych, miniseminariów – od Biblii poczynając, poprzez psychologię, a na globalizacji i antyglobalizacji kończąc. Trwało to około roku. Obecnie wiemy

już, że w symposium wezmą udział dwadzieścia dwie osoby. Wśród naszych gości znajdują się wybitni intelektualiści – m.in. prof. Anna Świderkówna, Stanisław Musiał SJ, prof. Tomasz Szarota, Krzysztof Zanussi. Filozofowie, historycy sztuki, literaturoznawcy, prawnicy i historycy, psycholodzy i psychiatry, dziennikarze i publicyści, teologowie... oraz koledzy z naszej Akademii.

A oto tematy, które będą podejmowane na symposium: *Czy przemoc jest motorem Historii?*; *Paradygmat Kaina i Abela. Przemoc w perspektywie Starego i Nowego Testamentu*; *Religijna perspektywa przemocy*; *Filozoficzne konteksty przemocy*; *Sacrum a przemoc*; *Wojny rodzą się w umysłach ludzi. Perspektywa przemocy, terroru, konfliktu wojennego w dziejach społeczeństwa*; *Totalitaryzm, faszyzm, komunizm. Państwo jako źródło i instrument przemocy*; *Przed i po Zagładzie*; *Krew na pierwszych stronach gazet*; *Myśl – słowo – obraz. Konteksty przemocy*; *Współczesnych me-*

diów obraz przemocy i jego konsekwencje; *Literatura. Konteksty przemocy*; *Film. Konteksty przemocy*; *Teatr. Konteksty przemocy*; *Sztuki plastyczne. Konteksty przemocy*; *„Szary człowiek”. Psychosocjologiczna perspektywa przemocy. Problem stresu, postaw, zachowań i nastrojów (pacyfizm, ruchy i organizacje)*; *Wartości a przemoc. Wychowawczo-edukacyjna perspektywa przemocy*; *Doświadczenie traumy. Próba spojrzenia historyka*; *Globalizacja, antyglobalizacja. Przemoc i przymus czy rozwój?*; *Pogranicze. Od lokalnej przemocy do sąsiedzkiej tolerancji i globalizacji*; *Opór jako archetyp przemocy wyzwalającej*; *Przemoc – źródło – historia*.

Być może symposium stanie się bodźcem dla nowych poszukiwań naukowych, formowania się interdyscyplinarnych zespołów badawczych i kształtowania czynnej postawy PRZECIW PRZEMOCY.

Jacek Chrobaczyński
chrobaczynski@poczta.onet.pl

Półwiecze studiów historycznych w AP

W roku 2003 Instytut Historii będzie obchodził swoje 50-lecie. Związane jest ono z faktem powołania pół wieku temu katedr Historii Polski i Historii Powszechnej. Jest to niewątpliwie uproszczenie, bowiem idea kształcenia historycznego w naszej uczelni oraz stosowna instytucja realizująca tę ideę w praktyce pojawiła się znacznie wcześniej. Trzyletnie studia historyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie otwarto w 1949 r., opierając się na pracującej od 1946 r. sekcji polonistyczno-historycznej. Kierownictwo sekcji powierzono prof. Stanisławowi Pigionowi, a prowadzenie zajęć profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego, m.in. Ludwikowi Piotrowiczowi, Tadeuszowi Reymanowi, Józefowi Garbacikowi, Henrykowi Mościckiemu, Romanowi Grodeckiemu i Krystynie Pie radzkiej. Na kierunku polonistyczno-historycznym w roku akademickim 1946/1947 naukę podjęło 49 studentów. Dwukierunkowy system kształcenia nauczycieli został zarzucony od roku 1949/1950. Zmieniono także formy nauczania, dołączając do wykładów także ćwiczenia, proseminaria i semina ria. Od początku stycznia 1953 r. powołano w ramach Wydziału Filologiczno-Historycznego Katedrę Historii Polski, której kierownictwo powierzono prof. dr Józefowi Garbacikowi. Z początkiem nowego roku akademickiego powołano Katedrę Historii Powszechnej, na czele której stanął prof. dr J. Gar bacik, natomiast kierownictwo katedry Historii Pol ski objął docent Ignacy Zarębski. W 1954 r. Uczelnia otrzymała prawo nadawania tytułu magistra – po ukończeniu czterech lat studiów i przedstawieniu pracy dyplomowej oraz złożeniu egzaminu magister skiego. Pierwsi absolwenci z tytułem zawodowym magistra historii zostali wypromowani w 1956 r.

W 1956 r. powołano Zakład Metodyki Historii przy Katedrze Historii Polski powierzając jego kie-

rownictwo dr. Tadeuszowi Słowikowskiemu. W czte ry lata później Zakład ten usamodzielniał się i został przemianowany na Katedrę Metodyki Nauczania Hi storii. W roku akademickim 1957/1958 uruchomio no zaoczne studia historyczne, jako studia doksztal cające dla pracujących zawodowo nauczycieli histo rii. W latach 1957–1960 zorganizowano eksterni styczne studia magisterskie, z których mogli korzy stać absolwenci trzyletnich studiów historycznych wyższych szkół pedagogicznych i uniwersytetów. Od roku 1958/1959 obowiązywał pięcioletni cykl kształ cenia nauczycieli historii.

Realizując zapotrzebowanie społeczne, w roku akademickim 1965/1966 wprowadzono dwuprzed miotową specjalizację – studenci obok przedmiotu głównego, zdobywali również kwalifikacje z wycho wania obywatelskiego. W związku z ogólnokrajową reformą systemu kształcenia dla szkół podstawo wych i powołaniem do życia wyższych szkół nauczy cielskich z trzyletnim programem nauczania uru chomiono w krakowskiej WSP w roku akademickim 1970/1971 trzyletnie, dwuprzedmiotowe studia hi storyczne, rozpoczynając wówczas kształcenie przy szłych nauczycieli historii z dodatkową specjalizacją w zakresie wychowania obywatelskiego. Pod koniec lat 60. zorganizowano również historyczne studia podyplomowe dla nauczycieli pragnących uaktual nić swoją wiedzę. Od 1973 r. na podstawie decyzji Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i Techniki po nownie wprowadzono jednolite, jednokierunkowe studia magisterskie, prowadząc równolegle wygasa jące stopniowo studia zawodowe.

Pod koniec 1971 r. powołano Instytut Historii, w ramach którego początkowo działały trzy Zakłady: Dydaktyki i Historii Wychowania Obywatelskiego, Hi storii Starożytnej i Średniowiecznej, Historii Nowożyt nej i Najnowszej, a w styczniu 1972 r. powołano Za-

kład Historii Oświaty i Wychowania. Funkcję dyrektora Instytutu powierzono profesorowi Tadeuszowi Słowikowskiemu, a od roku 1974 profesorowi Adamowi Przybosiowi. W roku akademickim 1976/ 1977 Zakład Historii Oświaty i Wychowania przeniesiony został do Instytutu Nauk Pedagogicznych. Od 1977 r. kierownictwo Instytutu spoczywało w rękach docenta Zbigniewa Tabaki, a od 1984 r. profesora Stanisława Grzybowskiego. W następnej kadencji (1988) dyrektorem został profesor Ludwik Mrocza, który pełnił tę funkcję przez dwie kadencje. Z jego inicjatywy w 1988 r. struktury instytutowe zostały zmodyfikowane, powołano: Zakład Historii Starożytnej i Kultury Antycznej, Zakład Historii Średniowiecznej, Zakład Historii Nowożytnej, Zakład Historii XIX wieku, Zakład Historii Najnowszej i Zakład Dydaktyki Historii. W 1994 r. na dyrektora Instytutu został wybrany profesor Henryk W. Zaliński, który pełnił tę funkcję przez pięć lat. W roku akademickim 1999/2000 funkcję dyrektora objął profesor Feliks Kiryk, obecnie kieruje nim profesor Ludwik Mrocza. Kolejna reorganizacja struktur Instytutu miała miejsce w 2000 r., kiedy to powołano Katedry: Historii Średniowiecznej (kierownik prof. dr hab. Feliks Kiryk), Historii Nowożytnej (kierownik prof. dr hab. Franciszek Leśniak), Historii XIX wieku (kierownik dr hab. prof. AP Henryk W. Zaliński), Najnowszej Historii Polski (kierownik prof. dr hab. Ludwik Mrocza) i Najnowszej Historii Powszechnej (kierownik prof. dr hab. Andrzej Kasty). Bez zmiany pozostały zakłady: Historii Starożytnej i Kultury Antycznej (kierownik dr hab. prof. AP Marek Wilczyński) i Dydaktyki Historii (kierownik dr hab. prof. AP Czesław Nowarski). W lutym 2003 r. Rada Wydziału Humanistycznego przyjęła wniosek prof. L. Mroczy o przemianowanie pierwszego z wymienionych zakładów na Katedrę Historii Starożytnej, drugiego zaś na Katedrę Edukacji Historycznej.

Od roku 1990 przy Instytucie Historii funkcjonuje pracownia biograficzna, która w 1995 r. została przekształcona w Pracownię Biografistyki kierowaną przez prof. Feliksa Kiryka.



Tadeusz Słowikowski

Dorobek naukowy pracowników w minionym pięćdziesięcioleciu istnienia Instytutu prezentuje się imponująco. Nie podejmując się tutaj pełnej charakterystyki twórczej jego pracowników, trzeba podkreślić, że w omawianym okresie opublikowano kilkadziesiąt książek, kilkaset artykułów, rozpraw i komunikatów.

W Zakładzie Historii Starożytnej i Kultury Antycznej zatrudnione są aktualnie cztery osoby.

Emerytowany profesor Stefan Skowronek zajmuje się problematyką dotyczącą kultów Aleksandrii egipskiej, problemami kultury starożytnej



Zbigniew Tabaka

judaizmu, treściami ideowymi w przekazach ikonograficznych i epigraficznych monet starożytnych. Jest m.in. autorem *Sporu o mętnictwo Heroda Wielkiego. Z dziejów kultury starożytnego judaizmu* (Kraków 1994) i *Imperial Alexandrian Coins* (Kraków 1998). Profesor Marek Wilczyński koncentruje swoje badania na problemach historii późnego antyku. Opublikował książki: *Zagraniczna i wewnętrzna polityka afrykańskiego państwa Wandalów* (Kraków 1994), *Germanie w służbie zachodniorzymskiej w V wieku* (Kraków 2001). Doktor Jerzy Cieliegi podejmuje zagadnienia dotyczące dziejów Palestyny starożytnej. Efektem tych badań są książki: *Palestyna w czasach Jezusa. Dzieje polityczne* (Kraków 2000), *Polityczne dziedzictwo Heroda Wielkiego. Palestyna w epoce rzymsko-herodiańskiej* (Kraków 2002). Zainteresowania badawcze doktor Teresy Wnętrzak skupiają się na problemach filozoficzno-historycznych dotyczących autorów antycznych. Opublikowała książkę *Znaczenie pojęć filozoficzno-politycznych w De Civitate Dei św. Augustyna* (Kraków 2002).

W Katedrze Historii Średniowiecznej zatrudnieni są: prof. Feliks Kiryk i prof. Jerzy Rajman, dr Andrzej Jureczko, dr Zdzisław Noga, dr Krzysztof Polek, mgr Ewa Wac. Profesor F. Kiryk jest znanym animatorem badań osadniczych, przemian gospodarczo-społecznych i kulturalnych poszczególnych ziem ma-

łopolskich. Z bogatego dorobku wymienimy najważniejsze publikacje książkowe: *Jakub z Dębna na tle wewnętrznej i zagranicznej polityki Kazimierza Jagiellończyka* (Wrocław 1967), *Księga przyjąć do prawa miejskiego w Bochni 1531–1656* (Wrocław 1979), *Rozwój urbanizacji Małopolski XIII–XVI w. Województwo krakowskie* (Kraków 1985), *Urbanizacja Małopolski: województwo sandomierskie XIII–XVI wiek* (Kielce 1994), *Pergaminy Archiwum Kapituły Sandomierskiej. Katalog* (Sandomierz 2002). Podkreślić należy duży dorobek Feliksa Kiryka w redagowaniu i współredagowaniu monografii miast i regionów. Były to prace zespołowe, interdyscyplinarne, skupiające badaczy z różnych ośrodków naukowych i różnych dyscyplin naukowych – geografów, etnografów i historyków sztuki. Dotychczas ukazało się blisko 40 monografii, nad którymi pracowało około 300 osób. Dużym osiągnięciem profesora było także zorganizowanie zespołu uczonych miasta Krakowa i kierowanie tym wielkim zespołem, który w 2000 roku opracował *Encyklopedię Krakowa*. Profesor Jerzy Rajman badając szczególnie dzieje osadnictwa, a także monastycyzmu i duchowości wydał książki: *Dzieje wsi Bibice do końca XV wieku* (Kraków 1989), *Klasztor Norbertanek na Zwierzyńcu w wiekach średnich* (Kraków 1993), *Jemielnica. Wieś i klasztor Cystersów na Górnym Śląsku* (Katowice 1995), *Pogranicze śląsko-małopolskie w średniowieczu* (Kraków 1998), *Średniowieczne patrocinia krakowskie* (Kraków 2002). Doktor A. Jureczko zajmuje się historią osadnictwa Małopolski, a także dziejami Śląska. Opracował książki: *Henryk III książę wrocławski* (Kraków 1987), *Testament Krzywoustego* (Kraków 1988). Również dziejami osadnictwa tego obszaru zajmuje się dr Zdzisław Noga, który opublikował *Słownik miejscowości księstwa siewierskiego* (Katowice 1994). Jego praca *Krakowska Rada Miejska w XVI wieku. Studia o elicie władzy* (Kraków 2003) stała się podstawą otwarcia przewodu habilitacyjnego. Specjalnością dr. Krzysztofa Polka jest historia powszechna wczesnego średniowiecza, szczególnie zaś wczesne dzieje Słowian Zachodnich. Opublikował on dwie oryginalne monografie o państwie

wielkomorawskim: *Państwo wielkomorawskie i jego sąsiedzi* (Kraków 1994) oraz *Podstawy gospodarcze państwa wielkomorawskiego* (Kraków 1994). Zainteresowania mgr Ewy Wac skupiają się na genealogii rycerstwa Małopolski. Wspólnie z A. Jureczko opracowała *Historię Liechtensteinu* wydaną w *Historii małych państw Europy* pod redakcją J. Laptosa (Wrocław 2002).

Katedra Historii Nowożytnej zajmuje się zarówno historią powszechną, jak i polską. Znakomitym jej przedstawicielem jest emerytowany profesor Stanisław Grzybowski, który zajmuje się historią powszechną XVI–XVIII wieku oraz szeroko pojętą historią kultury nowożytnej. Z owego zakresu opublikował wiele, często wznawianych książek w języku polskim i francuskim. Wymienimy tylko niektóre: *Poglądy społeczne publicystów hugenockich 1559–1598* (Wrocław 1964), *Polityka kolonialna Tudorów i pierwszych Stuartów* (Wrocław 1970), *Henryk Walezy* (Wrocław 1985), *Elżbieta Wielka* (Wrocław 1989), *Jan Zamoyski* (Warszawa 1994), *Historia Irlandii* (Wrocław 1998), *Trzynastcie miast czyli antynomie kultury europejskiej* (Wrocław 2000), *Dzieje Polski i Litwy 1506–1648* (Kraków 2002). Profesor Franciszek Leśniak zajmuje się historią gospodarczą i społeczną okresu nowożytnego z wyraźnym akcentem na badania regionalne i biografistykę. Opublikował m.in. książki: *Krosno w czasach Odrodzenia* (Kraków 1992), *Wielkorządcy krakowscy XVI–XVIII wieku*.

Gospodarze zamku wawelskiego i majątku wielkorządowego (Kraków 1996), *Rzemieślnicy i kupcy w Krośnie XVI – I połowa XVII w.* (Kraków 1999). Badania dr Bożeny Popiołek skupiają się na kulturze i obyczajach staropolskich przełomu XVII i XVIII wieku; opublikowała książki: *Królowa bez korony. Studium z życia i działalności Elżbiety z Lubomirskich Sieniauskiej w latach 1689–1729* (Kraków 1996), *Kobiety świat wartości w czasach Augusta II. Studia nad mentalnością kobiet z kręgów szlacheckich* (Kraków 2003; książka została przyjęta ja-



Jan Perdenia

ko rozprawa habilitacyjna), *A z Warszawy nowiny te... Listy do Elżbiety Sieniańskiej z lat 1710–1720* (Kraków 2000). Dr Henryk Kotarski zajmuje się dziejami wojskowości, kartografii i ikonografii historycznej, zaś mgr Paweł Konieczny historią kolonialnej Ameryki.

Katedrą Historii XIX wieku kieruje profesor Henryk W. Żaliński, którego obszarem badań są polskie walki narodowowyzwoleńcze, Wielka Emigracja, myśl polityczna i wojskowa XIX stulecia, dzieje Galicji i biografistyka tych czasów. Opublikował m.in. książki: *Kształt polityczny Polski w ideologii TDP* (Wrocław 1977), *Stracone szanse. Wielka Emigracja o Powstaniu Listopadowym* (Warszawa 1982), *Poglądy Hotelu Lambert na kształt powstania zbrojnego 1832–1864* (Kraków 1990). Zainteresowania profesora Kazimierza Karolczaka koncentrują się od wielu lat na badaniu struktur społecznych XIX stulecia, szczególnie mieszczaństwa i ziemiaństwa, jak też dziejami miast galicyjskich, zwłaszcza Lwowa i Krakowa. Od szeregu lat należy do głównych organizatorów polsko-ukraińskich konferencji naukowych (*Lwów. Miasto, społeczeństwo, kultura*, opublikowano też cztery tomy studiów pod tym samym tytułem). Wydał książki: *Właściciele domów w Krakowie na przełomie XIX i XX wieku* (Kraków 1987), *Dzieduszyccy. Dzieje rodu. Linia poturzycko-zarzecka* (Kraków 2000 i 2001), za którą otrzymał nagrodę Polskiego Towarzystwa Heraldycznego.

Doktor Barbara Obtulowicz interesuje się stosunkami polsko-hiszpańskimi w dobie rozbiorowej i w pierwszej połowie XIX wieku oraz kobietą hiszpańską w dobie powstawania społeczeństwa liberalnego, wydała książkę pt. *Książę pokoju, książę wojny. Polityka Manuela Godoya wobec Francji w latach 1792–1808* (Kraków 1999). Zainteresowania dra Józefa Hampla skupiają się na historii regionalnej, w szczególności zaś na historii wsi i polskiego ruchu ludowego. Ogłosił drukiem studium: *Strajk chłopski w Małopolsce w sierpniu 1937 – geneza i przebieg* (Warszawa 1988). Zainteresowa-

nia mgra Huberta Chudzio skupiają się na dziejach polskiej emigracji po powstaniu listopadowym, opublikował wiele interesujących artykułów o polskich emigrantach na Bliskim Wschodzie.

Katedra Najnowszej Historii Powszechnej prowadzi badania naukowe z zakresu historii najnowszej Europy Środkowej, krajów bałtyckich i basenu dunajskiego. Profesor Andrzej Kastory opublikował z tego zakresu wiele cennych pozycji książkowych m.in.: *Pokój z Rumunią, Bułgarią i Węgrami w polityce wielkich mocarstw* (Rzeszów 1982), *Finlandia w polityce wielkich mocarstw 1939–1940* (Kraków 1983), *Rewanż za Monachium. Z dziejów czechosłowackiej polityki wobec sąsiadów w latach 1945–1947* (Kraków 1996), *Złowrogie sąsiedztwo: rosyjska polityka wobec europejskich państw ościennych w latach 1939–1940* (Kraków 1998). Wartościowe książki wydali także: dr Andrzej Essen – *Polska a Mała Ententa 1920–1934* (Kraków 1992), dr Joanna Janus – *Polska i Czechosłowacja wobec planu Marshalla* (Kraków 2001), zaś dr Marek Herma, który ponadto zajmuje się dziejami wojskowości, opublikował rozprawę *Pod banderą św. Andrzeja. Rola Floty Czarnomorskiej w realizacji koncepcji strategicznych (militarnych) Rosji w latach 1914–1917* (Kraków 2002).

W Katedrze Najnowszej Historii Polski pracują trzej profesorowie – Jacek Chrobaczyński, Jerzy Gołębiowski i Ludwik Mrocza oraz czterej doktorzy – Anna Paciorek, Czesław Michalski, Jerzy Zawistowski i Marian Fortuna. Specjalizują się oni w badaniach historii politycznej, społecznej i gospodarczej dwudziestowiecznej Polski. Ludwik Mrocza interesuje się historią struktur społecznych społeczeństwa polskiego i pograniczem polsko-ukraińskim. Opublikował kilka wartościowych monografii: *Fenomen robotniczy Drugiej Rzeczypospolitej* (Kraków 1987), *Galicji rozstanie z Austrią* (Kraków 1990), *Spór o Galicję Wschodnią 1914–1923* (Kraków 1998), *Krakowianie. Szkice do portretu zbiorczego w dobie industrialnej transformacji 1890–1939* (Kraków 1999). Ta ostatnia książka została nagrodzona przez Urząd Miasta Krakowa. Jacek Chrobaczyński rozwinął niezwykle ożywioną działalność



badawczą koncentrując się na dziejach oświaty i szkolnictwa, socio- i psychohistorii, głównie w okresie okupacji hitlerowskiej. W ostatnich latach opublikował następujące monografie: *Ostatni z szesnastu. Biografia polityczna Adama Bienia (1899–1998)* (Warszawa 2000), *Tajna szkoła w okupowanym Krakowie (1939–1945)* (Kraków 2000), „Nie okrył się niestawą naród polski”. *Społeczne aspekty września 1939 roku* (Kraków 2002). Jerzy Gołębiowski prowadzi badania dotyczące historii gospodarczej II Rzeczypospolitej, jest autorem kilku tytułów: *Spór o etatyzm wewnątrz obozu sanacyjnego 1926–1939* (Kraków 1978), *Sektor państwowy w gospodarce Polski międzywojennej* (Kraków 1985), *Przemysł wojenny w Polsce 1918–1939*, (Kraków 1990), *COP. Dzieje industrializacji w epoce bezpieczeństwa 1921–1939* (Kraków 2000). Anna Paciorek interesuje się historią najnowszą i współczesną Polski, głównie pod kątem samorządu gospodarczego. Opublikowała specjalistyczne studium o przemysle Krakowa – *Uruchomienie i upaństwowienie przemysłu Krakowa oraz jego przeobrażenia w latach 1945–1949* (Kraków 1991). W programie badań dra Mariana Fortuny dominowały dzieje oświaty i szkolnictwa XX wieku. Wydał on książkę *Szkolnictwo podstawowe w Okręgu Szkolnym Krakowskim 1945–1961* (Kraków 1986). Przedmiotem badań Czesława Michalskiego jest problematyka kultury fizycznej, opublikował wiele artykułów o sporcie w Galicji, a zwłaszcza Dębicy, Krakowa, Limanowej, Lwowa, Mielca, Olkusza i Wilna. Zainteresowania Jerzego Zawistowskiego obejmują struktury społeczno-zawodowe w Polsce okresu dwudziestolecia międzywojennego. Jest autorem i redaktorem kilku prac z zakresu dziejów miast i zakładów pracy.

Zakład Dydaktyki Historii liczy pięć osób o sześciu zainteresowaniach naukowych. Profesor Czesław Nowarski zajmuje się historią oświaty i szkolnictwa w Polsce po 1945 r. (akademickie kształcenie nauczycieli historii), dydaktyką historii (cele edukacji historycznej, metody nauczania, środki dydaktyczne, pojęcia historyczne, ocena szkolna) oraz edukacji regionalnej. Opublikował książkę *Akademickie kształcenie nauczycieli historii w Polsce*

(1945–1980) (Kraków 1999). Kierunkiem badań dr. Józefa Brynkusa jest biografistyka historyczna i jej zastosowanie w edukacji szkolnej, edukacja regionalna w reformowanej szkole polskiej oraz przemiany współczesnej dydaktyki historii. Jest autorem książki *Bohaterowie dziejów polskich w podręcznikach szkolnych XIX wieku* (Kraków 1998). Doktor Lucyna Kudła zajmuje się dziejami szkolnictwa galicyjskiego w okresie autonomicznym, edukacją regionalną, dydaktyką szkoły średniej. Zainteresowania badawcze dr. Janiny Mazur dotyczą dziejów doskonalenia zawodowego nauczycieli historii w Polsce po 1945 r., edukacji historycznej w okresie przemian po 1989 r., dydaktyki historii (celów edukacji historycznej, programów szkolnych, zainteresowań historycznych uczniów, środków dydaktycznych) i edukacji regionalnej. Wspólnie z prof. Alojzym Zieleckim opublikowała książki: *Organizacja studiów historycznych (stacjonarnych i zaocznych) w uniwersytetach i Wyższych Szkołach Pedagogicznych* (Kraków 1996); *Praktyczne kształcenie kandydatów na nauczycieli historii* (Rzeszów 1998). Zainteresowania badawcze dr. Piotra Trojańskiego dotyczą dziejów ludności żydowskiej w Polsce w okresie dwudziestolecia międzywojennego, nauczania o holocauście w szkołach polskich i zagranicznych.

Zespół historyków skupionych w Pracowni Biografistycznej przygotował i wydał: *Szkolny Słownik Biograficzny* pod redakcją F. Kiryka i A. Jureczki (Kraków 1996), trzy tomy biogramów postaci historycznych *Wielkiej Historii Polski* (t. 11–13) (Kraków 2000–2001). Jacek Chrobaczyński opublikował *Słownik biograficzny nauczycieli w Małopolsce w latach II wojny światowej (1939–1945)* (Kraków 1995). W opracowaniu redakcyjnym wrocławskiego Ossolineum jest *Słownik Sławnych i Zasłużonych Polaków*, którego wydanie zaplanowane jest na bieżący rok. Członkowie zespołu uczestniczyli w przygotowaniu



Helena Rządowska

biogramów do wydawnictwa *Kto był kim w drugiej Rzeczypospolitej* (Kraków 1994) i biorą udział w opracowaniu biogramów do mającego ukazać się staraniem Instytutu Biografistyki Polonijnej w Paryżu *Słownika biograficznego Polonii*. Członkowie pracowni: F. Kiryk, A. Jureczko, F. Leśniak, K. Karolczak, H.W. Żaliński, J. Chrobaczyński tworzyli także, kierowany przez prof. Kiryka, zespół autorski, który w latach 1997–2002 opracował 15 tomową *Wielką Historię Polski*.

Wielu pracowników było redaktorami licznych książek: J. Hampel (*Szczurowa. Z dziejów wsi i gminy*, Kraków 1996; „Roczniki Ludowego Towarzystwa Naukowo-Kulturalnego Oddział w Krakowie”, Kraków 1996/1997, 1999, 2000; wspólnie z F. Kirykiem *Sucha Beskidzka*, Kraków 1998), K. Karolczak i H.W. Żaliński (*Dylematy galicyjskie*, Kraków 1994; *Lwów. Miasto, społeczeństwo, kultura. Studia z dziejów Lwowa*, t. 2, Kraków 1998), K. Karolczak (*Lwów. Miasto, społeczeństwo, kultura. Studia z dziejów Lwowa*, t. 3, Kraków 2001), A. Kastory i G. Chomiczki (*Prace komisji do oceny podręczników szkolnych*, t. 1, Kraków 2000); F. Kiryk (*Dzieje Rzeszowa*, t. 2–3, Rzeszów 1998, 1999; *Kłobuck. Dzieje miasta i gminy*, Kraków 1998; *Limanowa*, t.1: 1565–1945, Kraków 1999; *U podnóża Gorców. Wczoraj i dziś wsi podhalańskich w gminie Nowy Targ*; wspólnie z B. Górzem, Nowy Targ 1999; *Kamieniec Podolski. Studia z dziejów miasta i regionu*, t. 1, Kraków 2000; *Proszowice. Zarys dziejów do 1939 r.*, Kraków 2000; *Dzieje Sławkowa*, Kraków 2001; *Częstochowa. Dzieje miasta i klasztoru jasnogórskiego*, t. 1: *Okres staropolski*, Częstochowa 2002), F. Leśniak (*Podróże po historii. Studia z dziejów kultury europejskiej ofiarowane profesorowi Stanisławowi Grzybowskiemu*, Kraków 2000), Z. Noga (*Osadnictwo i krajobraz. Natura i kultura w krajobrazie Jury*, Kraków 1997; wspólnie z W. Bukowskim, *Żydzi w Polsce. Swoi czy obcy*, Kraków 1998), J. Zawistowski (*Zakłady Budowy Maszyn i Aparatury im. Stanisława Szadkowskiego w Krakowie (1804–1979)*, Kraków 1979; *Jaworzno. Zarys dziejów w latach 1939–1990*, Kraków 1996).

Pracownicy Instytutu wydawali również programy przeznaczone do użytku szkolnego, podręczniki szkolne i przewodniki metodyczne: J. Mazur, *Uczymy historii. Poradnik. Klasa V* (Warszawa 1997); *Uczę historii w klasie I gimnazjum* (Warszawa 2000); J. Mazur, M. Wilczyński, Z. Noga, B. Baran *W rodzinie, w Polsce, w Europie. Program przedmiotu historia i społeczeństwo dla klas IV–VI szkoły podstawowej* (Warszawa 1999); P. Trojański wspólnie z R. Szuchtą *Holocaust. Program nauczania o historii i zagładzie Żydów na lekcjach przedmiotów humanistycznych w szkołach ponadpodstawowych* (Warszawa 2000, 2002); K. Polek, M. Wilczyński *Historia z Pegazem. Ludzie i epoki. Podręcznik do historii dla kl. I liceum ogólnokształcącego, liceum profilowanego i technikum* (Kraków 2000); B. Popiołek *Historia z Pegazem. Ludzie i epoki. Podręcznik do historii dla kl. II liceum ogólnokształcącego, liceum profilowanego i technikum* (Kraków 2003); J. Mazur, *Małopolska. Dziedzictwo kulturowe w regionie* (Kraków 2000).

O aktywnym rozwoju naukowym pracowników Instytutu świadczy także ich udział w wielu konferencjach naukowych. Wymienimy tylko referentów międzynarodowych konferencji w roku 2002 – VI ukraińsko-polska konferencja naukowa *Lwów. Miasto, społeczeństwo, kultura*, organizowana przez Uniwersytet Lwowski (J. Chrobaczyński, K. Karolczak, F. Kiryk, L. Mrocza, Cz. Michalski, Z. Noga); konferencja naukowa organizowana przez Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. M.P. Dragomanova w Kijowie (K. Karolczak); Symposium Biografistyki Polonijnej zorganizowane na Papieskim Uniwersytecie Urbaniańskim w Rzymie (H.W. Żaliński i H. Chudzio).

Wielu pracowników Instytutu występowało z wykładami, odczytami i prelekcjami w różnych miastach Polski i za granicą. Tylko w roku ubiegłym z zagranicznymi wykładami wyjeżdżali: profesor K. Karolczak (Ukraina), profesor F. Kiryk (Ukraina), profesor M. Wilczyński (Czechy, Niemcy), dr Z. Noga (Czechy, Niemcy), dr P. Trojański (Anglia, Stany Zjednoczone i Kanada), mgr P. Konieczny (Stany Zjednoczone).

Warto wspomnieć o aktualnej działalności naukowej i oświatowej naszych pracowników poza Instytutem. Pracownicy Zakładu Dydaktyki (Cz. Nowarski, J. Mazur, L. Kudła) są rzeczoznawcami MENiS ds. środków dydaktycznych, a J. Brynkus ekspertem MENiS ds. komisji kwalifikacyjnych i zawodowych nauczycieli. Profesor F. Kiryk pełni funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego w Polsce, w krakowskim Oddziale PTH wiceprezesem jest dr J. Hampel a dr J. Ciecieląg sekretarzem. Profesor A. Kastory przewodniczy Komisji do Oceny Podręczników Szkolnych PAU, (członkami tej komisji są profesor Cz. Nowarski, dr A. Essen), profesor H.W. Żaliński jest od 1993 r. członkiem Światowej Rady Badań nad Polonią. Profesor S. Skowronek współpracuje z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze, Zakładem Archeologii Śródziemnomorskiej PAN i Komitetem Nauk Historycznych PAN (sekcja numizmatyczna). Profesor J. Chrobaczyński pełni funkcję zastępcy przewodniczącego podkomisji ds. wspólnych przedsięwzięć edukacyjnych i tworzenia studiów międzyuczelnianych Małopolskiego Forum Edukacyjnego. Profesor K. Karolczak od 1992 r. współpracuje z Uniwersytetem Lwowskim, a od 1998 r. z Centrum Nauk Humanistycznych w Lipsku, opiekuje się także młodymi historykami ukraińskimi, stypendystami Kasy im. Mianowskiego, odbywającymi staże naukowe w Polsce. Profesor L. Mrocza od blisko 30 lat współpracuje z Uniwersytetem Łódzkim. Mgr H. Chudzio współpracuje z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej im. Kazimierza Michałowskiego Uniwersytetu Warszawskiego, kilkakrotnie przebywał na wykopaliskach w Sakkarze, Deir el Bahari. Wielu pracowników Instytutu uczestniczy w pracach Komitetu Organizacyjnego XVII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich, który odbędzie się we wrześniu 2004 w Krakowie (profesorowie J. Chrobaczyński, Cz. Nowarski, H.W. Żaliński są moderatorami sympozjum organizowanego w czasie Zjazdu).



Od roku 1962, w ramach „Rocznika Naukowo-Dydaktycznego WSP” ukazuje się seria wydawnicza pod tytułem „Prace Historyczne” (od 2001 r. „Studia Historica” w ramach „Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis”). Jej inicjatorem i redaktorem pierwszego numeru był profesor Ignacy Zarębski. Zamieszcza artykuły, rozprawy i recenzje pracowników Instytutu, a także historyków z innych ośrodków naukowych w kraju i za granicą. Redakcja prowadzi Kronikę Instytutu oraz umożliwia asystentom i doktorantom debiuty naukowe. Dotychczas ukazało się dwadzieścia zeszytów *Prac Historycznych*. Od 1994 r. redaktorem serii wydawniczej jest profesor Jerzy Gołębiowski.

Pracownicy Instytutu biorą aktywny udział w komitetach redakcyjnych czasopism i innych publikacji naukowych oraz różnorodnych gremiach promujących naukę historyczną. Profesor F. Kiryk przewodniczy komitetowi redakcyjnemu „Rocznika Sąddeckiego”, w skład którego wchodzi również F. Leśniak i J. Hampel. Profesor F. Leśniak stoi na czele komitetu redakcyjnego „Studiów z dziejów Krosna i regionu”, a członkami komitetu redakcyjnego „Studiów Historycznych” są profesorowie Kiryk i Chrobaczyński. Dr J. Hampel jest członkiem Rady Naukowej Zakładu Historii Ruchu Ludowego w Warszawie i Filii ZHRL w Krakowie oraz członkiem Zarządu Głównego Ludowego Towarzystwa Naukowo-Kulturalnego w Warszawie oraz sekretarzem Oddziału LTNK w Krakowie.

Aktualnie Instytut Historii prowadzi studia dzienne 5-letnie, studia zaoczne 5-letnie magisterskie, studia 2,5-letnie magisterskie dla absolwentów kolegów językowych – specjalność europejska, studia licencjackie zawodowe zaoczne 2-letnie, studia podyplomowe *Dziedzictwo kulturowe w regionie – Małopolska, Integracja europejska* oraz wspólnie z Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau *Totalitaryzm – Faszyzm – Holocaust*, oraz 4-letnie stacjonarne studia doktoranckie.

Na kierunku historycznym naszej uczelni zaczynało swoją przygodę z nauką wielu studentów, którzy w późniejszym okresie zostali profesorami historii w różnych ośrodkach naukowych. Spośród absolwentów wielu profesorów pełniło i pełni znaczące funkcje w instytucjach naukowych. Na naszej uczelni funkcje rektorskie pełnili i pełnią: profesor Feliks Kiryk prorektor (1987–1990) i rektor (1993–1999), profesor Michał Śliwa – prorektor (1995–1998) i rektor (od 1999), profesor Jacek Chrobaczyński – prorektor (1993–1996), profesor Henryk W. Żaliński – prorektor (od 1999). Profesor Czesław Banach był wicemistrem oświaty, kuratorem Krakowskiego Okręgu Szkolnego i prezesem Zarządu Głównego ZNP, profesorem na Wydziale Pedagogicznym naszej uczelni; profesor Jerzy Myśliński wieloletnim redaktorem „Kwartalnika Historii Prasy” i pracownikiem Instytutu Badań Literackich. Wiele profesorów było rektorami polskich uczelni: Kazimierz Bartkiewicz (WSP Zielona Góra), Hieronim Szczegółła (WSP w Zielonej Górze), Ryszard Szwed (WSP Częstochowa), Ryszard Orłowski (prorektor UMCS), Józef Półciwarteł (prorektor WSP Rzeszów), Regina Renz (prorektor WSP Kielce), Andrzej Wojtas (prorektor Akademii Bydgoskiej). Wiele absolwentów było lub jest profesorami uczelni polskich: Alina Fita – UJ, Henryk Mierzwiński – Akademii Podlaskiej i AWF w Warszawie, Zdzisław Budzyński, Jerzy Motylewicz, Marian Stolarczyk, Alojzy Zielecki – Uniwersytetu Rzeszowskiego, Piotr Matusak – Akademii Podlaskiej, Ryszard Wasztyl – AWF Kraków. Kilku absolwentów Instytutu jest profesorami na naszej uczelni w innych jednostkach organizacyjnych. Zygmunt Ruta i Jan Krukowski w Katedrze Oświaty i Wychowania, Józef Łaptos w Instytucie Neofilologii, Stanisław Kiljan, Michał Śliwa, Krzysztof Urbański i Władysław Wic w Instytucie Politologii. Szerzej o losach absolwentów i ich karierach naukowych będzie mowa podczas konferencji *Półwiecze studiów historycznych Akademii Pedagogicznej w Krakowie – doświadczenia i perspektywy*, która odbędzie się we wrześniu br.

Warto wspomnieć, że pracownicy Instytutu nie będący absolwentami naszej uczelni pełnili również funkcję prorektorów. Należy wymienić prof. Adama Przybosią (1962–1972), prof. Ludwikę Mroczkę (1984–1987) i prof. Stefana Skowronka (1984–1987).

Zasłużeni pracownicy naszego Instytutu zostali uhonorowani tytułami doktora honoris causa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Senat Uczelni nadał ten tytuł profesorowi Marianowi Tyrowiczowi, znakomitemu badaczowi dziejów ruchów rewolucyjnych i narodowowyzwoleńczych, wychowawcy wielu pokoleń historyków (1998), profesorowi Tadeuszowi Śliwowskiemu, długoletniemu kierownikowi Zakładu Dydaktyki, twórcy nowoczesnej dydaktyki i wychowawcy wielu nauczycieli (1990), Uniwersytet Lwowski za wybitne osiągnięcia naukowe i owocną współpracę uhonorował Feliksa Kiryka (1998).

Nasi absolwenci odnoszą też sukcesy dydaktyczne. Marta Karpiel, z domu Jarosz, nauczycielka historii i wiedzy o społeczeństwie w Gimnazjum nr 12 w Krakowie, została uznana Najlepszym Nauczycielem Małopolski Roku 2001 w kategorii gimnazjum i szkoły średniej w plebiscycie „Dziennika Polskiego”.

50 lat istnienia obchodzi także Biblioteka Instytutu Historii, jedna z największych bibliotek instytutowych naszej uczelni. Z jej księgozbioru (23921 woluminów) korzysta bardzo wysoka liczba czytelników, studentów historii i politologii, a także spoza Uczelni – prawa, historii sztuki, archeologii i stosunków międzynarodowych. Biblioteka gwarantuje dostęp do internetu, organizuje okolicznościowe wystawy i na bieżąco prezentuje dorobek naukowy pracowników Instytutu.



Marian Tyrowicz

Czesław Michalski

Rysował Henryk W. Żaliński

Jerzy Wyrozumski

Mediewistyka w Akademii Pedagogicznej w Krakowie

Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Krakowie, obecna Akademia Pedagogiczna, rozpoczynała w 1946 r. swoją działalność od funkcji edukacyjnych. Zapewniali je profesorowie i docenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie rozstając się z uniwersyteckim warsztatem badawczym. Dopiero w miarę dorabiania się własnej kadry i własnego zaplecza naukowego tworzyła się owa niezbędna szkole wyższej jedność nauczania i nauki, inaczej mówiąc funkcji edukacyjnych i badawczych. Choć wśród pierwszych profesorów Uczelni znaleźli się wybitni mediewiści, jak Jan Dąbrowski, Roman Grodecki, Józef Garbacik, Krystyna Pieradzka, to dopiero jej wychowankowie stworzyć mogli bazę rekrutacyjną i zacząć własnej kadry naukowo-dydaktycznej. Dopiero też ustabilizowani w niej profesorowie mogli, działając na dłuższy dystans, kreować załóżkę owej własnej kadry. Spośród wymienionych profesorów rola taka przypadła Józefowi Garbacikowi. Obok niego znalazł się badacz wczesnego Renesansu, Ignacy Zarębski, zatrudniony w Uczelni od początku lat pięćdziesiątych, który w 1955 r. otrzymał docenturę, a w roku 1964 profesurę nadzwyczajną. Pod kierunkiem Józefa Garbacika doktoryzował się w 1962 r. Feliks Kiryk, któremu wypadnie poświęcić więcej uwagi. Józef Garbacik wypromował też wprawdzie w 1968 r. na doktora Stanisława Wróbla (studia nad rzemiosłem Tarnowa), a Ignacy Zarębski w 1967 r. Zygmunta Rutę (studia nad szkolnictwem w Tarnowie od XV do XVIII w.), ale obaj ostatni poszli w kierunku historii nowożytnej.

Pierwszym liczącym się mediewistą „własnego chowu” krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej był Feliks Kiryk. Absolwent 1956 r., uczeń Józefa



Profesor Jerzy Wyrozumski — absolwent UJ, historyk mediewista. Badacz polskiego średniowiecza, autor ponad 300 prac naukowych, m.in. *Tkactwo małopolskie w późnym średniowieczu, Historia Polski do roku 1505, Kazimierz Wielki, Z najstarszych dziejów Uniwersytetu Krakowskiego, Kraków do schyłku wieków średnich* (t. 1 *Dziejów Krakowa*), współredaktor *Kroniki Krakowa*. Od 1989 r. członek reaktywowanej PAU, a od 1994 r. jej sekretarz generalny. Jest przewodniczącym Rady Muzealnej Zamku Królewskiego na Wawelu oraz prezesem Towarzystwa Miłośników I Zabytków Krakowa.

Garbacz. Doktorat uzyskał – jak powiedziano – w 1962 r., na podstawie wysoko cenionej pracy *Jakub z Dębna na tle wewnętrznej i zagranicznej polityki Kazimierza Jagiellończyka* (1967). Praca mieściła się w nurcie bliższych zainteresowań Józefa Garbacz. W nim też pozostała uprawiana przez Feliksa Kyrka biografistyka, która znajdowała wyraz głównie na łamach *Polskiego Słownika Biograficznego*. Niemal równolegle z finalizacją doktoratu wchodził Feliks Kyrk w inny nurt badawczy, a mianowicie w dzieje osadnictwa. Inspiracji w tym zakresie mogły mu dostarczyć zarówno uboczne zainteresowania Józefa Garbacz, jak też bliskie kontakty, jakie utrzymywał ze świetnym znawcą problematyki osadniczej Karolem Buczkim. Wydaje się jednak, że poszedł w tym kierunku przede wszystkim *motu proprio*, na co wskazuje ewolucja, jaką w badaniach swoich przeszedł. Odchodził bowiem systematycznie od szerszej problematyki osadniczej ku historii miast, rzemiosła, przemysłu i handlu, często nie zamykając się w granicach średniowiecza, a raczej preferując okres staropolski. Narzucały to choćby jego kwerendy archiwalne, do których przywiązywał wielką wagę. Jego główną pasją badawczą stała się szeroko rozumiana historia miast.

Nie da się przecenić osiągnięć, jakie miał i ma Feliks Kyrk na tym polu. Doskonale wyczuł skalę potrzeb naszej historiografii w owym zaniedbanym do niedawna zakresie. Na uwypuklenie zasługują nie tylko jego własne kwerendy archiwalne oraz analizy i opracowania, ale także osobista kariera akademicka w postaci habilitacji, profesury i najwyższego w Uczelni stanowiska rektora. Wielką rolę odegrał jako organizator badań zespołowych, których efektem były bardzo liczne monografie miast. Trudno byłoby je wyliczyć. Objęły one całą historyczną Małopolskę. Ponieważ Feliks Kyrk wciągnął do nich swoich współpracowników i uczniów, a z natury rzeczy nie mogły się one ograniczać do średniowiecza, uczyniły z czasem Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie, i to nie tylko jej Instytut Historii, bodaj najważniejszym w Polsce ośrodkiem badawczym w zakresie dziejów miast, „szczególnie małopolskich. Oprócz historii poszczególnych organizmów miej-

skich i ich osadniczego zaplecza, interesowała Feliksa Kyrka ogólniejsza problematyka miejska, wypływająca z badanej gruntownie historii lokalnej. Nie zaniechał przy tym słownikowej biografistyki. Dał szereg charakterystyk naszych średniowiecznych monarchów, sięgnął do bardziej szczegółowych studiów nad panowaniem Kazimierza Wielkiego. Spod jego pióra wyszła także popularna książeczka na temat wczesnych dziejów Uniwersytetu krakowskiego (*Nauk przemożnych perła*, 1986). Jego istotny wkład w badania nad szeroko rozumianym średniowieczem polskim nie ulega wątpliwości.

Zatrzymałem się dłużej nad Feliksem Kyrkiem, mając na uwadze to, że jemu właśnie przypadło w udziale stworzyć w krakowskiej WSP liczący się zespół do badań nad średniowieczem, wykreować w tej Uczelni jej własną mediewistykę. Jeśli chodzi o dzieje miast, można mówić o jego szkole. Staram się nie przesądzać, kto jest czym uczniem, bo nie mam dostatecznej wiedzy w tym zakresie, a jest w końcu sprawą subiektywną, kto kogo uważa za swego ucznia, a kto kogo za swego mistrza. Wiadomo jednak, że z seminarium prof. Kyrka wyszedł Franciszek Leśniak, dziś już z tytułem profesora, jednakże jego specjalnością stała się historia nowożytna i – co najwyżej – późnego średniowiecza czy też wczesnego Odrodzenia. Można go natomiast śmiało przypisać do wspomnianej szkoły historii miast. Z nią również łączy się inny ceniony badacz, Zdzisław Noga, którym przynajmniej do doktoratu kierował Feliks Kyrk, i który z inspiracji Feliksa Kyrka przygotował rozprawę doktorską na temat osadnictwa i stosunków własnościowych księstwa siewierskiego do schyłku XVIII w., który wszakże wykroczył poza wieki średnie i stał się historykiem czasów nowożytnych.

Z seminarium Feliksa Kyrka wyszedł również – jak wolno mi mniemać na podstawie mojej wiedzy – Jerzy Rajman. W każdym razie Feliks Kyrk był jego promotorem w przewodzie doktorskim (1991). Wszedł on faktycznie w problematykę mediewistyczną i konsekwentnie w jej kręgu się obraca, choć w małym stopniu wpisuje się w krąg badaczy uprawiających historię miast. Jego rozprawa doktorska

dotyczyła średniowiecznych dziejów klasztoru norbertanek w Krakowie na Zwierzyńcu i została ogłoszona drukiem (1993). Habilitował się na podstawie studium *Pogranicze śląsko-małopolskie w średniowieczu* (1998), interesującego i płodnego poznawczo w znacznie szerszym zakresie, niż sugeruje to tytuł. Jest on również autorem świeżo ogłoszonej książki *Średniowieczne patrocinia krakowskie* (2002), wchodzącej w bardzo ważny nurt średniowiecznych kultów. Niewątpliwie wszak jest ich sprzężenie zwrotne z ewolucją mentalną społeczeństwa. Wymiar lokalny krakowski przeprowadzonych przez autora badań nie przesądza wcale o lokalnym tylko ich znaczeniu. Wręcz przeciwnie, pokazują one metodę, która powinna znaleźć replikę w odniesieniu do innych ośrodków naszego życia zbiorowego, a doraźnie zawiera wyniki, które z pewną ostrożnością traktować można jako modelowe.

Trzeba tu zwrócić uwagę na jeszcze jednego badacza Akademii Pedagogicznej w Krakowie, dr. Krzysztofa Polka. Miał on wcześniej wykrystalizowane zainteresowania średniowieczem słowiańskim okresu Wielkich Moraw. Stosownie do tych zainteresowań doktoryzował się w Poznaniu pod jak najbardziej kompetentnym kierunkiem Jerzego Strzelczyka (1990) na podstawie rozprawy o państwie wielkomorawskim wobec monarchii wczesnofrankijskiej, ogłoszonej drukiem w dwu niedużych, ale wyodrębniających się tematycznie książkach: *Podstawy gospodarcze państwa wielkomorawskiego* (1994) i *Państwo wielkomorawskie i jego sąsiedzi* (1994). Myślę, że Krzysztof Polek, zajmujący się przynajmniej w zakresie dydaktyki historią powszechną wieków średnich, także badawczo przy mediewistycznej problematyce pozostał, że zatem jest reprezen-

tantem grupy mediewistów Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Nie sposób też pominąć dr. Andrzeja Jureczki, adiunkta w Zakładzie Historii Średniowiecznej, który wprawdzie jest absolwentem historii w Uniwersytecie Jagiellońskim, uczniem Józefa Mitkowskiego, ale doktoryzował się już w WSP i wrósł mocno w jej naukowe środowisko, nie angażując się co prawda raczej w badania nad historią miast, choć nieobce są mu studia osadnicze. Jest autorem interesującej monografii panowania księcia wrocławskiego Henryka III Białego (1986) i starannie wykonanej popularnonaukowej książeczki *Testament Krzywoustego* (1988) w kierowanej przez Feliksa Kiryka serii „Dzieje narodu i państwa polskiego”. Nie uporał się jednak jeszcze z habilitacją.

Na koniec nasuwa się refleksja. Mediewistyka w dawnej Wyższej Szkole Pedagogicznej, obecnej Akademii Pedagogicznej w Krakowie, wykluwała się powoli pod kierunkiem prof. Józefa Garbacika. Mocne pchnięcie dał jej jednak wychowanek tej Uczelni i uczeń Józefa Garbacika, Feliks Kirek. Zapewne tak pod wpływem swego Mistrza, który chętnie wykraczał poza wieki średnie, jak też z inspiracji własnej, on również, uprawiając w zasadzie historię średniowieczną, wchodził wielokrotnie pod względem badawczym, i to o wiele głębiej niż Józef Garbacik, w czasy nowożytne. Możliwości takie dawał też swoim uczniom. Zachował niezbędny mediewistom szacunek dla źródła historycznego i zaszczerpił go młodszej generacji badaczy. Ma liczących się uczniów i kontynuatorów. Jest też właściwym twórcą mediewistycznego nurtu badawczego w obecnej Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Jerzy Wyrozumski

Ignacy Zarębski – historyk polskiego humanizmu

Ignacy Zarębski należał do wyróżniających się uczniów jednego z najwybitniejszych humanistów polskich XX wieku, prof. Stanisława Kota. Owocem kontaktów naukowych z profesorem była nie tylko rozprawa doktorska o „Stosunkach Eneasza Sylwiusza z Polską i Polakami” (1937), lecz także trwałe zainteresowanie dziejami kultury polskiej w XV stuleciu oraz nieprzerwana, mocna nić sympatii dla wielkiego swojego Mistrza

Badania nad wczesnym humanizmem w Polsce tego okresu, obejmujące obszerny kontekst także literatury i kultury włoskiej oraz szerokie tło porównawcze – stały się naukową pasją Ignacego Zarębskiego. Pozostawił w tej dziedzinie dorobek trwały, wypełniając efektywnie stan dotychczasowej wiedzy o początkach Odrodzenia w królestwie Jagiellonów do pojawienia się tu Filipa Kallimacha.

Subtelna analiza działalności literackiej Grzegorza z Sanoka i innych polskich humanistów z drugiej ćwierci XV w., a zwłaszcza ich związków z humanistami włoskimi, pozwoliła na ustalenie, iż Polska nie była odludziem kulturalnym w czasach króla Władysława Warneńczyka i pierwszych dziesięcioleci rządów Kazimierza Jagiellończyka. Ustalenia Ignacego Zarębskiego weszły na stałe do kanonu wiedzy o kulturze polskiej XV stulecia, znajdując należne miejsce w podręcznikach historii ojczystej.

Pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie podjął dopiero w 1951 r., kiedy miał za sobą niespełnione plany studiów zagranicznych, czasy bezrobocia i belferki, jako nauczyciel gimnazjalny prywatny (Grabownica Starzeńska) i nauczyciel gimnazjalny etatowy (Solec n/Wisłą), przeżycia okupacyjne (w tym więzienie na Montelupich w 1941 r. za działalność konspiracyjną), a wreszcie doświadczenia powojenne w kierowanych przez siebie krakowskich oddziałach Ossolineum oraz Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych, jako wydawcy prac naukowych i podręczników szkolnych. Z każdym rokiem pracy w WSP rosło przywiązanie Ignacego Zarębskiego do Uczelni, w której zdobywał kolejne stopnie naukowe, kierował Wydziałem Filologiczno-Historycznym, współorganizował jako profesor nadzwyczajny Katedrę Historii Polski, a kiedy powołano na Uczelni instytuty – Zakładem Historii Polski, zaś od 1972 r. Zakładem Historii Oświaty i Wychowania. Udzielał się w organizacjach społecznych i naukowych, jak Związek Nauczycielstwa Polskiego i Towarzystwo Wiedzy Powszechnej (gdzie pełnił ważne funkcje środowiskowe), a nade wszystko Polskie To-



warzystwo Historyczne, któremu przewodził w Krakowie, jako prezes (1962–1971) oddziału, a także jako wiceprezes Zarządu Głównego (1969–1971). Z satysfakcją podjął się w 1959 r., niezależnie od zatrudnienia w WSP, pracy w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie doglądał jako wicedyrektor zbiorów specjalnych i zajmował się wydawnictwami, w tym redakcją „Biuletynu Biblioteki Jagiellońskiej”, uznając że na tym stanowisku może spożytkować wieloletnie doświadczenia księgarskie i rozumienie funkcji książki w procesie kształcenia studenta i pracownika naukowego. Ale nade wszystko był związany z młodzieżą studencką. Żył jej problemami, wspierał energicznie studencki ruch kulturalny, popierał rozwój sportu uczelnianego, nie brakowało go na jakichkolwiek zawodach sportowych, przy czym cenił najwyżej lekkoatletykę. Nie stronił od dyskusji różne tematy, nawet te trudne, spędzając na rozmowach ze studentami także czas przeznaczony na przerwy między wykładami.

Wszędzie, gdzie pracował, otaczało go grono ludzi życzliwych, gdyż sam był osobowością ciepłą i pogodną, a nade wszystko życzliwą. Wspominam go nie tylko jako uczonego, lecz przede wszystkim jako wychowawcę, wpływającego pozytywnie na zespół ludzi, z którymi pracował i stykał się codziennie. Lubił sesje i konferencje, a także zwykłe zebrania naukowe, które starał się zawsze podtrzymywać i nadawać im tło ogólniejsze, usiłując oddać sprawiedliwość referującemu i zachęcić go do dalszego wysiłku naukowego. Nie tylko w polemice był elegancją, doceniający stanowisko przeciwnika. Cechowała

go codzienna wytworność w tym, co mówił, jak się ubierał i w tym, jak się zachowywał. Kultury języka i wyglądu wymagał zarówno od pracownika naukowego, jak też od studenta, zwracając uwagę, że środowisko akademickie, wyższa uczelnia, do czegoś zobowiązuje.

Był człowiekiem towarzyskim. Lubiał imprezy związkowe, których był nierzadko organizatorem, nie opuszczał corocznych *balów historyków*, organizowanych przez studentów lat starszych dla słuchaczy I roku, podczas których nie brakowało studenckich występów artystycznych, w tym dobrego humoru, popisów satyrycznych studentów z próbami parodiowania wykładów profesorów kierunku itp. Dawał się przekonać do wielu imprez wyjazdowych, związanych np. z realizacją monografii miejscowości, obchodami rocznicowymi, ratowaniem zabytków. Przejawiał zainteresowanie losami swoich uczniów, którzy odwzajemniali mu sympatię i pamiętali o nim, szukając możliwości kontaktu z Mistrzem długo po ukończeniu studiów.

Był obdarzony nie tylko zdolnościami oratorskimi, jak przystało na badacza i znawcę ludzi Odrodzenia, posiadał nadto wspaniałą, niski głos, nienaganną dykcję i posługiwał się bogatym słownictwem. Nie nadużywał przy tym łaciny, chociaż cytował często celne maksymy łacińskie z okresu klasycyzmu, umiał pisać po staropolsku, wczuwając się w język Reja, Kochanowskiego, a także Kochowskiego i Sarbiewskiego. Należał też do znanych i lubianych postaci Krakowa trzeciej ćwierci XX wieku.

Feliks Kiryk

Henryk W. Żaliński

Heleny Rzadkowskiej badania dziejów Wielkiej Emigracji i powstania styczniowego



Helena Rzadkowska

W krakowskim, a nawet w ogólnopolskim środowisku historycznym lat 1955–1970 bardzo silną pozycję zajmowali pracownicy naukowcy krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej zajmujący się dziejami Polski XIX wieku. Obok prof. Mariana Tyrowicza, niewątpliwie lidera w badaniach, którego sylwetkę i dokonania naukowe przedstawili w „Konspekcie” nr 11 z 2002 r. prof. Czesław Majorek i dr Józef Hampel, pracowała wówczas w naszej uczelni znakomita uczona prof. Helena Rzadkowska. Wykładowca Otto Beiersdorf, adiunkci (Zbigniew Tabaka, Henryk Kocój), doktoranci (m.in. Czesław Majorek, Krzysztof Dach, Bronisław Jaśkiewicz, Marian Stolarczyk, Andrzej Wasiak) oraz asystenci uzupełniali tę wyróżniającą się grupę pracowników naukowych, zajmującą się historią końca XVIII i całego XIX wieku

Helena Rzadkowska związała się z krakowską WSP w 1952 r. i pracowała w niej aż do emerytury, na którą przeszła w 1973 r. Przypomnijmy najważniejsze daty z jej życia. Urodziła się 8 października 1902 r. w Będzinie, w rodzinie kupca zbożowego. Świadectwo dojrzałości otrzymała w 1921 r. w rodzinnym mieście. W tym samym roku rozpoczęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie po sześciu latach w 1927 r., uzyskała stopień doktora filozofii z zakresu historii. Pracę zawodową jako nauczycielka historii szkoły średniej rozpoczęła w 1927 r. w Słoniemiu (dziś miasto w Białorusi), skąd po dwóch latach przeniosła się do Będzina. Po odbyciu przepisanej praktyki nauczycielskiej i uzupełnieniu przygotowania pedagogicznego, złożyła w 1933 r. egzamin klasyfikacyjny, uzyskując dyplom profesora szkół średnich ogólnokształcących i seminariów nauczycielskich. Lata okupacji, po opuszcze-

niu Będzina w 1941 r., spędziła wraz z rodziną w Krakowie, z którym to miastem związała się już na stałe.

W krakowskiej WSP Helena Rzadkowska zaczęła pracować, jak już wspomniałem, w 1952 r. i zajmowała kolejno stanowiska: zastępcy profesora, etatowego docenta i profesora nadzwyczajnego, początkowo w Katedrze Historii Polski, następnie w Instytucie Historii. Nie pełniła w Uczelni wysokich kierowniczych funkcji. W latach 1960–1966 była prodziekanem Wydziału Filologiczno-Historycznego oraz przez kilka lat przewodniczyła Senackiej Komisji do spraw pomocniczych pracowników naukowych. Niezwykłą aktywność przejawiała w pracy dydaktycznej ze studentami. Obserwowałem tę pracę. Będąc asystentem prof. Rzadkowskiej uczestniczyłem nie tylko w prowadzonych przez nią seminariach magisterskich, ale także słuchałem jej wykład-

dów kursowych i monograficznych, brałem udział w zebraniach towarzystw naukowych, na których wygłaszała referaty lub tylko brała udział w dyskusjach. Należała bowiem do grupy profesorów, którzy zawsze, na każdych zajęciach i w każdej chwili, chcieli mieć „pod ręką” swoich asystentów.

Przedmiotem szczególnej troski były dla Heleny Rzadkowskiej seminaria magisterskie, będące szkołą samodzielnego myślenia, krytycyzmu oraz interpretacji źródeł historycznych. Nie mówiła pięknie, nie była bowiem erudytką, ale jej wykłady miały zawsze starannie przemyślaną konstrukcję, w której było miejsce na dokładną analizę procesów i wydarzeń historycznych oraz na rekapitulację i wnioski. W wykładach nie unikała też wyrażania swoich poglądów, niekiedy bardzo lewicowych, radykalnych. Wysokie wymagania naukowe szły u niej zawsze w parze z opieką, jaką otaczała swoich seminarzystów i słuchaczy. Pedantyczne traktowanie swoich obowiązków było jednym z charakterystycznych rysów jej osobowości. Miała wszystkie cechy profesjonalisty: ambitna, skuteczna, stanowcza aż do apodyktyczności, niezwykle pracowita, wrażliwa na potrzeby innych. Koledzy profesorowie nie lubili jej zbyt, nie utrzymywali z nią bliższych kontaktów towarzyskich. Być może przyczyną tego był jej sposób bycia. Zbyt natarchywie broniła swoich racji, a swoimi ostrymi sądami potrafiła zrażać kolegów. Otaczała się natomiast wianuszkami młodszych pracowników naukowych: asystentami i adiunktami, w których towarzystwie – jak mówiła – czuła się najlepiej. Była zawsze elegancka i zadbana. W okresie realnego socjalizmu, kiedy do wyglądu zewnętrznego nie przywiązywano większej wagi, ubierała się w gustowne, stonowane kolorystycznie garsonki, a latem w bardziej przewiewne sukienki, które prawdopodobnie otrzymywała od rodziny zamieszkającej w Szwajcarii. Zwracała też uwagę na wygląd swoich seminarzystów. Byłem często świadkiem, jak studentki przed zajęciami seminaryjnymi przeczesywały zbyt fantazyjne fryzury, a studenci zakładali krawaty i ubierali marynarki. Egzamin też był celem. Oceniała na nim nie tylko treść i formę wypowiedzi, ale także ogólne zachowanie egzaminowa-

nych. Omawiając ze mną przebieg egzaminu poszczególnych studentów, potrafiła używać słów ostrych i uszczypliwych.

Pracę naukowo-badawczą rozpoczęła Helena Rzadkowska jeszcze przed wojną, pisząc pod kierunkiem znakomitego uczonego profesora Stanisława Kota rozprawę doktorską pt. *Słosunek polskiej opinii publicznej do Rewolucji Francuskiej*. Rozprawę tę po przeszło dwudziestu latach wydrukowała Spółdzielnia Wydawnicza „Książka” (Warszawa 1948). Mimo upływu czasu nie straciła ona nic ze swoich walorów poznawczych. Okresowi Oświecenia w Polsce poświęciła Rzadkowska jeszcze kilka obszernych artykułów naukowych. Przedstawiła w nich głównie myśl historyczną doby stanisławowskiej oraz nowatorskie poglądy ks. Hugona Kołłątaja.

Najważniejszym nurtem twórczości naukowej prof. Heleny Rzadkowskiej były zagadnienia ideologiczne Wielkiej Emigracji, a szczególnie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Rozprawa o jednym z przywódców TDP pt. *Polemiki ideologiczne J.N. Janowskiego* (Warszawa 1960) oraz szereg artykułów dotyczących jego działalności, spopularyzowały w świecie nauki tego cenionego publicystę, działacza niepodległościowego, pioniera postępu i demokracji. Wydała też obszerny 64 arkuszowy wybór pism Janowskiego oraz jednego z głównych przywódców i ideologów TDP – Wiktora Heltmana. Zbiór ten zatytułowany *Demokracja polska na emigracji* (Warszawa 1965) zawierał jej krytyczny wstęp, w którym dokonała rewizji dotychczasowej oceny działalności Towarzystwa. W historiografii pierwszych lat PRL-u Towarzystwo Demokratyczne Polskie było oceniane surowo i ahistorycznie. Rzadkowska przeciwstawiła się tym ocenom. Twierdziła, że historycy gloryfikujący głównie Gromady Ludu Polskiego zawężają postępowe tradycje narodu polskiego nie dostrzegając nowatorskich pomysłów i rozwiązań polityczno-społecznych proponowanych przez TDP.

Helenę Rzadkowską interesował też końcowy etap działalności Wielkiej Emigracji, a szczególnie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Napisała na ten temat kilka artykułów m.in.: *Próby zjedno-*

czenia emigracji przed powstaniem styczniowym (1861–1862) („Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP”, Kraków 1968); *Towarzystwo Demokratyczne Polskie w ostatnim okresie swojego istnienia (1850–1863)*; („Zeszyty Historyczno-Polityczne SD” 1973); „*Demokrata Polski*” w ostatnim okresie jego istnienia („Studia Historyczne” 1969) oraz rozprawę



H. Rzadkowska i H.W. Żaliński

wydaną w 1971 r. w Serii Komisji Prac Historycznych PAN w Krakowie. W rozprawie tej pt. *Działalność Centralizacji Londyńskiej Towarzystwa Demokratycznego Polskiego (1850–1862)* omówiła bardzo mało znany okres pracy naczelnej władzy Towarzystwa. W dotychczasowej historiografii dotyczącej TDP szeroko przedstawione zostały lata 1832–1847, zaś końcowy etap był traktowany pobieżnie i zawierał wiele uproszczeń. Autorka zrekonstruowała dzieje Centralizacji, omówiła jej założenia ideologiczne, ukazała grono współpracowników. Jednemu z jej członków — Ludwikowi Bulewskiemu — poświęciła nawet osobną monografię, którą starała się wydrukować w PWN. Po wewnętrznych recenzjach, nie

zdążyła już wprowadzić do tekstu drobnych korekt i do tej pory rozprawa nie ukazała się na rynku księgarskim.

Powstanie styczniowe budziło także wielkie zainteresowanie naukowe prof. Heleny Rzadkowskiej. Poświęciła mu szereg artykułów oraz dwie książki dotyczące osoby dyktatora Mariana Langiewicza.

Pierwszą z nich była monografia *Marian Langiewicz*, opublikowana w 1967 r. Langiewicz, który odegrał niepospolitą rolę w początkach powstania, nie posiadał do tej pory nie tylko pracy monograficznej, ale nawet dokładnej, pozbawionej błędów biografii. Praca Rzadkowskiej spotkała się z uznaniem szerokich rzesz czytelniczych i zainteresowaniem krytyki historycznej. W opracowaniu Rzadkowskiej ukazały się także pisma, listy, adresy, rozkazy, projekty i memoriały Langiewicza (1971). Pisma Langiewicza oraz przekazy źródłowe współczesnych osób są bardzo rozproszone i zdewastowane, a przez to fragmentaryczne. Dzięki wysiłkowi Rzadkowskiej stanowią dziś wymowne odbicie dzieciństwa Langiewicza,

studiów, działalności wojskowej i politycznej, poglądów, charakteru i umysłowości.

Profesor Helena Rzadkowska poruszała w swoich pracach problemy ważne i istotne dla zrozumienia skomplikowanych dziejów Polski w okresie Oświecenia i w dobie porzoborowej. Z reguły nie przyjmowała dotychczasowych ustaleń, lecz na podstawie starannie zebranych źródeł weryfikowała przyjęte sady, dając nowe, oryginalne interpretacje. Wiele ustaleń Rzadkowskiej weszło później w szerszy obieg naukowy, a jej prace pozostawiły trwałe ślad w polskiej historiografii.

Henryk W. Żaliński

Czesław Nowarski

Tadeusz Słowikowski i dydaktyka historii jego czasów

Pamięć o profesorze Tadeuszu Słowikowskim, współtwórcy powojennej dydaktyki historii w Polsce, trwa niezmiennie w umysłach i sercach wielu nauczycieli i pracowników nauki. Mimo upływu czasu można śmiało powiedzieć, iż swoją życzliwą postawą oraz profesjonalizmem wykuł on trwałe wzory w zakresie rozumienia i uprawiania tej dyscypliny teoretyczno-praktycznej

Do dzisiaj, choć od jego śmierci mija właśnie dziesięć lat, powracają przy różnych okazjach ciekawe epizody z udziałem profesora. Przywoływane są jego powiedzenia, żarty i ulubione anegdoty. Wplata się je w konteksty ówczesnych zajęć dydaktycznych, konferencji czy spotkań towarzyskich. W celach porównawczych cytowane są nieraz poglądy profesora odnośnie różnorodnych kwestii badawczych oraz edukacyjnych. Odślania się w nich nader aktualne inspiracje i wskazania, ułatwiające rozwiązywanie współczesnych problemów w dziedzinie nauczania — uczenia się historii.

Tadeusz Słowikowski przyszedł na świat 2 sierpnia 1907 r. w Opatkowicach k. Proszowic, w rodzinie

nauczycielskiej, od trzech pokoleń związanej z tym zawodem. Jego ojciec Bolesław był nauczycielem szkoły ludowej. Swoją ideowością sprawiał, że dom rodzinny Słowikowskich wypełniała atmosfera niepodległościowa i patriotyczna, przemożnie wpływając na mentalność, a także osobowość młodego Tadeusza. W przyszłości jej ślady spotykać będzie można w rozważaniach profesora o teleologii edukacji historycznej dzieci i młodzieży. Chociaż czasy, w których żył i tworzył, nie sprzyjały swobodnej i nieskrępowanej wymianie myśli dydaktyczno-wychowawczej to jednak udało mu się zachowywać umiar w operowaniu retoryką, charakterystyczną dla propagandy PRL-u. Trafnie uchwycił tę cechę Marian Ty-



Od lewej: Feliks Kiryk, Adam Przyboś, Tadeusz Słowikowski, Zbigniew Tabaka

rowicz, zauważając w swoich wspomnieniach, iż „Słowikowski umiejętnie przesłaniał dezycyderaty ideologiczne, nie pasujące swym propagandowym natręctwem do rozważań naukowych, kładzeniem nacisku na teoriopoznawcze, psychologiczne, praktyczno-szkolne i techniczne zagadnienia dydaktyki w terenie”.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na przedwojenne drogi życiowe profesora, które zapewne wydatnie wpłynęły na jego postawę i sposób myślenia w okresie PRL-u. Po ukończeniu gimnazjum w Miechowie (1926) przyjechał do Krakowa i tu odbył studia historyczne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, uzyskując w 1931 r. stopień magistra filozofii. Równolegle interesował się historią sztuki, czyniąc z niej drugą specjalność. Wielokrotnie później w rozmowach i wspomnieniach wracał do czasów studenckich. Uogólniając treść opisywanych przeżyć można śmiało skonstatować, iż nad wyraz pozytywne piętno wywarły na nim kontakty z plejadą czołowych wówczas historyków polskich: Ludwikiem Piotrowiczem, Władysławem Konopczyńskim, Wacławem Sobieskim, Stanisławem Kotem, Romanem Grodeckim, Władysławem Semkowiczem.

Bodaj największe uznanie profesora zyskał jednak Jan Dąbrowski – znakomity wówczas polski mediewista, łączący zainteresowania historią polityczną i organizacją nauki oraz nauczania szkolnego. Tadeusz Słowikowski był pod wrażeniem jego wykładów syntetycznych z dziejów Polski średniowiecznej. Doceniał sposób prezentacji stosunków polsko-węgierskich, polsko-francuskich czy polsko-włoskich, oparty z reguły na docieklivej analizie, polemice i surowej krytyce źródeł, zwłaszcza zagranicznych, dotyczących przeszłości naszego kraju. Z aprobatą podkreślał fakt, iż przez pewien czas Jan Dąbrowski był przewodniczącym Komisji Dydaktycznej PTH i autorem podręczników historii do szkół średnich. Łączył więc aktywność naukowo-badawczą z działalnością dydaktyczną na forum akademickim i w obszarze szkolnictwa średniego (pracował okresowo jako historyk gimnazjalny). To najwyraźniej imponowało naszemu profesorowi. Zapewne myślał o pójściu w jego ślady.

W 1932 r. zdał egzamin nauczycielski. Nie znalazł jednak odpowiedniej pracy w Krakowie rozpoczął praktykę jako szkolny historyk w I Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie. Po roku, złożony niezbędny egzamin państwowy, uprawniający do nauczania historii w szkołach średnich, przeniósł się do I Gimnazjum im. Jana Długosza w Nowym Sączu, gdzie uczył historii do 1939 r. W ten sposób gromadził pierwsze cenne doświadczenia dydaktyczne, które pobudzały w nim refleksję teoretyczną nad istotą poznania historycznego dzieci i młodzieży. Już wtedy dał się poznać jako nauczyciel poszukujący i refleksyjny. Zasłużył na uznanie władz szkolnych i nowosądeckiego środowiska lokalnego. Podjął też wtedy pierwsze próby pisarskie. Stopniowo stawał się autentycznym nauczycielem i wychowawcą. Był m.in. opiekunem Straży Przedniej i redaktorem odpowiedzialnym w czasopiśmie młodzieżowym „Zew Gór”. W 1936 r. objął stanowisko kierownika grupy metodycznej nauczycieli historii okręgu nowosądeckiego. Po trzech latach wybuchła II wojna światowa i życie T. Słowikowskiego uległo radykalnej zmianie. Opuścił Nowy Sącz i wrócił w rodzinne strony.

Podczas okupacji niemieckiej, przebywając u rodziców, brał udział w tajnym nauczaniu na terenie Proszowic i w okolicy. Oficjalnie pracował zaś jako sekretarz w Związku Plantatorów Tytoniu. Jak wiadać – uczestnicząc w działalności tajnych kompletów nie zrezygnował z pracy w umiłowanym zawodzie nauczycielskim. Wkrótce po wyzwoleniu Krakowa, jeszcze w styczniu 1945 r., powrócił do miasta swoich studiów i otrzymał etat nauczyciela historii w II Gimnazjum i Liceum im. św. Jacka. Po likwidacji tej szkoły przeniósł się do I Liceum im. B. Nowodworskiego, w którym uczył historii do 1955 r. Równocześnie kierował Wojewódzkim Ośrodkiem Metodycznym Nauki o Polsce i Świecie Współczesnym w Kuratorium krakowskim oraz przewodniczył pracy Sekcji Historii Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr Oświatowych w Krakowie.

Nietrudno zauważyć, iż młodego Tadeusza Słowikowskiego pociągała nie tylko praca pedagogiczna i organizacyjna. W czasie studiów ujawniał ambicje

badawcze, rozbudzane kontaktami naukowymi z doborową kadrą uniwersyteckich profesorów, szczególnie ze wspomnianym już Janem Dąbrowskim. Był on promotorem jego pracy magisterskiej. Nic więc dziwnego, że po wojnie odnowił z nim współpracę naukową. Jej efektem była dobrze wykonana praca doktorska pt. *Zbigniew Oleśnicki wobec elekcji Kazimierza Jagiellończyka*, obroniona w 1947 r. W roli recenzenta wystąpił Kazimierz Piwarski.

Kolejne lata przyniosły jednak zmianę zainteresowań naukowych Tadeusza Słowikowskiego. Zaczął stopniowo odchodzić od mediewistyki, koronnej dziedziny swego promotora. Na pierwsze zaś miejsce wyprowadzał badania historyczno-dydaktyczne, najwyraźniej preferując dziedzinę dydaktyki historii. Tłumaczy się to faktem długoletniej praktyki szkolnej profesora, a także coraz bardziej niekorzystną sytuacją w nauce historycznej, przeżywającej od końca lat 40. do połowy 50. napór stalinizmu z osławionym „szturmem ideologicznym” na czele. Bez wątpienia od schyłku lat 40. aż do końca swego życia uprawiał on szeroko rozumianą dydaktykę historii, która znajdowała się w centrum jego naukowych studiów i badań źródłowych. To z jej powodu stał się postacią popularną w środowisku nauczycielskim i pedagogicznym.

Korzystną okolicznością sprzyjającą realizacji nowych zadań badawczych był fakt zatrudnienia Tadeusza Słowikowskiego w szkolnictwie wyższym. Początkowo (1949) wygłaszał on wykłady i prowadził ćwiczenia z zakresu nauki o Polsce i świecie współczesnym na UJ oraz na Politechnice Krakowskiej. Po dwóch latach (1951) podjął pracę w niedawno utworzonej Wyższej Szkole Pedagogicznej, z którą związał się do końca swojego pracowitego życia. Zaczął tu od stanowiska wykładowcy dydaktyki historii (analogiczne obowiązki realizował w formie zajęć zleconych na UJ do 1965 r.). Następnie był zastępcą profesora, potem został docentem (1960), zaś po dziewięciu latach uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego (1969).

Uważa się T. Słowikowskiego za dydaktyka historii i historyka oświaty, współtwórcę polskiej teorii edukacji historycznej, wybitnego nauczyciela akade-

Wspomnienie

Profesora Tadeusza Słowikowskiego poznałem w połowie lat sześćdziesiątych, z lektury jego publikacji. Respekt budziła jego erudycja i bardzo komunikatywny sposób prezentacji złożonych problemów dydaktyki historii. W mojej wyobraźni jawił się jako człowiek surowy i mało wyrozumiały dla początkujących dydaktyków.

Jak grom z jasnego nieba spadła na mnie decyzja promotorki mojej pracy doktorskiej, doc. Adeli Bornholtzowej, że profesor Słowikowski będzie jednym z recenzentów. Protesty rozbałyły tylko moją mistrzynię. Powiedziała: „Tadzia nie musi się pan obawiać. On nie skrzywdziłby nawet muchy, a co dopiero człowieka”. W końcowym etapie pracy nad doktoratem wybrałem się do Krakowa na konsultacje do przyszłego recenzenta. Przyjął mnie życzliwie, serdecznie, jak starego znajomego. Wszystkie moje obawy i uprzedzenia przysnęły, jak bańka mydlana. Z uwagą i przejęciem słuchałem opinii i rad, zerkając ukradkiem na piękne zbiory porcelany, z których profesor był dumny.

Podbudowany życzliwymi słowami, że rozprawa zapowiada się jako interesująca, postanowiłem zrewanżować się nie mniej miłymi słowami. Przypomniałem sobie charakterystykę profesora wygłoszoną przez zaprzyjaźnioną z nim moją mistrzynię, oszczędną w komplementowaniu ludzi nauki. W pewnej chwili stwierdziłem przymilnie: „Pani profesor Bornholtzowa mówiła, że Pan jest złotousty”. Profesor Słowikowski zareagował na te słowa uśmiechem. W kącikach jego ust dostrzegłem na zębach złote koronki. Dwuznaczność mego komplementu przeraziła mnie. Przecież chciałem powiedzieć, że słyszałem o profesorze, jako o cenionym przez studentów wykładowcy. Wyszło jednak na to, że oceniałem... użębienie mojego rozmówcy. Po plecach przeszły mi dreszcze. Ta stomatologiczna wypowiedź może odbić się na końcowym etapie mojego doktoratu — pomyślałem. Nie było jednak tak źle.

Jerzy Centkowski

mickiego. Trzykrotnie wydawany przezeń podręcznik *Metodyka nauczania historii. Podręcznik dla studium nauczycielskiego* (1967) (zmiana tytułu w kolejnych wydaniach (1972, 1975) polegała na usunięciu członu *podręcznik dla studium nauczycielskiego*) symbolizuje dorobek dydaktyczno-historyczny profesora oraz wskazuje kierunek ówczesnego rozumienia oraz rozwijania dydaktyki historii, która wciąż walczyła o rację bytu jako dyscyplina akademicka. W tym miejscu trzeba koniecznie wspomnieć o utrzymujących się przez dziesięciolecia po 1945 r. rozbieżnościach w nazewnictwie, artykułowanych zamiennym używaniem terminów: „metodyka nauczania historii” i „dydaktyka historii”. Dzieje wzmiankowanego podziału, a zarazem długotrwałe kontrowersje z tym związane wyczerpująco omawia Jerzy Maternicki w pierwszej części podręcznika *Dydaktyka historii* (współautorzy: Cz. Majorek, A. Suchoński; 1993, 1994). Termin „dydaktyka historii” funkcjonował w polskiej literaturze dydaktyczno-historycznej już na początku II Rzeczypospolitej. Jednakże w latach 50. i 60. zaczął być rugowany przez zwrot „metodyka nauczania historii”. Była to bez wątpienia konsekwencja naśladownictwa terminologii obowiązującej wówczas w Związku Radzieckim. Jednocześnie rozpowszechniała się nieuprawniona dowolność w interpretowaniu tej dziedziny wiedzy i umiejętności pedagogicznych. Aby powstrzymać chaos terminologiczny w niej obecny zaczęto podejmować próby ujednolicenia językowego. Dlatego w kolejnych dziesięcioleciach uwidocznił się powolny powrót do nazwy „dydaktyka historii”.

Bilansując i oceniając powojenny dorobek polskiej dydaktyki historii Jerzy Maternicki zauważył, iż w pierwszych dziesięcioleciach PRL była ona „umiejętnością fachową”, powielającą praktyczne doświadczenia wyróżniających się nauczycieli i wytyczającą określone normy postępowania w procesie szkolnego przekazywania uczniom wiedzy historycznej. W początkowym etapie jej rozwoju, trwającym do połowy lat 50., charakteryzowała się nadmiernym schematyzmem i praktycyzmem z dominującą tzw. wymianą doświadczeń. Wyraźnie wówczas obniżył się poziom refleksji historyczno-dydaktycz-

nej, która często przybierała postać płytkiego komentarza ideologicznego, związanego z aktualnie wprowadzanymi programami i podręcznikami. Na marginesie spychane były sprawy ściśle dydaktyczne, dotyczące możliwości percepcyjnych ucznia i rozwoju jego zdolności poznawczych. Z kolei w II połowie lat 50. pojawiło się dążenie do porzucania tradycyjnej metodyki przepisów i wskazówek, hamujących twórczość i inicjatywę nauczycieli historii. Natomiast w latach 60. do pilnych zadań dydaktyki historii zaliczono m.in. rozstrzyganie problemu doboru materiału nauczania. Stawiano takie pytania, jak np.: „czego uczyć”, „jak kierować procesem poznawania przeszłości przez ucznia”, „po co uczyć historii”, „kto ma to czynić”. Poszukując rozwiązań cytowanych problemów zaczęto przekształcać tę dyscyplinę w teorię nauczania. W centrum jej zainteresowań badawczych znalazły się takie kwestie, jak: przedmiot poznania ucznia, organizacja i metody pracy nauczyciela i uczniów, efektywność metod nauczania historii oraz zasady stosowania środków dydaktycznych.

Wzmiankowany wcześniej podręcznik T. Słowikowskiego podjął większość z podanych wyżej zagadnień. Stanowił on istotny wkład w rozwój teorii nauczania historii w Polsce i przez wiele lat służył studentom oraz nauczycielom tego przedmiotu. Autor nie ograniczał się w nim do powielania praktyki nauczania, lecz dążył do uogólnień i nasycenia teorią dydaktyczną tego, co sam doświadczył i odkrył w przeszłości, a także co zaobserwował lub zbadał empirycznie. Używając terminu „metodyka nauczania historii” twierdził, że jest ona nauką pedagogiczną, zaś jej podstawy metodologiczne mają umocowanie w metodologii historii, psychologii rozwojowej, dydaktyce ogólnej oraz teorii poznania. Powinna się zajmować badaniem procesu poznawczego ucznia, ustalaniem jego prawidłowości przez obserwację, wywiady, pomiary socjologiczne, eksperymenty pedagogiczne i zbieranie doświadczeń nauczycieli, a następnie ich uogólnianie.

Podręcznik T. Słowikowskiego składa się z rozdziałów poświęconych historii jako przedmiotowi nauczania w szkole, metodom wprowadzania nowe-

go materiału historycznego, metodom utrwalania wiadomości historycznych i ich kontroli, formom organizacyjnym nauczania historii, środkom metodycznym oraz nauczycielowi i jego warsztatowi pracy. Autor, idąc śladami A. Bornholtzowej, postawił cztery zasadnicze pytania, na które dydaktyka historii jego czasów zaczęła szukać odpowiedzi – czego uczymy, kogo uczymy, kto może uczyć i jak należy uczyć. Wychodzą więc naprzeciw wyżej podniesionym sprawom, nurtującym ówczesne gremia dydaktyków i nauczycieli historii. W podręczniku, napisanym komunikatywnym językiem, czytelnik bez trudu odnajdzie też liczne przykłady porad praktycznych, świadczących o nauczycielskich doświadczeniach autora, wyniesionych z kilkuletniej pracy w szkołach średnich na terenie Częstochowy, Nowego Sącza i Krakowa. Na tej podstawie wysunięty został wniosek, iż autor położył duży nacisk na praktyczne, niejako „usługowe” funkcje dydaktyki przedmiotowej, upatrując w doświadczeniach nauczycieli jedno z głównych źródeł wiedzy dydaktyczno-historycznej.

Bibliografia prac Tadeusza Słowikowskiego przekroczyła liczbę 170 pozycji. Wśród nich znajdują się publikacje dotyczące zarówno problematyki nauczania-uczenia się historii, szerszej refleksji dydaktycznej, jak też dziejów edukacji historycznej. Autor starał się dowodzić, iż metodyka nauczania historii jest swoistym przedłużeniem dydaktyki ogólnej, natomiast dydaktyka historii to nauka o historycznej świadomości. W swoich pracach popularyzował nie tylko dorobek powojennej teorii dydaktycznej, ale także upowszechniał własne, bogate doświadczenia nauczycielskie zdobyte w szkołach i podczas licznych kontaktów instruktażowo-metodycznych z nauczycielami.

Dydaktyce historii czasów Tadeusza Słowikowskiego zarzucano niekiedy, iż do swoich węzłowych zagadnień zaliczyła m.in. drobiazgową nieraz anali-

zę metod nauczania i środków dydaktycznych, stosowanych przez nauczyciela. O wiele mniejsze znaczenie przykładała zaś do przekazywania informacji na temat celów oraz form organizacyjnych nauczania tego przedmiotu. Także treści kształcenia historycznego nie budziły u jej przedstawicieli większego zainteresowania. Z badań Czesława Majorka wynikało, iż w obszernym, 351 stron druku liczącym, podręczniku Czesława Szybki (*Metodyka nauczania historii w szkole średniej* 1966) temu istotnemu problemowi zostało poświęconych zaledwie 19 stron, czyli 5,4% objętości tekstu. Jeszcze skromniejsze rozważania na ten temat odkrył on w omawianym wyżej podręczniku T. Słowikowskiego. Na ogólną liczbę 196 stron książki analiza treści nauczania historii zajmuje w nim zaledwie 9 stron, co stanowi 4,5% całości. Tak więc autorzy dwóch podręczników metodycznych z lat 60. ograniczyli się tylko do ogólnej prezentacji materiału historycznego, nie analizując dokładnie jego konstrukcji i wartościowania pod kątem wychowawczych i kształcących zadań przedmiotu.

Cechą wspólną ówczesnych koncepcji dydaktyki (metodyki nauczania) historii było kojarzenie jej wyłącznie z edukacją szkolną na tym polu. Zawężanie przedmiotu i zadań omawianej dyscypliny nie wytrzymało jednak próby czasu. Stopniowo rosły jej cele, zadania oraz perspektywy badawcze. Obecnie uważa się ją za naukę o mechanizmach edukacji historycznej społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży, zarówno współcześnie, jak i w przeszłości. Ma się ona zajmować złożonymi procesami przenikania wiedzy historycznej do społeczeństwa, kształtowaniem się jego świadomości i kultury historycznej, działalnością edukacyjną w tym zakresie różnych instytucji, np. rodziny, kościołów, organizacji politycznych i społecznych, mediów, ze szczególnym uwzględnieniem szkoły.

Czesław Nowarski

Feliks Kiryk

Mediewistyczne badania Józefa Garbacika

Józef Garbacik należał do pokolenia synów chłopskich, którzy dzięki zdolnościom, pracowitości i sile charakteru podjęli i ukończyli w okresie międzywojennym studia wyższe. Wywodził się z Dobrucowej k. Tarnowca w Jasielskiem, z rodziny kowala wiejskiego, w której zadbano o wykształcenie wyższe także jego brata, mianowicie Eugeniusza Garbacika, profesora Akademii Ekonomicznej, a także innych, którzy ukończyli seminaria duchowne i seminaria nauczycielskie



Józef Garbacik z synem

Józef Garbacik studiował historię na UJ, pod kierunkiem wybitnego historyka – mediewisty, Jana Dąbrowskiego, który zainteresowania ucznia skierował na stosunki polsko-włoskie w XV stuleciu i po odbytej przezeń w 1931 r. podróży naukowej do Włoch, doprowadził go rychło do doktoratu (1932). Problematyce tej pozostał Józef Garbacik wierny także później, odbywając dalsze podróże naukowe do Italii (Rzym, Mantua, Modena, Parma, Wenecja), ale praca nauczycielska w Kielcach i niewystarczające zasoby finansowe osłabiły tempo jego rozwoju naukowego.

Przeżycia wojenne podczas kampanii wrześniowej w 1939 r., a później ciężkie lata okupacji, które spędził z rodziną w Dobrucowej jako urzędnik gminny w Tarnowcu, odbiły się negatywnie na jego zdrowiu. Powrócił jednak po wojnie do Krakowa i do swoich zainteresowań naukowych. Wyjazd do Włoch, gdzie skorzystał ze stosunków prof. Stanisława Kota, wówczas ambasadora RP w Rzymie, umożliwił mu zebranie materiałów źródłowych do rozprawy habilitacyjnej, którą poświęcił Filipowi Kallimachowi, jako dyplomacie i politykowi, i w oparciu o którą odbył na UJ (1948) kolokwium habilitacyjne. Wszystko zdawało się układać obiecująco. A jed-

nak Józef Garbacik nie wykorzystał w pełni swoich niemałych możliwości naukowych i zebranego z trudem i wysiłkiem materiału źródłowego. Przypisać to należy niewątpliwie nadmiarowi zadań organizacyjnych, których się podjął po habilitacji, oraz zasygnalizowanemu już słabemu zdrowiu. Znający go bliżej zgodzą się zapewne z opinią, że był świadomy faktu, iż napisał niewiele, mimo że na wiele go było stać. Z upływem lat odczuwał coraz mocniej ubytek sił fizycznych, wskutek czego narastała w nim gorycz swego rodzaju niemocy i oddalającego się spełnienia naukowego. Na początku lat sześćdziesiątych odbył kilkumiesięczną podróż archiwalną do Zagrzebia, skąd przywiózł interesujące materiały do dziejów dyplomacji polskiej przełomu XV i XVI w. i opublikował w postaci tzw. Kodeksu zagrzebskiego (1966), co oznaczało, że ciągnęło go do pracy badawczej, a także to, iż i w wydawaniu źródeł miał także wiele do powiedzenia. W sumie pozostawił po sobie niewielki, chociaż wartościowy dorobek naukowy.

O wiele więcej profesor zdziałał na niwie organizacji nauki. W jego dorobku na tym polu pozostaje organizacja Wydziału Humanistycznego na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, gdzie

wspominają go ciepło do dzisiaj, następnie organizacja kierunku historii w Wyższej Szkole Pedagogicznej (dzisiaj Akademii Pedagogicznej) w Krakowie, kilkuletnie redagowanie „Wiadomości Historycznych” oraz „Małopolskich Studiów Historycznych”, a także redakcje monografii o Jasle i powiecie jasielskim oraz o Krośnie i powiecie krośnieńskim. Potrafił bowiem skupiać wokół redagowanych przez siebie pism i monografii autorów różnych specjalności i wydobyć od nich prace cząstkowe na wysokim poziomie naukowym. Umiał prowadzić inspirująco zebrania naukowe, był mistrzem w redagowaniu pism urzędowych, które odznaczały się zwięzłością i precyzją. W rozstrzyganiu spraw międzyludzkich wykazywał wielki zmysł dyplomacji. Wielu widziało w nim zaangażowanego działacza partyjnego, czemu dano szczególnie mocny wyraz w mowach pogrzebowych 2 czerwca 1976 r. nad zwłokami profesora na Cmentarzu Rakowickim. To prawda, że był członkiem partii, ale prawdą pozostaje też, iż nigdy owej przynależności do PZPR nie wykorzystywał dla siebie, ani nie wymagał od swoich uczniów, aby zasilali szeregi partyjne; nie prowadził z nimi rozmów o charakterze ideologicznym i nie usiłował kształtować ich postaw politycznych. Ogląd rzeczywistości politycznej przezeń był zawsze realistyczny, potrafił oceniać krytycznie sytuację gospodarczą kraju i miejsce w nim nauki, czy też dostrzegać przejawy demagogii w polityce i kulturze. Nie narzucał nikomu własnego zdania, wobec szerszego otoczenia osób był zawsze uprzejmy i elegancki. Dzisiaj mało kto pamięta, że podawał rękę wielu ludziom, pozostającym w sytuacji trudnej, pomagał nawet tym, którym z racji politycznych groziło zwolnienie z pracy.

Nie fascynował słuchaczy wykładami. Mówił cicho, monotonna, nie wyczerpując tematu. Czas wypełniał kojarzonymi naprędce impresjami, nierzadko dowcipnymi, zwłaszcza gdy chodziło o prace różnych autorów, odnoszących się do poruszanego problemu. Często przerywał wykład z powodu osłabienia. Po kilku zawałach dolegliwości sercowe nękały go stale. Wówczas prosił kogoś z asystentów o kontynuowanie swoich wywodów. Był to obowiązek ciężki i stresujący, wymagał stale napiętej uwagi

i śledzenia toku wypowiedzi profesora. Poznałem go, gdy miał 44 lata, ale już wtedy uchodził za człowieka schorowanego, skłonnego do ciągłej zmiany nastroju. Bywało, że gdy się czuł dobrze, był człowiekiem uroczym o błyskotliwym dowcipie z domieszką nieszkodliwej ironii; gdy się czuł gorzej, bywał niesprawiedliwy i ciężki dla otoczenia. Seminaria prowadził ciekawie i życzliwie dla uczestników. Tu ujawniał swoje duże odczytanie i niewątpliwy zmysł krytyczny. Miał też zawsze czas dla studenta, interesując się bardziej stroną narracyjną niż warsztatową wykonywanych prac dyplomowych czy magisterskich. Czy należał do nauczycieli lubianych? Myślę, że w stosunku do profesora odczuwało się więcej respektu, niż sympatii. Tych, których doprowadził do doktoratu miał niewielu, w związku z tym i zastęp jego uczniów, którzy zajęli się pracą naukową, jest skromny. Wszyscy pamiętają mu jednak, że była to droga wyboista i ciężka.

Kierunek historyczny na Akademii Pedagogicznej jemu zawdzięcza swój początek i dalszy rozwój. Kiedy go organizował w 1949 r. był to kierunek bez własnej kadry, oparty o profesorów UJ; kiedy go opuszczał w 1964 r. studia historyczne prowadziło tu ponad 30, skupionych w trzech katedrach pracowników naukowych, w tym 5 profesorów i 2 docentów. Dzisiaj, kiedy zbliżamy się do 50-lecia Instytutu Historii, któremu początek dało powołanie w 1953 r. katedr historii powszechnej i historii Polski, zasługi profesora Józefa Garbacika stają się bardziej wyraziste. Ugruntowana w kraju przez jego uczniów i współpracowników pozycja naukowa Instytutu Historii, jest w dużym stopniu częścią jego dorobku, ważniejszą, niż pozycje książkowe, a może nawet ważniejszą, niż liczniejszy zastęp uczniów. Dzisiaj jest człowiekiem zapomnianym. Mało pamięta o nim jego uczelnia macierzysta, w której pracował do śmierci, zacierają się o nim pamięć w uczelni drugiej, której był w Krakowie współtwórcą. Istnieje wiele powodów, aby przypomnieć Józefa Garbacika. Dorobek jego naukowego życia jest bowiem ciągle odczuwalny i zasługujący na szacunek.

Feliks Kiryk

Adam Przyboś w oczach najmłodszego wychowanka

Środowisko naukowe przywykło identyfikować kolejne pokolenia badaczy ze szkołami tworzonymi w poszczególnych dyscyplinach przez wielkie indywidualności. Do utożsamiania młodego adepta z mistrzem skłonni są zwłaszcza historycy, dla których nazwisko „promotora” stanowi pierwszą ważną informację, swego rodzaju kierunkowskaz na drodze wytyczonej w nauce. Trawestując słowa Louisa Pasteura można powiedzieć, że choć nauka nie ma ojczyzny, uczony ją posiada. Chce tego, czy nie, w swój życiorys wpisuje nazwisko mistrza (mistrzów) w drodze do „samodzielności badawczej”. Świadomość „korzeni naukowych” towarzyszy mu zazwyczaj do końca życia i szczęśliwy jest, jeśli nie musi wyjaśniać, kim był jego Nauczyciel

Moim pierwszym mistrzem był profesor Adam Przyboś (1906–1990), uczony o wielkim dorobku naukowym, trwale wpisany w pierwsze ćwierćwiecze kształcenia historycznego w krakowskiej

Wyższej Szkole Pedagogicznej. Wytrawny badacz, znakomicie przygotowany warsztatowo do pracy źródłowej, godził początkowo (do 1964) działalność dydaktyczną z etatem w Instytucie Historii PAN w Warszawie, kierując w Krakowie Pracownią Bibliografii Historii Polski. Trwale związał się z WSP, gdzie w latach 1962–1972 pełnił obowiązki prorektora ds. nauczania, kierował Katedrą Historii Powszechnej (1963–1971), a po reorganizacji Zakładem Historii Starożytnej i Średniowiecznej (1971–1977), był też dyrektorem Instytutu Historii (1974–1977). Obowiązki administracyjne nie przeszkadzały mu zbytnio – jak się zdaje – w pracy badawczej, bo w tym czasie znacząco powiększył swój dorobek naukowy. Imponująco przedstawia się też liczba wypromowanych przez profesora magistrów (510), choć doktorów było już znacznie mniej (5), a w dodatku żaden z nich nie zapuścił na trwale korzeni w macierzystym Instytucie i nie kontynuuje jego badań. Jednym z nich jest prof. Józef Półciwiarzek, twórca Instytutu Historii WSP w Rzeszowie (obecnie Uniwersytet Rzeszowski).

W środowisku naukowym Adama Przybosia uważano za historyka dziejów politycznych i społecznych Polski nowożytnej, biografistę, a przede wszystkim wydawcę źródeł. Wśród badaczy epoki miał swoje niekwestionowane, wysokie miejsce.



Adam Przyboś

Osobiście z profesorem zetknąłem się w ostatnich latach jego etatowej pracy w Instytucie, razem zamknęliśmy ważne etapy w naszym życiu: ja ukończyłem studia, profesor odszedł na emeryturę. Przygotowywałem pracę magisterską na ostatnim prowadzonym przez niego seminarium. Należę więc do grona ostatnich jego uczniów (tych otwierających drugą połowę tysiąca!) i bez wątpienia jestem ostatnim, któremu zaproponował pozostanie na asystenturze w Instytucie Historii i którego zatrudniał jako dyrektor. Waży to na moim losie do dziś, chociaż nie dane było mi dalej terminować w nauce pod okiem pierwszego mistrza. Młody stażysta nie bardzo rozumiał wówczas powody, dla których z chwilą przejścia profesora na emeryturę nagle ustały wszelkie jego kontakty z Instytutem, mimo iż nie zaprzestał on intensywnej pracy badawczej. Potem widywałem profesora już tylko w niedzielne przedpołudnia, gdy przez ul. Sławkowską zdążał do kościoła Mariackiego. Wydawało mi się, że odpowiadał na mój ukłon z wyraźną sympatią... Tekst ten nie jest kolejnym biogramem Adama Przybosia, ale wspomnieniem o Profesorze-mistrzu, przywołanym po latach przez ostatniego z uczniów, bo za takiego cały czas się uważam.

Adama Przybosia poznałem na drugim roku studiów i to w dość nietypowej sytuacji: miałem przedstawić się dyrektorowi Instytutu jako nowy przewodniczący Studenckiego Koła Naukowego Historyków. Nie znaczy to, że pierwszy raz widziałem wówczas profesora, bo w Instytucie od lat był zwyczaj prezentowania kadry naukowej studentom pierwszego roku zaraz po inauguracji roku akademickiego, ale emocje towarzyszące wejściu w mury uczelni, gdzie wszystko było nowe, nieznane, nie pozwalały zapamiętać ani twarzy, ani nazwisk. No, może nazwisko „Przybos” akurat zapamiętywano, kojarząc je – nie przypadkowo, ale o tym dowiedzieliśmy się później – z poetą, którego wiersze poznawaliśmy w szkole średniej. Tym niemniej, w najbliższych tygodniach utrwały nam się inne nazwiska, przede wszystkim Skowronka, Mateszewa..., co wiązało się z prowadzonymi przez nich na I roku zajęciami.

Dyrektor był... po prostu dyrektorem, a jako historyk pozostawał dla nas na razie anonimowy. Jedno było pewne: wzbudzał respekt. Niezbyt często widywaliśmy go na korytarzu, ale jak już się pojawiał milkły rozmowy, atmosfera jakby gęstniała... Nie miał zwyczaju przemycania pod ścianą, ale siedł po woli, wręcz dostojnie, środkiem korytarza, uważnie przyglądając się studentom. Miał w sobie coś z przedwojennego belfra, jakby z innej epoki. Nie kokietował studentów, nie uśmiechał się: siedł jakby na przegład, kontrolę jednostki, którą zarządzał.

A widział wiele... Stawał nad porzuconym papierkiem i pytał studenta, czy mu coś nie upadło... Oczywiście nikt z nas się nie zastanawiał, „komu upadło”, ale czym prędzej podnosił! Wobec studentów zachowywał wyraźny dystans, co nikogo nie dziwiło: przecież to profesor (a nie było ich wówczas zbyt wielu) i dyrektor – tłumaczyliśmy sobie. Zasady hierarchii ważności w środowisku akademickim, owej specyficznej „drabiny feudalnej” zrozumieliśmy po kilku miesiącach, jeszcze przed zdaniem pierwszego egzaminu. Odrobiny partnerstwa oczekiwaliśmy zatem od asystentów, wyobrażając sobie, że dopiero oni mogą być partnerami dla profesorów. Czy także dla profesora Przybosia? Przekonałem się o tym właśnie podczas owej pierwszej wizyty w gabinecie dyrektorskim, złożonej w obecności ówczesnego opiekuna koła. Przyjęci zostaliśmy na stojąco, rozmowa była krótka, ale bardzo konkretna, a skutek tej wizyty odczułem już po kilku dniach, kiedy ku osłupieniu kolegów przechodzący przez korytarz dyrektor zatrzymał się przy mnie, wyciągnął rękę... do powitania! Zdaje się, że wszyscy zdążyliśmy wcześniej spojrzeć pod nogi, szukając przysłowiowego papierka. Takim powitaniem byłem od tam zaszczycany systematycznie, a przy okazji i pytaniem o Koło Historyków.

Być może było to pytanie zdawkowe, ale dające studentowi odczuć, że to, co robi, kogoś interesuje. Nie wiedziałem wówczas, że w końcu lat dwudziestych XX wieku wiceprezesem Koła Historyków na UJ był... Adam Przybos! Wkrótce przekonałem się, że dyrektor aktywność naukową studentów traktuje ze śmiertelną powagą i co więcej, pamięta konkretne

osiągnięcia. Nie wyobrażano sobie corocznego sprawozdawczego zebrania Koła bez udziału dyrektora. Tego zaproszenia wymagał, ale też można było być pewnym jego obecności. Myślę, że doskonale zdawali sobie z tego sprawę inni pracownicy Instytutu, licznie pojawiając się przy takich okazjach na studenckich spotkaniach. Nie ulega wątpliwości, że profesor dodawał powagi owym zebraniom, mimo że nie ingerował w ich tok, często nawet się nie odzywał.

Studentom nie były znane relacje pomiędzy pracownikami i dyrektorem w Instytucie, ale przypadkowe nawet obserwacje wskazywały, iż pozostawały one bardzo oficjalne, by nie powiedzieć – służbowe. Zebrania Instytutu, w których sporadycznie uczestniczyłem jako przewodniczący Koła, pokazywały także różnice zdań i sposób wychodzenia przez dyrektora z kłopotliwych sytuacji, w jakich stawały go czasem pytania ówczesnego docenta Feliksa Kiryka. W trakcie zebrania po prostu je pomijał, nie pozwalał na wywołanie dyskusji niezgodnej z porządkiem obrad i kiedy wydawało się, że powtórzone kolejny raz w wolnych wnioskach zmuszą go do zajęcia stanowiska, Adam Przyboś... kończył zebranie!

Dyrektor Przyboś organizacyjnie panował nad Instytutem, podobnie jak profesor Przyboś panował nad swoim warsztatem naukowym, a autor Przyboś nad tekstem, który pisał... W swoim życiu zawodowym był doskonale zorganizowany, wręcz pedantyczny, co – zdaje się – nie przysparzało mu przyjaciół. Rzadko się uśmiechał; skłonny do moralizowania, oceniał otoczenie przez pryzmat przestrzeganych przez siebie zasad. Można przypuszczać, że w jego „świecie” nie było zbyt wiele miejsca na ryzyko, improwizację... Za bardzo cenił porządek, ustalony rytm dnia wolny od niespodzianek... Miał w sobie coś z byłego prezydenta Krakowa, Józefa Friedleina, przy którego ulicy mieszkał. Obydwaj poruszali się po mieście pieszo: Friedlein – jak dobry gospodarz – obchodził codziennie swój „mały Kraków”, a Przyboś – po odbyciu obowiązkowej marszruty na ul. Podchorążych – lustrował od rana swój „mały Instytut”, jeszcze przed pojawieniem się innych pracowników.

Wstawał wcześniej, lubił pracować rano, wiedział o podobnych upodobaniach innych historyków. Pokazywał mi kiedyś swoją domową bibliotekę (u profesora studenci bywali niezmiernie rzadko, by nie powiedzieć wyjątkowo), maszynę do pisania i... telefon, z którego – jak sam powiedział – korzysta czasem już przed godz. 6 rano, wymieniając uwagi z innym miłośnikiem porannego wstawania! Nie przypominam sobie za to późnego, wieczornego wyjścia profesora z jakiegokolwiek spotkania ze studentami. Nawet z corocznego Balu Historyka był odwożony wkrótce po zakończeniu prowadzonego przez niego obowiązkowego poloneza.

Był punktualny aż do przesady. Wykład rozpoczynał co do minuty, nie znosił spóźnień. Już po pierwszych zajęciach studenci wiedzieli, że do sali nie wchodzi się po profesorze. Nasze seminarium magisterskie prowadził od godz. 8.00, ale już 10 min. wcześniej byliśmy proszeni przez sekretarkę do jego gabinetu, w milczeniu zajmowaliśmy miejsca. Był to swego rodzaju rytuał: profesor pogrążony w pracy, jakby nas nie zauważał. Punktualnie o godz. 8.00 składał papiery i nas witał. Spóźnienie zdarzyło się jednemu z kolegów tylko raz: 2 min. po czasie zaawizował się przez sekretarkę. Jeszcze stojąc w drzwiach dowiedział się, że jego „pociąg już odszedł!” Profesor mówił to ze śmiertelną powagą, pokazując przy tym na zegarek. Więcej nikt się nie spóźnił.

Seminarzyści profesora nie byli specjalnie wyróżniani. Prawa mieli takie same jak inni, obowiązków więcej. Każdy z nas referował efekty swojej pracy z ostatniego tygodnia, a profesor skrupulatnie to odnotowywał. Tak prowadzona szczegółowa dokumentacja uniemożliwiała przenoszenie owych „efektów” na dalsze tygodnie! Element prywatności pojawiał się jedynie na początku seminarium, kiedy to – zgodnie z ustalonymi wcześniej zasadami – informowaliśmy o ważniejszych wydarzeniach w naszym życiu. To także było zapisywane, bo każdy z nas miał mieć swoje miejsce w pamiętniku profesora! Czekaliśmy potem na wydanie owych pamiętników, niektórzy czekają nadal, wierząc, że znajdują się tam także opinie o nas, ówczesnych studentach. Zwyczajowo każdy z nas wysyłał profesorowi kartkę z po-

zdrowieniami z wakacji, a adresat zawsze pamiętał o podziękowaniu za pamięć przy pierwszym spotkaniu! Dziwiło nas, że bezbłędnie identyfikował, nawet po kilku miesiącach, miejsca naszego pobytu.

Samo seminarium nie było prowadzone w szczególnie atrakcyjny sposób, ale dopiero po latach doceniłem dbałość profesora o szczegóły warsztatowe. W tym względzie był perfekcyjny: żadnej dowolności w zapisie bibliograficznym, w posługiwaniu się przypisami. Wszystko według przedwojennej szkoły, jak sam powtarzał: Kutrzeby i Konopczyńskiego. Nie miał nawyku nadmiernego ułatwiania nam pracy, pomagania w redagowaniu tekstu, ale chętnie odsyłał na konsultacje, zwłaszcza do historyków literatury, jako że w realizowanych tematach musieliśmy wykorzystywać literaturę pamiętnikarską, powieść historyczną, itp. Wymagał nie tylko faktograficznego wykorzystania tych źródeł, ale też omówienia ich wartości literackiej, językowej, do czego na ogół nie byliśmy przygotowani. W poważniejszych sprawach kierował nas do prof. Wincentego Danki, a po jego śmierci głównie do doc. Jopka, którego cenił za błyskotliwość („doc. Jopek zna się na wszystkim” — mawiał). Na pierwsze seminaria zapraszał studentów starszych lat, finalizujących już pod jego kierunkiem swoje prace magisterskie. W taki sposób poznaliśmy np. Zdzisława Budzyńskiego, obecnego profesora Uniwersytetu Rzeszowskiego. Prawie każde seminarium kończyło się głośną lekturą: Adam Przybóś czytał teksty nad którymi aktualnie pracował. Naszym udziałem był głównie

wydawany przez profesora (wspólnie z R. Żelewskim) w oryginale Albrychta Stanisława Radziwiłła *Memoriale rerum gestarum in Polonia 1632–1650* (t. 1–5, Wrocław 1968–1975), a wówczas tłumaczony na język polski (t. 1–3, Warszawa 1980).

Małą ojczyzną Adama Przybósia był chyba cały czas jego rodzinny Rzeszów, miasto młodości, w którym spędził też lata II wojny światowej. Nieśmiało pytany przez studentów mówił o przedwojennym Tarnopolu, gdzie organizował Podolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, gdzie wydał swą pierwszą książkę z doktoratu (*Konfederacja połabska*, 1936). Nie przypominam sobie, by mówił o swojej pracy w szkołach średnich Krakowa, Rzeszowa i Tarnopola, ale wszyscy wiedzieliśmy, że podobnie jak inni zaczynał swą karierę po doktoracie (1930) i zdaniu dyplomowego egzaminu nauczycielskiego (1931) od szkolnictwa średniego. Imponowało nam jego przygotowanie językowe (był także romanista), ciekawił niewielki epizod z jego życiorysu: nauczyciel prywatny. Pojęcie tak abstrakcyjne w rzeczywistości, w której sami się kształciliśmy, że musiało wzbudzać zainteresowanie. Był to dom hr. Michała Baworowskiego we Lwowie, a o ile sobie przypominam profesor ze smutkiem powiedział, że ten jego wychowanek był potem lotnikiem w Anglii i zginął zestrzelony nad Warszawą w 1944 r.

O polityce z profesorem się nie rozmawiało, nie były nam znane jego poglądy, z którymi raczej się nie obnosił. Wyczuwaliśmy natomiast niezbyt przychylnie nastawienie do Niemców. Zwykł powtarzać:



Marian Tyrowicz i Adam Przybóś

„jak świat światem Niemiec Polakowi nie będzie bra-tem”. Ślady wojny? Wojna niewątpliwie wpłynęła na jego życie zawodowe, uniemożliwiając mu zapuszczenie korzeni w Tarnopolu. Po wojnie, nie mogąc tam wrócić, skorzystał z propozycji prof. W. Konopczyńskiego i objął w Krakowie stanowisko bibliote-



Odnowienie doktoratu w UJ

karza i kustosa zbiorów Komisji Historycznej PAU (1947-1952), a po jej likwidacji został pracownikiem Zakładu Dokumentacji warszawskiego Instytutu Historii PAN, kierując Pracownią Bibliografii Pełnej (a następnie Selekcyjnej) Historii Polski. Rozwijał się naukowo na stanowisku docenta (od 1954), profesora nadzwyczajnego (1961) i zwyczajnego (1971). Od 1950 roku datują się jego związki z krakowską WSP, gdzie zaczynał pracę jako lektor, a później wykładowca. Od 1964 r. było to już jego jedyne miejsce pracy. Do emerytury..., bo od pracy twórczej oderwała go dopiero śmierć.

Wpisał swoje nazwisko w szereg instytucji naukowych i wydawniczych. Był sekretarzem i prezesem (1962-1964) Oddziału PTH w Krakowie, przygotowywał VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich (1958), był członkiem Komitetu Redakcyjnego „Małopolskich Studiów Historycznych” (od powstania w 1958), a po przemianowaniu w 1967 r. „Studiów Historycznych”, członkiem Komisji Nauk Historycznych (1957) i Nauk Pedagogicznych (1962) Oddziału PAN w Krakowie. Z wydanych przez niego źró-

deł¹ korzystają kolejne pokolenia historyków, a kilkadziesiąt biogramów w *PSB* pokazuje rozległość jego warsztatu badawczego. Z prac monograficznych warto jeszcze wymienić: *Powstanie chłopskie w starostwie lanckorońskim i nowotarskim w r. 1670* (Kraków 1953); *W latach potopu. Walka narodu polskiego z najazdem szwedzkim w latach 1655-1660* (Warszawa 1956); *Michał Korybut Wiśniowiecki 1640-1673* (Kraków 1984).

Adam Przyboś miał poczucie swojej wartości jako historyka, wydawcy źródeł. Nie znaliśmy jego wcześniejszych polemik z Władysławem Czaplińskim z Wrocławia, ale wyczuwaliśmy, że różniąc się w swych ocenach przeszłości, wzajemnie się szanują. Wydawało się, że w owym czasie Adam Przyboś równie wysoko stawiał jeszcze tylko Adama Kerstena z Lublina. Po latach, kiedy od dawna nie żyje już nikt z owego triumwiratu, zdarza się, że w oryginalny sposób ożywają wspomnienia. Kiedy w listopadzie 2002 roku, na konferencji w Warszawie przypadło mi siedzieć obok prof. Marka Czaplińskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego, z ciekawości zapytałem o stopień pokrewieństwa z Władysławem, „bo ja od Przybosia”. „A...”, to pan ze szlacheckiej koncepcji Rzeczypospolitej”, usłyszałem. Uczeń Adama Przybosia i syn Władysława Czaplińskiego nie dyskutowali już wprawdzie o konfederacji gołąbskiej, ale znakomicie rozumieli się jako dziewiętnastowiecznicy i wymieniając wizytówki zapraszali do wzajemnych odwiedzin we Wrocławiu i w Krakowie. I jak tu negować istnienie szkół historycznych? Dobry Mistrz patronuje swym uczniom nawet zza grobu!

Kazimierz Karolczak

¹ Prócz wymienionych wcześniej, m.in. *Materyały do powstania Kosci Napierskiego w 1651 r.* (Wrocław 1951); *Dwa pamiętniki z XVII wieku* (Wrocław 1954); *Akta sejmikowe województwa krakowskiego, t. 2-5* (Wrocław 1955-1984); *Akta radzieckie rzeszowskie 1591-1634* (Wrocław 1957); *Dyplomaci w dawnych czasach. Relacje staropolskie z XVI-XVIII stulecia* (Kraków 1959, wspólnie z R. Żelewskim); *Merkuriusz Polski* (Kraków 1960); *Diariusz poselstwa polskiego do Francji po Henryka Walezego w 1573 roku* (Wrocław 1963, wspólnie z R. Żelewskim); *Diariusz kołowania i konferencji pod Gołębem i Lublinem w 1672* (Wrocław 1972, wspólnie z synem Kazimierzem); *Podróże królewicza Władysława Wazy do krajów Europy zachodniej w latach 1624-1625* (Kraków 1977; wersja niemiecka Leipzig-Weimar 1988).

Jesteśmy niewolnikami

naszej kultury historycznej i polityki

O metodologicznych problemach historii rozmawiają

Jacek Chrobaczyński, Andrzej Chwalba, Czesław Robotycki i Krzysztof Zamorski

Krzysztof Zamorski: — Skoro nasza dyskusja ma dotyczyć problemów metodologicznych badań historycznych, warto zauważyć, że w polskiej historiografii współczesnej nie doszło do zasadniczej dyskusji na temat postmodernistycznej krytyki historii. Jedynym pismem, które podjęło ten temat była „Historyka”. Żadne inne z poważnych czasopism, z „Kwartalnikiem Historycznym” na czele, nie poświęciło temu zagadnieniu ani słowa.

Czesław Robotycki: — W środowisku etnologicznym, najlepsze nasze czasopismo „Konteksty” poświęciło w roku 1996 cały podwójny numer po graniczu historii, etnologii i sztuki, zapraszając do dyskusji między innymi Arona Guriewicza, Franklina Ankersmitha, Jurijsa Lotmana i innych.

Krzysztof Zamorski: — Dodam, że literaturoznawcy, historycy literatury i filozofowie dużo piszą na ten temat. Odbyło się wiele konferencji, niestety wszystkie poza środowiskiem historyków.

Jacek Chrobaczyński: — Mam wrażenie, że w Polsce w ogóle nie prowadzimy wielkich dyskusji historycznych. Przypomnijmy choćby niemieckie publicystyczne i polityczne z lat 80., albo skandal związany z monachijską wystawą poświęconą Wehrmachtowi. Zaprzepaszczoną szansę na taką dyskusję dostrzegam w związku ze sprawą Jedwabnego. Tę szansę wykorzystali dziennikarze, politycy, ideolodzy, teolodzy, ale nie historycy. Jestem też pod wrażeniem artykułu Joanny Tokarskiej-Bakir *Historia jako fetysz*, opublikowanego przez „Gazetę Wyborczą”. Autorka twierdzi, że historycy unikają pewnych tematów, bo chcą zachować poprawność polityczną. Uważam, że ma rację. Jako historycy niestety zamykamy się w swoim zawodowym świecie. Gdy historyk użyje psychologicznych lub

W polskiej historiografii współczesnej nie doszło do zasadniczej dyskusji na temat postmodernistycznej krytyki historii

Krzysztof Zamorski

Polska historiografia zajmowała się leczeniem polskich dusz, a nie szukaniem odpowiedzi na podstawowe pytania historiografii europejskiej

Andrzej Chwalba

Sądzę, że myślimy wąsko: obrazami, kliszami, posługując się stereotypami martyrologiczno-heroicznymi

Jacek Chrobaczyński

Nawet najlepsza, najmądrzejsza książka historyczna, wchodząca w obieg publiczny staje się argumentem za wartościami społecznymi i, jak się wydaje, natychmiast traci swój wymiar naukowy, a jej treść przetworzona w postać stereotypu staje się częścią narodowej tradycji

Czesław Robotycki

Historyk mówi jednocześnie do ludzi, którzy posiadają odpowiednie kompetencje i do tych, którzy rozumieją niewiele

Krzysztof Zamorski

ROZMOWY
konspektu



Profesor Jacek Chrobaczyński — historyk dzieł najnowszych, zajmuje się okresem II wojny światowej, szczególnie okupacji niemieckiej i konspiracji, biografistyką, historią regionalną oraz psycho- i sociohistorią. Autor kilkunastu książek oraz ponad stu artykułów i rozpraw, m.in.: *Praca oświatowa w Krakowie 1939–1945* (1986); *Tajne nauczanie na Podkarpaciu 1939–1945* (1987); *Postawy — zachowania — nastroje. Społeczeństwo Krakowa wobec wojny i okupacji 1939–1945* (1993); *Słownik biograficzny nauczycieli w Małopolsce w latach II wojny światowej (1939–1945). Ofiary wojny, żołnierze i działacze konspiracyjni, nauczyciele w jawnym i tajnym szkolnictwie* (1995); *Tajna szkoła w okupowanym Krakowie 1939–1945* (2000); *Ostatni z szesnastu. Biografia polityczna Adama Bienia 1899–1998* (2000); *Wielka Historia Polski, t. X: 1939–1945* (2000). Współautor *Encyklopedii Krakowa* (1999) oraz monograficznych opracowań dzieł Bochni, Sanoka, Nowego i Starego Sącza, Trzebnin, Sucheji Beskidzkiej, Limanowej, Czarnego Dunajca, Nowego Targu.

socjologicznych narzędzi i wchodzi na cudzy teren, słyszy protesty psychologów i socjologów.

W naszej kulturze dominuje myślenie historyczne. Sądzę, że myślimy wąsko: obrazami, kliszami, posługując się stereotypami martyrologiczno-heroicznymi. Widoczne jest to nawet w wypowiedziach naszych posłów.

Czesław Robotycki: — Profesor Zamorski zwrócił uwagę na potrzebę dialogu o dyskursie naukowym. Mnie jako antropologa kultury interesuje przetworzenie wątku historycznego w rozmaite dyskursy użyteczności zbiorowej. Trzeba pamiętać, że historia służy przede wszystkim wartościom, że przeszłość jest po to, by uzasadniać współczesność. W związku z tym nawet najlepsza, najmądrzejsza książka historyczna, wchodząca w obieg publiczny staje się argumentem za wartościami społecznymi i, jak się wydaje, natychmiast traci swój wymiar naukowy, a jej treść przetworzona w postać stereotypu staje się częścią narodowej tradycji.

Andrzej Chwalba: — Pojawiają się pytania, czy historia jest nauką i jakiego języka powinien używać historyk, jak powinien budować narrację? Czy narracja historyczna jest literaturą, czy jest może sztuką? Niestety nasza polska historiografia zajmowała się leżeniem polskich dusz, a nie szukaniem odpowiedzi na podstawowe pytania historiografii europejskiej. Stąd pytanie prof. Zamorskiego o przyczyny braku dyskusji metodologicznych. Wydaje mi się bowiem, że jesteśmy niewolnikami naszej kultury historycznej i polityki. Zatem nie jest to kwestia odwagi intelektualnej. Dyskusję, w tym głównie z postmodernizmem, zasadniczo podjęło tylko środowisko historyków-metodologów, lecz ich cenne i wartościowe ustalenia oraz propozycje metodologiczne nie cieszyły się jakimś szczególnym zainteresowaniem pozostałych historyków. A szkoda, bowiem stanowisko postmodernistów miało charakter w istocie rewolucyjny. Nikt nigdy dotąd tak zdecydowanie nie zakwestionował podstawowych składników warsztatu historycznego. W atmosferze prowokacji postmoderniści podważyli podstawowe pryncypia — nie ma rekonstrukcji historycznej, nie ma źródła historycznego, nie ma prawdy historycznej etc. Historycy polscy jednak w olbrzymiej większości tej prowokacji intelektualnej nie dostrzegli, bądź ją zlekceważyli.

Krzysztof Zamorski: — Nasza historiografia pozostawała w bardzo powierzchownym kontakcie z tym co działo się w świecie, nadal powielając wzorce upowszechnione na przełomie XIX i XX w. Do szerokiej świadomości badawczej w pełni nie dotarli myśli Bujaka, a kontakt z modernistyczną szkołą Annales był bardzo powierzchowny, mimo starań historyków klasy Witolda Kuli. Dominowało oddziaływanie dziewiętnastowiecznej myśli metodologicznej, obce pozostają wciąż antropologiczne inspiracje tej szkoły, np. w demografii historycznej pojawiła się właściwie tylko kilka prób przeprowadzenia badań metodą rekonstrukcji rodzin. Nawet zmiany metodologiczne w badaniach historii gospodarczej dotarły do nas w wymiarze bardzo niewielkim. Przecież to, co proponowała New Economic History (mówimy wciąż o modernizmie), nie zostało u nas podjęte na gruncie praktycznych badań. Nowe metody i koncepcje bardzo długo były dla nas nowinką. W Polsce dominowała bowiem historia polityczna, najbardziej użyteczna społecznie, która utrwaliła podstawowe schematy widzenia. Zgadzałem się z profesorem Chrobaczyńskim, że wystąpienia w Sejmie, są często przerażającym przejawem pojmowania historii jako mitu, a użyteczność historii pozostaje tu często widoczna jedynie w sferze jej magicznych funkcji. Brak recepcji postmodernizmu prowadzi do daleko idących uproszczeń. Krytyka postmodernistyczna bowiem, jeśli przyrzeć się jej

tego, że ludzie oczekują nie tylko kolejnych przyczynków, to nie trafimy do świadomości społecznej. Nikogo bowiem dzisiaj nie zainteresuje artykuł,



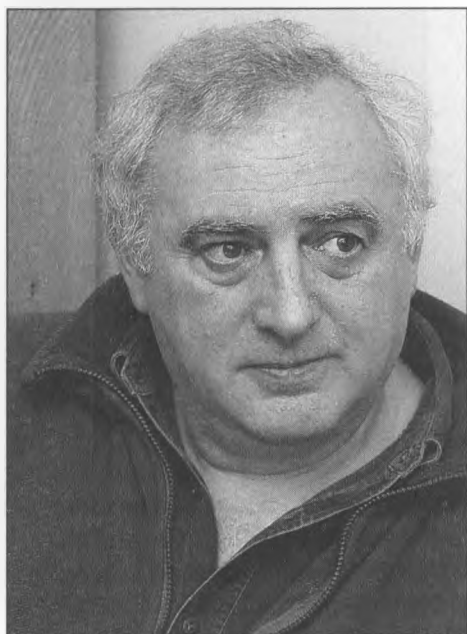
Andrzej Chwalba — prof. dr hab., zajmuje się historią ruchów politycznych i idei XIX i XX w., polskim i europejskim socjalizmem wobec ruchów społecznych i kościołów, historią ruchów narodowych w Europie, historią korupcji w Rosji, Prusach i Austrii. Prorektor ds. dydaktycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kierownik Zakładu Historii Społeczno-Religijnej Europy XIX i XX wieku Instytutu Historii UJ. Autor wielu publikacji, m.in. *Sacrum i rewolucja. Socjaliści polscy wobec praktyk i symboli religijnych (1870–1918)* (1992), *Historia Polski 1795–1918* (2000), *Dzieje Krakowa, t. 5: Kraków w latach 1939–1945* (2002). Prezes Krakowskiego Koła Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Nikogo dzisiaj nie zainteresuje artykuł, w którym dwóm liniom głównego tekstu odpowiada zespół wielu przypisów
— Krzysztof Zamorski

dokładniej, nie podważa koncepcji źródła, ale skłania do krytycyzmu wobec sposobu posługiwania się źródłem w historiografii modernistycznej i pozytywistycznej, jej zdolności pobudzania wyobraźni historycznej człowieka i wpływania na społeczeństwo. Pierwszym podręcznikiem uniwersyteckim, który przełamał konwencję historii politycznej jest książka Andrzeja Chwalby *Historia Polski 1795–1918*. Jeśli nadal nie będziemy przyjmować do wiadomości

w którym dwóm liniom głównego tekstu odpowiada zespół wielu przypisów. Postmodernistyczna krytyka historii jako historii politycznej nie była konsekwentna i nie była adekwatna do osiągnięć modernizmu historycznego. Musimy zrewidować nasze pojęcie historii, wyciągnąć wnioski z Diltheya i Husserla, z osiągnięć współczesnej filozofii i socjologii.

Ujrzeć historię jako zjawisko w skali ludzkiego doświadczenia przeszłości. To doświadczenie wcale nie oznacza jednak, że należy pozostać wyłącznie w sferze literatury i nie uprawiać nauki.



Profesor Czesław Robotycki — antropolog kultury, kierownik Instytutu Etnologii UJ. Autor licznych artykułów i książek, m.in. *Etnografia wobec kultury współczesnej*, *Nie wszystko jest oczywiste*. Zajmuje się analizą kultury współczesnej (świadomość narodowa, twórczość amatorska, teatr alternatywny, obyczajowość subkultur). Jest redaktorem serii wydawnictwa UJ *Anthropos*.

Jacek Chrobaczyński: — Przyjmijmy jednak, że historia jest dyscypliną naukową, i pomijmy jej związki ze sztuką. Należy pamiętać, że wciąż zarzut interdyscyplinarności może utrudnić awans naukowy. Spróbujcie, panowie, wysłać do oceny Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej pracę, która ociera się o teologię, o historię literatury, w której wykorzystuje się wiersz jako źródło historyczne! Pisanie takich prac, w których zaznaczają się — drażniące mnie osobiście — skłonności do traktowania historii

jako sztuki oraz opowieści typu historia alternatywna jest możliwe dopiero po osiągnięciu awansu naukowego. Jako promotor nie powierzyłbym takich prac doktorantom, tym bardziej że nie spotkałem się nigdy z recenzją, w której autor napisałby: „co prawda nie zgadzam się z tym sposobem pojmowania historii, ale cenię odwagę autora i pracę przyjmuję”.

Andrzej Chwalba: — Rzeczywiście zdarza się, że promotor odrzuca zbyt ambitny i atrakcyjny temat, mówiąc że to nie jest praca, która może być zaakceptowana przez radę wydziału, czy CK. Powoli jednak świadomość środowiska opiniującego zmienia się...

Ale wracając do wątku postawionego przez prof. Zamorskiego. Rzeczywiście wielki dyskurs filozoficzny i historiozoficzny właściwie nas ominął. W naszej kulturze umysłowej nie ma tradycji dyskursu intelektualnego czy filozoficznego na skalę taką jak w innych krajach. Natomiast wydaje mi się, że w zakresie adaptacji nowych metod i wzbogacania warsztatu w polskiej historiografii dzieje się dużo. Zwłaszcza od lat 80. i 90. stopniowo wprowadzane są do historiografii narzędzia poznania etnologii, antropologii, semiotyki i innych nauk społecznych. Niemniej wciąż aktywna jest grupa historyków, którzy podążają starymi koleinami końca XIX w. Z drugiej strony mamy tych, którzy odważnie sięgają po nowoczesne instrumenty poznania i wkraczają na teren innych nauk. Jednak badania nad drugą połową wieku XX i współczesnością w znacznej mierze oddaliśmy politologom i socjologom. Oddaliśmy również przedstawicielom innych nauk społecznych atrakcyjne z punktu widzenia poznawczego i dydaktycznego badania porównawcze cywilizacji i kultur świata. Niemniej trudno nie zauważyć zmian na lepsze. Nadzieja są zwłaszcza młodzi badacze, którzy po studiach zagranicznych coraz odważniej podejmują dyskusje z promotorami, wskazują nowe obszary badawcze i narzędzia poznania — i jest to dobra wiadomość.

Czesław Robotycki: — Jestem użytkownikiem prac historycznych, a nie ich twórcą. Nie prowadziłem badań źródłowych, ale chętnie z takich prac korzystam. Historyk często mówi mi: „pan nie ma prawa do tego sięgać, bo pan się nie zna na krytyce źró-

del". Mnie jednak nie chodzi o krytykę źródeł, przyjmuję za dobrą monetę to, co historyk powiedział. Uważam natomiast, że w postmodernistycznej historii, a właściwie w całej humanistyce można zastosować jeden z ważniejszych postulatów postmodernistycznych – postawę badawczą nasycić ironią. Ironię stosuje się dzisiaj przy analizie tekstu, oraz w konstruowaniu tekstu antropologicznego. We współczesnej etnografii i etnologii ważne jest stawianie nowych pytań dawnym pracom i tekstom. Prowadzimy więc analizę quasi-źródłoznawczą. Analizujemy np. teksty źródłowe, za które uważa się na przykład dziewiętnastowieczne opisy społeczności lub zjawisk kulturowych, pochodzące z prasy, czasopism i książek. Zadajemy tym tekstom pytanie: czy są one reprezentacją stanu faktycznego, czy też są wyrazem uległości autorskiej wobec pewnych modnych stylów pisanie oraz interpretacji świata. Jeden z moich kolegów opublikował interesujący tekst (*Lud ludoznawców*), w którym wskazuje, że dziewiętnastowieczni ludoznawcy patrzyli na lud przez okulary pozytywistycznej nauki i przez ówczesną teorię powieści. Opisy etnograficzne z XIX w. mają struktury retoryczne tekstów literackich tego czasu. Nadto odnajdujemy w nich, tezy ówczesnej nauki np. fizjonomiki i determinizmu geograficznego – lud jest prosty i piękny, górale są wolni, szlachetni, nerwowi i błyskotliwi, bo żyją w górach, ludzie

Historia służy przede wszystkim wartościom, przeszłość jest po to, by uzasadniać współczesność. W związku z tym nawet najlepsza, najmądrzejsza książka historyczna, wchodząca w obieg publiczny staje się argumentem za wartościami społecznymi i, jak się wydaje, natychmiast traci swój wymiar naukowy, a jej treść przetworzona w postać stereotypu staje się częścią narodowej tradycji
— Czesław Robotycki

mieszkający na nizinach są leniwi itd. W ten sposób etnograf przyjmuje właściwie postawę historyka. Warto byłoby zaproponować historykom narzędzia antropologii jako krytyki historii kultury. Wykorzystując osiągnięcia antropologii można zacząć projek-

tować nowe obszary badań i odczytywać stare teksty na nowo.

Jacek Chrobaczyński: — Warto docenić to, co wniósł Francis Fukuyama do historiografii. Najczęściej jednak kieruje nami niechęć do tych, którzy



Krzysztof Zamorski — dr hab., profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajmuje się historią społeczno-gospodarczą czasów nowożytnych, demografią historyczną i teorią historii. Kierownik Zakładu Dziejów Historiografii i Metodologii Historii Instytutu Historii UJ. Autor ponad 60 publikacji naukowych, m.in. *Transformacja demograficzna w Galicji na tle przemian ludnościowych innych obszarów Europy Środkowej w drugiej połowie XIX i początku XX w.* (1991), *Odmiany czasu historycznego. Na marginesie rozważań Romana Ingardena* (1993), *Początki przejścia demograficznego w Polsce* (1993). Współredaktor wraz z Maciejem Salamonem „*Historyki*”. Dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej.

wkraczają na nasz teren – jest to wzór zachowania, który można nazwać „obroną Częstochowy”, w którym widzimy przejaw odpowiedzialności za słowo i tekst. Uważam jednak, że to – niestety – zazwyczaj zwycięzcy piszą historię, którzy w końcu muszą się zaadaptować. Ci, którzy bronią się, twierdzą, że autorytety i elity upadają gdy nie ma odpowiedzial-

ności za słowo... Dzisiaj można właściwie opublikować każdy tekst. Jeden z posłów, historyk zresztą, powiedział kiedyś, że kiedy mówi jako historyk to jest „A”, a kiedy jako poseł – to jest „B”. Przecież to schizofrenia.

Czesław Robotycki: — Jako etnologowie przyjmując podejście antropologiczne nauczyliśmy się teorii komunikacji, literatury, semiotyki i hermeneutyki. Historycy mogli zrobić to samo. Dzisiaj wiemy, że kultura funkcjonuje w kręgach kompetencji, więc i tekst historyczny też tak istnieje. Mówił o tym Stefan Żółkiewski w swoich pracach z socjologii lite-

Stanowisko postmodernistów miało charakter w istocie rewolucyjny. Nikt nigdy dotąd tak zdecydowanie nie zakwestionował podstawowych składników warsztatu historycznego. Historycy polscy jednak w olbrzymiej większości tej prowokacji intelektualnej nie dostrzegli, bądź ją zlekceważyli — Andrzej Chwalba

ratury. W kulturze wyodrębnia się krąg kompetencji obeznanych w piśmie uczonych, tak musi być, ponieważ kultura jest wielopoziomowa, dialogująca strukturą. Dopóki kultury miały charakter mówiony, były one bardziej jednorodne. Jeżeli chodzi o świat wartości i możliwości realizacji różnorodności celów, kultury tzw. ludowe (apokryficzne) – obojętnie jak je nazwiemy – nie dawały zróżnicowanych możliwości uczestniczenia w obiegu informacji. Kręgi kompetencji utworzyły się już z chwilą pojawienia się pisma i cywilizacji. Nigdy nie było tak, że wszyscy wiedzieli to samo. Już w starożytnych cywilizacjach jedni wiedzieli więcej, inni mniej. Współczesnym językiem nazywam to, co zawsze istniało w historii kultury. Czym są kręgi kulturowych kompetencji? W kręgu kompetencji odbywa się wymiana komunikacyjna, handlowa, intelektualna, wojenna i każda inna. Współczesne cywilizacje są zbiorem kręgów kompetencji nieprawdopodobnie pomieszanych, przecinających się. Każdy z nas pełni w nim inną rolę. Sprowadzając rzecz na poziom naszej rozmowy możemy powiedzieć, że raz wypowiadamy się jako historycy, ale równocześnie też jako działacze spo-

leczni, członkowie narodu, uczestnicy grup towarzyskich, zawodowych i innych; trudno te role i kręgi odróżnić. Historia jest argumentem dla istnienia każdej społeczności, co sprawia że każde twierdzenia historyka ma równocześnie wiele różnych funkcji.

Krzysztof Zamorski: — Jestem bardzo ostrożny w nadawaniu teorii tropów Haydena White'a bezpośrednich funkcji badawczych. White próbuje typologizować sposoby narracji. Dobry historyk zawsze posługiwał się i będzie posługiwał się ironią. Nie jest też wynalazkiem postmodernistów, że historia służy czasom współczesnym, bo właśnie moderniści widzieli to bardzo ostro. Przejdźmy do problemu odpowiedzialności historyków. Jeżeli przed kamerami telewizyjnymi stoi kandydat na prezydenta Polski, który proponuje kurację gospodarczą przez hiperinflację i nikt na jego program nie reaguje, to znaczy, że osoba prowadząca wywiad ma nader mgławicowe pojęcie o skutkach hiperinflacji w przeszłości albo jej nie rozumie. Stajemy się nieodpowiedzialni kiedy bezkrytycznie słuchamy kandydata, zamiast powiedzieć: „zrezygnuj, bo się ośmieszyles”. Jest to sytuacja, w której ruch „bauerbundu”, walki z napływem taniego zboża i taniej żywności odgrywa kluczową rolę w definiowaniu postaw politycznych i rozwiązywaniu strategicznych problemów naszego państwa. Bez znajomości historii nie można poznać konsekwencji współczesnych wydarzeń społecznych. Nasza odpowiedzialność przejawia się w ich przekazywaniu. Chciałbym wierzyć, że istnieje historia jako nauka. Zakon, który tworzy wspólnota historyków musi istnieć, lecz historia naukowa nie

Nasza historiografia pozostawała w bardzo powierzchownym kontakcie z tym co działo się w świecie, nadal powielając wzorce upowszechnione na przełomie XIX i XX w. Nowe metody i koncepcje bardzo długo były dla nas nowinkarstwem. W Polsce dominowała historia polityczna, najbardziej użyteczna społecznie. Zgadzam się z profesorem Chrobaczyńskim, że wystąpienia w Sejmie, są często przerażającym przejawem pojmowania historii jako mitu, a użyteczność historii pozostaje tu często widoczna jedynie w sferze jej magicznych funkcji
— **Krzysztof Zamorski**

jest jedynym rodzajem praktyki historycznej jako zjawiska kulturowego. Historia istnieje w życiu codziennym, im bardziej z nią walczymy, tym mniej jesteśmy skuteczni, a rodzą się nowe wyzwania. Historia, do której przyzwyczailiśmy się, jest oparta na dokumencie pisanym. Tymczasem w dydaktyce żadnej szkoły wyższej w Polsce nie ma w tej chwili analiz dokumentów mówionych, a przecież istnieją już tysiące archiwaliów zapisanych na taśmie magnetofonowej. Nikt nie myśli o przygotowaniu historyków do analizy taśm filmowych i zapisów filmowych jako źródła historycznego. Nie analizujemy sposobów przekazywania historii w mediach, ograniczamy się do biadolenia, że jest nie dobrze. Do Polaka skuteczniej docierają Hoffman i Wajda, których miejsce kiedyś zajmował mistrz Wincenty.

Jacek Chrobaczyński: — Odważyłem się niedługo zaproponować dwa tematy prac magisterskich: *Kapitan Hans Kloss – prawda czy legenda okupacji i konspiracji* i *Obraz Śląska. Historia i tradycja w scenariuszach Kazimierza Kutza*. Pytanie studentek zaskoczyło mnie: „czy my będziemy robić prace z historii?” Odpowiedziałem, że Klossa mogą sobie zamienić na *Czterech Pancernych*, bo tam jest trochę więcej historii. Takie pojmowanie historii sami niekiedy utrwalamy w szkole i na studiach.

Czesław Robotycki: — Studentów etnologii te tematy nie dziwią i nikt nie broni się przed analizą scenariuszy Kutza lub filmów Macieja Szumowskiego.

Jacek Chrobaczyński: — Skoro kształcimy humanistów powinniśmy się zastanowić, czy nie wyrządzamy przypadkiem studentom krzywdy przyjmując ich na historię, filologię i utrudniając im studiowanie po prostu humanistyki. Możliwości przechodzenia z kierunku na kierunek są ograniczone. Ktoś, kto pisze u mnie pracę *Wojna 1939 roku w świetle literatury pięknej* oznajmił: „przecież ja nie studiuję polonistyki”. Odpowiedziałem, że to bardzo niedobrze, bo dla mnie Broniewski, Gałczyński, Borowski są źródłami, więc proszę popatrzeć na źródło, „zderzyć” literaturę z historią Westerplatte i powiedzieć co z tego wyniknie.

Andrzej Chwalba: — Sądzę, że historiografia, zwłaszcza dorobek lat dziewięćdziesiątych jest

w niezłej kondycji. Cały czas na warsztacie badacza pojawiają się nowe problemy i nowe źródła. Z dużym wysiłkiem wprowadza się do badań relacje ustne czy ikonograficzne oraz podejmuje współpracę

Warto zaproponować historykom narzędzia antropologii jako krytyki historii kultury. Wykorzystując osiągnięcia antropologii można zacząć projektować nowe obszary badań i odczytywać stare teksty na nowo — Czesław Robotycki

z różnymi dziedzinami humanistyki. W jednym ośrodku dzieje się to wolniej, w innym szybciej. W jednym uprawia się jednak dalej kronikarską historię, w innym zgodną z tym co najcenniejsze w historiografii światowej. Nie ma jednego obrazu polskiej historiografii. Jednak w całości wyraźnie widać, że historycy, którzy są mniej mobilni i mniej można by powiedzieć otwarci i innowacyjni od antropologów, etnologów, socjologów lub polonistów. Z pewnością nie jest ich sojusznikiem współczesna polska szkoła. Problem zaczyna się na poziomie dydaktyki szkolnej. Nasza oferta dydaktyczna i nasze studia odpowiadają tradycyjnym oczekiwaniom. Trudno pokonać społeczne opory i przebić z nowymi propozycjami, które uwzględniałyby potrzeby rynkowe, a faktycznie i jednocześnie potrzeby kandydatów.

Jacek Chrobaczyński: — Istniejąca ustawa nie pozwoli napisać na dyplomie – magister humanistyki.

Andrzej Chwalba: — Być może kiedyś do tego dojdziemy poprzez nowe oferty edukacyjne, nowe specjalności. Wychowamy nowe pokolenie, które pójdzie w świat mediów, kultury i polityki. Musimy szukać sojuszników, forsować otwarte projekty, ukazujące jedność zjawisk kulturowych i historii, współpracować z przedstawicielami innych nauk społecznych i humanistycznych, uprawiać komparatystykę...

Jacek Chrobaczyński: — Odwaga, umiejętność stawiania pytania i definiowania problemów badawczych jest szczególnie potrzebna nowemu pokoleniu historyków, które przeniesie te cechy do szkolnej dydaktyki. Podczas lekcji historii, którą obserwowałem, studentka zapytała o Wokulskiego.

Jedna z uczennic spytała: „Proszę Pani, czy to ten sam, co u pani od polskiego?” Uświadomiłem sobie wtedy, że ta dziewczynka otworzyła jedną szufladkę, a zamknęła drugą.

Hubert Chudzio: — Znamy twierdzenie, że historia musi się „uleżeć”. Czy rzeczywiście jest tak, że

Mam wrażenie, że w Polsce w ogóle nie prowadzimy wielkich dyskusji historycznych. Jako historycy zamykamy się w swoim zawodowym świecie. Sądzę, że myślimy wąsko: obrazami, kliszami, posługując się stereotypami martyrologiczno-heroicznymi. Widoczne jest to nawet w wypowiedziach naszych posłów
— **Jacek Chrobaczyński**

trzeba odczekać 50 lat, aby można było zacząć badać pewne fakty? Historia jako nauka – jeżeli jest nauką – jest niezwykle pojemna, bo przecież wchłania na przykład matematykę czy fizykę. Czasem też stawiam sobie pytanie: czy w XX w. ważniejszy dla historii świata był Winston Churchill czy Elvis Presley? Najczęściej uprawiamy historię polityczną, rzadziej gospodarczą, a prawie zupełnie zapominamy o historii życia codziennego.

Czesław Robotycki: — Mieczysław Porębski, historyk sztuki, w książce *Granice współczesności* zauważył, że wiek XX rozszerzył nieprawdopodobnie granicę tego, o czym powinien on mówić, gdy podejmuje problem sztuki współczesnej. Stwierdził, że musi się znać nie tylko na malarstwie i historii sztuki, ale także na codziennej obyczajowości, modzie, muzyce, prasie, literaturze i filmie. Z etnologicznego punktu widzenia w przeszłości życie obyczajowe było bardziej jednorodne w swoich wariantach, w tej chwili jest trudne do opisania, bo wydaje się bardziej „przemieszane” i żywiołowe.

Hubert Chudzio: — Dla współczesnej historii ważne stają się nowe technologie – internet, telefonia komórkowa, nośniki cyfrowe, które niezwykle szybko zmieniają naszą rzeczywistość. Pojawia się więc problem, jak za tym nadążyć.

Czesław Robotycki: — Te nośniki, informacje i przekazy kreują pewną postawę, którą obserwują etnologowie. Rytm historii tak się bardzo przyspie-

szył, że normy i obyczaje, których uczył ojciec, synom są już nieprzydatne w życiu codziennym. Kiedy zakładaliśmy sieć internetową na uczelni kierownik pewnej jednostki dydaktycznej powiedział: „Comnie to obchodzi, jestem już stary i nie będę tego używał”, a należało podjąć decyzję, czy wchodzimy w sieć internetową.

Jacek Chrobaczyński: — Pewne uniwersalia pozostają. Kiedy słucham współczesnych sporów politycznych towarzyszących planowanej wojnie z Irakiem, wiem że można znaleźć historyczne uzasadnienie postawy Francji i Niemiec, że to nie jest tylko kwestia perspektywy europejskiej, że ta postawa jest uwarunkowana przez historyczne związki gospodarcze pomiędzy tymi mocarstwami a resztą świata w XX w. Nikt w tej chwili tych związków nie stara się rozumieć.

Czesław Robotycki: — Nikt też głośno tego nie powie, bo idziemy do Unii Europejskiej. Historycy mogliby też łatwo udowodnić, że mieszkańcy współczesnej Europy, między innymi Polacy, „zjadają” skutki polityki Francji czy Anglii sprzed 50-60. lat.

Hubert Chudzio: — Kiedy zastanawiamy, czy historia jest nauką czy sztuką, to może trzeba też po-

Spróbujcie, panowie, wystać do oceny Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej pracę, która ociera się o teologię, o historię literatury, w której wykorzystuje się wiersz jako źródło historyczne! Jako promotor nie powierzyłbym takich prac doktorantom
— **Jacek Chrobaczyński**

wiedzieć (za co mogę być odsądzony od czci i wiary), że jest również magią. Historyk jest magiem przeszłości, bo przenosi się w czasie i kreuje rzeczywistość przeszłości. Według własnych sądów opisuje tę rzeczywistość, a później czytelnik – pozbawiony krytycznego stosunku do źródeł – często przyswaja to jako pewnik.

Krzysztof Zamorski: — Pan Chudzio pytał, czy historia powinna zabierać głos w sprawach współczesności. Każdy historyk od czasów Fernanda Braudela, wie, że historia współczesna operuje czasem krótkim i to niesie za sobą pewne ryzyko.

Brak historii w dyskusji o współczesności jest poważnym błędem. Historii nie powinniśmy się bać, lecz w rozważaniach o czasie krótkim konieczna jest ostrożność. Wobec perspektywy zbliżającej się wojny historyk musi zabrać głos. Z perspektywy długiego trwania wynika, że rozwój nie jest wyłącznie cechą XX w., i że ten rozwój doprowadził do niebezpiecznego układu stosunków cywilizacyjnych w świecie, w którym jedna piąta ludzi jest syta, a cztery piąte pracuje na tę grupę. Równocześnie istnieje druga zależność — te cztery piąte nie przeżyłoby, gdyby nie ta jedna piąta. W tym kontekście na przykład bardzo ciekawie wyglądają badania Bairoca nad zmianami dochodu narodowego w procesie industrializacji. Historycy polityki łatwo odkryją symptomy zachowań prowadzących do wojny, historycy i antropologowie kultury wskażą czy kulturowe uwarunkowania konfliktu nie niosą w sobie niebezpieczeństwa zażęć wojny cywilizacji.

Czesław Robotycki: — W kulturze polskiej nie ma tradycji komentowania bieżących wydarzeń przez historyków. Tymczasem na przykład w telewizji francuskiej historycy występują jako komentatorzy.

Krzysztof Zamorski: — Żyjemy w mieście końca wieku. Zaczęliśmy od postmodernizmu i możemy na

nim skończyć. Sądę, że jedną z przyczyn powstania postmodernizmu był strach przed końcem wieku. Jako historycy zdajemy sobie sprawę z umowności tego typu cezur. Jest to hipostaza, którą powinniśmy zakwestionować. Człowiek współczesny nie potrzebuje posługiwać się starymi wymiarami czasu i można mu podsunąć nieco więcej sposobów mierzenia zdarzeń z przeszłości. Historycy wiedzą, że czas jest wielowymiarowy. Mitem jest przekonanie, że żyjemy w czasach szczególnego rozwoju cywilizacyjnego. Nie-

wątpliwie dzieją się rzeczy bardzo ciekawe i znaczące. Nie po raz pierwszy jednak człowiek zmienia sposób przekazywania informacji. Szybsze jest tylko tempo tych zmian.

Problemem jest to, że historyk mówi jednocześnie do ludzi, którzy posiadają odpowiednie kompetencje i do tych, którzy rozumieją niewiele. Jest to problem nakładających się na siebie różnic w poziomie wykształcenia, zmiany form przekazu informacji, który jest istotny dla nas, gdy zastanawiamy się nad sposobem docierania z historią do ludzkiej świadomości. Jana Długosza przez wieki czytali ludzie umiejący czytać, Miłosza czytają ci, którzy go czują i umieją czytać jego myśli, i ci, którzy umieją zaledwie składać litery do kupy. Co z tego pojmą? Bóg jeden raczy wiedzieć...

*Spisał Hubert Chudzio
Fot. Marian Pasternak*

Wielki dyskurs filozoficzny i historiozoficzny właściwie nas ominął. W naszej kulturze umysłowej nie ma tradycji dyskursu intelektualnego czy filozoficznego na skalę taką jak w innych krajach — Andrzej Chwalba



Józef Hampel

Franciszek Ziejka jako badacz „chłopskiej historii”

Zagadnienie wchodzenia chłopów w narodową historię, a synów chłopskich w literaturę i kulturę narodową od lat mieści się głównym nurcie zainteresowań badawczych Franciszka Ziejki. Zapamiętałem z czasów studenckich, kiedy to studenci uczestniczyli jeszcze w posiedzeniach naukowych Polskiego Towarzystwa Historycznego czy Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, wystąpienie Franciszka Ziejki, poświęcone Jakubowi Szeli i rabacji galicyjskiej. Nie pomnę już szczegółów, ale utkwiła mi w pamięci żywa i kontrowersyjna dyskusja, jej styl, prowadzona między referentem a profesorem Janiną Bieniarzówną i bodajże profesorem Celiną Bobińską. Jego taktowna, ale i żarliwa obrona postawionych tez

L iteraturą ludową oraz historią chłopów, nie tylko w literaturze, Franciszek Ziejka, Radłowianin z pochodzenia, pasjonował się – jak się wydaje – od zawsze. Wyrazem tego są m.in. *Złota legenda chłopów polskich* (Warszawa 1984), wnikliwe studium nad uwłaszczeniem chłopskiej historii, przywracaniem jej pamięci narodowej, *Panorama Racławicka* (Kraków 1984), ale również zamieszczony na łamach „Rocznika Sądeckiego” (1994, t. 22) artykuł *Chłopów galicyjskich drogi do Polski*, czy wystąpienie podczas I Kongresu Historyków Wsi i Ruchu Ludowego w Rzeszowie w 1995 roku *Chłopomani i ludowcy*.

W bieżącym roku, 7 kwietnia, mija 60 lat od śmierci w rodzinnym Gręboszowie Jakuba Bojki, nestora polskiego ruchu ludowego i niestrudzonego chłopskiego pisarza, pamiętnikarza i działacza politycznego w czasach galicyjskich oraz latach II Rzeczypospolitej, posła do Sejmu Krajowego we Lwowie, parlamentu wiedeńskiego, wicemarszałka Sejmu Ustawodawczego w 1919 roku, dwukrotnie senatora RP, prezesa PSL Piast w latach 1914-1918, członka jego władz naczelnych. Józef Rączkowski, redaktor „Piasta” i poseł z PSL Piast, kreśląc w swych wspomnieniach (*Wśród polityków i artystów*, Warszawa 1969) sylwetkę Bojki napisał: „Gdy Bojkę dobrze poznałem, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że tak musiał wyglądać nasz Rey z Nagłowic w XVI wieku: ziemianin, samouk, zamiłowany w książkach i przeszłości i ochoczy do pióra, którym doskonale władał”. Zadebiutował w 1880 roku korespondencją w „Nowinach” oraz wierszem *Moje życie na łamach „Chaty”*. Od 1885 roku publikował też w pisemkach ks. Stanisława Stojałowskiego, a od 1891 roku regularnie na łamach „Przyjaciela Ludu”

Bolesława Wysloucha, później – „Piasta” oraz wielu innych pism ludowych i dla ludu.

W Oficynie *Universitas* ukazał się wybór jego pism przygotowany przez profesora Franciszka Ziejkę, bezsprzecznie najlepszego znawcę Bojkowego piśmiennictwa, gromadzącego od lat rozproszone po różnych czasopiśmie, zbiorach bibliotecznych i archiwach teksty i spuściznę rękopiśmienną, tego niepospolitego chłop-samouka... Sądzić trzeba, że omawiana publikacja stanowi początek dalszych tomów pism tego jakże oryginalnego twórcy ludowego i publicysty, który zdaniem Stanisława Pigonia wniósł najbardziej swoisty wkład pisarstwa ludowego do kultury narodowej.

We wstępie zatytułowanym *Chłopski Skarga* – to określenie autor przejmując od Władysława Orkana, pierwszego może pisarza, obok Jana Kasprzowicza, który przekroczył barierę chłopskiego pisarstwa samorodnego, wdzierając się do panteonu narodowej literatury – Franciszek Ziejka przywołuje najcelniejsze wypowiedzi polskich historyków literatury (Stanisława Pigonia, Antoniego Chołoniewskiego) oddające charakter Bojkowego piśmiennictwa. Wydobywa specyficzne cechy osobowości twórczej Bojki, jej ideowe motywacje, a także uzasadnia sam tytuł wyboru, konstatując: „Oto i cały Bojko. Pisarz – obywatel, człowiek, który materię słowa traktuje z największą uwagą i rozwagą, który ma do słowa taki sam stosunek jak do plodów ziemi, który zamyka w owych słowach swe myśli o stanie chłopskim i jego roli w życiu narodu. Oto dlaczego wydaje się mi, że tytuł *Gorące słowa* w pełni oddaje charakter pisarstwa tego autora”. Jakże współbrzmiały te refleksje z przesłaniem przedmowy do warszawskiego wydania *Dwóch dusz* z 1909 roku kierowane do chłopskiego

czytelnika w Królestwie: „Z uwagą wielką czytajcie, bracia książkę Bojki, zachęcajcie innych do czytania. Zastanawiajcie się nad «dwoma duszami» często. (...) Niech książka ta stanie się, jako głos pobudki – jako dzwon, co do czynu zwie: zbudź się ludu polski, zbudź – stań ramię do ramienia i imaj się pracy – jak śród równych, jako najliczniejszy kraju tego obywatel”.

Wybór pism ułożony został w sześć części o tytułach odpowiadających rodzajom uprawianego przez Bojkę piśmiennictwa i chronologii ważnej dla przedstawienia jego politycznej aktywności oraz jej motywacji. Część I *Z dni walki o prawa polityczne chłopów (1894–1911)* otwierają wystąpienie podczas wiecu ludowego we Lwowie 27 sierpnia 1894 roku, artykuł *Antychryst i Dureń* oraz *Dwie dusze*. Rzecz znamienna, że od 1949 roku nie były *Dwie dusze* wydawane, czyżby przypadek, a może oceny i przesłania tam zawarte także do dziś nie straciły na swej aktualności i mogą być kłopotliwe? Są to dokumenty historyczne ważne dla ukazania procesu walki chłopów o własną podmiotowość, a równocześnie ilustrujące jej charakter. Walki prowadzonej z rodzajem się ruchem ludowym w Galicji, którego przeciwnikom, w charakterystycznym dla siebie stylu odpowiadał Bojko na łamach ludowej prasy. Właśnie mija sto lat od pierwszych tekstów *Dwóch dusz* zamieszczonych na łamach „Przyjaciela Ludu”. Sam autor, bezceremonialnie atakowany w słowie i piśmie odpowiadał w imieniu swoim i chłopów z godnością, bez nienawiści, chociaż nie bez wyrzutów pod adresem oponentów. Można odnieść wrażenie, że nie tyle ważna była dla niego krytyka oponentów, ile wyjaśnianie braci chłopskiej swojego stanowiska oraz zachęcanie jej do wytrwałości w walce o chłopską godność i należne im miejsce w społeczeństwie.

W części II. znalazł się *Dziennik z lat 1911–1919*, który wraz z III. Częścią *Listy z Warszawy (1919–1927)* (publikowane na łamach „Piasta”), wnosi ogromny ładunek faktograficzny do dziejów ruchu ludowego w tych przełomowych dla historii narodowej czasach – obrazy i świadectwa warunków życia społeczności wiejskiej, drogi życiowej samego autora, sposobu widzenia ówczesnej rzeczywistości oraz jej najważniejszych postaci. Przewijają się przez karty *Dziennika* setki osób wybitnych i zwyczajnych, z którymi miewał kontakty. Ukazuje się na nich Bojko jako gospodarz, wnikliwy obserwator przyrody, wiejskich obyczajów, ludzkich charakterów, człowiek niewyobrażalnej aktywności i rozległych zainteresowań.

Część IV – *Pod urokiem historii* – zawiera teksty przemówień wygłoszonych podczas uroczystości patriotycznych, artykuły o wybitnych postaciach z przeszłości i przełomowych w dziejach Polski wydarzeniach (powstania: kościuszkowskie, listopadowe i styczniowe; Bartosz Głowacki). Była bowiem historia pasją Bojki, podobnie jak polska literatura. One kształtowały jego światopogląd, postawy życiowe i dostarczały mu materiału do przemyśleń. W ich upowszechnianiu i zrozumieniu widział główny instrument w „przeorywaniu” umysłów i serc swych współpracowników. Nalóg czytania i pisania oraz kontakty z żywymi świadkami historii tworzyły Bojkę takiego jakim był naprawdę. Nawiązując do kontaktów z ludźmi pióra i byłymi powstańcami styczniowymi, w tym z Ludwikiem Zakrzewskim i Tadeuszem Dybowskim, zanotował w swych wspomnieniach: „Tym ludziom po Bogu zawdzięczam, że nie jest cięliem i umiem patrzeć na ludzi i na świat boży”.

Wdzięczność ta widoczna jest też wyraźnie w zamykającym wybór zbiorze tekstów zatytułowanym *W hołdzie twórcom i przyjaciółom*, na który składają się wspomnienia pośmiertne i mowy pogrzebowe oraz okazjonalne, poświęcone postaciom i twórcom szczególnie mu bliskim. Cechuje je wzruszająca prostota, a zarazem głębia zwykłego ludzkiego szacunku i tklivości.

Ta częśćka zaledwie twórczości *Chłopskiego Skargi* została bardzo starannie opracowana, opatrzona ponad 700 przypisami biograficznymi i objaśniającymi, notą edytorską wskazującą pierwszą publikację danego tekstu, słowniczkiem terminów oraz indeksem nazwisk, co znacznie ułatwia lekturę, poruszanie się w gąszczu ludzi i spraw, czyni ją zrozumiałą, ale i wielce pouczającą. Franciszek Ziejka prezentowaną książkę zdaje się wskrzeszać istniejącą bezsprzecznie *Legendę Bojki*. Zdaje się również wyjaśniać dlaczego do dziś nie została opracowana gruntowna jego biografia. „Dopóki czytelnik nie otrzyma do rąk pism Bojki, dopóki nie zostaną one poddane ocenie historyków literatury, dopóki nie powstanie możliwie pełna biografia tego pisarza i polityka, dopóty nie zostanie splacony dług, jaki kultura narodowa zaciągnęła na przełomie wieków XIX i XX u tego niezwykłego chłopca z Gręboszowa”. Żywić należy nadzieję, że teraz zadanie to stanie się bardziej realne.

Józef Hampel

Jakub Bojko, *Gorące słowa. Wybór pism*. Wybór, wstęp i opracowanie Franciszek Ziejka, Kraków 2002, 572 s.

O pożytkach ze znajomości kultury antycznej płynących

Rozmowa z profesorem Aleksandrem Krawczukiem

*Kiedy bogowie spostrzegli, że nawet oni nie mogą zrozumieć przeszłości, wymyślili historyków. To prawda, ale trzeba walczyć o prawdziwy obraz historii
— mówi profesor Aleksander Krawczuk*



Fot. Mieczysław Więclawek

Profesor Aleksander Krawczuk — filolog klasyczny i historyk starożytności, autor wielu prac naukowych i ponad 30 popularnonaukowych, m.in. *Gajusz Jullusz Cezar; Cesarz August; Herod, król Judei; Neron; Wojna trojańska; Upadek Rzymu; Poczet cesarzy rzymskich; Poczet cesarzy bizantyjskich*. Popularyzator wiedzy o świecie antycznym w licznych programach telewizyjnych. Od 1949 r. pracownik UJ, członek Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa, Obywatelskiego Komitetu Ratowania Cmentarza Rakowickiego oraz Fundacji Kultury Polskiej, członek komitetów naukowych PAN, w latach 1986–1989 minister kultury i sztuki.

Marek Wilczyński:

Panie Profesorze, na początek pytanie bardzo „dziennikarskie”, pewnie zawsze Panu stawiane. Myślę, że czytelnicy „Konspektu” chętnie by się dowiedzieli jaka była Pana droga do starożytności.

Aleksander Krawczuk:

— Wszyscy mnie o to pytają, jakby to było coś nadzwyczajnego, niesłychanego — jakbym na przykład zajmował się... kulturą i językiem Buszmenów. Moja droga do starożytności prowadziła przez poznanie łaciny i zachwycenie się tym językiem, przez pierwsze samodzielne lektury autorów łacińskich, zwłaszcza Cezara. Krok za krokiem wiodło mnie najpierw ku filologii klasycznej, a skoro okazało się, że filologia klasyczna oznacza zajmowanie się językiem i autorami, a nie szerszą panoramą życia ówczesnego, zacząłem studiować historię starożytną zwłaszcza, pod kierunkiem profesora Ludwika Piotrowicza, któremu bardzo wiele zawdzięczam.

Czy nie kusiła Pana nigdy archeologia?

— Niestety, archeologia nigdy mnie nie kusiła, a jest to chyba związane z moim sposobem widzenia świata. Wciąż jestem filologiem w tym sensie, że większą wagę przywiązuję do języka. Język mnie zachwyca, język rozumiem. Archeolog jest kimś kto ma konkretny wizerunek — wyobraża sobie jak to wyglądało, gdzie to się działo. To jest słaba strona moich umiłowań świata antycznego. Interesowały mnie — język, literatura, instytucje polityczne, sprawy religii, natomiast archeologia jest gdzieś tam w tle.

Zatem traktuje ją Pan jako naukę pomocniczą historii?

– Tak, w całym tego słowa znaczeniu, tylko pomocnicza dla nas, a nie główna.

Zbliża się okrągła rocznica istnienia Instytutu Historii AP, w jego historii odegrał Pan rolę znaczącą. Jak Pan Profesor wspomina ten okres pracy?

– Bardzo dobrze wspominam! Z różnych powodów. Dzięki Instytutowi dane mi było przetrwać wiele ciężkich chwil. Nigdy nie byłem zatrudniony w WSP na cały etat, tylko na pół etatu, albo na godziny zleczone. Był taki okres w moim życiu, zresztą i w życiu całego społeczeństwa, że trzeba było walczyć o każdy grosz, wtedy pojawiła się Wyższa Szkoła Pedagogiczna, do której potem bardzo się przywiązałem. Jeżeli dobrze pamiętam, zajęcia na WSP otrzymałem po śmierci profesora Ludwika Piotrowicza w 1957 r. Pamiętam, że w 1958 r. prowadziłem je w budynku – a wiem dokładnie gdzie, bo patrzę na swoje związki ze Szkołą poprzez budynki – na rogu ówczesnych ulic Straszewskiego i Manifestu Lipcowego (dzisiaj Straszewskiego i Piłsudskiego), za czasów mojego dzieciństwa był to róg Straszewskiego i Wolskiej. Miałem też zajęcia w tak zwanym Pałacu Spiskim przy Rynku Głównym, w którym dzisiaj znajduje się Instytut Polonijny UJ, a potem już przy ulicy Podchorążych, w budynku zachwycającym wtedy swoją nowoczesnością, no bo my w Uniwersytecie bytowaliśmy w raczej „staroświeckich” warunkach.

Najważniejsze jest jednak z jakimi ludźmi się wtedy stykałem na popularnych wtedy zebraniach i naradach. To były czasy Józefa Garbacika, Mariana Tyrowicza, Adama Przybosia, Alicji Gradowskiej, Ignacego Zarebskiego, którzy szczególnie utkwili mi w pamięci. Moje związki z WSP trwały do lat 80., z przerwą spowodowaną wyjazdem do Rzymu, ale też i przerwą związaną z tym, że dostałem pół etatu w Rzeszowie, co było uciążliwe, ale z jakichś względów bardziej opłacalne. Zajęcia po mnie objął Stefan Skowronek, a potem dane mi było jeszcze wskazać

Marka Wilczyńskiego jako bardzo obiecującego i zdolnego. No i sprawdziło się.

Dziękuję i za wskazanie i za pochlebną opinię.

– Mile wspominam profesorów Feliksa Kiryka, Stanisława Grzybowskiego, nauczającą łaciny panią Gertner, no i całą plejadę innych osób. Przepraszam, jeśli kogoś pominąłem, ale w moim wieku ma się już prawo do luk w pamięci. Miło także wspominam studentów, którzy byli jacyś skromniejsi w porównaniu ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego, i nastawieni na to, że zostaną nauczycielami. Ale i tak wielu z nich zrobiło wspaniałe kariery naukowe, chociażby profesor Alojzy Zielecki, który był jednym z moich pierwszych uczniów jeszcze na Straszewskiego. Nie śledziłem losów wszystkich, ale wiem, że bardzo wielu zostało świetnymi pedagogami i pracownikami nauki, a nawet administracji państwowej. Miło wspominam atmosferę – sympatyczną, skromniejszą niż na Uniwersytecie, gdzie każdy student był właściwie zagadką.

Na Uniwersytecie i na WSP warunki materialne, jeśli chodzi o tak zwane pomoce naukowe, były tak odmienne od obecnych, że ja jestem pełen zdumienia i podziwu, że w ogóle potrafiliśmy sensownie badać i trochę nawet pisać nie mając właściwie do dyspozycji niczego. Marzeniem była maszyna do pisania. Większa była odpowiedzialność wykładowcy, bo zdawał sobie sprawę, że to co przekazuje, będzie bazą dla dalszych studiów. Dzisiaj zalewa nas literatura rozmaitego typu i na rozmaitym poziomie. Były kłopoty z lekturami, nawet jeśli były jakieś książki, to szare, ubogie, niepociągające. Prawie pół wieku temu w nauce musieliśmy uprawiać właściwie chałupnictwo, stawać na głowie, żeby zdobyć jakiś artykuł z prasy zagranicznej, jakieś nowe dzieło. Najgo-

Patrząc coraz krytyczniej, obiektywniej na przeszłość i na rozmaite prace dotyczące historii Polski, uważam, że nasza historia jest zafałszowana, nieprawdziwa i tendencyjna, ale z tymi mitami i stereotypami narodowymi nie walczę. Na szczęście nie muszę, nie chcę i boję się. Jest to coś przejmującego, że można tak widzieć własną historię – pod kątem potrzeb aktualnej chwili

rzej było w latach 50., potem stopniowo warunki ulegały poprawie, pojawiła się możliwość wyjazdów zagranicznych i sprowadzania książek. Od lat 70. było całkiem znośnie, ale i tak, jeśli chodzi o studentów, dostęp do książek, dobrych lektur pomocniczych był trudny, bo mało się ich ukazywało. Nie brakowało prac naukowych czy artykułów, ale książek dla studentów, podręczników było mało, i były nie- zbyt ciekawie pisane.

W czasach kiedy zaczynałem studiować dostępne już były książki Pana Profesora, które przybliżały zainteresowanym kulturę antyczną i historię starożytną.

— Dzisiaj oceniam je dość krytycznie, ale ktoś musiał zrobić wyłom. Jako jeden z pierwszych doszedłem do wniosku, że w trudnych warunkach — bo zniesiono naukę łaciny w szkołach, bardzo ograniczony był dostęp do literatury zagranicznej i nie tak łatwe podróże za granicę — przystępne przybliżenie tej epoki jest niesłychanie ważne dla społeczeństwa, a dla naszych związków z Europą jest wręcz obo- wiązką. Tej roli nie mogły odegrać prace czysto naukowe, których prawie nikt nie czyta. Powiedzmy sobie szczerze — dobra praca naukowa jest dla kilku, no może dla kilkudziesięciu osób. Natomiast książka przystępnie napisana, ze sporym bagażem infor- macji i wiadomości bywa czytana przez dziesiątki tysięcy osób, nie mówiąc już na przykład o audy- cjach telewizyjnych, które dosłownie docierają do milionów i „pod strzechy”.

Dzięki tym audycjom postaci antyczne stały się znane.

— Sam byłem zdziwiony, że ludzie tak bardzo inte- resują się starożytnością. Okazało się, że dla wielu te audycje były objawieniem innego świata. Słysze- li, że był Cezar, Kleopatra, Neron, Maraton, i nagle wszystko to stawało się bliższe. Nie przesadzając ze skromnością, bo taka nadmierna skromność grani- czy z hipokryzją, mogę powiedzieć, że sporo udało mi się zrobić. Można było lepiej i można było wię- cej... sam się przyznaję, że popełniłem wiele błędów zarówno rzeczowych jak i w sposobie ujęcia.

Ale ten tylko nie robi błędów, kto nic nie robi.

— Wracając do Akademii Pedagogicznej. Jest dla mnie bardzo miłe, że ta Uczelnia na moich oczach tak się rozwinęła. Jej byt był ciągle zagrożony, cią- głe pytało „po co dwie uczelnie, skoro jest Uniwer- sytet?” Okazała się i potrzebna, i pracująca owocnie, i bardzo rozwojowa. Nie jest bez znaczenia, że są dwie uczelnie humanistyczne w Krakowie, które ze sobą konkurują, rywalizują, a to jest zawsze zdro- we, zawsze potrzebne.

**Od roku 1896 trwa triumfalny powrót staro-
żytności poprzez olimpiady, poprzez sport.
To zmartwychwstanie świata antycznego.
A więc dokonana się rewolucja. Wróciliśmy
do antycznych ideałów także w życiu
codziennym. Dbano o ciało, schludność,
czystość, radowanie się ciałem i życiem, stro-
jem również — to przecież świat antyczny!**

***Wspomniał już Pan Profesor o usunięciu ze szkoły łaciny. Teraz wprowadza się kolejną reformę i kolejne cięcia. Czy brak znajomości łaciny nie prowadzi do ubo-
żnia i barbaryzacji naszego ojczystego języ-
ka? Czy nie szkoda tych treści, dla których w nowych programach nie ma miejsca?***

— Program nauczania historii starożytnej i łaciny w szkołach jest stale „przycinany”, co w moim prze- konaniu jest już całkowitym bezsens. Grecja i Rzym to ojczyzna wszystkich Europejczyków, stam- tąd jesteśmy i dążąc do jedności i wspólnoty Euro- py — nie tylko polityczno-gospodarczej — co jest nie- uniknione — musimy kłaść nacisk na to dziedzictwo kulturowe. Historia starożytna ma walor zupełnie szczególny, bo jest ponadnarodowa. Ktoś, chyba jeszcze w XIX w., powiedział, że w gruncie rzeczy historia jako nauka kończy się na upadku cesarstwa zachodniorzymskiego, potem są już tylko historie narodowe, a więc tylko publicystyka. Patrząc coraz krytyczniej, obiektywniej na przeszłość i na rozma- ite prace dotyczące historii Polski, uważam, że nasza historia jest zafalszowana, nieprawdziwa i tenden-

cyjna, ale z tymi mitami i stereotypami narodowymi nie walczyć. Na szczęście nie muszę, nie chcę i boję się. Wszystkie historie, wszystkich narodów są jakoś zafalszowane, ale nasza w sposób szczególny, oczywiście – ze względu na potrzebę „krzepienia serc”, rozbiory i tak dalej. Jest to coś przejmującego, że można tak widzieć własną historię – pod kątem potrzeb aktualnej chwili. Na szczęście ja nie muszę się tym zajmować. Natomiast mogę z całym przekonaniem mówić: „Chciecie traktować historię jako naukę? Proszę bardzo, studiujcie historię starożytną!” Ona jest i odległa i bliska. Można oczywiście zajmować się na przykład historią Chin, ale Chiny są obce naszemu życiu, a Grecja i Rzym są w nim stale obecne, z czego nie zdajemy sobie sprawy. Moja praca popularyzatorska polegała na tym, żeby uświadamiać ludziom, że starożytność jest wokół nas, tylko trzeba umieć patrzeć. Jest w języku, w zwyczajach, w prawie, w mitach, w literaturze, tylko my tego nie widzimy. Więc jeżeli się obecnie „przykrawa” program do potrzeb historii Polski tylko, zubaża się społeczeństwo i utrudnia życie przyszłym Europejczykom. Przecież ten przyszły Europejczyk ma bytować w wielu krajach, każdy z tych krajów ma swoją historię, swoją przeszłość, bardzo piękne tradycje, ale w każdym z tych krajów Maraton to jest Maraton, Homer to Homer, Cezar to Cezar. Kiedy podróżuje się po Europie, trzeba wiedzieć z czym kojarzy się Akropol, z czym Termopile, a z czym olimpiady. Od roku 1896 trwa triumfalny powrót starożytności poprzez olimpiady, poprzez sport. To zmartwychwstanie świata antycznego. Pan doskonale wie, bo Pan zajmuje się późnym antykiem, czym był fanatyzm stronnictw cyrkowych, a tak było przecież od VI w. p.n.e. Poeta Ksenofanes jako jeden z pierwszych zwracał uwagę na to, że czci się, wielbi i honoruje tylko zwycięzców w olimpiadach, a przecież: „moje słowa są ważniejsze, bo ja działam intelektualnie, bo ja coś robię dla społeczeństwa, dla swojego miasta, a tamci co? No, pobiegali, poskakali”. Zupełnie jakby się czytało dzisiejsze utyskiwania intelektualistów, że przecież to nauka buduje świat współczesny, twórcy oraz artyści, a nie ci którzy „dokopią komuś”. Zmartwych-

wstanie zainteresowania sportem dokonało się na naszych oczach! Pamiętam jeszcze dawne olimpiady – kto tam się przejmował nimi przed wojną? Berlińska miała bardzo duże znaczenie, była zrobiona ogromnym nakładem sił i kosztów, więc to imponowało, ale teraz? Przecież nie ma żadnej różnicy między światem współczesnym a światem antycznym, jeśli chodzi o rolę sportu czy higieny osobistej. A więc dokonała się rewolucja. Wróciliśmy do antycznych ideałów także w życiu codziennym. Dbalność o ciało, schludność, czystość, radowanie się ciałem i życiem, strojem również – to przecież świat antyczny!

Warto by więc może powrócić i do wspólnoty języka ludzi światłych – do łaciny?

– W tym miejscu muszę dodać Krawczukowi listek jeszcze do chwały jego – byłem jednym z tych, którzy wywalczyli w latach 70.–80. powrót łaciny do szkół, a nawet na pewien okres powrót greki – do Liceum Nowodworskiego i kilku innych. Wiem, że to nie spotkało się z entuzjazmem młodzieży, ale za to zostało dobrze przyjęte przez rodziców. Okazało się też owocne. Stało się to w biednym PRL-u. A teraz, kiedy powinno być rzeczą niesłychanie ważną, żeby łacina, która jest wszędzie uczona w Europie była i u nas obecna, ten dorobek jest marnowany. Łaciny trzeba się uczyć ze względów czysto praktycznych. Po pierwsze, na łacinie najlepiej się uczyć języka polskiego – poznaje się gramatykę, sposób funkcjonowania języka, zasady budowy zdań i tak dalej. Po drugie łacina, to jest klucz do właściwie wszystkich języków europejskich, z angielskim włącznie; kto zdaje sobie sprawę z tego, że połowa wyrazów angielskich jest bezpośrednio lub pośrednio wzięta z łaciny? To ogromnie ułatwia naukę każdego języka. Po trzecie wreszcie, łacina jest bardzo przydatna w pewnych konkretnych zawodach, jako, jeśli można tak powiedzieć, szlif językowy i umysłowy, ale również – ze względów oczywistych – dla historyka, ułatwia życie lekarzowi i prawnikowi. Więc znoszenie nauczania łaciny w szkole średniej jest zbrodnią.

W tej chwili coraz częściej, głównie na Zachodzie, pojawiają się grupy ludzi, pasjonatów, którzy chcą przywrócić łacinę jako język żywy. Czytuję takie strony internetowe, gdzie wypowiadają się współcześni „Rzymianie”. Czy Pan Profesor widzi taką szansę, żeby łacina odżyła?

– Trudno będzie! Pozornie trudno i niepotrzebnie, skoro angielszczyzna opanowuje świat. Jednakże wobec obecności tylu wyrazów łacińskich we wszystkich językach, przy minimalnym tylko dodatku gramatyki, jest to znacznie łatwiejsze niż ludziom się wydaje. Można korzystać z zasobu wyrazów łacińskich obecnych w każdym języku i konstruować w ten sposób (to jest bardzo ciekawe zadanie intelektualne) język zrozumiały dla zupełnie nawet niewykształconego człowieka. Bo motor to motor, kosmos to kosmos i tak dalej. Sądzę, że warto o tym myśleć; weźmy jako przykład hebrajszczyznę – odżyła i jest językiem zupełnie normalnym. Problemem jest tylko gramatyka, ale tę można uprościć. Można ograniczyć gramatykę, oczywiście nie całkiem, bo ona pojawi się na różnych poziomach strukturalnych, ale jeśli chodzi o potrzeby porozumiewania się. Byłby to bardzo ciekawy eksperyment i powstrzymałby napór angielszczyzny, który ma dobre i złe strony.

O tym, że można się posługiwać łaciną nie dochowując wierności gramatyce świadczy literatura późnoantyczna i częściowo średniowieczna.

– Tak, w pewnym sensie. Ona była wprawdzie niby w niezgodzie z normami klasycznymi, ale była też bardzo skomplikowana, bombastyczna, retoryczna – to nie jest łatwa łacina. Łacina średniowieczna jest bardzo trudna, ma swoje słownictwo. Sądzę, że to nie jest dobry przykład. Oczywiście było wspaniale w tych czasach, gdy człowiek na każdym uniwersytecie porozumiewał się po łacinie, no i to właśnie może powrócić. Nie uważałbym tego za jakieś dziwactwo. Jest w Warszawie grupa osób, które tłumaczył Tolkienu na łacinę. Już dawno przetłumaczono

na łacinę np. *Kubusia Puchatka*. Z hobbistycznych i zabawnych pomysłów, z takich skromnych początków wyrastają czasem wspaniałe drzewa.

Przywołał Pan Profesor opinię dziewiętnastowiecznych uczonych, że starożytność kończy się wraz z upadkiem cesarstwa zachodniorzymskiego. Czy rzeczywiście? Ostatnio z ust wybitnego historyka, znawcy historii najnowszej, usłyszałem, że V/VI w n.e., okres wędrówki ludów to nie jest już starożytność. Poczulem się trochę zaniepokojony, ponieważ badawczo zajmuję się właśnie tym okresem, a równocześnie jako historyk wykształcony pod Pana opieką uważałem się zawsze za starożytnika. Czy rzeczywiście w 476 r. coś ważnego się stało, bo z punktu widzenia formalnego, to przecież nie upadek, a zjednoczenie cesarstwa. Wszak jeden cesarz przejął władzę nad całym pozostałym jeszcze w rękach rzymskich terytorium na Wschodzie i Zachodzie. Odoaker uznał zwierzchność cesarza Zenona i funkcjonował jako cesarski urzędnik i magister militum Zachodu. No więc jak to było z tym przełomem i kiedy starożytność się kończy, jeżeli w ogóle się kończy?

– Właśnie, nigdy się nie kończy. W rozmaitych formach ona trwa. Zbytnią wagę przywiązujemy do pewnych przejawów życia polityczno-administracyjnego. Proszę sobie wyobrazić – rok 476, ten mały Romulus August idzie na przedwczesną emeryturę, ale jemu ktoś tę emeryturę wypłaca, a to znaczy, że istnieje ciągłość pewnych instytucji, pewnych zasad prawnych. Coś się skończyło, ale nic w całości nie uległo przerwaniu. Przyszli barbarzyńcy, ruina miast, ale tam, w tych miastach, rzeczywiście zubożonych, wyludnionych, jacyś rzemieślnicy dalej pracują, są nauczyciele, pozostały kościoły, urzędnicy, kupcy. Dla mnie ważni są właśnie ci nadal pracujący, jak to było przez wieki, rzemieślnicy i kupcy. Kiedyś za Renem w Saarlandzie ktoś pokazywał mi winnicę jeszcze z czasów rzymskich. Jest jednak faktem,

że od Konstantyna Wielkiego trwa kryzys antycznych ideałów życia i obyczajów związany ze zwycięstwem chrześcijaństwa. Dzisiaj traktujemy chrześcijaństwo jako triumf porządku, dobra, kultury. Kładziemy nacisk na rolę cywilizacyjną chrześcijań-

Dziwię się, że wielu uważa, iż w Polsce dzieje się coś strasznego. To tylko odrodzenie się stylu politykowania z XVIII wieku, typowe polskie warcholstwo! Na jaw wychodzą przywary narodowe, to nie dotyczy demokracji. Demokracja ateńska była tak samo ohydna jak obecna

stwa. Ona owszem występowała w krajach takich jak Polska, bo tam ta religia wносиła coś zupełnie nowego. Chrześcijaństwo antyczne, to zwycięskie, z IV, V, VI wieku, niewiele miało wspólnego z chrześcijaństwem obecnym. W tym świecie kultura była potrzebna tylko o tyle, o ile pomagała w studiowaniu Pisma Świętego i kształtowaniu osobowości w duchu chrześcijańskim. Sztuka mogłaby w ogóle nie istnieć, wiadomo przecież, że pierwotne chrześcijaństwo nie znosiło żadnych wizerunków, a nawet je niszczyło, i to masowo. Gdyby chrześcijanin, powiedzmy z III lub IV wieku, zmartwychwstał i przeszedł się po Rzymie obecnym, zapewne uznałby, że zwyciężyło pogaństwo. Różne przejawy życia codziennego dalekie są od tych, które on uważałby za chrześcijańskie. Przecież chrześcijaństwo antyczne uważało za niegodne nie tylko walki gladiatorów, ale również przedstawienia teatralne. W czasach średniowiecznych aktorzy byli poza nawiasem społeczeństwa, odmawiano im nawet chrześcijańskiego pochówku. Dziś jest inaczej, tamten świat był zupełnie inny. Inna sprawa to stosunek do społeczeństwa i państwa. Polecam lekturę *Rozmyślań* Marka Aureliusza i *Wyznań* św. Augustyna, które pozwalają poznać osobowość, psychikę i myśli rzymskiego cesarza z II w. oraz stoika z wieku IV. Okazuje się, że dla Marka Aureliusza najważniejszy był obowiązek wobec rodziny, społeczeństwa, państwa, a nie myśli o nieśmiertelności duszy. Natomiast św. Augustyn zajmuje się wyłącznie sobą. Dla niego ważna jest tylko jego dusza i to czy nie pobiłdzit

w swoich przekonaniach, nie złamał jakiegos przykazania. Dla niego państwo i społeczeństwo to coś, co bytuje tylko z konieczności, ale w zasadzie nic go nie obchodzi, o czym potężnym głosem mówi potem w *De civitate Dei*. Gibbon przypisywał chrześcijaństwu dużą rolę w upadku świata antycznego. Dzisiaj uważam, że miał rację. Chrześcijaństwo zniszczyło pewien stosunek do rzeczywistości społecznej, taki który widać u Marka Aureliusza. Trzeba tu być! Uczestniczyć – no trudno, nie jest to doskonałe, ale ja muszę walczyć o to, żeby trwało to co dobre, a zwalczać to, co złe w tym społeczeństwie – i nie za bardzo przejmować się swoją duszą, bo i duszy będzie lepiej, jeśli ja coś zrobię dla tej konkretnej społeczności. Niestety, to zostało zniszczone. Chrześcijaństwo przyniosło zupełnie inny stosunek do państwa. Bertrand Russell zauważył, jak nieprawdopodobny wysiłek genialnych umysłowości schyłku starożytności poszedł na te wszystkie absurdalne dysputy teologiczne, wobec których dzisiaj stajemy bezradni, np. Theotokos – Christotokos. Jest wysoce prawdopodobne, że gdyby tylko część tego wysiłku zwrócono w innym kierunku – powiedzmy, na doskonalenie możliwości techniczno-organizacyjnych, to imperium by przetrwało. Myślę, że Gibbon ma rację. Jakiś ksiądz opublikował niedawno książkę o Julianie Apostacie. Czytając ją zdębiałem natrafiając na określenie „pocziwy Gibbon”. Człowiek, który stworzył nowożytną historiografię świata antycznego, ten człowiek zawił tym, że nie wielbił ówczesnego chrześcijaństwa i zwrócił uwagę na to, że chrześcijaństwo miało swój udział w upadku świata antycznego. Oczywiście można dyskutować – czy większy, czy mniejszy – ale nie można temu przeczyć. To jest fakt! Utwierdzam się w tym przekonaniu.

Przypadki zaciętrzewienia religijnego występowały nie tylko w czasach antyku, ale występują też obecnie i czasami mimo wszystko zadają sobie pytanie, czy w polityzmie byłoby to możliwe?

– Zawsze podkreślam, że ten świat antyczny, którym obaj się zajmujemy, był potworny. Ciągłe

wojny, niewolnictwo, okrutny wymiar sprawiedliwości, brak litości dla ludzi, ale jednego tam nie ma – wojen religijnych! My teraz zdajemy się zmierzać ku temu antycznemu politeizmowi, ale bardzo okreśną drogą, którą jest ruch ekumeniczny. I jest to odrodzenie się świata antycznego. Można walczyć – i tak jest od czasów najbardziej prymityw-

Nie ma większej różnicy między starożytnością, a czasami nowożytnymi. To co jest bardzo ważne w każdej demokracji, co było obecne w demokracji ateńskiej i na szczęście jeszcze jest także w naszej rzeczywistości, to wolność słowa. Arystofanes rzeczywiście w sposób niemiłosierny wręcz gnębił i wyszydzał polityków. Robił to na poziomie pisma „Nie”, które prawie wszyscy czytają, ale nikt się do tego nie przyznaje. To ten sam język — nazywanie rzeczy po imieniu zawsze działa ożywczo. Jest więc podobnie jak w starożytności. Bolesne są tylko przykłady odradzania się warcholstwa polskiego, tego, które zgubiło pierwszą Rzeczpospolitą

nych hord – o ziemię, pożywienie, kobiety, to jest zrozumiałe biologicznie, ale niezrozumiała jest walka w imię niby to odmiennych idei i wyobrażeń Boga, w imię jakichś zupełnie przypadkowych sformułowań w rodzaju „filioque”. Starożytni też mieli swoje kłopoty z religią. Właśnie Lukrecjusz powiedział: *tantum religio potuit suadere malorum* – religia może spowodować aż tyle złego, a on nie znał jeszcze wojen religijnych!

Ostatnio jednak obserwujemy jednak swoisty renesans zainteresowania późnym antykiem. Jak Pan Profesor sądzi, jaka jest przyczyna tego nasilającego się zjawiska?

– W świecie, czy w Polsce?

I tu i tu.

– Są oczywiście różne przyczyny. W pewnym momencie okazało się, że jest to dziedzina trochę zaniedbana, a jest to pole dla interesującej eksplo-

racji. Zdano sobie sprawę z tego jak wielkie znaczenie w dziejach ludzkości miał akurat ten okres załamania się cywilizacji i kształtowania nowej. W Polsce pewną rolę odegrało i to, że schyłek świata antycznego, to okres, w którym wielką rolę odgrywa chrześcijaństwo. W wielu kręgach zajmowanie się chrześcijaństwem padło na podatny grunt z powodu wydarzeń politycznych w Polsce: ponieważ prześladowało się kiedyś Kościół, teraz trzeba „nadrobić” straty. Czasem jest to też dobrze widziane. Jeśli w czasach mojej młodości należało zajmować się historią gospodarczą, to teraz wypada się zajmować późnym antykiem i chrześcijaństwem. Łatwiej też uzyskać finansowe wsparcie ministerstwa na druk publikacji.

Tu nasuwa się jeszcze jedno pytanie. Dawna polityka starożytnych i dzisiejsza scena polityczna. Przyznam, że ze zgrozą obserwuję dyskusje naszych polityków i zastanawiam się czy niektóre sztuki Arystofanesa nie stanowiłyby idealnych kulis dla naszej rzeczywistości.

– Nie, nie! Dziwię się, że wielu uważa, iż w Polsce dzieje się coś strasznego. To tylko odrodzenie się stylu politykowania z XVIII wieku, typowe polskie warcholstwo! Na jaw wychodzą przywary narodowe, to nie dotyczy demokracji. Demokracja ateńska była tak samo ohydna jak obecna. Każdy chwyt w polityce był, jest i będzie dozwolony. Korupcja, głupota były i wtedy powszechne. Temistokles, który ocalił Ateny, Grecję, świat zachodni, został potem oskarżony, że jest agentem perskim i skazany na śmierć, a z kolei Sokrates stracił życie, bo był dokuczliwym staruszką, który udowadniał wszystkim, że są głupi. Oskarżenie zarzucało mu także deprawowanie młodzieży i sekciarstwo. Dziś też zostałby skazany. Kara była wprawdzie surowa, ale to tylko na pozór, ponieważ w Atenach z łatwością mógł się od niej wykupić; on uparł się, żeby umrzeć. Może uważał, że w ten sposób stworzy swoją legendę? Nie ma większej różnicy między starożytnością, a czasami nowożytnymi. To co jest bardzo ważne w każdej demokracji, co było obecne

w demokracji ateńskiej i na szczęście jeszcze jest także w naszej rzeczywistości, to wolność słowa. Arystofanes rzeczywiście w sposób niemiłosierny wręcz gnębił i wyszydzał polityków. Robił to na poziomie pisma „Nie”, które prawie wszyscy czytają, ale nikt się do tego nie przyznaje. To ten sam język – nazywanie rzeczy po imieniu zawsze działa ożywczo. Jest więc podobnie jak w starożytności. Bolesne są tylko przykłady odradzania się warcholstwa polskiego, tego, które zgubiło pierwszą Rzeczpospolitą. Moją ostatnią, autobiograficzną książkę *Polska za Nerona* rozpoczynam zdaniem, że kiedy bogowie spostrzegli, że nawet oni nie mogą zmienić przeszłości, wymyślili historyków. To prawda, ale trzeba walczyć o prawdziwy obraz historii.

Napisał Pan mnóstwo książek, czy jest wśród nich ta najmiłsza sercu?

– Nie ma najmiłszej, kilka uważam za dobre. Cenię *Juliusza Cezara*, ponieważ to od niego wszystko się zaczęło. Uważam, że dobrymi książkami są *Cesarz August*, *Neron*, choć dzisiaj bym napisałbym je ostrzej. Niezły jest także cykl „Rzym, Kościół, cesarze”, to znaczy *Konstantyn Wielki*, *Ród Konstantyna* i *Julian Apostata*. Zwłaszcza jeśli chodzi o Juliana Apostatę usiłowałem przedstawić go prawdziwie. Nie był przecież żadnym apokryfem, bronił wiary ojców, tak jak dzisiaj nasi działacze z Ligi Polskich Rodzin. Miał dobrą ocenę rzeczywistości, wiedział że nie można antycznego stylu życia, religii i poglą-

dów wyrzucić, ot tak, za burtę, bo musi to przynieść coś złego dla państwa.

A czy jest jeszcze książka planowana, wymarzona, która ewentualnie mogłaby powstać?

– Nawet powstaje, pod tytułem *Rozmowy z Petroniuszem*. Takie rozmowy byłyby zresztą możliwe. Dzisiaj na pewno nikt z nas nie znalazłby wspólnego

języka z chrześcijaninem z czasów Nerona, on czekałby na przyjście Pana i nic by go poza tym nie obchodziło. Gdyby Petroniusz zmarł, napisałby się z nami kawę i podjął rozmowę, na przykład

o najnowszych poglądach fizyków na budowę materii. Moglibyśmy z nim porozmawiać na każdy właściwy temat i na pewno byłby cudownym kompanem. Co więcej, wnioskowałby świeże spojrzenie na wiele spraw.

Czekamy więc niecierpliwie na „Rozmowy z Petroniuszem”. W imieniu czytelników „Konspektu” dziękuję za bardzo ciekawą rozmowę, a we własnym dodatkowo za to, że dzięki temu, że kiedyś otoczył mnie Pan opieką jako swego ucznia udało mi się już „rozmawiać” z wieloma ciekawymi przedstawicielami czasów antycznych, choć rozmów tych chyba nigdy nie można być sytym.

Rozmawiał Marek Wilczyński



Marek Wilczyński i Aleksander Krawczuk



Węże z pola wykopaliskowego w Tell Atrib

Stefan Skowronek

Ku starożytności

Podczas długich lat pracy spotkałem na drogach nauki wspaniałych ludzi. Rozmowy z nimi, słuchanie ich słów, lektura ich prac, przynosiły mi zawsze najwyższą radość i satysfakcję. Wielu z nich już niestety odeszło. Szczególnie bliskie więzy przyjaźni łączyły mnie z wybitnym historykiem sztuki i muzeologiem, profesorem Zdzisławem Żygulskim. Obaj po zawierusze wojennej w 1945 r. znaleźliśmy się w Krakowie. On opuścił swój Lwów, ja natomiast Przeworsk, miasta leżące zresztą na tej samej linii łączącej się z Krakowem. Zdzisław (zwany przez kolegów Itkiem) przybył do „polskich Aten” dla podjęcia studiów anglistycznych i historii sztuki, ja dla poznania „calokształtu” wiedzy o starożytności. Ku zatrwożeniu moich rodziców ta starożytność długo mnie dręczyła sprawiając dużą trudność w wyborze odpowiedniej dyscypliny studiów. Jeszcze w moim przeworskim liceum, gdzie uzyskałem świadectwo dojrzałości, ciągle nam przypominał nauczyciel historii, wywodzący się z katedry historii starożytnej profesora Konstantego Chylińskiego w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, że „kultura przeworska” to wielkie zjawisko w naszych pradzie-

jach. Zwracał uwagę na tkwiące w niej elementy celtyckie, wpływy prowincjonalno-rzymskie itd., co było często trudne do pojęcia dla młodych głów, ale potrafił w jakiś sposób przykuć naszą uwagę, podsunąć z własnej biblioteki lekturę i wszczerzyć bakcyła, który trapi mnie do dziś. Podobnie było też z polonistą, romanistą, germanistą, a zwłaszcza z filologiem klasycznym. On, podobnie jak historyk, był wcześniej asystentem w Uniwersytecie Jana Kazimierza, w katedrze hellenistyki profesora Ryszarda Ganszyńca, uczonego wielkiej sławy. Jeszcze w przeworskim liceum zachwycił mnie, pod wyraźnym wpływem mojego nauczyciela, dramat grecki, jego istota i głębia. Huczało w głowie. Wraz z licealnymi koleżankami i kolegami realizowaliśmy swoje fascynacje antykiem w szkolnym teatrzyku.

Mój kontakt z Krakowem był niezwykle. Kraków przypadł mi głęboko do serca po pierwszych krokach na „kocich łbach” Rynku. Kocham to miasto i nie zmienilibym na inne, a kusiły przecież różne miasta zarówno w Europie, jak też w innych częściach świata podczas moich późniejszych wędrówek. Przez długi czas wydawało mi się, że chodzę po wielkiej scenie, a otaczają mnie dekoracje ze swoją iluzoryczną przeszłością. I wreszcie długo oczekiwane spotkanie z prawdziwym teatrem. Oczywiście z Teatrem im. Juliusza Słowackiego, który był wówczas w Polsce sceną wiodącą. Oglądałem takie inscenizacje jak *Ucie-*



Stefan Skowronek

kla mi przepióreczka, Zemsta, Wesele, Judasz z Kariotu, Pygmalion, Fantazy z najwybitniejszymi aktorami. Tu była ich kuźnia: Zofia Rysiówna, Jadwiga Żmijewska, Ludwik Solski, Karol Adwentowicz, Jan Kurnakowicz, Antoni Fertner, Jerzy Leszczyński, Władysław Woźnik, Waclaw Nowakowski, Zdzisław Mrożewski, Eugeniusz SolarSKI i nade wszystko Juliusz Osterwa. Do dziś słyszę głos Juliusza Osterwy, tego największego polskiego artysty. Głos niezapomniany, oddający polską mowę w jej najlepszym kształcie. Na spektakle Juliusza Osterwy chodziłem po kilkanaście razy, na przystępną dla studenckiej kieszeni „jaskółkę”, usytuowaną w bocznej części III piętra widowni. Nie wiem jak utkwiły mi w głowie całe trudne do zapamiętania tyrady mistrza słowa i scenicznego gestu: „...Hamadryjady, Laokonty, Pysle w ojca Adama przenajświętszym stroju”. Ale Pan Juliusz, czarodziej niezwykle, fantastycznie operujący głosem na scenie „w dwadzieścia kroków wzdłuż i w szerz” to wszystko zdziałał, że wracałem do domu studenckiego Stary Żaczek, przy Al. 3 Maja, nieprzytomny, z gorączką, rozpalony ponad granice wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Tu oczekiwał na mnie mój współmieszkaniec, Wojtek Niedziałek, student prawa i słynny tatarnik, który wysłuchiwał szczegółowej relacji z pobytu w teatrze. Czasem przenosiliśmy dyskusje w plener podczas naszych górskich eskapad.

Wszystkiego było za mało w osobiwym jakimś nienasyceniu. Chciałem poznać teatr od jego wnętrza i wejść w problematykę reżyserii dramatu. Po krótkiej prezentacji komisji kwalifikacyjnej „watorów” mojej prowincjonalnej, przeworskiej wymowy i wschodniego jej przyśpiewu, uczęszczałem do Studium Dramatycznego w Kamienicy Raczyńskich (załazek przyszłej Wyższej Szkoły Teatralnej przeniesionej później na ul. Starowiślną i następnie na ul. Straszewskiego). Studium to znajdowało się za mojej młodości naprzeciw Teatru im. Juliusza Słowackiego, na rogu ul. Szpitalnej i Pijarskiej. Do dziś spoglądam w tym kierunku Aleksander Fredro z pomnika ustawionego na skwerku, ale niestety Kamienicy Ra-

czyńskich patronuje już od lat inna instytucja. W Studium Dramatycznym wśród jego uczestników: Tadeusz Łomnicki, Adam Hanuszkiewicz, Halina Mikołajska, Aleksandra Ślaska. Tak się dziwnie moje losy ułożyły, że dość regularnie spotykałem się na zebraniach *privatissimum* w popołudniowe czwartki właśnie z rodziną Osterwów, przy ul. Pijarskiej 5, gdzie znajdowało się ich mieszkanie. Z panią Matyldą z Sapienhów (żoną pana Juliusza) pracowaliśmy w pewnym okresie mojej biografii w Muzeum Narodowym, w tym samym gabinecie, a pracę inwentaryzacyjną zamienialiśmy często na konwersacje w języku francuskim, niemieckim, angielskim. Pani Matylda знаła te języki na wylot, a ja dla swojego użytku dopiero je szlifowałem pod kierunkiem uroczej muzealnej koleżanki. Owym konwersacjom przysłuchiwał się



Prof. Kazimierz Michałowski i Rais Hameda omawiają program dnia zwykle słynny Bzik (piesek Osterwów) i niespokojnym warczeniem reagował na pewne zgrzyty angielskiej fonetyki. Do dziś trzymam w domu jak najświętszą relikwię książki podarowane mi przez panią Matyldę ze znakami Pana Juliusza i z zabawnymi dedykacjami wyrażonymi w trzech językach jednocześnie. *Habent sua fata libelli*.

O młodości, jako żeś daleko, a to wczoraj prawie wczoraj. Myślę w tym miejscu również o systematycznym uczęszczaniu na wieczory autorskie Leopolda Staffa i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, uwielbianych przeze mnie poetów, których nie tylko oglądałem z bliska, ale też wiodłem dyskusje. Wyda-

je się dzisiaj, iż był to jedynie sen, a jednak rzeczywistość zdarzenia owe w Krakowie mojej młodości stanowiły nieodłączny element życia studenckiego.

Program studiów wyższych wszelkiego typu oferowano w omawianym czasie tak bardzo „odchudzany”, że mieliśmy czas na wszystko. Zatem dla realizacji moich zamierzeń dotyczących zdobywania „całości” wiedzy o starożytności zapisałem się (nie wymagano egzaminów wstępnych) w Uniwersytecie Jagiellońskim, po uprzednim zakupieniu indeksu u „janitora” w Collegium Novum, na filologię klasyczną. Oprócz tej dyscypliny studiowałem równolegle, choć w istocie kolejno, historię i archeologię. Będąc słuchaczem wymienionych kierunków miałem możliwość odbywania studiów u niepospolitych profesorów, zaliczanych do najwspanialszych pereł polskiej humanistyki. Studia filologiczne u profesorów Tadeusza Sinki, Seweryna Hammera, Gustawa Przychockiego, Stanisława Skiminy, Ryszarda Ganszyńca, Jerzego Schnaydra i Jana Safarewicza; historię u profesora Ludwika Piotrowicza; archeologiczne u profesorów Stanisława Jana Gąsiorowskiego i Ka-



Stefan Skowronek w czasie podróży Nilem

zimirza Bulasa. Słuchałem pilnie rewelacyjnych wykładów o Kartezjuszu i Husserlu profesora filozofii Romana Ingardena oraz wykładów o Platonie Wincentego Lutosławskiego, na które schodził się cały młody Kraków. Pełniłem kolejno funkcję asystenta w katedrze historii starożytnej u profesora

Ludwika Piotrowicza, razem z Aleksandrem Krawczukiem i Tadeuszem Zawadzkiem. Funkcję asystenta pełniłem też w katedrze hellenistyki u profesora Tadeusza Sinki

razem z Romanem Turasiewiczem. Z całą satysfakcją podkreślam, że koledzy, z którymi odbywałem asy-



Prof. Kazimierz Michalowski na szczycie Komu w Tell Atrib

stentury, zaliczają się do najwybitniejszych polskich uczonych, a niektórzy zatrudnieni są dziś jako profesorowie na renomowanych obcych, zagranicznych uniwersytetach.

Przez kilkanaście lat pracowałem w Muzeum Narodowym w Krakowie zaangażowany z delegacji profesora Ludwika Piotrowicza dla uporządkowania zbiorów monet starożytnych i sporządzenia inwentarza naukowego zarówno kolekcji Muzeum Narodowego, jak też należącego doń wówczas Muzeum Książąt Czartoryskich. Profesor Piotrowicz powierzył mi w końcu swoje własne zbiory do opracowania, co uważałem za szczególną nobilitację. Zatrudniony zostałem też z czasem do prowadzenia zajęć z nauk pomocniczych archeologii w Uniwersytecie Jagiellońskim w Zakładzie Archeologii Śródziemnomorskiej, kierowanym po odejściu profesora Stanisława Jana Gąsiorowskiego przez profesor Marię Ludwikę Bernhard, która przybyła do Krakowa z Uniwersytetu Warszawskiego. Oprócz zajęć dydaktycznych uczestniczyłem w innych jeszcze pracach Instytutu Archeologii, którymi kierowali kolejno profesor Rudolf Jamka i profesor Kazimierz Godłowski. Na wniosek profesora Godłowskiego, nieocenionego ducha opiekuńczego krakowskiej archeologii, wziąłem udział w moich pierwszych zagranicznych badaniach terenowych, w Bułgarii w dolinie Strzemesznicy. Opracowywałem ciągle jakieś recenzje prac archeologicznych oddawanych do druku, a także inwentaryzowałem zbiory Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dodać pragnę z dumą i to zawsze podkre-

ślam, że wśród moich słuchaczy znajdowali się, wówczas studenci, wybitni dziś polscy archeolodzy, Joachim Śliwa, Janusz Ostrowski, Krzysztof Ciałowicz i Ewdoksja Papuci, z pochodzenia Greczynka, tworzący obecnie trzon zespołu profesorów Instytutu Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dzięki pozytywnej opinii polecającej profesor Marii Ludwiki Bernhard, która była osobą szczególnie wymagającą, ale wyrozumiałą i z sercem na dłoni, nawiązałem ściślejsze kontakty z Uniwersytetem Warszawskim i polskim archeologiem światowej sławy profesorem Kazimierzem Michałowskim. Profesor kierował wówczas Katedrą Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego, jak też założonym przez niego Zakładem Archeologii Śródziemnomorskiej Polskiej Akademii Nauk i Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze. Fakt spotkania z tym uczonym miał kluczowe i najistotniejsze znaczenie dla mojej przyszłości. Po prostu realizowały się kolejno moje marzenia naukowe, graniczące w początkach z niemożliwością spełnienia. Zaczęło się od wyjazdów na seminaria profesora Michałowskiego do Warszawy, prezentacji własnych myśli i ich częstej korekty. Profesor – i jest to paradoksalne z uwagi na jego zajęcia – miał ciągle czas dla mnie. Był nieocenionym doradcą, cechowała go prostota i skromność, ale też niezwykła intuicja, wskazująca, co jest dla nauki ważne, a co jakimś przywidzeniem. To za sprawą profesora Bernhard i profesora Michałowskiego zobaczyłem świat archeologii nie jak dotąd z perspektywy gabinetu muzealnego i uniwersyteckiego, lecz przez obcowanie z autentyczną na polu wykopaliskowym starożytnością i tę starożytność mogłem dotknąć.

Nastąpiły systematyczne wyjazdy w realny świat antyku. Pierwsze w życiu loty samolotem (bynajmniej nie wygodnym odrzutowcem, lecz przestarzałym dwusilnikowym brytyjskim Convairem – z demobilu) do Aten, kontakty z Ecole Française d'Athènes, wyjazdy do Kairu dla wzięcia udziału w pracach Polskiej Stacji Archeologicznej oraz demontażu świątyń nubijskich w Debot, Dakka. Zdążyłem jeszcze oglądać sterzące z wody szczyty pyłonów świątyni Izdy na wyspie File, przed zakoń-

zeniem budowy Wielkiej Tamy Asuańskiej. Nastąpiła współpraca z American School of Luxor, udział w wykopaliskach w Tell Atrib w Delfie Nilu. Dość dodać, że Tell Atrib to pozostałość po jednym z najsławniejszych miast starożytnego Egiptu. Greckie Athribis, staroegipskie Hut-ta-heri-ib, miejscowość, która aż do momentu nadania jej nazwy arabskiej, utrzymała w źródłosłowie swoje pierwotne brzmienie. Wreszcie pobyt w wymarzonej Aleksandrii. Przecież to jedno z największych miast starożytności, stolica Ptolemeuszów, emporium handlowe ówczesnego świata, słynące z kultywowania nauk, sztuk i literatury pięknej, stanowiące przedmiot podziwu zarówno zdobywców rzymskich jak i później arabskich. Tu, gdzie architekci wbijają słupy fundamentów nowych budowli we współczesnych osiedlach mieszkaniowych, dosłownie „tryskają” fontanny starożytnych mozaikowych kostek. W Aleksandrii nastąpiło odkrycie na Kom el Dikka słynnych łaźni rzymskich i cystern na wodę. Byłem też świadkiem wyłonienia się w ciągu prac pięknego marmurowego teatru. To ostatnie „odsłonięcie starożytności” jest niewątpliwie jednym z największych osiągnięć polskiej archeologii. W kolejności opracowywałem materiał z syryjskiej Palmyry, która dziś jeszcze oczarowuje wspaniałością swoich ruin, niepowtarzalnym charakterem sztuki łączącej w sobie pierwiastki hellenistyczno-rzymskiego Zachodu, jak i partyjskiego Wschodu. Materiał wskazany mi przez profesora do opracowania to odkryty w pobliżu Tetrapylonu skarb złożony z kilkunastu złotych monet wczesnobizantyjskich oraz biżuterii, niezwykle wyrafinowanej. Dość dodać, że fakt jego odkrycia sprowadził do obozu polskiego najazd turystów z Damaszku. Wśród nich zna-



Tanis w delfcie Nilu

leżli się tak dostojni goście jak ówczesny premier Indii Jawaharlal Nehru i jego córka Indira Gandhi, którzy przez Damaszek wracali z Europy do swojego kraju. Inny jeszcze materiał, dany mi do opracowania, pochodził z Nea Pafos na Cyprze, typowego stanowiska z kręgu klasycznej kultury grecko-rzymskiej. Nea Pafos założone pod koniec IV w. p.n.e. na południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy było w starożytności miejscem pielgrzymek dla złożenia hołdu Afrodycie. To bóstwo miłości miało bowiem wyłonić się z piany morskiej przy pobliskich skałach i w Palea Pafos (Stare Pafos) posiadało swoją świątynię. Obecnie Nea Pafos obejmują pola uprawne z zachowanymi reliktnymi murów, teatru i grobowców kutyh w skałach. Na omawianym



Stefan Skowronek z Raisem Hamedą

stanowisku natrafiła polska ekipa na sporą ilość srebrnych monet Aleksandra Wielkiego i cały zespół rzeźb greckich, m.in. posąg boga zdrowia Asklepiosa. Zwracają też uwagę odkryte mozaiki; najciekawsze z nich to mozaika przedstawiająca Tezeusza walczącego z Minotaurem i Ariadnę spoglądającą na owe dwie postacie; inna mozaika ukazuje kąpiel Achillesa w towarzystwie rodziców bohatera, Peleusa i Tetydy oraz trzech Parek snujących los dziecka.

Podkreślić jeszcze raz pragnę, że wśród osób, które spotkałem na swojej drodze ku starożytności, profesor Kazimierz Michałowski jest właściwym sprawcą moich fascynacji pozostając w pamięci jako wzorzec uczonego oddanego bez reszty poszukiwaniom prawdy w zabytkach kultury antyku.

Dydaktykę, która jest moją ulubioną dziedziną, uprawiam w Akademii Pedagogicznej w Krakowie do dziś, a to dzięki jej rektorowi profesorowi Michałowi Śliwie, kiedyś mojemu słuchaczowi. Do Uczelni

tej przygląnałem od dawna. Oprócz „wewnętrznych” potrzeb pociągnęły mnie ku dydaktyce niektóre indywidualności: profesor Feliks Kiryk, który jest animatorem wielkiego programu badań osadniczych, przemian gospodarczo-społecznych i kulturalnych. Stosuje w tym względzie bardzo mi odpowiadającą nowoczesną metodologię badań zespołowych i interdyscyplinarnych. Z innych indywidualności to

profesor Zenon Uryga, który zajmuje się interesującymi mnie mechanizmami procesu kształcenia literackiego oraz metodologią badań tego kształcenia. Szczególną wdzięczność żywię do profesora Bolesława Farena, który jako ówczesny rektor zaangażował mnie jeszcze do Wyższej Szkoły Pedagogicznej i dopomógł poczuć się w niej jak u siebie

w domu. Dzisiaj jako dyrektor Instytutu Filologii Polskiej umożliwia prowadzenie zajęć dydaktycznych z umiłowanej literatury antyku. Podobną życzliwość odczuwam ze strony profesora Ludwika Mroczy, dyrektora Instytutu Historii. Dzięki profesorowi Mroczy mogę realizować swoje archeologiczne spotkania ze studentami.

Verba volant... Zakończę je przesłaniem, którego część przedstawiłem na początku mojego wyznania: Sądzę dziś po latach spotkań ze wspomniałymi ludźmi, że pracę uczonego powinna zawsze charakteryzować nieograniczoność i bezinteresowność. Ta praca bowiem sama się sobą żywi i sama się nagradza. Wymaga jednak trwałego śladu i przekazywania wiedzy innym. Z natury bowiem dążą do wiedzy wszyscy ludzie — „pantes anthropoi tu eidenai oregontai phsei” — jak stwierdza w swojej *Metafizyce* Arystoteles.

Stefan Skowronek

Fotografie Waldemar Szwejkowski

Egipskie pasje

Rok 1995 rozpoczął się dla mnie dość ekscytująco – poznałem dr Hannę Szymańską i Krzysztofa Babraję, pracowników krakowskiego Muzeum Archeologicznego, którzy w tym czasie zajmowali się badaniem mumii egipskiej kapłanki Iset Iri Hetes, znajdującej się w zbiorach Muzeum. Wspólne spotkania i rozmowy na pasjonujący nas temat mumifikacji ludzi w starożytności doprowadziły do zadzierzgnięcia więzów przyjaźni. Dzięki niej mogłem towarzyszyć z kamerą filmową wszystkim pracom związanym z badaniami szczątków kapłanki bogini Izdy. Prace trwały kilka lat. Multidyscyplinarny projekt obejmował m.in. badania antropologiczne, paleobotaniczne, palinologiczne, rentgenologiczne i genetyczne. Najważniejszą częścią prac była autopsja mumii czyli jej rozwinięcie z bandaży. Próba odwrócenia procesu, który stosowali balsamiści w starożytności była dla nas niezwykle przeżyciem, krok po kroku odkrywaliśmy tajemnice kobiety żyjącej nad Nilem prawie 2500 lat temu.

Pierwszym krokiem była tomografia komputerowa w jednym z krakowskich szpitali. Robiliśmy to w tajemnicy, w środku nocy. Najpierw załadunek owiniętej w folię mumii do półciężarówki, przejazd przez miasto z „nietypowym ładunkiem”, tomografia w szpitalu i powrót do muzeum. Fascynująca przygoda! Czy wiele osób jeździło z mumią w bagażniku po Krakowie? Często pracowaliśmy wieczorem, kiedy muzeum było już zamknięte, a to przenosząc mumię z sarkofagu na stół, gdzie miała być rozwijana z bandaży, to znów transportując sarkofag, który miał być poddany konserwacji.

Już podczas autopsji stwierdzono, że kobieta zmarła w nienaturalny sposób. Miała połamane nogi i kontuzję w okolicy bioder, to właśnie mogło być przyczyną jej śmierci. Wśród wielu badań, jednymi z ciekawszych były prace antropologa, który na pod-

stawie czaszki odtworzył tzw. portret przeżyciowy kapłanki, czyli jej prawdopodobny wygląd za życia. Z wielkim napięciem czekaliśmy, aby znowu spojrzeć w twarz kapłance Izdy po ponad dwóch tysiącach lat, choćby na ekranie komputera...

Po zakończeniu badań ciało Egipcjanki na nowo zawinięto w bandaże (to novum w skali światowej) i umieszczono w sarkofagu. Obecnie można je oglądać na wystawie *Bogowie starożytnego Egiptu* w krakowskim Muzeum Archeologicznym. Kilka lat towarzyszenia z kamerą temu interesującemu przedsięwzięciu zaowocowało trzema filmami (*Tajemnice egipskiej mumii*, *Uciec śmierci* i *Abys żył wiecznie*) zrealizowanymi przez piszącego te słowa dla Telewizji Polskiej.

Podczas prac związanych z autopsją kapłanki Iset Iri Hetes, kolejno poznawałem największe sławy polskiej egiptologii. Znając wyniki naszych prac związanych z dokumentacją filmową multidyscyplinarnych badań krakowskiej mumii, prof. Karol Myśliwiec, kierownik wykopalisk w Sakkarze zaprosił mnie wraz z operatorem kamery do ekipy polskich naukowców pracujących pod najstarszą piramidą świata. Zbudowano ją dla faraona Dzesera panującego w Egipcie w czasach Starego Państwa, czyli około 4500 lat temu. Do udziału w wyprawie zachęciła nas też dr Hanna Szymańska kierująca wykopaliskami w Tell Atrib w Delcie Nilu. Był rok 1998, spełniały się moje młodzieńcze marzenia o uczestniczeniu w wykopaliskach archeologicznych w Egipcie. Marzenia podsycane przez dyskusje z prof. Stefanem Skowronkiem, starożytnikiem, pracownikiem Akademii Pedagogicznej w Krakowie, który brał udział w wykopaliskach w Egipcie w latach 60. u boku prof. Kazimierza Michałowskiego.

Prace rozpoczęły się w sierpniu, przy ponad 40-stopniowych upałach. Nic dziwnego, był przecież

środek lata, i to lata w Afryce, choć na szczęście w północnej jej części. Rozpoczęły się wykopaliska pod piramidą schodkową, której architektem i budowniczym był Imhotep. Ten genialny architekt starożytny zbudował w owym czasie najwspanialszą budowlę na świecie. Złożył on 60-metrową piramidę z sześciu nałożonych na siebie mastab. Jak wszystkie późniejsze piramidy (włącznie z tymi wielkimi z Gizy, postawionymi dla faraonów Cheopsa i Chefrena) był to grobowiec dla tylko jednej osoby – faraona.

Jednym z głównych celów polskiej misji było odnalezienie miejsca pochówku Imhotepa po zachodniej stronie piramidy Dżesera, która to część do czasu wykopalisk prof. Myśliwca (regularne prace Polacy rozpoczęli w 1996 roku) była uznawana za archeologicznie jałową. Polskie badania obaliły tę tezę. Olbrzymim sukcesem stało się odnalezienie grobowca wezyra (drugiej osoby w państwie po faraonie) Merefnebefa. Pięknie zdobiona malowidłami kaplica grobowa olśniła wielu odwiedzających nas zagranicznych naukowców.

Trwające ponad dwa miesiące prace doprowadziły do odsłonięcia pochówków kilkudziesięciu mumii z okresu ptolemejskiego (koniec IV–I w. p.n.e.), a pod nimi kilkanaście szybów i komór grobowych (okres Starego Państwa) z kamiennymi sarkofagami, w których spoczywali wielmoże starożytnej cywilizacji. Docieraliśmy w te miejsca jako następcy starożytnych, którzy zamykali grobowce lub... je okradali. Nasze oczy widziały to, co ukryto 4500 lat wcześniej. Egipciolodzy odczytywali napisy hieroglificzne, ustalali imię i profesję pogrzebanych. Większość sarkofagów została niestety obrabowana jeszcze w czasach faraonów.

W czasie prac spełniło się kolejne moje marzenie. Pod czujną opieką prof. Myśliwca przez kilka dni prowadziłem jedno z najważniejszych polskich wykopalisk w rejonie Morza Śródziemnego. Pod swoją pieczę miałem kilkudziesięciu arabskich robotników. Z tych niezwykle interesujących odkryć powstał kolejny film, dokumentujący wykopaliska polskiej misji – *W cieniu najstarszej piramidy świata* (emitowany w 1999 r. w TVP). Amerykanie posiłkowali się tymi materiałami przy tworzeniu filmu reklamowego

hollywoodzkiego hitu *Mumia*, gdzie głównym bohaterem był wspomniany wyżej Imhotep.

Bezpośrednio z nekropolii w Sakkarze przeniosłem się do Tell Atrib w Delcie Nilu, gdzie już pod koniec lat 50. prowadzili wykopaliska Polacy. To właśnie tutaj legenda polskiej egiptologii – prof. Kazimierz Michałowski zapoczątkował polskie badania nad Nilem po II wojnie światowej. Tell Atrib było miejscem, gdzie w dużej mierze kształtowała się kadra polskiej archeologii śródziemnomorskiej, a rok 1998 był przedostatnim sezonem ich działalności w tym miejscu.

Wykopaliska, które znajdują się w środku ponad milionowego miasta Benha, nie należą może do najatrakcyjniejszych pod względem wizualnym, jednak ich wartość naukowa jest nie do przecenienia. Ciekawostką jest to, że wśród arabskich robotników oprócz mężczyzn, jak nigdzie indziej, pracują tu również kobiety.

Podczas wielu lat pracy w tym miejscu Polacy odkryli m.in. łaźnie z okresu rzymskiego, wille z resztkami malowideł ściennych oraz rozległą dzielnicę mieszkalną z czasów hellenistycznych. Sukcesem było też odsłonięcie pozostałości kościoła koptyjskiego. Tell Atrib zasłynęło jednak szczególnie z dużej ilości odkopanych tutaj starożytnych monet i figurek terakotowych. Zwłaszcza te ostatnie pokazują jak bogate duchowo było życie mieszkańców miasta przed ponad dwudziestoma wiekami. Wśród figurek można spotkać przedstawienia kultowe, karykaturalne, nawiązujące do życia codziennego, a także ukazujące erotyczne upodobania starożytnych.

Fotografie zabytków zrobione przeze mnie w Tell Atrib zostały wykorzystane w kilku publikacjach naukowych podsumowujących działalność polskiej misji. Co roku Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej im. Kazimierza Michałowskiego (kierujące wszystkimi polskimi badaniami w rejonie śródziemnomorskim) wydaje „Polish Archaeology in the Mediterranean”, czyli raporty z działalności wszystkich misji polskich w basenie Morza Śródziemnego. Z tych publikacji można się dowiedzieć wszystkiego o najnowszych osiągnięciach polskich archeologów w tej części świata.

Łącząc zainteresowania starożytnym Egiptem z działalnością naukową dotyczącą historii Polski XIX wieku, w szczególności zaś polskiej emigracji po powstaniu listopadowym, udało mi się częściowo zespolic oba zagadnienia. Okazało się bowiem, że starożytności, które stały się niezwykle popularne w XIX wieku (bardzo liczne były podróże do Egiptu, Grecji czy Włoch) zainteresowały również polskich emigrantów polistopadowych. Już w 1833 roku pierwsi powstańcy pojawili się w Egipcie. Część z nich starała się stworzyć tam polskie legiony u boku ówczesnego władcy Egiptu Muhammada Alego, część zaś przyjechała tu w celach czysto turystycznych. Prawdopodobnie to jeden z powstańców wyrł na najwyższej piramidzie faraona Cheopsa napis: „Przekazcie wiekom pamiętny dzień 29 listopada 1830 roku”. To również powstaniec, major hrabia Ludwik Bystrzonowski wysłał do Krakowa (w prezencie dla matki!) sarkofag z mumią w środku. Był to pierwszy taki zabytek w Polsce, który później znalazł się w zbiorach miejscowego Muzeum Archeologicznego. Dzięki fascynacjom egipskim udało mi się napisać kilka prac naukowych poświęconych tej tematyce.

W roku 2000 drogi po raz kolejny zaprowadziły mnie do kraju faraonów. Dzięki pomocy finansowej pani Teresy Żurkowskiej mogłem z operatorem kamery udać się na południe Egiptu. Misja w Deir el Bahari kierowana przez dr Zbigniewa Szafrąńskiego, po 40-tu latach restauracji i rekonstrukcji oddawała do użytku trzeci, najważniejszy taras świątyni królowej Hatszepsut.

Po przybyciu na miejsce moim oczom ukazał się chyba jeden z najpiękniejszych widoków na świecie. W olbrzymi masyw skalny starożytni budowniczowie wkomponowali trójtarasową świątynię poświęconą królowej Hatszepsut. Wiedziałem, że kilkaset metrów dalej znajduje się Dolina Królów, gdzie w 1922 roku Anglik Howard Carter odkrył grobowiec faraona Tutanchamona z jego bezcennymi skarbami. To odkrycie do dzisiaj elektryzuje wszystkich egiptologów świata oraz ludzi zafascynowanych kulturą i bogactwem starożytnych cywilizacji.

Kim była tajemnicza królowa, której poświęcono tak wspaniałą świątynię? Panowanie Hatszepsut

przypadło na XV w p.n.e. Królowa była jedną z największych władczyń starożytnego świata. Dużo bardziej popularna Kleopatra byłaby przy niej tylko Kopciuszką. Hatszepsut, córka Tothmesa I i żona swego przyrodniego brata Tothmesa II objęła władzę po śmierci męża jako regentka w imieniu małoletniego Tothmesa III (syna Tothmesa II z nieprawego łoża). Usuwając pasierba w cień przyjęła męską tytulaturę i kazała się przedstawiać na malowidłach pod postacią Ozyrysa jako mężczyzna (m.in. z brodą). Pani Egiptu zaprzestała podbojów prowadzonych przez poprzedników, a zajęła się sprawami wewnętrznymi, w tym budową okazałej świątyni. Po przejściu władzy przez Tothmesa III (nie wiadomo do końca co się stało z królową, czy umarła, czy może tylko pozbawiono ją władzy i odesłano w odosobnienie do którejś z oaz) wszystkie napisy z imieniem



Hatszepsut umieszczone w świątyni zostały skute ze ścian i zastąpione imieniem nowego władcy (był to dość popularny obyczaj w starożytnym Egipcie). Polscy naukowcy dzięki swej 40-letniej pracy „zwrócili” świątynię prawowitej władczyni. Dokonali też sensacyjnego odkrycia prawdziwej świątyni Tothmesa III położonej obok budowli Hatszepsut.

Ponad miesiąc razem z operatorem Robertem Pencakiem dokumentowaliśmy ostatnie prace Polaków i ich egipskich robotników przy świątyni. Na ich końcowy sukces złożył się wysiłek dziesiątków naukowców, w tym archeologów, architektów, konserwatorów, geologów i dokumentalistów. W kwietniowych upałach udało nam się zrealizować kolejny film, który zatytułowałem *W imię Hatszepsut*. Pod koniec zdjęć nad świątynią niespodziewanie zaczęły krążyć bociany. Uznaliśmy, że to znak aby wracać do

kraju. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że jeszcze w tym samym roku znowu pojawię się w Egipcie.

Tym razem wyjazd zapowiadał się niezwykle ekscytująco. Do swojej misji zaprosił mnie prof. Andrzej Niwiński. Kilkadziesiąt metrów powyżej świątyni Hatszepsut na pionowej skale odnalazł on kilka napisów najwyższego strażnika grobowców królewskich – niejakiego kapłana Butechamona. Takie same podpisy znajdowały się również w pobliżu grobowca Tutanchamona. To nasunęło przypuszczenie, że właśnie w tej skale starożytni mogli wykuć grobowiec dla jakiejś niezwykle ważnej osobistości. Miejsce nad znakomitą świątynią było przecież nie do pogardzenia. Kierujący wykopaliskami przewidywał, że mógłby tam być pochowany słynny kapłan Herhor, znany z kart *Faraona* Bolesława Prusa.

Wyjazdowi towarzyszyło wiele kontrowersji, zwłaszcza, że prof. Niwiński podał w mediach dokładną datę przypuszczalnego odkrycia grobowca. Po dotarciu na miejsce okazało się, że w ślad za misją podążyło wielu żądnych sensacji dziennikarzy. To przeszkadzało wyprawie. Egipcjanie odnosili się do nas nieufnie. Jednak misja rozpoczęła pracę w terminie.

Pobudka o 5 rano, toaleta, śniadanie i droga na górę. Najpierw kawałek przez pustynię do świątyni Hatszepsut, potem brzegiem skały w kierunku pionowej ściany. Tam, wyposażeni w sprzęt wspinaczkowy, po drabinach i po linach szliśmy coraz wyżej, aż na miejsce wykopalisk. 6 rano – kilofy i łopaty idą w ruch i tak aż do 12 w południe. Upał niemiłosierny dochodzący do 50 stopni Celsjusza. Niestety, w wyznaczonym terminie nie udało się odnaleźć grobowca. Dało to szansę do krytyki misji tym, którzy od początku sceptycznie podchodzili do wyprawy i teraz mogli tryumfować.

Grobowca nie udało się odnaleźć nie tylko w wyznaczonym wcześniej terminie, ale również do końca misji trwającej ponad dwa miesiące. Pod względem propagandowym można by to uznać za porażkę, jednak archeologia to nie szukanie skarbów, ale nauka. Z tego punktu widzenia *Misja Skalna*, bo tak ją miała oficjalną nazwę, odniosła sukces. Dzięki jej

wspinaczkowemu charakterowi udało się odkryć na skałach kilkadziesiąt nieznanych dotąd starożytnych graffiti. Zaś sam przebieg wyprawy nawiązywał do archeologii romantycznej, jakiej dzisiaj trudno szukać. Mam nadzieję, że oddałem ten klimat w kolejnym filmie pt. *Poznać tajemnice Herhora*.

Kopaliśmy przecież jak kiedyś Carter, zresztą kilkaset metrów od miejsca jego tryumfu związane go z odkryciem grobowca Tutanchamona. Anglik na swoje odkrycie pracował kilkadziesiąt lat. Wielu wątpiło w jego szczęśliwą gwiazdę, on sam także. Jednak upór i konsekwencja zostały niewyobrażalne, nawet dla niego, wynagrodzone. Może więc kontynuowane dalej (choć jeszcze bez skutku) przez *Misję Skalną* prace, podczas kolejnych sezonów wykopaliskowych doprowadzą do sukcesu na miarę odkrycia Cartera.

W rejonie Morza Śródziemnego corocznie działa kilkanaście polskich misji archeologicznych. Oprócz Egiptu prowadzone są prace w Libanie, Syrii i Sudanie. Mają one na celu poszerzenie wiedzy o przeszłości. Cały czas szukamy przecież odpowiedzi na pytanie jak to się wszystko zaczęło? Dlaczego jesteśmy tacy, a nie inni? Jaki wpływ miały na to starożytne cywilizacje? W końcu, dlaczego potęgi ówczesnego świata jednak upadły? Co było tego przyczyną? Takich pytań można jeszcze stawiać wiele. Ważne jest jednak to, że w udzielaniu na nie odpowiedzi biorą udział również Polacy. Są za to doceniani, a polska archeologia znajduje się w czołówce światowej. Nadal trwają prace w Sakkarze i Deir el Bahari (zarówno w świątyni Hatszepsut, jak i na skale nad nią). Zakończyły się wykopaliska w Tell Atrib, a ich wyniki doczekały się wielu publikacji. Jestem szczęśliwy, że udało mi się wziąć udział w poszukiwaniach wiedzy o ówczesnej cywilizacji. Nadal dostaję zaproszenia do udziału w różnych misjach archeologicznych. Mam nadzieję, że uda mi się pogodzić pracę i zainteresowania historią XIX-wieku z egipską pasją, że znowu pojedę pod piramidy, bo Egipt zaraża swą tajemniczością, a ja niewątpliwie jestem... ciężko zarażony.

Hubert Chudzio

Studia doktoranckie w Instytucie Historii AP

Jedną z najpierwszych powinności w nauce, zwłaszcza uprawianej w szkołach wyższych, jest — obok solidnych badań naukowych i akademickiej dydaktyki — kształcenie kadry naukowej. Luka pokoleniowa, to przecież rodzaj przegranej. Problem ten często jest podejmowany, z miernym raczej rezultatem. Tym razem ośmielam się postawić tezę, iż sporo winy za brak młodych naukowców ponosi samodzielna kadra, szczególnie, że poszukiwanie „młodszych kolegów” należy do jej powinności i przywilejów!

Odcinający na emeryturę, nawet wybitny uczy-ny, który w swej macierzystej jednostce nie pozostawia co najmniej doktora habilitowanego, powinien odczuwać wewnętrzny niepokój, wręcz dyskomfort. Byłoby zbyt dużym uproszczeniem, gdyby kozłem ofiarnym czynić tylko profesorów. Nie bez winy jest też obudowa prawna uczelnianej rzeczywistości. Mam na myśli kolejne ustawy o szkolnictwie wyższym, że wspomnę „marcowych docentów”, oraz nasz uczelniany statut (w innych uczelniach bywa jeszcze gorzej). Na rozwój młodej kadry wpływają też przyzwyczajenia, mentalność, brak ambicji i wygodnictwo, pragnienie bezpieczeństwa socjalnego, niemożliwość rzetelnej, merytorycznej oceny, a także inne niż naukowe rokowania — niegdyś, przynależności i zaangażowanie polityczne. Stąd w wielu jednostkach można dostrzec „falowanie” kadrowe, i, w rezultacie, tzw. „kominy dydaktyczne”. Stąd problem tych, którym się nie powiodło lub nie chciało, którzy myśleli o czym innym, a ich mistrzowie lub przełożeni nie byli w stanie lub też nie chcieli, albo wręcz nie mieli odwagi tego przelać i zmienić. Spoglądając na Wydział Humanistyczny, który znam dość dobrze, zauważam, że czas inercji i załamania kadrowych, chyba powoli mija. Wielu naukowców w Instytucie Filologii Polskiej czy Instytucie Historii, które mają dziś 30 czy 40 lat, jest już po habilitacji. To ważne, chodzi bowiem o akademickie uprawnienia Uczelni. Pozostałe instytuty zdają się także rokować dobrze.

Ambitni, usamodzielniający się powinni od Uczelni, wydziału i macierzystego instytutu otrzymywać wsparcie i pomoc. Tego wymaga ich własny, dobrze pojęty interes. Mam tu na uwadze, obok funduszy na badania i aparaturę, przede wszystkim możliwość wykształcenia doktora, co przecież jest jednym z zalecanych elementów w ocenie awansu profesorskiego.

Studia doktoranckie sytuowałbym gdzieś właśnie na przecięciu wektorów: oczekiwań młodych doktorów habilitowanych i kadrowych potrzeb Uczelni dążącej usilnie do pełnej akademickości. Powinny one przyciągać ludzi młodych, ambitnych, nasyconych — ale nie tylko — absolwentów, studentów po europejskich wozach studyjnych. Niektórzy nie ukrywają, iż interesuje ich kariera naukowa, inni wiążą swe plany życiowe ze stopniem naukowym, który może im pomóc w Unii Europejskiej. Motywację, pasję badawczą dwudziestolatków powinniśmy wykorzystać w dobrze pojętym interesie wszystkich. Uważam, że studia doktoranckie, poprzez swą elitarność — i takie elitarne powinny pozostać, nie zaś tak jak w pomysle reformy systemu edukacji Ryszarda Handkego, jako ostatnie jego ogniwo! — są, przy spełnieniu kilku istotnych warunków, taką szansą. Pierwsze, z prawdziwego zdarzenia (pomijam tu wcześniejsze spotkania doktorskie w ramach Zakładu Historii Nowożytnej i Najnowszej) studium doktoranckie z historii, dzienne i zaoczne (początkowo tylko w Instytucie), zostało zorganizowane jeszcze

w latach osiemdziesiątych. Jego twórcą był prof. Stefan Skowronek, od którego miałem przyjemność, nieco później, przejąć ich kierownictwo. Efektem olbrzymiego wysiłku zarówno doktorantów, jak i ich opiekunów promotorów były dobre prace, niektóre zostały nagrodzone i ogłoszone drukiem. Złożyła je blisko połowa ówczesnych doktorantów. To niezły wynik. Ale już wtedy, dzięki wielkiej roztropności prof. Skowronka, wśród promotorów znalazło się kilku, „świeżo upieczonych” doktorów habilitowanych. Miałem przyjemność być w tej grupie. Wtedy właśnie zrozumiałem, iż dla dalszego awansu, spełnienia własnych ambicji, ten właśnie sposób kształcenia kadry wydaje się bardzo ważny, a co najważniejsze skuteczny. W macierzystych instytutach nie było już niekiedy asystentów, dominowali coraz bardziej doświadczeni adiunkci, nasi rówieśnicy lub starsi koledzy. Czy mieliśmy się udać na polowanie w poszukiwaniu doktorantów?

Lata dziewięćdziesiąte to kolejny etap. Wówczas, w oparciu o doświadczenia Instytutu Historii i Instytutu Filologii Polskiej oraz przy wsparciu pozostałych jednostek na Wydziale Humanistycznym, z inspiracji dziekana prof. Tadeusza Budrewicza, powstało 4-letnie Wydziałowe Studium Doktoranckie, obejmujące trzy dyscypliny: literaturoznawstwo, językoznawstwo i historię (z równoczesną ofertą dla absolwentów politologii). Była to ważna cezura, integracja na Wydziale posunęła się bowiem tak daleko, że w Studium wykładali i wykładają koledzy z wszystkich właściwie wydziałowych instytutów. Moim zdaniem, był to ważny krok, szczególnie, że w sprawie Studium zaangażowało się kierownictwo Uczelni, Wydziału oraz szefowie poszczególnych instytutów.

W czerwcu ubiegłego roku zamknęliśmy pierwszy 4-letni cykl Studium. Jedni doktoranci swe prace już obronili, drudzy finalizują je, mieszcząc się w regulaminie Studium, są i tacy, którzy potrzebują jeszcze trochę czasu ze względów obiektywnych. Wszyscy zaś zaliczyli, przewidziane procedurą, etapy postępowania doktorskiego; zdali komisyjne egzaminy z języka obcego i dyscypliny dodatkowej. Kolejne roczniki: aktualnie III, II, I, intensywnie pracu-

ją i nietrudno dostrzec, iż dobrze rokują. Oczywiście nie zakładamy, że obronią się wszyscy, ale już tylko sukces połowy z nich będzie satysfakcjonujący. Nabór prowadzimy corocznie. Na komisyjne rozmowy kwalifikacyjne zgłaszają się zarówno absolwenci nasi, jak i innych uczelni. Jest znacznie więcej chętnych niż miejsc (dla historyków przewidziana pula wynosi ok. 10, 15), co umożliwia pierwszy etap pozytywnej selekcji. Nie odmawiamy także tym, których nie mogliśmy przyjąć. Jeżeli chcą, otrzymują w Instytucie opiekuna naukowego i mogą pracować nad doktoratem z tzw. wolnej stopy. Program Studium został tak opracowany, aby umożliwić ustabilizowaną pracę z wybranym opiekunem naukowym, przyszłym promotorem.

W przeciagu tych lat wiele się zmieniło. Mimo, że nigdy właściwie decydem państwowym czy sa-

Można wnosić, że państwo nie potrzebuje młodych, wykształconych ludzi z doktoratami! Wiem doskonale czym nasi doktoranci zajmują się, aby utrzymać się w Krakowie: malują szalety miejskie, rozładowują wagony i ciężarówki, dorywczo sprzedają w hipermarketach, skrzętnie zresztą ukrywając fakt, że są doktorantami, by ich nie wylali za „zawyżone umiejętności” i wykształcenie! Czasem nawet niedojadają! Oto rzeczywistość! I nie da się tego wszystkiego wytłumaczyć frazesem o trudnej sytuacji, bo to nie problem budżetu, ale świadomy, polityczny wybór

morządowym na tym nie zależało, bo jak np. rozumieć zapis w Ustawie o stopniach i tytule, stanowiący, iż Uczelnia może wypłacać niewielkie stypendia doktorantom wyłącznie z własnych zysków (sic!). Na nasze oferty skierowane do samorządów różnych szczebli o wsparcie finansowe doktorantów mieszkających na terenie ich działalności, żaden też nie odpowiedział pozytywnie, zasłaniając się napiętym budżetem. Jak rozumieć kompromitującą wręcz dyskusję w sprawie biletów ulgowych MPK dla doktorantów? Albo w skali naszego Wydziału jednogłośnie odmowę przyznania grantu promotorskiego z KBN-u?

Można stąd wnosić, że państwo nie potrzebuje młodych, wykształconych ludzi z doktoratami! Już lepiej byłoby, gdyby zapisali się do jakiejś partyjnej (partyjniackiej?) młodzieżówki — wówczas na pewno zrobią karierę! Dowody? Proszę bardzo! Wiem doskonale czym nasi doktoranci zajmują się, aby utrzymać się w Krakowie: malują szalety miejskie, rozładują wagony i ciężarówki, dorywczo sprzedają w hipermarketach, skrzętnie zresztą ukrywając fakt, że są doktorantami, by ich nie wylali za „zawyżone umiejętności” i wykształcenie! Czasem nawet niedojadają! Oto rzeczywistość! I nie da się tego wszystkiego wytłumaczyć frazesem o trudnej sytuacji, bo to nie problem budżetu, ale świadomy, polityczny wybór.

Ta rzeczywistość zresztą z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej skrzeczy. Krótko: algorytm, który obecne kierownictwo MENiS zmieniło na niekorzyść Uczelni, a w konsekwencji i doktorantów, brak środków na stypendia (choćby zbliżonych do zasiłku dla bezrobotnych) i na same badania (kwerendy, wyjazdy studyjne, staże itp.). Przykłady można by mnożyć. Gdyby nie świadoma i odpowiedzialna po-

stawa i pomoc Uczelni, Wydziału i Instytutów, Studium Doktoranckie byłoby możliwe tylko dla... bogatych, zdrowych i pięknych! Ale ta pomoc jest niewystarczająca, co niekiedy odbija się na doborze problematyki badawczej (byle nie wyjeżdżać poza Kraków, a jeżeli już, to najwyżej w obrębie Małopolski). To szczególny problem, jeśli idzie o naszą historię, nie mówiąc już o komparatystyce, historii powszechnej. Naprawdę niewielu doktorantów odbywa staże krajowe, bądź zagraniczne. Śladowo pojawiają się wyjazdy (Ukraina, Federacja Rosyjska, Niemcy, Stany Zjednoczone), które są zazwyczaj wynikiem prywatnych układów i znajomości doktorantów lub ich opiekunów. Szkoda, że nie zostały zinstytucjonalizowane.

Łatwiej więc powiedzieć kim doktorant nie jest, niż kim jest... Pomimo piętrzących się przeszkód, idea studiów nie została jednak zaniechana. Zapadły już decyzje o naborze kolejnego rocznika 2003/2004, a już przygotowują się do rozmowy kwalifikacyjnej. Jeśli im się poszczęści, skorzystają na tym wszyscy.

Jacek Chrobaczyński

Uczniowie i nauczyciele o „nowej” szkole

Z punktu widzenia realizacji reformy systemu oświatowego rok 2002 stanowi swoistą cezurę. Uczniowie zaczynający naukę w „nowej” szkole zakończyli w nim bowiem edukację na poziomie gimnazjalnym i mieli wkroczyć w mury szkół na wyższym etapie kształcenia. Wydawało mi się, że moment ten jest wart uchwycenia, także w sensie badawczym. Przekonanie to legło u podstaw badań sondażowych zaprojektowanych i zrealizowanych wiosną 2002 roku, przy czynnym współudziale nauczycieli-uczestników studium licencjackiego w Instytucie Historii Akademii Pedagogicznej w Krakowie

Badaniom poddano grupę uczniów ostatnich klas gimnazjów oraz grupę ich nauczycieli. Uczniów postanowiliśmy zapytać o to, jak oceniają swoją wiedzę na temat reformy oświaty, skąd czerpią informacje o niej, jak oceniają „nową” szkołę i czego od niej oczekują, które przedmioty uważają za potrzebne i ważne, z jakich źródeł korzystają uzupełniając treści lekcyjne. Część ankiety poświęcona była nauczaniu historii, usytuowaniu jej wśród innych przedmiotów w gimnazjum, ulubionym metodom prowadzenia zajęć z tego przedmiotu, podręcznikom i innym środkom wspomagającym proces kształcenia. W ankiecie zadano pytania podobne uczniom i nauczycielom, chodziło bowiem o to, aby te odpowiedzi porównać i uzyskać obraz szkoły po reformie. Nauczyciele mieli określić swoją wiedzę o reformie, odnieść się do potrzeby jej wprowadzenia oraz wskazać na to, co zmieniła ona w dotychczasowym życiu szkoły. Nauczyciele historii odpowiadali także na pytania o kryteria wybieranych przez nich programów i podręczników, ich obudowę dydaktyczną, preferowane metody pracy i środki dydaktyczne.

Badaniami objęto 277 uczniów uczęszczających do klas III gimnazjów w 13 szkołach (wiejskich i miejskich) oraz 28 nauczycieli gimnazjów uczących przede wszystkim przedmiotów humanistycznych (historii, języka polskiego, plastyki, biologii), często zresztą łączących nauczanie kilku przedmiotów, np.

nauczanie historii z wiedzą o społeczeństwie, językiem polskim, językiem niemieckim, geografą, religią, wychowaniem prorodzinnym. Wśród badanych nauczycieli przeważały osoby z większym doświadczeniem zawodowym, ale byli także nauczyciele zupełnie młodzi stażem.

WIEDZA O REFORMIE

Uczniowie swoją wiedzę na temat reformy oceniają w przewadze jako dobrą (40,07%) i wystarczającą (32,12%). Najmniej określa ją jako słabą (5,77%) i porównywalnie bardzo dobrą (7,22%). Badani nauczyciele wyglądają podobnie. Również oni, choć w zdecydowanie większym procencie niż uczniowie, określają swój stan wiedzy jako dobry (57,14%) i wystarczający (32,14%). Tylko pojedyncze osoby uznały, że ich stan wiedzy dotyczący reformy jest bardzo dobry lub niski.

Wiedzę o reformie badani nauczyciele czerpią przede wszystkim ze szkoleń, spotkań rad pedagogicznych, informacji dyrektora szkoły, dokumentów władz oświatowych, szkoleń ODN oraz mediów. W mniejszym stopniu wskazują na koleżeńską wymianę informacji, literaturę i inne źródła, np. internet. Uczniowie, odpowiadając na to pytanie przede wszystkim wskazują na media (80,14%), nauczycieli (69,67%), kolegów (27,07%), rodziców (20, 57%). Obie grupy badanych uznają więc, że wiedza o reformie jest spora. W moim przekonaniu na uwagę za-

sługuje także rola mediów, które są dla uczniów podstawowym źródłem informacji.

ZALETY I WADY NOWEJ SZKOŁY

Jedno z poleceń ankietowych polegało na ustaleniu gradacji zalet i wad kształcenia gimnazjalnego na podstawie doświadczeń uzyskanych w czasie uczęszczania do swojej szkoły. Uczniowie, jako pozytywne przejawy nauczania w gimnazjum, wymieniają: możliwości rozwoju zainteresowań (ponad 60%), lepszą strukturę szkolnictwa (53,4%), fakt, że czują się w niej bezpieczni (53,4%). W większości deklarują także, że lubią chodzić do swojej szkoły (53,1%), co zdaje się rozwiewać funkcjonujące stereotypy. Na czwartym miejscu, wśród pozytywów szkoły stawiane jest wykorzystanie mediów (48,3%). Spora grupa uczniów (46,5%) docenia także fakt, że uczy się z ciekawych podręczników. Niektórzy z nich zauważali także: „szkoła przyjazna pod względem wychowawczym” (43,3%), „stosowane są w niej ciekawe metody pracy na lekcjach” (38,9%), „posiada przyjazny dla ucznia system oceniania” (37,1%), „realizowane w niej przedmioty są przydatne w życiu” (32,4% – za takie uznano przede wszystkim języki obce i informatykę, ale także matematykę, biologię, wiedzę o społeczeństwie i wychowanie do życia w rodzinie), „bardziej dostrzega się w niej ucznia i jego potrzeby” (32,1%).

Gradacja ta znajduje potwierdzenie także w ocenach negatywnych szkoły, gdzie za jej wady uznano system oceniania uczniów (60,2%), nauczanie nieprzydatnych w życiu przedmiotów (58,8%), zbyt niski poziom zainteresowania potrzebami uczniów (57,0%) i niekoniecznie przyjazną atmosferę wychowawczą (44,7%). Spora grupa uczniów wyraża też negatywne opinie o metodach pracy nauczycieli (47,6%) i, jak już sygnalizowałam, nie jest zbyt optymistyczna jeśli idzie o poczucie bezpieczeństwa w szkole.

Podsumowując te wypowiedzi uczniów, można zauważyć, że zaakceptowali oni nową strukturę szkolnictwa i lubią swoją szkołę (podkreślają tu rolę „fajnych” kolegów, ale także nauczycieli wybranych przedmiotów oraz możliwość rozwijania osobistych

zainteresowań). Dostrzegają natomiast jej braki w zakresie podmiotowego traktowania ucznia i jego potrzeb, w tym postrzegania edukacji przez pryzmat jej przydatności w dorosłym życiu.

Badani nauczyciele mieli ocenić szkołę, odpowiadając na cykl pytań dotyczących ich pracy i odczuć związanych z reformą. Na pytanie czy w związku z reformą podjęli jakieś formy doskonalenia, wszyscy odpowiedzieli twierdząco. Wskazywano przede wszystkim na uczestnictwo w warsztatach metodycznych (64,2%), podjęcie studiów podyplomowych (35,7%), licencjackich (14,2%) oraz kursów kwalifikacyjnych (28,5%). Badani nauczyciele nie wystawili natomiast nowej szkole zbyt wysokiej oceny, jeśli idzie o podwyższenie standardów pracy z uczniami zdolnymi („raczej nie” – 39,2%, „zdecydowanie nie” – 7,14%, „raczej tak” – 17,8%, „tak” – 7,1%). Jeszcze niżej oceniono możliwość pracy z uczniami mającymi kłopoty w nauce. Aż 60,7% badanych uznało, że nic się tu nie poprawiło (tylko 21,4% możliwości te dostrzegło). Nieco lepiej ocenili nauczyciele możliwości rozwiązywania trudności wychowawczych. Ilość odpowiedzi negatywnych i pozytywnych była niemal identyczna. Na pytanie o to, czy wprowadzenie reformy było potrzebne, 10 z badanych osób odpowiedziało „tak” i „raczej tak”, zaś 11 – „nie” i „zdecydowanie nie”. Konsekwencją tych opinii może być wyrażany przez nauczycieli pogląd, że reforma nie będzie miała znaczącego wpływu na podniesienie poziomu społeczeństwa. Prezentuje go ponad połowa badanych („raczej nie” – 13; „zdecydowanie nie” – 2), zaś odmiennego zdania jest tylko 7 badanych nauczycieli. Myślę, że opinie te powinny być jeszcze zweryfikowane badawczo, ale także z punktu widzenia warunków w jakich pracuje się w szkole.

Cykl tych zagadnień zamykało skierowane do uczniów pytanie o ich oczekiwania wobec szkoły. Badani uczniowie uważają, że szkoła powinna przede wszystkim pomagać w rozwoju zainteresowań, dostarczać wiedzy o otaczającym świecie, przygotowywać do kształcenia na wyższych szczeblach, dostarczać umiejętności przydatnych w życiu. Na ostatnich miejscach usytuowano wpajanie wartości moral-

nych i estetycznych oraz wychowywanie. Można by się więc zastanowić nad tym, czy problemy te są rzeczywiście odległe od oczekiwań i potrzeb współczesnej młodzieży, czy też hierarchię tę ustaliła rzeczywistość szkolna. Warto natomiast zwrócić uwagę na wysokie oczekiwania uczniów w zakresie rozwijania w szkole ich zainteresowań, na które szkoła nie jest dość otwarta.

HISTORIA JAKO PRZEDMIOT NAUCZANIA W GIMNAZJUM

Uczniowie pytani o przedmioty, które lubią w szkole najbardziej wymienili ich aż 17. Do najbardziej ulubionych zaliczyli: wychowanie fizyczne (32,12%), informatykę (20,21%), matematykę (19,85%), biologię (19,49%), historię (17,32%), język polski (15,52%). W tej hierarchii historia znalazła się na miejscu piątym, za przedmiotami profilującymi zainteresowania uczniów, otwierając dział przedmiotów humanistycznych. Zaskoczeniem dla mnie była wszakże wysoka lokata przedmiotów ścisłych, a zwłaszcza matematyki, a także biologii (o informatyce nie wspominam, bo zafascynowanie nią uczniów jest dostrzegalne niemal na co dzień) oraz stosunkowo niskie miejsce języka polskiego i historii.

W odpowiedziach na pytania bardziej szczegółowe, mające pomóc w ustaleniu stosunku do historii, uczniowie zaliczyli ją raczej do przedmiotów lubianych (42,9%) i bardzo lubianych (12,2%), jednak nikt nie uznał jej za przedmiot przydatny w życiu. Pewna grupa uczniów podała natomiast, że jej nie lubi (9,3%) i niezbyt lubi (14,4%). Podobne proporcje można zauważyć także przy określeniu tego, czy historia jest dla uczniów przedmiotem interesującym. Za taki uznało ją 40,4% uczniów, za bardzo interesujący 13,3%, zaś 7,2% określiło szkolną historię jako mało interesującą, a 6,1% za nieinteresującą. Warto zwrócić uwagę na to, że ponad 30 badanych uczniów określa przedmiot jako średnio interesujący.

Lubiane lekcje historii kojarzą się badanym uczniom raczej z tradycyjnymi metodami nauczania, takimi jak rozmowa nauczająca (40,4%) i wykład (36,1%). Na trzecim i czwartym miejscu uplasowały

się metody bardziej aktywne: praca w grupach z podręcznikiem, tekstem źródłowym czy mapą, film itp. (30,3%) i dyskusja (29,9%), a także gry dydaktyczne (25,6%). Dalej uczniowie wymieniają jeszcze inne metody wymagające ich aktywności i zaangażowania, a mianowicie: inscenizację, dramę, drzewko decyzyjne, metaplan i inne. Ciekawe może być również to, że niektóre z nich znalazły dopiero niedawno swoje miejsce w metodyce przedmiotu, a wiadać już, że uczniowie stykają się z nimi w praktyce szkolnej. Pytani o najczęściej przez nich stosowane metody, nauczyciele historii wymieniają przede wszystkim pracę uczniów z podręcznikiem, tekstem źródłowym i mapą, oraz pogadankę. Na trzeciej pozycji uplasowały się wykład i dyskusja. Wysoko, bo na czwartej pozycji znalazły się drzewko decyzyjne, drama i metaplan. Troje badanych nauczycieli wybrało metodę projektu, nikt jednak nie wybrał analizy SWOT. Porównując wypowiedzi uczniów i nauczycieli można dostrzec daleko idącą zbieżność. Można mniemać, że uczniowie podali te sposoby prowadzenia lekcji, z którymi rzeczywiście spotykają się w praktyce szkolnej. Usytuowanie przez nich na pierwszym miejscu metody wykładowej, która przez nauczycieli lokowana jest nieco niżej, może wynikać z pewnej tęsknoty uczniów za słowem nauczyciela (co zdarzało się mi obserwować także podczas hospitacji lekcji) porządkującym wiadomości, ale także oddziałującym emocjonalnie i mogącym wpływać na zainteresowanie uczniów przedmiotem. Nauczyciele w swoich wyborach bardziej dowartościowali metody aktywne, co potwierdzili wskazując na stosunkowo częste stosowanie w nauczaniu pracy grupowej (wskazało na nią 35,7% badanych) oraz odpowiadając, że uczniowie uczestniczą aktywnie w prowadzonych przez nich zajęciach („tak” i „raczej tak” – 46,4%). Podsumowując to zagadnienie, wydaje się, że warto raz jeszcze zwrócić uwagę na wysoką lokatę metod aktywnych, w tym samodzielnej pracy uczniów oraz gier dydaktycznych – drzewka decyzyjnego czy dramy. Wybory te zdają się wskazywać na rzeczywiste zmiany szkolnej rzeczywistości w zakresie metod nauczania, które powinny znaleźć odbicie w świadomości nauczycieli a także tych, którzy

w jakikolwiek sposób zajmują się i będą zajmować się dydaktyką szkoły średniej.

Uczniów pytano także o opinie na temat najbardziej korzystnych z ich punktu widzenia sytuacji dydaktycznych wspomagających proces kształcenia. Uznali oni, że wiele korzystają z wykładu nauczyciela, ale także docenili samodzielne i aktywne dochodzenie do wiedzy. Na trzecim miejscu znalazła się dyskusja, dalej gry dydaktyczne. Proces uczenia się historii w opiniach uczniów najbardziej wspomagają: podręcznik (190 wyborów), film (73), komputer, w tym internet (70), teksty źródłowe (49), mapy i atlasy (39), zeszyty ćwiczeń (32), literatura (30). Niekwestionowanym przez uczniów środkiem dydaktycznym pozostaje więc podręcznik, za nim media, w tym komputer, a dalej teksty źródłowe. Uczniowie nie docenili roli pracy z mapą, samej literatury i zeszytów ćwiczeń. Okazuje się jednak, że te ostatnie nie są zbyt często wykorzystywane w badanych szkołach, na co wskazuje 59,2 % uczniów. Uczniowie oceniający zeszyty ćwiczeń wskazują na to, że pozwalają one poszerzyć wiedzę (15,5%), zawierają ciekawe propozycje zadań i ćwiczeń (10,8%), poszerzają zainteresowania (2,8%). Spora grupa badanej młodzieży twierdzi: „nie lubię korzystać z tej pomocy” (11,6 %) i „są nudne i niczego mnie nie uczą” (7,9%).

Nauczyciele pytani o preferowane przez nich na lekcjach środki dydaktyczne, także wymieniają na pierwszym miejscu podręcznik, mapę i teksty źródłowe (39,3%). Połowa badanych wskazuje nadto na różnego rodzaju materiały ilustracyjne np. film, słowniki i encyklopedie (również multimedialne). Pojedyncze osoby wymieniają literaturę, w tym biograficzną i pamiętnikarską, oraz czasopisma. Najważniejszym środkiem dydaktycznym pozostaje jednak podręcznik i właśnie jemu poświęcono sporo miejsca w ankiecie. Pytano więc o to, czy wybór programu i podręcznika pozostaje w gestii nauczyciela, jakimi kryteriami kieruje się przy jego wyborze, czy oczekuje korelacji podręcznika z jego obudową dydaktyczną i programem przedmiotu, jakie ma oczekiwania w stosunku do książki metodycznej wspomagającej nauczanie. Nauczyciele historii w zdecy-

dowanej większości deklarują, że mieli wpływ na wybór programu i podręcznika do swojego przedmiotu (75,0%). Były jednak i takie przypadki, że to nie oni wybierali program i podręcznik a tylko konsultowano z nimi ten wybór.

Przy wyborze podręcznika nauczyciele zwracali szczególną uwagę na takie kryteria (ustalone według hierarchii ważności), jak jego zgodność z programem i wyodrębnienie treści koniecznych, jasny język, wielość materiałów pomocniczych, podsumowania treści rozdziałów, ciekawe bloki ćwiczeniowe. Mniej istotne okazały się cele dydaktyczne, a także – co może zaskakiwać – tłumaczenie pojęć, elementy motywujące uczniów do korzystania z zadań i ćwiczeń, i pytania pomocnicze otwierające rozdziały. Niemal zupełnie pominięto kryteria merytoryczne: zgodność z aktualnym stanem badań naukowych, sądy i oceny autorskie a także propozycje lektur (na to kryterium nie wskazała ani jedna osoba). Wszyscy badani przyznają się natomiast do korzystania z poradników metodycznych. Od książek tych oczekują przede wszystkim korelacji z podręcznikami (56,2%), ale i tego, aby zawierały nie tylko propozycje planu dydaktyczno-wychowawczego i konspektu lekcji (56,2%), ale także szersze treści dotyczące nauczania przedmiotu (62,5%), w tym informacje dotyczące lektury merytorycznej i dydaktycznej, środków dydaktycznych, jakie mogą być wykorzystywane w nauczaniu przedmiotu, oraz informacji o realizacji ścieżek dydaktycznych.

Uczniowie mający dokonać oceny podręczników, z których się uczyli, odpowiedzieli mało precyzyjnie. Generalnie jednak, podobnie jak i nauczyciele, cenią sobie w podręcznikach prosty język i czytelny układ treści. Ważne dla nich jest także tłumaczenie pojęć, zawartość materiałowa podręczników (mapki, teksty źródłowe) oraz brak przeładowania faktograficznego. Chętnie też widzą w podręcznikach historii zestawienia chronologiczne i propozycje lektur. Mniej zwracają uwagę na bloki ćwiczeniowe, chociaż czasem wskazują na ich brak. Negatywnie odbierają podręczniki zawierające zbyt rozbudowane treści przedmiotowe, napisane trudnym, mało komunikatywnym językiem, nie posiadające treści

wyodrębnionych. Niektórzy uczniowie piszą wręcz, że treści podręcznika są dla nich nieczytelne a wydawnictwa „pomieszane”. Jeden z uczniów pisze: „nie lubię go, ponieważ jest za dużo wszystkiego i się w tym wszystkim gubię, nic z niego nie rozumiem”. Uczeń recenzujący inny podręcznik, pisze: „jest tam zbyt mało informacji a zbyt dużo pustych treści, co powoduje, że źle się z niego uczy”. Duże różnice uzyskano także w ocenie materiału ilustracyjnego i źródłowego podręczników. Zawartość nawet tego samego podręcznika bywała przez uczniów oceniana różnie. Uczniowie zwracali też uwagę na format podręczników (negatywnie oceniając zbyt duże), a także na ich kolorystykę (jeden z uczniów pisze: „jest tak kolorowy, że można dostać oczopląsu”).

Zakładając, że uczniowie uzupełniają treści lekcyjne dotyczące historii z innych źródeł, zapytano ich i o to w ankiecie. Generalnie uczniowie wskazują tu na inne podręczniki i encyklopedie (ponad 55%). Na miejscu drugim ulokowano internet, który pod względem ilości korzystających z niego uczniów nie plasuje się w czołówce, ale za to uczniowie piszą o nim z pasją, wymieniając nawet przeglądarki i, nieco dalej, filmy. Odleglejsze miejsca zajmują czasopiśma, telewizja (może zastanawiać jej dość odległe miejsce), koleżanki i koledzy. Na ostatnim miejscu, znalazła się rodzina, z czego można wnioskować, że rozmowy na tematy historyczne nie są zbyt częste.

WNIOSKI PŁYNĄCE Z BADAŃ

Wyniki badań zdają się wskazywać na to, że we współczesnej szkole polskiej zachodzą rzeczywiste zmiany polegające nie tylko na formalnej przebudowie systemowej. Dostrzegalne są one także w meto-

dach i sposobach nauczania, oczekiwaniach uczniów i nauczycieli, źródłach informacji wzbogacających nauczanie i wiedzę uczniów. Wyniki te wskazują także na dość powolne, a nawet często nie uświadamiane, zmiany w sposobie myślenia o reformie, która niejako wymusza doskonalenie podręczników i poradników metodycznych, potrzebę doskonalenia zawodowego nauczycieli, zwrócenie większej uwagi na pracę z uczniem zdolnym i tym, mającym trudności w nauce, a w końcu dowartościowanie działalności wychowawczej. Uczniowie zwrócili uwagę na takie istotne problemy szkolne, jak niezbyt czytelny system oceniania oraz otwartość szkoły na rzeczywiste potrzeby i poszanowanie podmiotowości uczniów. Niezbyt wysoko oceniono też metody nauczania oraz stosowanie różnych mediów, w tym ciekawych podręczników. Mimo wszystko, szkoła nie jest postrzegana źle przez zdecydowaną większość badanej młodzieży i być może przekonanie o tym, że „uczniowie szkoły nie lubią” trzeba będzie włożyć do lamusa. Zmieniają się także uczniowskie preferencje w zakresie przedmiotów nauczania. Uczniowie doceniają nie tylko wychowanie fizyczne, ale także matematykę, informatykę, biologię i języki obce. Niestety, na tym tle może jedynie zasmucać ranga przedmiotów humanistycznych, w tym historii (jakkolwiek ponad 50% uczniów deklaruje, że historia ich interesuje).

Myszę, że wyniki tych, wycinkowych przecież badań, mogą skłaniać do szeregu innych jeszcze refleksji, a wiele zagadnień wartych jest pogłębienia przez dalsze badania.

Janina Mazur

Transmisja wiedzy historycznej w szkolnej narracji podręcznikowej

W edukacji szkolnej informacje o przeszłości docierają do ucznia w jednej z dwóch postaci narracji historycznej: jako tekst lub jako przekaz ustny nauczyciela. Podręcznik historii (zaliczany do narracji tekstowej) będąc najczęściej stosowanym środkiem dydaktycznym na lekcji — zajmuje miejsce szczególne w szkolnym przekazie wiedzy historycznej. Dzieje się tak ponieważ na poziomie narracji podręcznikowej dochodzi do zetknięcia się i współdziałania trzech odmiennych intencji: po pierwsze — autora podręcznika, który reprezentuje określoną wizję przeszłości, po drugie — samego tekstu, odzwierciedlającego nie tylko rzeczywistą wiedzę autora, co raczej jego umiejętności przelania tej wiedzy na papier, i podlegającego także określonym wymogom stawianym książkom wydany na użytek szkolny, i wreszcie po trzecie — intencji czytelnika (czyli ucznia)

Uczeń wykorzystując podręcznik jako źródło wiedzy o przeszłości, nie tylko odczytuje zawarte w nim informacje, ale — świadomie lub nie — wchłania także umieszczone tam przekonania i poglądy autora. Na własne potrzeby dokonuje ich interpretacji (na tyle na ile posiada w tym zakresie umiejętności) i bardzo często przyjmuje je za własne. Jednak nawet najbardziej obiektywne opisywanie przeszłości nie jest całkowicie bezstronne¹. Autor podręcznika podlega bowiem określonym wpływom, wynikającym z jego (indywidualnego) systemu wartości, wiedzy faktograficznej i tzw. wiedzy ogólnej, określonych kompetencji językowych i zakorzenionych sposobów myślenia o rzeczywistości. Ulega zatem różnego rodzaju mitom fundamentalnym². W konstruowaniu narracji szkolnej, nastawionej na szczególnego, bo młodego odbiorcę, istotną rolę — moim zdaniem — odgrywają również inne czynniki, takie jak wiedza autora podręcznika z zakresu psychologii, pedagogiki i dydaktyki historii, jego znajomość specyfiki różnych typów szkół, umiejętności (doświadczenia) dotyczące oddziaływania na dzieci i młodzież, czyli ogólnie rzecz biorąc tzw. kompetencje pedagogiczne. Autor narracji dokonuje bowiem szczególnie transmisji wiedzy historycznej, opartej o naukowe podstawy i metody badawcze, ale przekazywanej na grunt edukacji szkolnej,

musi więc spełnić zarówno postulat poprawności merytorycznej, jak i dydaktycznej. Konsekwencją tych uwarunkowań szkolnej narracji historycznej są jej specyficzne cechy, których uwzględnienie jest kluczowe na każdym etapie pracy. Pamiętajmy, że szkolna narracja jest wyraźnie nastawiona na konkretnego odbiorcę, mającego charakterystyczne i różnorodne możliwości percepcyjno-recepcyjne, do którego autor narracji musi dostosować swój przekaz historii. Ważne zatem jest, aby dokonać właściwej selekcji i hierarchizacji treści kształcenia, przedstawić materiał w ciekawej, uzasadnionej dydaktycznie postaci edytorsko-graficznej, używając przy tym odpowiedniego języka. Istotne jest ponadto uwzględnienie specyfiki przyswajania wiedzy i kształtowania pojęć na poszczególnych etapach edukacyjnych rozłożonych w czasie i dostosowanych do rozwoju psychofizycznego uczniów³.

Warto zauważyć, że uczeń korzystający z przekazu podręcznikowego nie jest jedynie „białą kartą”, którą w wyniku interpretacji zapisze autor podręcznika, zgodnie z własną intencją. Młody czytelnik opiera się — moim zdaniem — o charakterystyczne dla siebie wyobrażenia zarówno o przedmiocie jakim jest historia, o autorze tekstu (jeżeli jest to np. jego nauczyciel historii), jak i o samym podręczniku, który czyta. Posiada także pewną wie-

dzę oraz umiejętności o charakterze ogólnym i szczegółowym (z zakresu omawianej w podręczniku problematyki). Na podstawie tych właśnie uwarunkowań oraz specyficznych dla swojego wieku predyspozycji percepcyjno-recepcyjnych dokonuje on odbioru szkolnej narracji podręcznikowej.

Transmisja wiedzy historycznej jaka dokonuje się na płaszczyźnie podręcznika szkolnego nie jest więc „czystym” przekazem tego, co wydarzyło się w przeszłości. Uwzględniając takie uwarunkowania, jak np. wymagania programowe, naukowe i dydaktyczne, czyli pewne koncepcje niejako odgórnie narzucone autorowi, powinniśmy mieć świadomość funkcjonowania w narracji podręcznikowej tego, co w niej jest indywidualne. Cele stawiane przez autora tekstu, a także ich realizacja w postaci określonych zabiegów czytelnych na poziomie narracji, są bowiem wynikiem szczególnego kompromisu, jaki zostaje zawarty pomiędzy wspomnianymi wymogami a autorską wizją dziejów. Prezentacja tej wizji odbywa się za każdym razem z zastosowaniem różnorodnych środków i konwencji językowych, wspieranych zasadami wypływającymi z logiki i retoryki. Za pomocą odpowiednio dobranych mechanizmów działania (strategii, także o charakterze retorycznym) autor oddziałuje na czytelnika. Historyk bowiem konstruując narrację historyczną (w tym również narrację podręcznikową) stawia sobie za cel m.in. również przekonanie i pozyskanie czytelnika. Dąży on zatem do osiągnięcia przez swój tekst oczywistości i dostępności, a w dalszym etapie – akceptacji przesłania zawartego w narracji. Świadomie, lub też nie, korzysta z różnych zabiegów językowych, aby uatrakcyjnić swój przekaz i sprawić by czytelnik przyjął jego argumenty i zaakceptował prezentowaną wizję przeszłości.

Przeprowadzona przeze mnie analiza podręczników historii dla uczniów szkoły podstawowej⁴ wykazała, że pozyskiwanie czytelnika w szkolnych podręcznikach historii rozpoczyna się już na poziomie elementów pozatekstowych towarzyszących tekstowi głównemu, takich jak tytuł główny podręcznika, tytuły rozdziałów i podrozdziałów, spis treści (umieszczony zwłaszcza na początku dzieła), a także motto i dedykacja (jako ślad pierwotnej inspiracji autora). Rolę bezpośredniego przygotowania (zachęcenia) do współdziałania tekstowego na poziomie narracji podręcznika spełnia przede

wszystkim wstęp odautorski. W nim bowiem realizowana jest nie tylko zapowiedź problematyki zawartej w podręczniku, ale również bezpośrednie motywowanie czytelnika do dalszej lektury. W tym celu podejmowane są różnorodne zabiegi pozyskiwania: m.in. uprzedzające o możliwych trudnościach, zawierające porady związane z korzystaniem z podręcznika czy też zdobywanie wprost życzliwości odbiorcy. Cechy perswazyjności wykazują ponadto podsumowania autorskie umieszczane na końcu dzieła, głównie z racji szczególnie nacechowanego umiejscowienia.

Największy ciężar oddziaływania retorycznego na czytelnika przejmują jednak tekst główny narracji podręcznikowej. Właśnie na jego poziomie dokonują się podstawowe zabiegi kompozycyjne związane z doбором i uporządkowaniem materiału merytorycznego oraz gramatyczne i stylistyczne „wysłowienie” myśli autora. Wykorzystywana jest przy tym nie tylko argumentacja logiczna, czyli oparta o zasady wnioskowania logicznego, ale także sama kompozycja tekstu. Nacechowane perswazyjnie działania mają swój początek już na poziomie wyboru (selekcji) i uporządkowania informacji o przeszłości. Posługiwanie się periodyzacją, przyjęta struktura tematyczna, uwypuklenie wybranych stwierdzeń, zapowiedź dalszych relacji poza przyjętym porządkiem kompozycyjnym i inne zabiegi związane z układem treści mogą posłużyć do przekonania odbiorcy. Istnieje ponadto ogromny arsenał środków o charakterze ściśle retorycznym, które w mniejszym lub większym stopniu weszły na dobre do poetyki języka podręcznikowego. Są to np. użycie definicji w sposób dla siebie korzystny, wyolbrzymianie, tendencyjna selekcja wyników, wykorzystywanie oznak do oceny całościowej, odwołanie się do autoritetu, stwierdzenie błędu własnej wypowiedzi lub przeciwnika, dyskredytowanie, szyderstwo itp. Oddzielną grupę stanowią środki retoryczne, analizowane szczególnie na gruncie teorii literatury, tzw. tropy naczelné, do których zalicza się głównie metaforę, metonimie, synekdochę i ironię⁵.

Jeżeli czytelnik odbiera tekst jedynie w jego literalnym i powierzchownym znaczeniu, jest *czytelnikiem naiwnym*, który nie dociera do rzeczywistego podłoża prezentowanego obrazu dziejów. Umberto Eco w swojej semiotycznej teorii interpretacji tekstu, określa taką sytuację jako *seman-*

tyczną interpretację tekstu i odczytanie jego intencji (*intentio operis*). Jeżeli jednak czytelnik, na podstawie swojej wiedzy, systemu wartości i indywidualnych emocji, nie poprzestanie na naiwnej lekturze podręcznika, lecz dokona pogłębionej, czyli semiotycznej interpretacji tekstu, staje się *czytelnikiem krytycznym*. Odkrywa on wtedy intencję samego autora (*intentio auctoris*) i rzeczywiste mechanizmy sterujące narracją. Zdarza się jednak tak, że intencja autora nie zawsze pokrywa się z intencją dzieła, choć autor stara się ten stan osiągnąć. Również czytelnik uzależniony od swojej wiedzy, umiejętności, wyobrażeń o autorze, a także stawiający tekstowi określone wymagania, jest w stanie tylko na tyle stać się *czytelnikiem krytycznym*, na ile mu owe ograniczenia (uwarunkowania) pozwolą. Mamy więc do czynienia z kolejną intencją – tym razem czytelnika (*intentio lectoris*)⁶.

W praktyce szkolnej dla zapewnienia optymalnego przekazu (transmisji) wiedzy historycznej na poziomie narracji podręcznikowej powinno się zmierzać przede wszystkim w kierunku kształcenia *czytelnika (ucznia) krytycznego*, skłonnego do odczytywania zarówno intencji dzieła (tekstu), jak i intencji jego autora. Ważne jest także aby uwzględnić intencje wszystkich uczestników procesu komunikacji, jaki dokonuje się na poziomie narracji podręcznikowej, a mianowicie: tekstu (komunikatu), autora (nadawcy) i czytelnika (odbiorcy). Dopiero wówczas jesteśmy w stanie dokonać interpretacji całościowej, nazwanej przez Jerzego Topolskiego – *metainterpretacją*⁷.

Owo całościowe podejście do analizy i interpretacji podręcznika, stwarza szansę na właściwe zaprojektowanie działań dydaktycznych, indywidualizację procesu nauczania–uczenia się, a co za tym idzie dostosowanie go do możliwości i potrzeb

ucznia. Nauczyciel w tym procesie występuje w podwójnej roli: jako czytelnik, który sam dokonuje interpretacji tekstu podręcznika, oraz (w przeważającym stopniu) jako osoba nadzorująca i koordynująca odbiór komunikatu podręcznikowego przez ucznia. Ma zatem do wypełnienia wiele odpowiedzialnych zadań zarówno wobec siebie (jak np. dokształcanie się, pogłębianie wiedzy i nieustanne doskonalenie swojego warsztatu pracy), jak i wobec ucznia w konkretnych realiach szkolnych. Nauczyciel świadomy uwarunkowań transmisji wiedzy historycznej na poziomie narracji podręcznikowej poprowadzi, jak przewodnik–przyjaciel, swoich uczniów przez trudną, wymagającą przygotowania, ale przynoszącą satysfakcję – wędrówkę po „widmie światła” tej narracji, zaś nabyte przez ucznia cechy *czytelnika krytycznego* znajdą swoje zastosowanie również w innych sytuacjach szkolnych.

Danuta Konieczka-Słwińska

¹ J. Topolski, *Wprowadzenie do historii*. Poznań 1998, s. 112–122.

² J. Topolski, *Rzecz o socjologii wiedzy historycznej. Mity fundamentalne w pisaniu historii*, w: „Przegląd Humanistyczny”, 1994, nr 5, s. 28.

³ Por. V. Julkowska, *Specyficzne cechy szkolnej narracji historycznej*, w: *Podręcznik historii – perspektywy modernizacji*. Red. M. Kujawska. Poznań 1994, s. 39–43.

⁴ Por.: D. Konieczka-Słwińska, *Retoryka we współczesnych szkolnych podręcznikach historii*. Poznań 2001.

⁵ Por.: J. Ziomek, *Retoryka opisowa*. Wrocław – Kraków – Warszawa 2000; M. Korolko, *Sztuka retoryki. Przewodnik encyklopedyczny*. Warszawa 1990 oraz A. Werpachowska, *Retoryka jako sposób myślenia o tekście*, w: „Pamiętnik Literacki”, 1990, z.1, s. 119–130.

⁶ U. Eco, *Lettore semantico e lettore critico*, w: tegoż, *I limiti dell'interpretazione*, Milano 1990, s. 29–57 oraz tegoż, *Lector in fabula. Współdziałanie w interpretacji tekstów narracyjnych*. Przeł. P. Salwa. Warszawa 1994.

⁷ J. Topolski, *Problemy transmisji wiedzy historycznej w edukacji szkolnej*, w: *Nauczyciel historii – ku nowej formacji dydaktycznej*. Red. M. Kujawska. Poznań 1996, s. 109–111.

Historia w szkole

Profesor Leszek Kołakowski w jednym ze swoich esejów, poświęconym problemom jednoczącej się Europy, pisze: „Potrzebne nam jest nauczanie historii, w którym młodzi ludzie będą uczyć się rozumienia, kim są — kim oni sami są jako dziedzice przeszłości zarówno chwalebnej, jak i nikczemnej”. Przyjrzyjmy się zatem, jak jest nauczana historia w szkole? Czy jest historia w szkole: kroniką wydarzeń czy źródłem wiedzy?

Nauczyciele zawsze stają przed dwoma zadaniami: nauczyć i ocenić uzyskaną przez uczniów wiedzę. Zasadniczo — uczeń chodzi do szkoły właśnie po to, aby się czegoś nauczyć, uzyskanie ocen jest dla niego konsekwencją pobytu w szkole — przynajmniej tak powinno być. Na to, czy uczeń będzie wyłącznie zaliczał poszczególne przedmioty, uczył się na ocenę i zaraz zapominał, czego się nauczył, decydujący wpływ ma jednak nauczyciel. Nauczyciel historii może sprawdzić wszechstronnie wiedzę ucznia, stosując różnorodne formy jej sprawdzania, takie jak: odpowiedź ustna, testy, sprawdziany pisemny, aktywność, referaty, umiejętność „czytania” mapy czy znajomość lektur. Oczywiście, nie w każdej szkole i w nie każdej klasie możemy zastosować pełny wachlarz możliwości. Podstawowe ograniczenia to ilość godzin i ilość uczniów w klasie. Im więcej pierwszego czynnika a mniej drugiego, tym oczywiście lepiej. Jednak nawet tylko 2 godziny w tygodniu i trzydziestokilkusobowa klasa umożliwiają zastosowanie większości z przedstawionych form sprawdzania wiadomości ucznia. Jakie to ma zalety? Bez wątpienia ułatwia wystawienie odpowiednich ocen przez nauczyciela, a jednocześnie umożliwia uczniowi zrównoważenie braków w jednej formie wypowiedzi, np. pisemnej, inną formą. Co jest jednak najważniejsze — w ten sposób uczeń poznaje historię na kilka sposobów, przez co uzyskujemy większą szansę, że spotkanie z historią w szkole pozostawi w jego pamięci czy sposobie myślenia trwały ślad.

Tu jednak stajemy przed pewnym problemem — jak najlepiej nauczać? Pojawia się też drugie pytanie — na czym polega kłopot z historią w szkole? Twierdzenie, że leży on w malej ilości godzin czy w niewystarczającej pensji nauczyciela, ma swoje uzasadnienie, ale nie stanowi istoty sprawy. Najważniejszy jest sposób przekazu tejże historii na lekcji. I to, co jest celem, a co środkiem w nauce historii. Pierwszy problem pojawia się wtedy, kiedy mówiąc o minionym czasie, zapomina się o ścisłym powiązaniu go z przestrzenią. Zbyt często dominuje sam czas i to przedstawiany osobno dla historii poszczególnych państw bez ukazania konkretnych powiązań czy zależności. Tak przekazywana historia postrzegana jest z reguły jako ściśle uporządkowany zestaw faktów, który — plasterek po plasterku — przedstawia chronologię wydarzeń historii powszechnej, na przemian (od średniowiecza) z historią Polski. Nie chodzi tu oczywiście o odrzucanie kluczowych dla dziejów wydarzeń ani o porzucenie przy wyborze tematycznym istotnych dla naszej kultury wartości, tylko o niebezpieczeństwo zarzucenia ucznia mnogością szczegółów, chociażby batalistycznych, których on nie stara się i nie może zrozumieć, ale musi po prostu nauczyć się na pamięć. Zapewne ćwiczenie pamięci jest rzeczą korzystną, tylko że w dzisiejszym świecie, przy zalewie informacji, trzeba dokonać selekcji i przedstawić uczniowi najistotniejsze daty (niekoniecznieienne), wydarzenia czy postaci. Nie musi znać np. całej tablicy genealogicznej Piastów, ale tylko tych, którzy zasiadali na tronie

Polski. Wystarczyłoby nauczyć go, w jaki sposób posługiwać się tablicami genealogicznymi, jak z ich pomocą rozumieć powiązania dynastyczne i ich konsekwencje.

Skupiając się tylko na chronologii, wyliczaniu kolejnych wydarzeń, zanudzamy ucznia, jeśli wręcz nie odstrasżamy go od zainteresowania historią jako taką. Co gorsze jednak, nie przekazujemy mu najistotniejszej wiedzy, jaką powinna dać historia, wiedzy o przyczynach i skutkach poszczególnych epizodów i całych procesów dziejowych. Umiejętność pokazania związków wielu wydarzeń z historią państw nieraz odległych w czasie i przestrzeni, pozwala zrozumieć zdarzenia przeszłości i odnaleźć ich skutki w najnowszej historii. Ukazanie przeszłości poprzez tematy-problemy jest bez wątpienia trudniejsze, ale daje szansę na jej przedstawienie w sposób ciekawy i rozwijający myślenie. Zrozumienie tego, co się czyta, o czym się słyszy, to oczywiście coraz poważniejszy problem sporej części społeczeństwa, skoro obok coraz większej grupy analfabetów funkcjonalnych, pojawiają się nawet wtórni analfabeci. Tylko, czy to ma usprawiedliwiać rezygnowanie z prób pobudzenia uczniów do myślenia?

Jest jedno „ale”. Wprowadzając kolejne etapy reformy oświaty, mówiono, że najważniejsze jest, aby nauczyć ucznia myśleć. Kiedy jednak pojawiały się zadania maturalne, okazywało się, że nie myślenie, ale pamięciowe opanowanie wiedzy będzie decydować o osiągnięciu wyższych not. W rezultacie uczeń co najmniej ostatnie miesiące przed maturą z historii poświęca i tak na uczenie się na pamięć chronologii wydarzeń. Nie znaczy to jednak, że wcześniejsza nauka, kiedy to opierając się na umieszczeniu w odpowiednich ramach czasoprzestrzeni poszczególnych wydarzeń, kładziemy nacisk na zrozumienie procesów historycznych, jest aktem daremnym, jeżeli popatrzymy na korzyści długofalowe.

Wprowadzenie nowego podziału na gimnazjum i trzyletnie liceum miało też zróżnicować nauczanie historii. Gimnazjum odpowiadałoby za nauczanie w oparciu o chronologiczne ujęcie dziejów, a liceum tematyczne. Pojawiły się nowe programy, różnej zresztą jakości, i nowe podręczniki, przyciągające

kolorowymi obrazkami a odstrasżające ceną. Trudno ocenić skutki tej reformy zanim przejdzie co najmniej jeden pełny cykl nauczania zakończony nową maturą. Już teraz jednak zarysowuje się niebezpieczeństwo, że tak naprawdę niewiele zmieniło się w nauczaniu historii poza tym, że przed reformą nauczyciele liceum do dyspozycji mieli cztery lata, a teraz tylko trzy. Oczywiście, i tu jest niewiadoma: różny poziom gimnazjów i brak ostatecznych podstaw programowych niezbędnych do matury. Stąd możliwości rozszerzania programu są znacznie bardziej ograniczone niż w układzie: szkoła podstawowa – liceum. Z drugiej strony, przeglądając nowe podręczniki do liceum, ukazujące historię w ujęciu tematycznym, widzimy pewną nieporadność, wrzuca się pod jedno hasło tematyczne, ze zbyt dużą swobodą, cały szereg przykładów jakby zgarniętych z całej historii. To sprawia wrażenie chaosu i zapewne nie zachęca ani ucznia ani nauczyciela do wyboru samego podręcznika.

Oczywiście wszystkie te nowe podręczniki dostosowane są do wymogów kultury obrazkowej – i słusznie. Nie da się dzisiaj od tego odstąpić, trzeba to tylko umiejętnie wykorzystać. Ważne jest zatem, by dobór ilustracji, tabel, ramek był logicznym uzupełnieniem treści lub, co byłoby jeszcze lepsze, zachęcał do zaznajomienia się podstawową zawartością podręcznika. Nie można też uniknąć bezpośredniego oddziaływania na wszystkich, a szczególnie na uczniów, największych nośników kultury obrazkowej: telewizji i internetu. Trzeba być przygotowanym na to, że spora część czerpanej stamtąd wiedzy nie jest najwyższego lotu i umieć zaszczepiać właściwą hierarchię, tłumaczącą, że media to tylko narzędzia, z których należy umiejętnie korzystać. Warto przy tym zwrócić uwagę na niektóre jednostronne filmy dokumentalne produkcji zachodniej, kiedy oglądamy np. najważniejsze wydarzenia XX wieku i Polska pojawia się dopiero w roku 1980. Takie ujęcie skłania do refleksji.

Tu pojawia się pytanie o interpretację nauczanej historii. „Wklepywanie” poszczególnych wydarzeń bez komentarza ma dla wielu pewną zaletę: nie trzeba się opowiadać po żadnej stronie, nie musi się uka-

zywać emocjonalnego stosunku do danych wydarzeń. Oczywiście martyrologiczny obraz naszych dziejów, mesjańska rola naszego narodu, tak często przewijająca się w typowym obrazie historii, nie jest już na szczęście jedynym obowiązującym modelem nauczania historii. Nie umniejszając roli bohaterów przeszłości, należałoby jednak bardziej chwalić tych, co budowali niż tych, co potrafili tylko burzyć. Tzw. „najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” w dziewiętnastowiecznej Wielkopolsce jest, zwłaszcza dzisiaj, znacznie lepszym przykładem możliwości działań dla młodych ludzi, którzy już myślą inaczej niż poprzednie pokolenia, wychowane w duchu romantyzmu. Przez pokolenia historia była podstawowym budulcem zachowania odrębności od zaborcy (a po II wojnie światowej – od ideologii), stąd jej rozdwojenie na oficjalną, której się nie wierzy i kultywowaną w domu – budzącą większe zaufanie. Bodaj pierwszy raz w roku 1980 wielu ówczesnych uczniów usłyszało to samo w szkole, co i w domu. Trzeba było jednak kolejnej dekady, aby proces ten okazał się trwałym. Tylko że przemiany, jakie nastąpiły także w świecie są daleko większe. W dobie unifikacji kultury masowej i globalizacji gospodarczej trudno jest przemawiać wciąż tym samym językiem. Dlatego podkreślenie znaczenia w historii gospodarki i kultury daje szansę dotarcia do tych młodych ludzi bardziej niż sam tylko kult polskich zrywów niepodległościowych – nic im oczywiście nie ujmując ze znaczenia. Mówiąc o przeszłości, przedstawiając fakty, ukazując powiązania historii politycznej, gospodarczej i kulturalnej, mamy większą szansę oddziaływania na przyszłość. Przedstawiamy, bowiem w ten sposób obraz bliższy minionej rzeczywistości niż tylko niemal mityczna historia polityczna. Oczywiście, że nie do wszystkich uczniów dotrzemy, ale też będą tacy, dla których dobrze by było prowadzić dodatkowe zajęcia, typu warsztatów czy kółek, aby

dać im szansę rozszerzenia wiedzy o mechanizmach tego świata i o naszych korzeniach, zarówno w skali lokalnej, jak i ogólnoswiatowej.

Całościowe przedstawienie zagadnień jest oczywiście trudne, ale nie niemożliwe. Rozwiązanie dostępne wszędzie jest proste: trzeba, aby nauczyciele języka polskiego, historii i wiedzy o społeczeństwie współpracowali ze sobą. Korzyści są wzajemne, przedmioty te uzupełniają się znakomicie i można uniknąć powtarzania tych samych tematów. Kiedy wiadomo, w jakich warunkach polityczno-gospodarczych możliwy był rozkwit kultury, zna się literaturę danej epoki, wiedza historyczna staje się dużo pełniejsza. Rozwijanie wiedzy o kulturze to już większy problem.

Od wielu lat w Liceum Pijarów w Krakowie, z którym jestem związany, prowadzony jest dodatkowy przedmiot zwany historią kultury europejskiej, składający się z kilku elementów: historii sztuki, historii filozofii, historii idei i historii muzyki. Dzięki temu uczeń ma możliwość zaznajomienia się ze wspaniałym dorobkiem naszej cywilizacji, dotarcia do jej korzeni i związków, poznania roli i charakteru naszych przodków. Dla tych uczniów historia nie jest już jednowymiarowa. Trzy lata temu Studium Nauczycielskie, prowadzone w Liceum Pijarów, zaproponowało Ministerstwu Edukacji Narodowej zorganizowanie kursu kwalifikacyjnego dla nauczycieli właśnie z historii kultury europejskiej. Pomysł nie został zaakceptowany, ale od tego roku szkolnego pojawił się w szkołach nowy przedmiot: wiedza o kulturze. I chociaż dotyczy głównie historii sztuki w tak skromnym wymiarze godzin, jednak wraz z pozostałymi przedmiotami humanistycznymi daje szansę ukazania przeszłości nie tylko ciekawiej, ale i wszechstronniej.

Andrzej Śniadowski



O pracach Senatu AP pisze Mirosław Oset

Listopadowe posiedzenie Senatu tradycyjnie już poświęcone było przede wszystkim przyjęciu uchwały w sprawie rekrutacji na rok akademicki 2003/2004, w tym także na studia doktoranckie. Przyjęte zostały propozycje nowych kierunków i specjalności studiów (szczegóły w wydany informatorze na studia). Senat zapoznał się z przebiegiem akredytacji na kierunku filologia polska i edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych. W relacjach podkreślano, że przedmiotem analizy były różne aspekty studiów odnoszące się do kształcenia na danym kierunku.

Sprawozdanie z działalności Uczelni za 2002 rok zostało przyjęte na posiedzeniu grudniowym. Rektor, prof. Michał Śliwa analizując stan kadry w oparciu o dane zawarte w sprawozdaniu podkreślił, że w ostatnich latach nastąpił znaczny przyrost kadry samodzielnej. Jeżeli w roku 1999 było 131 profesorów i doktorów habilitowanych, to obecnie – mimo zmiany miejsca pracy lub uzyskania uprawnień emerytalnych przez wielu pracowników – Uczelnia liczy 157 pracowników samodzielnych. Bilans trzech ostatnich lat – to 50 nowych samodzielnych pracowników. Mimo to należy zintensyfikować prace nad odbudową stanu kadrowego.

Senat zapoznał się także z analizą działalności Wydziału Geograficzno-Biologicznego oraz perspektywami rozwoju Biblioteki Głównej. Została też powołana Uczelniana Komisja Rekrutacyjna w składzie: prorektor ds. dydaktycznych (przewodniczący), dziekani wydziałów, przedstawiciele związków zawodowych i Samorządu Studenckiego, sekretarz.

Analizowano także planowane remonty i inwestycje w roku 2003. Zadania te finansowane będą z dotacji resortu oraz ze środków własnych. Na remont budynku przy ul. Karmelickiej przeznaczone są także środki SKOZK i MENiS. Trwa budowa domu studenckiego, która ma dla nas wymiar szczególny, jesteśmy bowiem jedyną uczelnią w Krakowie, która wynajmuje ponad 1500 miejsc, dysponując zaledwie 500 miejscami własnymi.

Na lutowym posiedzeniu Senatu rektor, prof. Michał Śliwa przekazał informację o zgodzie Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu na przygotowanie

projektu rozbudowy budynku głównego Uczelni. Decyzja ta oznacza również, że resort przeznaczy na budowę środki finansowe. Wniosek o rozbudowę uwzględniał przede wszystkim problemy lokalowe Instytutu Biologii, Instytutu Sztuki i Katedry Informatyki. Rozpoczęcie tej inwestycji to także konieczność zarezerwowania w budżecie Uczelni środków na koszt projektu budowlanego. Senat jednomyślnie wyraził zgodę na rozbudowę budynku głównego i założenie (z budżetu AP) stosownej kwoty na projekt budowlany.

„Zwracamy się do Przyjaciół, Koleżanek i Kolegów o aktywność w kampanii poprzedzającej referendum na temat członkostwa Polski w strukturach Unii Europejskiej. Za parę miesięcy wypowiemy się, czy jesteśmy za, czy – przeciw naszej współodpowiedzialności za własny los. Zdajemy sobie sprawę, iż, z naszym udziałem czy bez, proces wielostronnej integracji Europy nie ustanie, nie możemy więc pozostać prowincją naszego kontynentu, czy obszarem rywalizacji obcych interesów. Proces ten nie może przebiegać bez nas, powinniśmy więc współdecydować o naszych sprawach. By się do tego historycznego wydarzenia przygotować, konieczna jest możliwie wszechstronna wiedza na temat funkcjonowania Unii w jej nowym, poszerzonym o nowych członków kształcie”. To fragment dokumentu *O Unii Europejskiej*: tezy skierowanego do Senatu w dniu 17 marca br. Autorami są profesorowie Józef Smaga i Zenon Uryga. Dokument ów stał się podstawą do przyjęcia stanowiska w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Postanowiono również, że czerwcowe referendum poprzedzone zostanie licznymi spotkaniami w Uczelni na temat *Polska i Unia Europejska*.

Ze zgłoszonych przez Rady Wydziałów 17 wniosków o nagrody MENiS, Senat – na wniosek Uczelnianej Komisji Nagrodowej – w tajnym głosowaniu pozytywnie zaopiniował trzy, w tym jeden oryginalny wniosek patentowy.

Realizacja badań własnych i statutowych, która kolejno była przedmiotem szczegółowej analizy i dyskusji Senatu wymaga odrębnego omówienia.

Teresa Nowacka (1937–2002)

Wspomnienie

5 lipca 2002 roku na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie pożegnaliśmy doktor Teresę Nowacką, wieloletniego pracownika Zakładu Historii Literatury Polskiej XIX wieku w Instytucie Filologii Polskiej Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Teresa Nowacka była człowiekiem niezwykle otwartym, życzliwym i wrażliwym, o wielkiej kulturze osobistej, cesze tak dzisiaj rzadkiej. Zawsze skłonna do niesienia pomocy, czyniła to bardzo taktownie i dyskretnie, zapewniając beneficjentom komfort poufności, choć jednocześnie, niestety, skazując na swoistą anonimowość swoją wspinałomysłność.

Wspomniane przymioty serca łączyła z walorami intelektu. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem przenikliwości Jej umysłu, którą mieliśmy okazję niejednokrotnie podziwiać w trakcie naukowych dyskusji, jakie toczyliśmy na zebraniach Zakładu. Swoje sądy o referowanych przez kolegów hipotezach badawczych Teresa Nowacka formułowała rozważnie, z szacunkiem odnosząc się do przedstawianych ustaleń, co nie oznaczało jednakże braku krytycyzmu. Przeciwnie, była dyskutantem surowym, ale sprawiedliwym. Niejeden referent mógł też liczyć, co zdarzało się wcale nierzadko, że zostanie zachęcony do śmiałego zakreslenia nowych horyzontów, do rozważenia podsuwanych „na gorąco” interesujących propozycji interpretacyjnych.

Zainteresowania badawcze Teresy Nowackiej skupiały się wokół literatury romantycznej, zwłaszcza romantyzmu krajowego. Korpus tekstów naukowych T. Nowackiej nie jest zbyt obszerny, tworzą go natomiast narracje naukowe bardzo starannie przemyślane i dopracowane. Do najbardziej znaczących należy książka *Opowiadania Józefa Ignacego Kraszewskiego*, która ukazała się w roku 1972 w znanej i cenionej serii „Prace Komisji Historycznoliterackiej PAN”. Godną uwagi grupę publikacji tworzą opracowania na użytek szkolnej dydaktyki, ogłaszane w najważniejszych czasopiśmie adresowanych do nauczycieli-polonistów: „Polonistyce” i „Ojczyźnie-Polszczyźnie”.

Teresa Nowacka była również wybitnym nauczycielem akademickim, i tylko ci, którzy – tak jak ja – mieli szczęście być uczestnikami prowadzonych

przez nią zajęć, w pełni uświadamiają sobie, jak wiele tracą obecni i przyszli studenci. Zawsze znakomicie, by nie rzec perfekcyjnie przygotowana do zajęć, imponowała erudycją i niepospolitą pamięcią, także do szczegółów dotyczących na przykład wyglądu bohaterów literackich czy zawiłości fabuły. Wymagając wiele od siebie, stawiała wysoko poprzeczkę studentom, nie tolerując lekceważenia obowiązków i myślowej nieporadności.

I jeszcze przynajmniej o jednym trzeba wspomnieć – o wielkiej mądrości życiowej Teresy Nowackiej i stoickim dystansie do świata. Także dystansie do tytułów i zaszczytów. Za wszystkie wystarczał Jej doktor, *homo doctus*, człowiek uczony. Taki właśnie człowiek od nas odszedł, ale przecież pozostał w naszej wdzięcznej pamięci. Na zawsze.

Jerzy Waligóra

*

Teresa Nowacka rozpoczęła pracę w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej w 1962 roku. Była absolwentką polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, tam obroniła pracę magisterską *Kolorystyka „Baldadyny” Juliusza Słowackiego*, pisaną pod kierunkiem prof. Kazimierza Wyki. Zanim została asystentką w ówczesnej Katedrze Historii Literatury Polskiej uczyła języka polskiego w krakowskich liceach.

Stopień doktora nauk humanistycznych uzyskała w 1970 roku na podstawie rozprawy *Opowiadania Józefa Ignacego Kraszewskiego*. Promotorem był prof. Wincenty Danek, wybitny znawca twórczości Kraszewskiego. Praca ta przyniosła pierwsze syntetyczne ujęcie dorobku pisarza w dziedzinie krótkich form narracyjnych, ukazując go na szerokim tle tendencji ideowych i estetycznych europejskiego oraz polskiego romantyzmu. Obok tych walorów poznawczych zwraca w niej uwagę charakterystyczna dla warsztatu badawczego autorki docieklivość interpretacyjna połączona z umiejętnością formułowania sądów uogólniających, a także stylistyczna i kompozycyjna czystość wywodu, nie przeciążonego literaturoznawczą terminologią, a przecież wyraziście i trafnie określającego omawiane zjawiska. Te zalety dały o sobie znać w innych, bardziej już popularyzatorskich,



go: rozległą wiedzę humanistyczną, pomnażaną przez lekturę nie ograniczaną ściśle zawodowymi potrzebami, umiejętność precyzyjnego formułowania zagadnień i hierarchizowania podejmowanej problematyki, dar żywego i komunikatywnego słowa. Literaturę ujmowała w szerokim kontekście kulturowym, potrafiła przekonująco ukazywać jej związki z filozofią, historią i polityką. To wszystko sprawiało, że jej zajęcia zawsze cieszyły się uznaniem słuchaczy, zaś prace magisterskie i licencjackie, którym patronowała, cechował wysoki poziom merytoryczny.

Swoje doświadczenia dydaktyczne i organizacyjne wykorzystywała w pracach na rzecz macierzystego Instytutu Filologii Polskiej. Była współautorką planów studiów, samodzielnie opracowywała szczegółowe programy nauczania historii literatury. Bardzo użyteczny, zwłaszcza dla studentów zaocznych, stał się wydany przez nią skrypt *Romantyzm. Wybór tekstów naukowych. Materiały pomocnicze dla studentów filologii polskiej WSP i WSN*

(Kraków 1973), gromadzący rozprawy zasadnicze dla zrozumienia głównych aspektów ideowych i artystycznych europejskiego i polskiego romantyzmu. Wspomnieć też trzeba i o tym, że przez wiele lat opiekowała się kolejnymi rocznikami studenckimi, zdobywając sobie ich szacunek jako osoba wymagająca, ale zarazem życzliwa i otwarta na problemy podopiecznych. Cieszyła się zaufaniem kolegów, była rzecznikiem dyscyplinarnym do spraw pracowników naukowych przy rektorze Uczelni oraz wieloletnim członkiem Rady Naukowej IFP.

Kompetencje Teresy Nowackiej doceniały władze oświatowe. W latach dziewięćdziesiątych Wojewódzki Ośrodek Metodyczny w Krakowie wielokrotnie powoływał ją w skład Międzywojewódzkiej Komisji ds. Stopni Specjalizacji Zawodowej Nauczycieli, od 1991 roku na zlecenie MEN recenzowała tzw. środki dydaktyczne, zalecane do użytku szkolnego. W 1993 roku uzyskała stanowisko recenzenta kwalifikującego środki dydaktyczne i podręczniki szkolne. W 1981 r. została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi.

Andrzej Gurbiel

publikacjach Nowackiej, między innymi posłowiu do wydania wyboru opowiadań Kraszewskiego *Skarb* (Warszawa 1975) i przedśłowiu do powieści tego pisarza *Kraków za Łokietka* (Warszawa 1978). Z czasem okazało się, że działalność popularyzatorska – obok pracy w Uczelni – stała się główną domeną jej aktywności. Systematycznie wygłaszała prelekcje dla nauczycieli, wysoko przez nich ocenione, nagrywała audycje radiowe. W „Ojczyźnie-Polszczyźnie”, kwartalniku dla nauczycieli, ogłaszała artykuły na temat literatury i kultury romantyzmu. Zamieściła tam również szkic o powieści kryminalnej, prywatnie bowiem była jej zachłanną czytelniczką i znawczynią. Raz jeszcze wróciła do Kraszewskiego w interpretacji jego opowiadania *Jak się dawniej listy pisały* (opublikowanej w książce zbiorowej *List. Nowela. Opowiadanie. Analizy i interpretacje*, Kraków 1996), noszącej wszelkie znamiona jej polonistycznego talentu.

Największą pasją Teresy Nowackiej było jednak nauczanie. Prowadziła konwersatoria, a od połowy lat siedemdziesiątych również wykłady i seminaria, przede wszystkim z literatury polskiego romantyzmu, ale także z literatury powszechnej. Miała wszelkie cechy dobrego nauczyciela akademickiego

Tadeusz Jarosiński (1917–2003)

3 marca 2003 r. zmarł w Krakowie dr Tadeusz Jarosiński – emerytowany nauczyciel akademicki Studium Wychowania Fizycznego i Sportu, wspaniały pedagog, szlachetny człowiek, żarliwy patriota i przyjaciel młodzieży. W latach okupacji hitlerowskiej brał udział w ruchu oporu – Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Z narażeniem życia pomagał ludności pochodzenia żydowskiego.

Po wyzwoleniu podjął naukę w Studium Wychowania Fizycznego UJ, które ukończył w 1948 roku broniąc pracy magisterskiej z dziedziny antropologii. Po złożeniu egzaminów przed Komisją Egzaminów Państwowych dla nauczycieli szkół średnich w Krakowie, otrzymał w styczniu 1950 roku dyplom nauczyciela szkół średnich z prawem prowadzenia „ćwiczeń cielesnych i higieny”. Był nauczycielem wielu renomowanych liceów w Krakowie, prowadził także zajęcia w szkole ćwiczeń Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w V LO im. Augusta Witkowskiego.

W naszej uczelni został zatrudniony w roku akademickim 1948/49. Doceniając potrzebę wszechstronnego rozwoju przyszłych nauczycieli Uczelnia ta, jako pierwsza w Polsce wprowadziła obowiązkowe zajęcia wychowania fizycznego. Na mocy Zarządzenia Ministra Oświaty z 9.08.1954 roku powołane zostaje Studium Wychowania Fizycznego w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, którego kierownikiem zostaje mgr Tadeusz Jarosiński. Funkcję tę pełnił aż do przejścia na emeryturę w 1977 roku.

Był animatorem życia sportowego w środowisku studenckim. Dzięki niemu powstawały Kola Sportowe w uczelniach krakowskich, był także inicjatorem współzawodnictwa sportowego pomiędzy uczelniami Krakowa. Podtrzymywał kontakty w ośrodkami zagranicznymi, uczelniami pedagogicznymi z Lipska, Drezna, Kijowa i Nitry.



Fot. Marian Pasternak

Niezależnie od tego, rozwijał również zainteresowania naukowe i publicystyczne. W 1970 roku uzyskał tytuł doktora w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie na podstawie dysertacji – *Miejsce Tytuśa Chałubińskiego w dziejach zdrowotnego wychowania społeczeństwa*, napisanej pod kierunkiem prof. Walerego Goetla. Za całokształt pracy uhonorowany wieloma odznaczeniami państwowymi, wojskowymi i resortowymi, do końca związany był naszą uczelnią.

Zawsze mogliśmy liczyć na Jego pomoc i radę. Pozostajemy wdzięczni za wszystko, co dla nas zrobił. Zachowujemy w pamięci wspólne spotkania, które dostarczały wielu osobistych i zawodowych satysfakcji.

Boguchwał Fulara



Człowiek książkowy

Z twórczością naukową Henryka Markiewicza obcuje od początku mojej polonistycznej drogi. Jeszcze jako student w latach pięćdziesiątych obowiązkowo czytać musiałem *O marksistowskiej teorii literatury*, z własnego już wyboru prace o *Lalce* Bolesława Prusa czy *Przedwiośniu* Stefana Żeromskiego, później zaś podczas pracy w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej stale mi towarzyszyły jego *Główne problemy wiedzy o literaturze*, *Wymiary dzieła literackiego* i inne dzieła uczonego. Nieocenioną przysługę zarówno w pracy badawczej, jak i dydaktycznej oddawały antologie tekstów teoretycznoliterackich czy metodologicznych, jak *Teoria badań literackich za Polsce*, *Współczesna teoria badań literackich za granicą*, *Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa* (wspólne z Januszem Sławińskim), *Problemy teorii literatury w Polsce międzywojennej*.

Sądziłem zatem, że o autorze i redaktorze tych książek, o jego poglądach historycznych wiem wszystko. O tym, jak bardzo się myliłem, przekonała mnie ostatnia książka Henryka Markiewicza *Mój życiorys polonistyczny z historią w tle*. Jest to bowiem pozycja szczególna. W sposób zasadniczy odbiegająca od obficie się ostatnio ukazujących dzienników, pamiętników i wspomnień. Wyróżnia ją też swego rodzaju dychotomia gatunkowa. Otrzymaliśmy bowiem obok własnoręcznie spisanej opowieści o życiu i pracy również wywiad-rzekę (modne ostatnio określenie), przeprowadzony dyskretnie przez Barbarę N. Łopieńską.

Nie jest to zatem, ani w pełni tego słowa auto-biografia, ani pamiętnik lecz – jak to zaznaczono w tytule – „życiorys naukowy”, chociaż dorobek swój Henryk Markiewicz ocenia skromnie, nazbyt skromnie: „Nie uważam moich osiągnięć na tym polu (polonistycznym) za tak cenne, by dzieje ich powstawania warto było upamiętnić. W pracach moich

nie ma wielkich nowych pomysłów; ich mocną stroną jest krytyczna synteza lub fotografia, a takie prace szybko się starzeją i ulegają zapomnieniu”.

Owa skromność uczonego, nietypowa dla tego typu wypowiedzi, występuje w całej książce. Przyznać muszę, iż nie znam takiego pamiętnika, autobiografii, czy dziennika, w którym autor z taką dozą szczerości mówiłby o swoich niedoskonałościach, wszędzie dominuje raczej idealizacja własnych cech i czynów. Oto parę przykładów z „życiorysu naukowego” Markiewicza: „wykłady moje były nudne”, „nie miałem zaufania do swych zdolności organizacyjnych”, „nowatorstwem się nie wyróżniałem”, „długo brakowało mi pewności siebie”, „eklektyzm, nie wypieram się go”.

Jeżeli zestawzić te wyrwane tutaj z kontekstu sformułowania z rezultatami dydaktycznymi i naukowymi Profesora, to okaże się, iż nie mają się one nijak do efektów. Jeżeli tak skromnie ocenia Markiewicz swoje możliwości dydaktyczne, to skąd taki wysyp znakomitych nazwisk jego uczniów? Przytoczę niektóre: Tomasz Weiss, Stanisław Eile, Tadeusz Bujnicki, Stanisław Jaworski, Jan Michalik, Michał Sprusiński, Jan Pieszczachowicz, Franciszek Ziejka. Podobnie jest z uzdolnieniami kierowniczymi, a np. redaktor naczelny „Życia Literackiego”, a dwukrotny dyrektor Instytutu Filologii Polskiej UJ, a sterowanie *Polskim Słownikiem Biograficznym*, itp.? A dorobek naukowy? Dwadzieścia książek własnych, siedem broszur, dziesięć antologii w dwudziestu tomach, dwie serie *Skrzydlatych słów* (z Andrzejem Romanowskim), czterdzieści prac redakcyjnych i edytorskich, itp. Nic więc dziwnego, że gdzie indziej stwierdza: „mogę więc powiedzieć, że byłem w swoim życiu naukowym szczęśliwy”.

Najwięcej uwagi poświęca w „życiorysie polonistycznym” okresowi dzieciństwa, młodości i pierwszym krokom naukowym po wojnie, na Uniwersyte-

cie Jagiellońskim. To dobrze! Jest to bowiem najmniej znany – jak dotąd – okres w życiu Profesora. Mamy więc jakby strzępy ankiety personalnej: „urodziłem się dnia”, „mój ojciec”, „siostra mamy”. Urodził się w Krakowie w rodzinie żydowskiej – jak pisze – „mocno spolonizowanej”. O sobie zaś powie później: „czuję się Polakiem żydowskiego pochodzenia”. O dzieciństwie również wystawia się dość sceptycznie: „Byłem dzieckiem nieładnym, chorowitym, niezaradnym (do czego przyczyniła się i nadopiekuńczość matki, i moja nadmierna tusza), wskutek tego – nerwowym i nieśmiałym”.

Opowiada o perypetiach szkolnych („świetnie radziłem sobie z polskiego”), o pasji czytelniczkiej („jestem człowiekiem książkowym”), o pierwszych drukowanych przed wojną tekstach, a więc o rodzeniu się pasji polonistycznych, o kłopotach z gimnastyką. Są w tej biografii i chwile tragiczne. Wybuch drugiej wojny światowej, ucieczka z ojcem na wschód, pobyt we Lwowie, wywózka do obwodu swierdłowskiego, praca w lesie i na roli, śmierć ojca, szczęśliwe ocalenie i powrót do kraju. Podczas zsyłki pierwsze kontakty z radziecką literaturą propagandową, z marksizmem, który podobnie jak strukturalizm zaciążył na twórczości naukowej Markiewicza.

Wspomnienia te obfitują w ogromną ilość faktów, nazw topograficznych, nazwisk, tytułów książek. Jedną bowiem z cech ich twórcy jest znakomita pamięć, której efekty znajdziemy w późniejszej twórczości naukowej, charakteryzującej się również ogromnym szacunkiem dla faktów, dla ustaleń poprzedników. Nie będę tutaj przypominał drogi naukowej Henryka Markiewicza, licznych kręgów jego zainteresowań. Są to znane fakty ze słowników biograficznych historyków literatury. Powiem jeno, iż z kart tej książki wyłania się postać człowieka szcze-

śliwego, któremu praca daje satysfakcję, który się spełnił, który do dzisiaj ma jak w zegarku uregulowany czas na pracę naukową, który najlepiej czuje się w świecie swojej czterdziestotysięcznej domowej biblioteki naukowej.

Kiedy pod koniec ubiegłego roku odbyła się na Uniwersytecie Jagiellońskim uroczystość jubileuszowa z okazji 80-lecia Henryka Markiewicza, po wysłuchaniu laudacji, dobrych słów od swoich uczniów, m.in. od rektora Franciszka Ziejki, uczony opowiedział z właściwą sobie skromnością, co zawdzięcza swoim uczniom, czego się od nich nauczył. Wyraża się w tym jedna z cech osobowości uczonego, wysokie wymagania wobec siebie i innych, połączone jednak z życzliwością. Doświadczył tego także piszący te słowa, kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych Markiewicz opiniował jego wniosek na tytuł profesora. „W sprawach zawodowych – napisał w «życiorysie» – jestem uczynny”. I jeszcze jedno: Profesor z właściwą sobie skrupulatnością łowi wszelkie pomyłki w tekstach swoich kolegów. Ostatnio piętnuje je w *Camera obscura* w „Dekadzie Literackiej”. Nie szczędzi również siebie. W jednej z nich przeczytałem: „Michał Markiewicz (wnuk) zwraca uwagę na błąd w podpisie pod fotografią na s. 201 książki Henryka Markiewicza *Mój życiorys polonistyczny z historią w tle*. Ogrywa on tu dziadka nie w *chińczyka*, lecz w grę zwaną *labirynt* (hm)”. Ujawnia się tutaj duże poczucie humoru, jakim – mimo pozornej oschłości – dysponuje Profesor.

Bolesław Faron

Prof. dr Henryk Markiewicz jest doktorem honorowym Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie.

Henryk Markiewicz, *Mój życiorys polonistyczny z historią w tle*. Rozmowa z autorem uzupełniła Barbara N. Łopieńska. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003, 270 s.

Wykorzystanie materiałów dydaktycznych do rozwijania aktywności matematycznej uczniów

Międzynarodowa konferencja *Comission Internationale pour l'Étude et l'Amélioration de l'Enseignement des Mathématiques*

Międzynarodowa Komisja do Studiowania i Ulepszania Nauczania Matematyki (CIEAEM) od swych początków w 1951 roku stawiała sobie za cel integrację celów naukowych, analizę różnych aspektów nauczania i uczenia się matematyki, i ogólnoedukacyjnych — polepszanie jakości edukacji matematycznej społeczeństwa.

Komisja współorganizuje konferencje międzynarodowe; tegoroczna, już 55. odbędzie się w Płocku, w dniach 22-28 lipca 2003 r. Jej organizatorami są Akademia Pedagogiczna im. KEN w Krakowie i Szkoła Wyższa im. Pawła Włodkowica w Płocku, jedna z największych niepaństwowych szkół wyższych w Polsce, dysponująca własną bazą lokalową, nowoczesną biblioteką i kompleksem sportowo-rekreacyjnym

Pierwsze konferencje CIEAEM gromadziły przede wszystkim matematyków europejskich i nauczycieli matematyki szkół średnich. W ostatnich latach stały się coraz bardziej atrakcyjne dla szerszego grona międzynarodowego, przyciągając kolegów z innych kontynentów, jak również coraz bardziej liczną grupę nauczycieli nauczania początkowego, nauczycieli akademickich instytucji kształcących nauczycieli i wreszcie naukowców prowadzących badania z zakresu nowej, dynamicznie rozwijającej się dyscypliny — dydaktyki matematyki. Anna Zofia Krygowska (1904–1988), profesor AP, wieloletni dyrektor Instytutu Matematyki, która zaliczana jest do grona twórców dydaktyki matematyki jako autonomicznej dyscypliny naukowej, była wieloletnim

prezydentem CIEAEM. Wyróżniono także związane z nią środowisko krakowskiej szkoły dydaktyki matematyki — Mariannę Ciosek, Macieja Klakłę, Bogdana J. Noweckiego z AP w Krakowie, oraz Stefana Turnaua i Wacława Zawadowskiego.

Spotkania Komisji są nie tylko wymianą rezultatów badań naukowych. W odróżnieniu od innych tego typu imprez charakteryzuje je to, że każde spotkanie ma swoją ściśle określoną tematykę, wokół której koncentrują się dyskutowane problemy, ustalana wcześniej w zależności od aktualnych potrzeb i sytuacji w nauczaniu matematyki, często w związku z zapotrzebowaniem kraju, który gości uczestników konferencji. Specyficzną formą aktywności uczestników w czasie spotkań, jest udział w pracy wybranej grupy (prezentacje problemów, rozwiązań, dyskusje) przez cały czas trwania konferencji (tzw. *working groups*). Oprócz tego odbywają się wykłady plenarne, często stanowiące wprowadzenie do dyskusji, warsztaty prowadzone przez uczestników spotkania, a także specjalnie zaproszonych gości, czy wreszcie tzw. *happy hours* — okazja do mniej oficjalnej wymiany poglądów i doświadczeń. Uczestnicy tych spotkań, to z jednej strony naukowcy-teoretycy, zajmujący się badaniem danej problematyki, a z drugiej nauczyciele-praktycy, realizujący te zagadnienia w warunkach szkolnych. Przy czym są tu reprezentowani nie tylko dydaktycy matematyki, ale także między innymi pedagodzy, psychologowie, historycy matematyki, socjologowie, filozofowie; nauczyciele akademicki zajmujący się kształceniem nauczycieli, ale także badacze problemów dotyczących nauczania. Ułatwia to interdyscyplinarne

i holistyczne traktowanie tematyki każdego spotkania, które spełnia rolę międzynarodowego forum wymiany idei dotyczących nauczania matematyki.

Oficjalnymi językami CIEAEM są angielski i francuski, a organizatorzy dbają o równoprawne ich traktowanie. Trzy spośród 54. dotychczasowych spotkań organizował Instytut Matematyki AP (1960, 1971, 1990). Temat konferencji, zaproponowany przez polskich członków Komisji, jest szczególnie aktualny, ze względu na wprowadzaną w Polsce reformę systemu edukacji i związaną z tym sytuację oświatową. Nowa struktura szkolnictwa i idące za tym reformy, dopuszczające różnorodne programy, spowodowały pojawienie się na rynku kilkudziesięciu nowych zestawów materiałów dydaktycznych do nauczania matematyki (podręczników, zeszytów pracy dla uczniów, przewodników dla nauczycieli, itp.), na każdym z etapów kształcenia. Zagadnienia oceny jakości, sposobów wykorzystania w pracy z uczniami i kryteria wyboru tych materiałów przez nauczycieli, to aktualne

problemy stojące przed nauczycielami matematyki. Mamy nadzieję, że obrady konferencji, będące okazją do wymiany doświadczeń w tym zakresie, pomogą w rozwiązywaniu tych problemów w Polsce.

Wprowadzenie do tematyki konferencji, oraz szczegółowe informacje dotyczące formalności związanych z uczestnictwem w CIEAEM 55 można znaleźć na stronie internetowej: www.wlodkowic.pl Pracami programowymi konferencji kieruje Międzynarodowy Komitet Programowy, który tworzą: Luciana Bazzini, Francoise Cerquetti, Marianna Ciosek, Uwe Gellert, Christine Keitel, Maciej Klakla, (przewodniczący), Stefan Turnau. Stroną organizacyjną kieruje Lokalny Komitet Organizacyjny, któremu przewodniczy Bogdan J. Nowecki. Spodziewamy się wielu uczestników z różnych krajów. Mamy nadzieję, że w kolejnych numerach „Konspektu” uda się nam przedstawić więcej informacji dotyczących CIEAEM i jej działalności.

Maciej Klakla

A na Podbrzeziu królowały żaby i jaszczurki

Wrzesień to tradycyjny czas konferencji sympozjów i spotkań naukowców. Nie inaczej było i tym razem. W Instytucie Biologii odbyła się VI Ogólnopolska Konferencja Herpetologiczna „Biologia płazów i gadów — ochrona herpetofauny”, bowiem dziedzina biologii zajmująca się tymi sympatycznymi (nie tylko dla specjalistów) zwierzętami nosi właśnie nazwę herpetologii

Pracownicy Zakładu Zoologii byli organizatorami tej konferencji już po raz piąty. Nie jest to przypadek, bowiem wieloletnim kierownikiem Zakładu Zoologii i dyrektorem Instytutu Biologii był prof. Włodzimierz Juszczuk — twórca znanej i uznanej w całym kraju krakowskiej szkoły herpetologicznej. Prof. Juszczuk jest autorem monografii *Płazy i gady krajowe*, której kolejne nakłady błyskawicznie znikają z księgarń. Jest to najobszerniejsze dzieło omawiające morfologię, biologię i ekologię naszych rodzimych płazów i gadów. Gatunki polskie i ego-

tyczne opisał w *Małym słowniku zoologicznym. Gady i płazy*. Trudno spotkać taką publikację z dziedziny herpetologii, w której prof. Juszczuk nie byłby cytowany. Jego uczniami są m.in. prof. Władysław Zamachowski, dziekan Wydziału Geograficzno-Biologicznego i prof. Marian Zakrzewski, prorektor AP. To właśnie krakowski ośrodek badań krajowych płazów i gadów był pierwszym i wiodącym. Dopiero wiele lat później takie badania podjęły instytuty w Toruniu, Poznaniu czy Wrocławiu. Naszym Zakładem Zoologii na Podbrzeziu kieruje

prof. W. Zamachowski, który jest także przewodniczącym Sekcji Herpetologicznej Polskiego Towarzystwa Zoologicznego. W władzach PTZ pracują również dr Marek Guzik i dr Lucjan Schimscheiner.

Konferencje Instytutu gromadzą za każdym razem liczne grono herpetologów. W ostatniej udział wzięło ok. 70 osób, w tym znani profesorowie, wśród których niekwestionowanym autorytetem cieszy się prof. Leszek Berger z PAN w Poznaniu, specjalista od „żab zielonych”. Prof. Berger należy do wąskiego grona specjalistów zajmujących się zjawiskiem hybrydizacji w obrębie tej grupy żab, jest jednym z odkrywców tego zjawiska, a przy tym doskonałym mówcą. Wypowiedzi przeplata wspomnieniami i anegdotami związanymi z prowadzonymi badaniami.

Nieplanowany, ale niezwykle interesujący referat na temat prawnych aspektów badań na zwierzętach przedstawił prof. Kazimierz Ziemnicki z UAM w Poznaniu, przewodniczący Krajowej Komisji Etycznej ds. Doświadczeń na Zwierzętach. Wyjaśnił i uzasadnił, niekiedy na drastycznych przykładach, potrzebę uzyskiwania zezwoleń na wykonywanie badań na kręgowcach. Według wypowiedzi profesora wiele wniosków o zezwolenie jest bezsensownych. Nie wnoszą nic nowego do nauki, a mogą spowodować niepotrzebne cierpienie lub śmierć wielu zwierząt.

Spośród znanych herpetologów biorących udział w naszych konferencjach należy także wspomnieć zmarłego w ubiegłym roku prof. Henryka Szarskiego, mistrza i nauczyciela wielu obecnych na sali herpetologów, twórcy polskiej szkoły biologii ewolucyjnej, autora książek *Historia zwierząt kręgowych*, *Mechanizmy ewolucji* czy *Anatomia porównawcza kręgowców*. Profesor Szarski zawsze z dużą sympatią i życzliwością traktował młodych adeptów nauki. Jego cenne rady i wskazówki niejednemu z nas pomogły w dalszej pracy.

Tym razem nieobecny był prof. Marian Młynarski, specjalista od żółwi kopalnych i współczesnych. Dzięki jego staraniom uratowano wiele stanowisk żółwia błotnego w Polsce. Uczniowie profesora na każdym spotkaniu z dumą prezentują wyniki swoich działań.

Specyfiką konferencji herpetologicznych jest to, że profesorowie przywożą liczne grono swoich uczniów – doktorantów i magistrantów. Dla wielu z nich wygłoszenie referatu czy przedstawienie posteru bywa pierwszym publicznym wystąpieniem. Każdy referujący spotyka się z życzliwym przyjęciem, a rady i wskazówki, nawet krytyczne, udzielane w trakcie dyskusji są bardzo pomocne w dalszej pracy.

Lista instytucji naukowych i wyższych uczelni reprezentowanych przez uczestników jest bardzo długa, ale na naszych konferencjach spotykają się nie tylko naukowcy. Liczną grupę stanowią pracownicy parków narodowych i krajobrazowych, rezerwatów przyrody czy ogrodów zoologicznych. Przyjeżdżają również hodowcy i sympatycy tych zwierząt.

Cieszy nas, że wśród obserwatorów jest liczne grono nauczycieli, naszych absolwentów. Wszyscy oni „zarazili się” sympatią do płazów i gadów w czasie pisania prac magisterskich i na własnym terenie są propagatorami i animatorami ochrony tych zwierząt. Wielu z nich jest współautorami prezentowanych prac. Często towarzyszą im uczniowie, którzy uczestniczą w szkolnych programach czynnej ochrony płazów i każdego roku ratują setki zwierząt.

Wspomnieć należy również gości zagranicznych. Nie przybywają licznie, ale zaznaczają swoją obecność referatami lub posterami. W ostatnim spotkaniu uczestniczyli goście z Łotwy i Ukrainy, w poprzednich gościliśmy również przedstawicieli uniwersytetów z Rosji i Litwy. Jeden z naszych gości dr Jegor Malaszczew jest obecnie członkiem władz Europejskiego Towarzystwa Herpetologicznego.

Tematyka konferencji na przestrzeni lat ulegała pewnym zmianom, temat ostatniej dotyczy być albo nie być naszych płazów i gadów. Zanieczyszczenie środowiska, osuszanie i melioracje, budowa dróg i autostrad, zasypywanie zbiorników wodnych to tylko nie-



Włodzimierz Juszczyk



Władysław Zamachowski

które zagrożenia, na które są narażone płazy i gady. Oczywiście nikt nie neguje np. potrzeby budowy dróg, ale ważne jest uświadomienie sobie, że na nowo zbudowanej drodze w krótkim czasie może wyginąć nawet do 80% osobników lokalnej populacji.

Badania przeprowadzone pod kierunkiem prof. W. Zama-

chowskiego na dwukilometrowym odcinku nowej drogi w okolicy Niedzicy wykazały, że w jednym roku, w okresie wiosennych wędrówek płazów na drodze tej zginęło 12 597 osobników żaby trawnej, 441 osobników traszki górskiej, 131 osobników ropuchy szarej i mniejsze ilości innych gatunków. Należy przy tym pamiętać, że wszystkie polskie gatunki płazów i gadów są objęte ochroną gatunkową. Zaplanowanie pod drogami przejść dla płazów ograniczy ich śmiertelność na drogach, ale równocześnie podniesie bezpieczeństwo jazdy. Zatem chroniąc płazy chronimy siebie.



Henryk Szarski

Konferencja nasza przeszła do historii (wygłoszono 17 referatów i przedstawiono 22 postery). Następne spotkanie herpetologów w Instytucie Biologii odbędzie się we wrześniu 2005 roku. Już teraz zapraszamy wszystkich zainteresowanych do wzięcia w nim udziału.

Marek Guzik

Polska 2000 PLUS



Fot. M. Pasternak

26 marca br. w auli Akademii Pedagogicznej w Krakowie odbyło się spotkanie kierownictwa Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN ze środowiskiem naukowym Krakowa. Znaczenie przełamывania stereotypów oraz zalety myślenia perspektywicznego podkreślił otwierający konferencję profesor Michał Śliwa, rektor naszej uczelni.

O dorobku, historii i działalności Komitetu Prognoz mówił w swoim wystąpieniu prof. Leszek Kuźnicki, ukazując kierunki zmian cywilizacyjnych i gospodarczych w świecie. Przedstawił także problemy związane ze wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Zasygnalizował także brak zasadniczego wpływu prognoz i diagnoz kształtowanych przez środowisko naukowe na rządzących.

Profesor Zdzisław Sadowski, zastępca przewodniczącego Komitetu, rozważał *Problemy rozwoju gospodarczego Polski po wejściu do Unii Europejskiej do roku 2015*. Podkreślił, że wchodzimy do wspólnoty europejskiej z pozycji kraju słabego wskazując na potrzebę podjęcia dyskusji o kierunkach modernizacji gospodarki kraju, rozwoju edukacji i nauki oraz roli państwa w kształtowaniu rozwoju społecznego. O działalności wydawniczej Komitetu Prognoz mówił mgr inż. Bogdan Pencok. Nad przebiegiem obrad czuwał inicjator dyskusji prof. Czesław Banach.

KS

Jerzy S. Ossowski

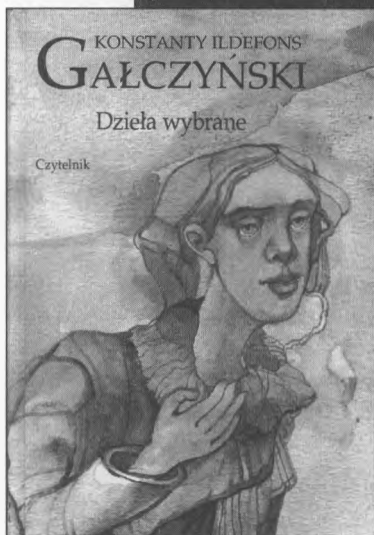
Krakowska inauguracja Roku Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego

POMNIK GAŁCZYŃSKIEGO

1 czerwca 2000 roku, dokładnie w 70. rocznicę ślubu Konstantego i Natalii Gałczyńskich, który miał miejsce w Prawosławnej Cerkwi Katedralnej pod wezwaniem św. Marii Magdaleny na warszawskiej Pradze, zawiązał się Komitet Inicjatywny Roku Konstantego I. Gałczyńskiego. Jego współprzewodniczącą została Kira Gałczyńska, córka poety. W związku ze zbliżającymi się rocznicami: stulecia urodzin i pięćdziesięciolecia śmierci poety, głównym celem Komitetu było ogłoszenie roku 2003 – Rokiem Konstantego I. Gałczyńskiego. Kiedy więc w październiku 2000 roku, na krakowskich Targach Książki, Kira Gałczyńska, wpisując dedykację do swojej najnowszej książki biograficznej *Zielony Konstanty, czyli opowieść o życiu i poezji K.I. Gał-*

czyńskiego, zaproponowała mi członkostwo w Komitecie Inicjatywnym, przeczytałem to sobie za swoje szczęście dla „gałczyńskologa”, zwłaszcza że znalazłem się wśród znanych osobistości życia krakowskiego, jak Ludwik Jerzy Kern czy prof. Henryk Markiewicz. Z czasem do tego grona dołączyli profesorowie: Adam Kulawik (AP Kraków) i Tadeusz Bujnicki (UJ).

Podczas jednego z uroczystych posiedzeń Komitetu, w Sali im. K.I. Gałczyńskiego Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, Tadeusz Bujnicki wraz ze swoją siostrą Anielą, przekazali na ręce prof. Janusza Odrowąża-Pieniążka, dyrektora Muzeum Literatury w Warszawie, wileńskie rękopisy autora *Ludowej zabawy*, które zachowały się w pośmiertnych papierach Teodora Bujnickiego, wybitnego poety



wileńskiej grupy poetyckiej „Żagary”. W spotkaniu tym, oprócz Kiry Gálczyńskiej i jej małżonka Janusza Kiliańskiego, uczestniczyli też: Jacek Zdrojewski, współprzewodniczący Komitetu i wiceprezydent Warszawy, Piotr Kuncewicz, prezes Związku Literatów Polskich, ksiądz Stanisław Niewęglowski, kapelan środowisk twórczych, Włodzimierz Paszyński, wiceminister MENiS, Jarosław Kilian, reżyser spektaklu opartego na *Zielonych Gęsiach* w Teatrze Polskim oraz grająca w tym przedstawieniu rolę główną – Irena Kwiatkowska.

Starania Komitetu – do którego wkrótce dołączyła Jolanta Szymanek-Deresz, szefowa Kancelarii Prezydenta RP – zyskały także poparcie Krystyny Łybackiej, minister edukacji narodowej oraz Roberta Kwiatkowskiego, prezesa TVP (patronat medialny).

Zrodziła się też inicjatywa, ażeby z okazji 50. rocznicy śmierci wzniesć pomnik poety. Kira Gálczyńska odrzuciła jednak ten „spizowy” pomysł, na łamach prasy oświadczając, że dopóki wiersze jej ojca wzruszają, rozmieszczać i uczyć kolejne pokolenia, dopóty poeta wciąż żyje.

24 stycznia br. Sejm RP ogłosił uchwałę proklamującą rok 2003 – Rokiem K.I. Gálczyńskiego. Nad obchodami honorowy patronat objął prezydent Aleksander Kwaśniewski. Rok rozpoczął *Wieczór teatralny z K.I. Gálczyńskim w dwóch odstępach* w Teatrze Polskim w Szczecinie.

Prawdziwym zaszczytem było dla nas przyjęcie przez Kirę Gálczyńską zaproszenia Fundacji Oświecenia Publicznego Towarzystwa Asystentów AP w Krakowie, do udziału w promocji edycji *Dzieł wybranych* Gálczyńskiego. Kiedy prof. Michał Śliwa, rektor AP, objął rolę gospodarza Krakowskiej

Inauguracji Roku K.I. Gálczyńskiego w AP w Krakowie, a w organizację imprezy czynnie włączyli się także prof. Bolesław Faron, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej i prof. Halina Kosętko, dyrektor Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej – przygotowania do spotkania nauczycieli i studentów z córką poety zyskały właściwą dynamikę.

Pobyt Kiry Gálczyńskiej w Krakowie rozpoczął się od spotkania z dyrektką i instruktorami Młodzieżowego Domu Kultury im. K.I. Gálczyńskiego w Krakowie w sprawie organizacji majowej „Ildefonsjady”, czyli kolejnej prezentacji twórczości artystycznej wszystkich szkół w Polsce, noszących imię poety. Do współpracy z domami kultury, bibliotekami i szkołami imienia Gálczyńskiego zamierza włączyć się również Fundacja Oświecenia Publicznego, inicjując międzyszkolny konkurs wiedzy o życiu i twórczości ich patrona. Po omówieniu programu wspólnej zabawy dzieci i młodzieży na Rynku Głównym, którą uświetni objazdowa inscenizacja *Zielonej Gęsi*, przygotowywana przez krakowski Teatr Groteska, Kira Gálczyńska wzięła udział w uroczystym wieczorze słowno-muzycznym *Liryka, liryka, tkliwa dynamika*, zorganizowanym przez grono nauczycielskie 48. Gimnazjum im. Gálczyńskiego w Krakowie, z panią dyrektorką Krystyną Kotarbą na czele.

Ostatnim punktem programu dnia była uroczysta kolacja wydana na cześć córki poety przez członków Komitetu Inicjatywnego: profesorów T. Bujnickiego i A. Kulawika oraz autora niniejszej relacji. Oprócz wątków ludyczno-humorystycznych, których nie brakował tego wieczoru, spotkanie miało przede wszystkim charakter programowy: dyskutowano sprawy scenariusza do filmu dokumentalnego TVP *Gálczyński w Wilnie*, omawiano udział członków Komitetu w panelu dyskusyjnym i polsko-litewskich spotkaniach artystyczno-literackich poświęconych wileńskiemu okresowi życia i twórczości autora *Cudotwórcy z Mejszagoty*.

UROCZYSTA INAUGURACJA ROKU GÁLČYŃSKIEGO W AP

Kolejny, najważniejszy dzień obchodów w Krakowie rozpoczął się od spotkania z prof. Haliną Kosętką, która zachęciła miłego gościa do obejrzenia przygotowanej przez pracowników biblioteki IBIiN wystawy poświęconej obchodom Roku Gálczyń-



skiego. Następnie pani Kira odbyła rozmowę z prof. Bolesławem Faronem, prof. Tadeuszem Budrewiczem, dziekanem Wydziału Humanistycznego oraz profesorem Stanisławem Burkotem i Adamem Kulawikiem, by nieco później gościć także u prof. Henryka W. Żalińskiego, prorektora AP. Wzięła także udział w spotkaniu z kadrą naukowo-dydaktyczną i studentami krakowskiej AP. Zainteresowanie imprezą było tak duże, że część chętnych, nie mogąc dostać się do szczernej wypełnionej auli, zmuszona była zrezygnować ze spotkania.

Córkę poety i gości powitał prof. H.W. Żaliński. Przypomnił, że po powrocie do kraju autor *Zaczarowanej drożki* osiadł w Krakowie i spędził tu kilka najbardziej twórczych lat: drukował teksty w „Tygodniku Powszechnym” i „Odrodzeniu”, występował w „Kabarecie Siedem Kotów”, a na łamach „Przekroju” poetycko animował najmniejszy tea-



tryk świata — legendarną „Zieloną Gęś”. Prof. Bolesław Faron, krótko prezentując Kirę Gałczyńską skonstatował, iż jest ona nie tylko córką wybitnego poety, ale również pisarką, tłumaczką, publicystką oraz niestrudzoną propagatorką i edytorem twórczości swego ojca. Spod jej pióra wyszły zbiory wspomnień: *Jak się te lata mylą*, *W zgiełku wieku*, *Splątało się zmierzchło*, *Nie wrócę tu nigdy, czyli pożegnanie z Mazurami* oraz interesująca, gruntowna książka biograficzna pt. *Gałczyński* w popularno-naukowej serii „A to Polska właśnie”. Studentów polonistyki najbardziej zainteresować powinna także ostatnia, najbogatsza fak-

tograficznie biografia poety *Zielony Konstanty*. Autorka dziennika z Prania, poetycko zatytułowanego *Czas swe wzory układa*, przez wiele lat była także kustoszem Muzeum Gałczyńskiego w słynnej leśniczówce Pranie nad jeziorem Nidzkim. „Nie tyle byłam kustoszem, ile żywym eksponatem” — żartowała Kira Gałczyńska, którą tłumnie zebrani studenci i pracownicy akademicy powitali gromkimi brawami. „Rozumiem, że są to wyrazy entuzjazmu i serdeczności okazywane memu Ojcu-poecie” — powiedziała, dziękując za to uznanie. Następnie, po przypomnieniu ważniejszych przedsięwzięć Komitetu Inicjatywnego, rozpoczęła prezentację trzytomowej edycji *Dzieł wybranych*. Tom pierwszy pomieścił wiersze i poematy, tom drugi — próby teatralne, dodatkowo wzbogacone o teksty wileńskie, ocalone po wojnie wraz z rękopisami Teodora Bujnickiego. „Zgodnie z życzeniem mojej Matki *Notatnik*, jaki zamieściłam w tomie *Proza*, mógł zostać opublikowany dopiero w 50 lat po śmierci Ojca. To bardzo ważny i bardzo poważny tekst autorefleksyjny, który powstawał w Arbeitskommandzie 800, w okolicach Scheeren, Kreis Stendal, od 18 VIII do 18 XI 1941 roku. Pisanie tego tekstu pomogło memu Ojcu przetrwać najcięższe chwile z kilku lat, które spędził jako jeńiec na robotach przymusowych, w obozach i kompaniach karnych Trzeciej Rzeszy. Tom zawiera także nigdy dotychczas nie publikowane *Listy do żony*. Oba te dokumenty dostarczają zupełnie nowych informacji o najmniej znanym, bo przemilczanym przez samego poetę, okresie życia i uzupełniają jego literacką biografię o fakty, które mogą zainteresować nie tylko badaczy tej twórczości, ale także zwyczajnych czytelników.

ków” — mówiła Kira Gałczyńska. Podkreśliła także piękno poetyckiej w nastroju oprawy graficznej tomów, autorstwa Franciszka Małuszcza.

Podsumowaniem *Krakowskiej Inauguracji* było przedstawienie przez prof. Adama Kulawika założeń i programu Międzynarodowej Konferencji Naukowej *Życie i dzieło K.I. Gałczyńskiego*, którą w dniach 3-5 grudnia 2003 r. zorganizuje IFP AP w Krakowie. Do udziału w sesji zgłosiło się około 60 osób z niemal wszystkich ośrodków polonistycznych w kraju i kilkunastu placówek zagranicznych, w tym wybitny tłumacz Karl Dedecius i sławista z Cambridge Gömöri György, co potwierdza, jak bardzo twórczość Gałczyńskiego obecna jest we współczesnej kulturze literackiej. „Od jedynej i ostatniej, Zielonogórskiej sesji naukowej o autorze *Niobe* w roku 1973, minęło przeszło trzydzieści lat. Kolejną konferencję międzynarodową, w maju br. przygotowuje prof. Jolanta Żurawska w Uniwersytecie w Neapolu. Również nasze, grudniowe spotkanie naukowe w krakowskiej AP, poświęcone twórczości i recepcji Gałczyńskiego, tym razem bez cenzury i samoograniczeń, zapowiada się jako wydarzenie szczególne nie tylko w życiu polonistyki akademickiej” — powiedział prof. Kulawik, zapraszając wszystkich obecnych do uczestnictwa w przyszłych obradach i dyskusjach krytycznych. Na zakończenie obchody uświetniły występy artystyczne zespołu uczniów z 48. Gimnazjum im. Gałczyńskiego oraz kabaretowe scenki w wykonaniu studentów bibliotekoznawstwa, którzy recytowali i śpiewali najbardziej znane testy swego ulubionego poety.

Kolejnym ważnym elementem przygotowań jubileuszowych było spotkanie z Krzysztofem Jasiń-

skim, który w Teatrze Stu organizuje słynne benefisy telewizyjne z udziałem wielu wybitnych gości. Omawiano scenariusz i obsadę aktorską benefisu „Zielonej Gęsi”, który odbędzie się 3 grudnia 2003 roku. Odsłaniając nieco kulisy przygotowań, zdradzę jedynie, że na „zielonogosiowej” zabawie pojawią się najwięksi polscy prozaicy, poeci i artyści oraz najsłynniejsze gwiazdy kabaretu i estrady wraz z raperami wykonującymi utwory autora *Piosenek naczelnika wydziału grobownictwa*. Dzień podsumowała rozmowa z Mieczysławem Czumą, który wraz z Leszkiem Mazanem poprowadzi w maju aukcję rysunków małych pacjentów z Fundacji Dzieci z Chorobą Nowotworową „Wyspy Szczęśliwe”, rysunków-illustracji do tomu wierszy *Dlaczego ogórek nie śpiewa*.

Następny dzień to spotkanie Kiry Gałczyńskiej z Bogusławem Sonikiem, dyrektorem Wydziału Współpracy i Promocji Miasta Krakowa. Rozmowa dotyczyła współorganizacji wraz z Fundacją Oświecenia Publicznego, jesienią br., masowych imprez kulturalno-artystycznych w mieście i przygotowania popularnej edycji tekstów Gałczyńskiego pt. *Ech mój Krakowie, krakauerski*. Kolejny etap zajęć tego dnia zawiódł panią Kirę znów do MDK w Krakowie, gdzie wraz z Elżbietą Lenczarowicz, krakowską kurator oświaty wręczała nagrody dzieciom, które przygotowały najzabawniejsze kostiumy inspirowane fantazyjnym i baśniowym światem poezji Gałczyńskiego. Ostatnią imprezą dnia był udział w jubileuszu 10-lecia Wydawnictwa Edukacyjnego. Oprócz autorów książek i oficjalnych gości, przeważająca część uczestników tego uroczystego stanowili wcześniej poznani prorektorzy, profesorowie i pracownicy AP w Krakowie. Najmilszą niespodzianką okazało się poznanie prof. Jolanty Żurawskiej z Istituto Universario Orientale, która zaprosiła panią Kirę Gałczyńską do udziału w Międzynarodowej Konferencji *K.I. Gałczyński po latach*, na Uniwersytecie w Neapolu (23-24 maja br.).

Jerzy S. Ossowski

Fot. Mieczysław Więclawek



O finansowaniu szkolnictwa wyższego



G ościem naszej uczelni był mgr Witold Pakuła, wicedyrektor Departamentu Ekonomicznego Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu (24 marca br.), który senatorom,

dyrektorom i wicedyrektorom instytutów, przedstawił problemy związane z finansowaniem szkolnictwa wyższego. Jak się okazało, kwestie te budzą w kręgach akademickich wiele emocji, o czym świadczyły pytania uczestników oraz dyskusja.

Mirosław Oset

Z życia Towarzystwa Asystentów AP

W tradycyjnym już cyklu spotkań promocyjnych Zarząd Towarzystwa Asystentów 26 lutego 2003 r. zorganizował w Klubie Studentów AP Baka-larz spotkanie z dr Anną Panek, autorką książki *Zajęcia pozalekcyjne w zreformowanej szkole* (Wydawnictwo Naukowe AP, 2002).

Słowo wstępne, na temat kształcenie postaw *homo creator* poprzez różne formy zajęć twórczych uczniów, wygłosił profesor Tadeusz Aleksander. Podkreślił, że autorka książki prezentując model edukacji pozalekcyjnej bardzo dobrze osadziła go w ogólnej teorii i problematyce czasu wolnego. Następnie Anna Panek zapoznała uczestników wieczoru, kolegów pedagogów i studentów AP z wynikami własnych badań prowadzonych w 11 zespołach szkół na terenie Krakowa. Jej zdaniem procesowi redukcji oferty edukacyjnej szkoły, zanikowi zajęć pozalekcyjnych i fakultatywnych można skutecznie przeciwdziałać poprzez inspirowanie kreatywności nauczycieli i uczniów. W dyskusji dr Wiesław Polmiński, zastępca dyrektora Instytutu Nauk o Wychowaniu, wyraził pogląd, że szkoła przede wszystkim powinna nauczać. Inni uczestnicy spotkania prezentowali opinię, że szkoła nie powinna rezygnować z funkcji kulturotwórczych w społeczeństwach lokal-



Fot. M. Pasternak

Anna Panek i Tadeusz Aleksander

nych i miejskich (dr Danuta Topa, prodziekan Wydziału Pedagogicznego AP), zwłaszcza w sytuacji braku instytucji przygotowujących do uczestnictwa w kulturze wysokiej i do edukacji ustawicznej (dr Jerzy S. Ossowski). Dr Marek Banach dodał też, że sami studenci nie wynoszą wystarczającej wiedzy na temat rozwoju form edukacji pozalekcyjnej.

Zajęcia pozalekcyjne w zreformowanej szkole to książka ze wszech miar pożyteczna, która bardzo długo będzie służyła nauczycielom, pragnącym kształtować postawy uczniów – stwierdził prof. Tadeusz Aleksander. Wszak kreacja zawsze będzie przyszłością świata.

Jerzy S. Ossowski

Centrum Dokumentacji Filmowej Nauk Humanistycznych

W nowym XXI wieku przed nauką polską stoją wielkie wyzwania. Do możliwości współczesnych technik multimedialnych muszą się przystosować również nauki humanistyczne. W humanistyce najważniejsze jest słowo pisane, jednak w przekazie, niezwykle ważne jest przecież słowo mówione. Jak je zachować? Popularny sposób nagrywania na taśmie magnetofonowej jest już przestarzały i daje małe możliwości późniejszej obróbki, a przez to wykorzystania materiału

Centrum Dokumentacji Filmowej Nauk Humanistycznych ma wyjść naprzeciw nowym wyzwaniom. W dobie przystępowania Polski do struktur Unii Europejskiej szeroko rozumiana polska nauka humanistyczna nie musi mieć kompleksów – w naszych placówkach naukowych pracuje wielu wybitnych humanistów, ich znakomite prace publikowane są nie tylko w kraju, ale również za granicą. Warto także przedstawić człowieka, który je stworzył. Taką możliwość daje nagranie filmowe.

Materiał znajdujący się w centrum obejmowałby: wypowiedź naukowca, która zawierałaby krótki rys biograficzny oraz informacje o dokonaniach naukowych, o osiągnięciach i sekretach warsztatu (45-minutowe nagranie na nośniku cyfrowym), przedstawienie miejsca pracy, domu i publikacji (15-minutowe nagranie). Oczywiście, wyboru osób dokonywałaby kompetentna kapituła oceniająca ich dorobek.

Nośnik cyfrowy jest praktycznie niezniszczalny i daje olbrzymie możliwości przetwarzania. Istnieje

możliwość wieloletniej archiwizacji oraz szerokiego wykorzystania zgromadzonego materiału, jego profesjonalnego wykorzystania w dokumentalnych programach telewizyjnych np. w filmach biograficznych. Stwarza możliwość przypomnienia danej postaci podczas organizowanych tak licznie sesji naukowych, popularyzacji jej osiągnięć w internecie.

Najważniejsze jest jednak to, że dzięki centrum można stworzyć archiwum polskiej myśli humanistycznej, archiwum żywe, gdzie swoje osiągnięcia będą przedstawiać sami ich autorzy. Praca nad dokumentacją obliczona jest na wiele lat, a z każdym kolejnym rokiem wartość zrealizowanych nagrań będzie rosła.

W najbliższym czasie Kraków będzie gościł najwybitniejszych historyków polskich. Ich zjazd powinien być sygnałem do rozpoczęcia prac, co więcej, centrum może także archiwizować wytypowane konferencje naukowe. Jego powstanie nie wymagałoby dużych kosztów finansowych, a korzyści mogą być ogromne, także w zakresie popularyzacji nauki polskiej.

Symposium Naukowe „Komputer w Edukacji”

Pracownia Technologii Nauczania organizuje w dniach 26-27 września 2003 roku kolejne XIII ogólnopolskie sympozjum naukowe pod zmienioną, w stosunku do lat ubiegłych, nazwą – „Komputer w edukacji”, które odbędzie się w auli Wydziału Pedagogicznego w budynku Akademii Pedagogicznej przy ul. Ingardena 4 w Krakowie.

Symposium jest forum wymiany teoretycznych refleksji i prezentacją praktycznych dokonań nauczycieli akademickich ze wszystkich ważniejszych

ośrodków akademickich całej Polski w zakresie edukacyjnych zastosowań mikrokomputerów.

Informacje nt. sympozjum dostępne są w internecie pod adresem:
<http://www.ap.krakow.pl/ptn/Sympozjum.html>, skąd można pobrać formularz zgłoszenia oraz szablony do przygotowania referatu.

Szczegółowy harmonogram zostanie przedstawiony w internecie i na plakatach na kilka dni przed rozpoczęciem sympozjum.

Ogólnopolski konkurs na prace magisterskie z historii edukacji

W kwietniu 2002 roku zakończyła się pierwsza edycja ogólnopolskiego konkursu na prace magisterskie z historii edukacji, organizowanego przez Katedrę Historii Oświaty i Wychowania Akademii Pedagogicznej w Krakowie oraz Towarzystwo Historii Edukacji. Jury w składzie: Krzysztof Jakubiak, Czesław Majorek, Irena Szybiak, Ryszard Ślęczka, zakwalifikowało do konkursu następujące prace:

Ewelina Tylińska *Studenci Cesarzskiego Uniwersytetu w Warszawie w latach 1869-1904, jako grupa akademicka i w życiu miasta*

s. Erminia Anna Jusiel *Działalność opiekuńczo-wychowawcza i katechetyczna Sióstr Serafitek w Makowie Podchalańskim*

s. Bogumiła Moczko *Szkoła powszechna w Morawicy jako placówka państwowa prowadzona przez Siostry Felicjanki w latach 1880-1950*

Jury postanowiło przyznać pierwszą nagrodę Ewelinie Tylińskiej za pracę napisaną na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem profesor Kaliny Bartnickiej.

W konkursie wzięły udział prace, których tematyka uwzględniała szeroko rozumianą historię edukacji, czyli rekonstrukcję dziejów szkolnictwa, pojedynczych szkół, placówek oświaty pozaszkolnej, instytucji opiekuńczo-wychowawczych, projektów i reform oświatowych, historię myśli pedagogicznej i historię pedagogiki jako nauki. Przedmiotem konkursu były prace magisterskie napisane i obronione w polskich uczelniach wyższych i innych polskich placówkach akademickiego kształcenia; prace będące oryginalnym dziełem jednego autora, oparte na krytycznej analizie źródeł i najnowszych opracowań, napisane w języku polskim i udokumentowane zgodnie z regułami warsztatu naukowego. Autor musiał wykazać się dobrym opanowaniem naukowej literatury przedmiotu i umiejętnym operowaniem językiem, tak w sferze narracji jak i dokumentacji. Przyjmowano jedynie te teksty, które posiadały rekomendację w postaci zwięzłej opinii promotora.

Zgodnie z wolą pomysłodawcy profesora Czesława Majorka, konkurs ma promować najlepsze prace magisterskie oraz przyczynić się do rozbudzenia zainteresowań przeszłością edukacyjną, zachęcić do podejmowania tematów badawczych historyczno-edukacyjnych przez studentów uczestniczących w ruchu naukowym uczelni wyższych. Organizatorzy mają również nadzieję, że konkurs odegra ważną rolę w procesie rekrutacji młodej kadry naukowej, w tym także kandydatów na studia doktoranckie. Planowane są kolejne edycje konkursu w związku z czym, Towarzystwo Historii Edukacji i Katedra Historii Oświaty i Wychowania AP w Krakowie zaprasza do wzięcia w nim udziału.

Ryszard Ślęczka

Wszelkie informacje można uzyskać pod adresem:
Katedra Historii Oświaty i Wychowania AP w Krakowie
ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków
tel. (012) 662 6241
e-mail: ryslen@ap.krakow.pl



Projekt On-line Trainautism

Celem projektu współfinansowanego przez Unię Europejską, który realizuje Katedra Psychologii AP, jest opracowanie, przy zastosowaniu technologii informacyjnej, cyklu szkoleń na temat autyzmu dla rodziców oraz profesjonalistów

Internet pozwoli na stworzenie międzynarodowej i multidyscyplinarnej struktury łatwo dostępnej dla zainteresowanych osób. Efekty pracy międzynarodowego zespołu specjalistów będą również dostępne na CD-romach. Projekt przewiduje szkolenie i kształcenie w systemie otwartym, na odległość poprzez zastosowanie technologii interaktywnej, wykorzystującej multimedialną (e-learning), co umożliwi uczestnikom szybki, wygodny i tani kontakt w przypadku wątpliwości.

Przewidujemy przygotowanie materiałów szkoleniowych o modułowym układzie treści wraz z programami dopasowywanymi do zmieniających się potrzeb uczestników. Tak opracowane szkolenia będą przydatne dla wszystkich, którzy mieszkają z dala od dużych ośrodków miejskich i chcą rozwijać swoją

wiedzę na temat autyzmu bez konieczności podróży. Informacje, dotyczące realizowanego projektu znajdują się na stronie:

www.autismconsulting.com

Projekt obejmuje moduły teoretyczne, które zawierają aktualną wiedzę o autyzmie, a także sesje praktyczne realizowane wirtualnie z instruktorem w ośrodkach, gdzie podejmuje się terapię i opiekę z zastosowaniem najefektywniejszych metod i technik nauczania wobec osób z zaburzeniami ze spektrum autyzmu (w formie wirtualnych spotkań lub kontaktu za pomocą poczty elektronicznej).

Osoby zainteresowane udziałem w szkoleniach prosimy o kontakt z Katedrą Psychologii AP.

Joanna Kossewska

Języki obce w... tandemie

Słyszac „tandem” myślimy najczęściej — rower dla dwojga. Przejazdka takim pojazdem niesie ze sobą same korzyści: męczymy się znacznie mniej, jedziemy szybciej a do tego można jeszcze porozmawiać. Tak też jest w „tandemie językowym”, który jest projektem wzajemnej, bezpłatnej nauki języków obcych popularnym w krajach Europy Zachodniej, m.in. w Anglii, Hiszpanii, Niemczech, Irlandii.

Ogólnopolski studencki projekt *Tandem Courses* skierowany jest zarówno do studentów polskich, jak i gości z zagranicy. Stworzyliśmy ogólnopolską, internetową bazę danych dla osób nawzajem i bezpłatnie uczących się języków obcych, które pragną poznać zagranicznych studentów przebywających w naszym kraju na praktykach i stypendiach.

Projekt jest realizowany przez Erasmus Student Network oraz Niezależne Zrzeszenie Studentów Szkoły Głównej Handlowej. Nasza baza jest dostępna pod adresem www.tc.w.pl oraz www.tandemv.z.pl

Łukasz Mruk

koordynator projektu

e-mail: tandem-courses@wp.pl, tel. 0503528510

Światowa Rada Stowarzyszeń Edukacji Komparatystycznej

W miarę postępu procesów globalizacyjnych, wzrasta rola World Council Comparative Education Societies, popularnej światowej organizacji integrującej wszystkich teoretyków i praktyków, którzy zajmują się szeroko rozumianą edukacją komparatystyczną. O jej znaczeniu świadczą kolejne kongresy – m.in. ósmy, w Pradze w 1992 r., w którym brałem udział przewodnicząc, podobnie jak w 2001 roku, sekcji Teachers Education, dziesiąty w Cape Town w 1998 r., oraz jedenasty w Chungbuk

Przewodniczącą Rady WCCES na kadencję 2001–2004 została wybrana profesor Anne Kickling-Hudson, reprezentująca Comparative Education Society Australii i Nowej Zelandii, z Queensland University of Technology. Funkcję Sekretarza Generalnego WCCES pełni już drugą kadencję profesor Mark Bray, reprezentujący Comparative Education Society of Hong Kong, dziekan Fakultetu Edukacji Uniwersytetu w Hong Kongu.

Kolejne statutowe posiedzenie Komitetu Wykonawczego WCCES odbyło się w Londynie, w lipcu 2002 r., podczas XX konferencji zorganizowanej przez Comparative Education Society in Europe. Anne Kickling-Hudson postawiła przed Światową Radą i krajowymi stowarzyszeniami ważne zadania: zachęcanie uczonych do zakładania nowych stowarzyszeń i kół w celu promowania edukacji komparatystycznej; przygotowanie analiz i ekspertyz przez uczonych ekspertów WCCES dla udzielania szczególnej pomocy dla tych krajów i ludzi, którzy jej najbardziej potrzebują (zwłaszcza dorosłych analfabetów); udzielanie finansowej pomocy potrzebującym jej uczynom (zwłaszcza z krajów rozwijających się), m.in. przez przyznawanie stypendiów w celu



umożliwienia udziału w większych kongresach; promowanie nauczycieli z dziedziny edukacji komparatystycznej i międzynarodowej (zwłaszcza w krajach rozwijających się); promowanie edukacji komparatystycznej i międzynarodowej poprzez dotychczasowe i nowe publikacje książkowe oraz czasopisma periodyczne, np. „Innovation in Education”, „Innovation and Information” (wydawane przez International Bureau of Education), gdzie edukacja komparatystycznej poświęcone są stałe rubryki.

Kolejny XII kongres WCCES odbędzie się w Hawanie, w październiku 2004 r. Informacje o obradach kolejnych kongresów i konferencji w Korei Południowej, Londynie i ostatniej, w Pekinie przedstawiłem m.in. w moim referacie na I Zjeździe Polskiego Towarzystwa Pedagogiki Porównawczej w Opolu pt. *Aktualne trendy rozwoju edukacji komparatystycznej*. Referat na ten temat wygłosiłem również na otwartym zebraniu Instytutu Nauk o Wychowaniu AP w listopadzie br.

Józef Kuźma

Podczas obrad kongresu zorganizowanego przez Światową Radę Stowarzyszeń Edukacji Komparatystycznej w Chungbuk (Korea Południowa) w lipcu 2001 r. profesor Józef Kuźma został powołany na członka Komitetu Wykonawczego (Executive Committee) na 4-letnią kadencję, jako reprezentant Polskiego Towarzystwa Pedagogiki Porównawczej i środowiska edukacji komparatystycznej.

Redakcja

Zamiast laurki...

Słowo „pożegnanie” zawiera w sobie ogromny bagaż emocjonalny i wywołuje określone skojarzenia. Jest nieadekwatne, aby wyrazić atmosferę noworocznego spotkania zorganizowanego przez dyrekcję i pracowników Biblioteki Głównej AP. Trzeciego stycznia br., w związku z przejściem na emeryturę aż czterech pracowników: mgr Ireny Burkot, mgr Marii Rajman, Barbary Pawliszyn z Biblioteki Głównej i mgr Krystyny Banaśkiewicz-Cabaj z Biblioteki Instytutu Geografii. Spotkanie z udziałem większości pracowników Biblioteki Głównej i jej sieci zaszczylił swoją obecnością prorektor, prof. Henryk W. Żaliński. Był to wyraz uznania i wdzięczności dla osób kończących pracę, a jednocześnie symbol nowego etapu życia, rozpoczynającego się wraz z nowym rokiem. Trzeba podkreślić, że aż trzy Panie prawie całe swoje zawodowe życie związały z naszą Uczelnią i jej biblioteką. Irena Burkot i Maria Rajman przepracowały ponad 40 lat w Bibliotece Głównej AP, w różnych budynkach (początkowo przy ul. Straszewskiego), oddziałach i na różnych stanowiskach. Same wspominały swoją zawodową karierę w jednym z pierwszych numerów „Konsektu”, mówiąc ze wzruszeniem o doświadczeniach w pracy oraz licznych kontaktach z pracownikami i studentami. Barbara Pawliszyn, pomimo nieco krótszego stażu w Bibliotece Głównej (ponad

30 lat), w zawodzie bibliotekarza przepracowała prawie tyle samo lat, co jej koleżanki.

Będąc związaną z naszą Uczelnią od prawie 25 lat miałam okazję poznać wszystkie panie. Tak się złożyło, że kiedy właśnie zaczynałam pracę (w 1978 roku) w ówczesnej WSP, Irena Burkot pełniła funkcję dyrektora Biblioteki Głównej i to ona skierowała mnie do jednej z bibliotek instytutowych. Pierwszy kontakt z nią i ciepłe przyjęcie mnie, jako nowego pracownika „z zewnątrz” (z Poznania), dodały mi wtedy otuchy i odwagi. Uwierzyłam, że potrafię znaleźć swoje miejsce w zupełnie nowym środowisku. Jako dyrektor była zawsze kompetentna i otwarta, służyła merytoryczną radą i duchowym wsparciem, a jako pracownik Oddziału Informacji Naukowej potrafiła trafnie wskazać odpowiednie źródło poszukiwanej informacji. Wiedziałam, że zwracając się do niej zawsze znajdę potrzebne materiały. Wieloletnia współpraca w ramach Rady Bibliotecznej pozwoliła mi też lepiej poznać jej ogromny zakres fachowej wiedzy i doświadczenia, którymi chętnie dzieliła się w czasie tych spotkań. Jako redaktor kilku tomów *Bibliografii publikacji pracowników AP*, potwierdziła swoją pasję „mrówczych” poszukiwań bibliograficznych. Jak stwierdziła w swoich wspomnieniach: „drobne satysfakcje, które angażują emocjonalnie, nadają pracy sens”. Jej odczucia na pewno



nie rozminęły się z ocenami większości poszukujących informacji, którzy korzystali z pomocy i wskazówek pani Ireny. Jej wiedza, pracowitość i talent pedagogiczny pozostaną na pewno wzorem do naśladowania dla młodszych adeptów tego zawodu. Ostatni, redagowany przez nią tom bibliografii za lata 1996–2000, jest już w druku. Ślad jej obecności pozostanie z nami na jego stronach.

Mój powrót do pracy w 1983 r. (po urlopie wychowawczym) to z kolei spotkanie z dyrektorką Marią Rajman. Ona właśnie przekonała mnie wtedy i zmobilizowała, abym przystąpiła do egzaminu na bibliotekarkę dyplomowaną. Dzięki niej, w 1986 roku, dołączyłam do tej grupy pracowników w naszej Uczelni. W czasie kursu katalogowania elektronicznego pomagała nam, młodszym przełamać inną psychologiczną barierę. Udowodniła bowiem, że komputer może być przyjazny niezależnie od wieku.

Zawsze przyjacielską pomocą służyła też wszystkim Barbara Pawliszyn, związana przez wiele lat z Oddziałem Czasopism Biblioteki Głównej. W organizację tego działu włożyła dużo serca, nie bała się kolejnych przeprowadzek i nowych wyzwań. Jako kierownik była autorytetem dla młodszych pracowników, których zaraziła swoją energią. Każdemu, kto się zwrócił o pomoc służyła wieloletnim doświadczeniem. Zachowując zawsze uśmiech i pogodę ducha wykonywała swój zawód z przyjemnością i satysfakcją, pozostając wzorem dla innych.

Ogromny wkład pracy mgr Krystyny Banaśkiewicz-Cabaj, związanej przez wiele lat z biblioteką Instytutu Geografii, zostanie na pewno doceniony przez pracowników i studentów jednostki.

Jednoczesne zakończenie pracy przez osoby tak długo związane z jednostką, będącą niejako krwioobiegiem Uczelni, pozostawia jakąś pustkę i niezatarte wspomnienia. Mam nadzieję, że otwierając nowe rozdziały życia, wszystkie koleżanki będą chętnie powracać do swojej Alma Mater – miejsca, gdzie zostawiły tyle serca, przyjaciół i śladów swojej obecności.

Gabriela Meinardi

Krakowski Salon Europejski



Na zaproszenie rektora, profesora Michała Śliwy, 5 kwietnia br. w naszej uczelni przebywała profesor Danuta Hübner, minister ds. europejskich, sekretarz Komitetu Integracji Europejskiej, która w ramach Krakowskiego Salonu Europejskiego przedstawiła *Bilans negocjacji i korzyści wynikających z członkostwa w Unii Europejskiej*. Wykład spotkał się z żywym zainteresowaniem społeczności akademickiej.



Fot. M. Pasternak

Wizyta studentów z Moskwy

Na zaproszenie władz naszej uczelni, w dniach 1–14 grudnia 2002 roku, przebywała w Krakowie grupa dziewięciu studentów II roku filologii polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego w Moskwie. Przyjechali pod opieką A.W. Czubukowa, dziekana tamtejszego Wydziału Filologicznego. Wcześniej, we wrześniu 2002 r., to studenci Akademii Pedagogicznej odwiedzili moskiewski uniwersytet. Wymiana ta jest owocem umowy o współpracy podpisanej w październiku 2001 roku pomiędzy naszymi uczelniami

Celem wymian studenckich jest zarówno doskonalenie języków obcych, poznawanie kultury i tradycji innych krajów, jak i nawiązywanie kontaktów. Program pobytu rosyjskich studentów przewidywał zatem uczestnictwo w wykładach i ćwiczeniach na I i II roku filologii polskiej, udział w imprezach kulturalnych oraz zwiedzanie Krakowa i jego okolic.

Program dydaktyczny dla gości z Moskwy zapewnił Instytut Filologii Polskiej, natomiast program kulturalno-turystyczny realizowali lektorzy ję-

zyka rosyjskiego Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych, przy wsparciu studentów polonistyki. Rosyjscy studenci obejrzeli najważniejsze zabytki Krakowa, zwiedzali muzea i wystawy, zostali zaproszeni na spektakl teatralny i seans filmowy.

Dzięki pomocy Działu Nauki i Współpracy z Zagranicą możliwe było zorganizowanie kilku wycieczek poza Kraków. Bardzo przyjemny okazał się wyjazd w Tatry. Studenci zwiedzali Zakopane i przeszli Doliną Kościeliską. Następnego dnia studenci filologii polskiej zabrali gości z Moskwy do Częstochowy. Z kolei wycieczkę do Oświęcimia, połączono ze zwiedzaniem Nadwiślańskiego Parku Etnograficznego w Wygielzowie oraz zamku w Lipowcu. Studenci zwiedzili także Kopalnię Soli w Wieliczce.

Pomimo niezbyt sprzyjającej pogody, program turystyczny został zrealizowany w pełni, a goście z Moskwy byli bardzo zadowoleni. Także nasza uczelnia skorzystała na tej wizycie. Opiekun rosyjskich studentów, językoznawca Andriej Czubukow prowadził konsultacje dla lektorów Zespołu Języka Rosyjskiego, a także ćwiczenia z języka rosyjskiego dla studentów Akademii Pedagogicznej. Ponadto dokonał wzorcowych nagrań tekstów i dialogów do podręcznika *Понемногу обо всём*, opracowanego w Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych.

Jacek Kruk



Czy dyskurs historyczny jest gatunkiem dyskursu naukowego?

*I zaczęli z Niemcem dyskurs nazbyt zwawy.
Szczęściem, książkę Jenerał przerwał te rozprawy,
Godząc ich po francusku: co tam gadał, nie wiem,
Ale ta zgoda był to popiół nad żarzewiem...*

Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, ks. VIII, Zjazd

„Historia to dyskurs władzy” — stwierdził Michel Foucault¹ w swoich wykładach w College de France, opisując, jak na przestrzeni wieków historycy w swoich dziełach legitymizowali struktury władzy. W każdym razie zarówno w tekstach Mickiewicza — poety (dyskurs literacki) jak i Foucaulta — filozofa i historyka (dyskurs naukowy), osób odmiennych zgoła epok i profesji, mowa jest o tym, jak za pomocą mechanizmów dyskursu osiągnąć i utrzymać władzę, nawet — jak u poety tylko w sposób iluzoryczny — „Ale ta zgoda był to popiół nad żarzewiem”, bo tu sam dyskurs to jedynie strategia i sztuka mówienia, a nie chęć rozstrzygnięcia sporu i osiągnięcia przewagi

Jednak pojęcie dyskursu, wywodzące się z *Rozprawy o metodzie* (*Discours de la methode*) Kartezjusza, z dzisiejszym dyskursem ma niewiele wspólnego. Obecnie wszyscy żyjemy w świecie dyskursu, dyskurs stał się najważniejszym słowem współczesnej humanistyki i — co zrozumiale — przedmiotem rozważań naukowych i scjentystycznych debat.

Stanisław Gajda² w artykule pt. *Współczesny polski dyskurs naukowy* wskazał, iż termin dyskurs należy do treściowo niedookreślonych, nieostrych, a samo pojęcie „nie jest stabilne, mamy raczej do czynienia — stwierdza autor — z całą rodziną znaczeń starszych i nowszych, kształtowanych na różnych obszarach badań i w różnych celach”. W obrębie dyskursu naukowego tradycyjnie wyróżnia się: dyskurs nauk ścisłych, dyskurs nauk humanistycznych (dyskurs humanistyczny) i w ich obrębie dyskursy poszczególnych dyscyplin. Oprócz tego występują dyskursy nienaukowe: potoczny, publicystyczny, polityczny, ideologiczny, autobiograficzny, prasowy, telewizyjny i inne.

W tym kontekście szczególne miejsce zajmuje dyskurs historyczny. Nie wiadomo bowiem dokład-

nie, do jakiej kategorii naukowych czy nienaukowych gatunków wypowiedzi należałoby go zaliczyć. Sądząc z nazwy i zgodnie z definicją dyskurs historyczny to dyskurs naukowy, bo „związany z naukową sferą życia społecznego”, jaką w tym wypadku są bez wątpienia nauki historyczne w aspektach: ideowo-treściowych i użycia języka (terminologia naukowa).

Jak jednak w takim razie traktować początkowe stwierdzenie pioniera „dyskursologii historycznej” Michela Foucaulta, że historia to dyskurs władzy, a tym bardziej coraz śmielej wypowiadane tezy o uwikłaniu współczesnej historiografii w istniejący porządek społeczny oraz kształt nauki i kultury? Często bowiem traktuje się oficjalną, „podręcznikową historię” bardzo sceptycznie i głosi tezę, iż obiektywna prawda historyczna nie istnieje, bowiem źródła zostały spreparowane przez władzę i wywodzi stąd pojęcie dyskursu historycznego jedynie jako dyskursu władzy, legitymizującego jej sprawowanie. W skrajnych wypadkach dyskurs ten zalicza do gatunków literackich, czyli takich wypowiedzi, w których kategoria fikcji jest nadrzędna.

Niektórzy historycy w celu uwiarygodnienia opisywanej przez nich historii stosują językową strategię „nieobecnego autora” i „braku na dany temat osobistych poglądów”. W ich dyskursie historycznym dominuje wtedy metodologia traktowania historii jako fetyszu i nieprzyznawania się przez historyków, że wydarzenia, o których piszą wywierają na nich wrażenie, a badacze zamiast skonfrontować się ze zdarzeniami, które na nich wpływają, wpływ ten ignorują. W interesującym szkicu *Historia jako fetysz* („Gazeta Świąteczna” z 14–15 lutego 2003, s. 20–21), Joanna Tokarska-Bakir, antropolog kultury, szczegółowo analizuje poglądy LaCapry, autora książki pt. *Writing History, Writing Trauma*. Według LaCapry, analiza prawdziwości źródeł historycznych „jest warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym historiografii”, a szukaniu prawdy powinno towarzyszyć „empatyczne, dostosowujące się do zjawiska rozumienie i dialogowy użytek z języka”. Autorka stwierdza następnie, iż w polskiej historiografii dominuje podstępny przesąd, który Hans-Georg Gadamer nazywa „iluzją neutralności poznawczej”. W związku z tym w takim rodzaju dyskursu historycznego – dyskursu z zachowaniem „neutralności poznawczej” – badacz wkłada spory wysiłek metodologiczny w to, by „nie wiedzieć, co wie i nie czuć, co czuje”. Zjawisku temu towarzyszy: tabuizacja języka, uprzedmiotowienie tego, co badane, eliminacja głosu ofiar, preferowanie „samoobjaśniających się” świadectw i koncentracja na ofiarach. Aktualne pozostaje jednak pytanie, czy każdy dyskurs historyczny może być jednocześnie empatyczny, wolny od grzechów postpamięci i przy tym obiektywny?

Trudno jednoznacznie stwierdzić, w jakim stopniu uprawiane przez badaczy dyskursy historyczne służą nauce i poszerzają naszą wiedzę, a w jakim wyłącznie utrzymaniu i legitymizowaniu władzy. Należałoby w tym celu przebadać niejedną historyczną

tekst naukowy, a zwłaszcza podręcznikowe ujęcia przeszłości. I to nie tylko pod względem prawdy historycznej, często nieweryfikowalnej, ale przede wszystkim reguł i strategii językowych. Te bowiem mogą nam o wiele więcej powiedzieć na temat wiarygodności dyskursu historycznego niż źródła i fakty. Stworzeniu językowej iluzji neutralności poznawczej służą przede wszystkim normy i strategie polegające na odpowiednim ukształtowaniu narracji historycznej i odsunięciu z pola widzenia „ja” autorskiego badacza. Preferowanie w dyskursie historycznym neutralności poznawczej i wiara w to, że opisywane wydarzenia są poza sferą indywidualnych odczuć historyka, musi usunąć z dyskursu całą językową i pragmatyczną warstwę modalności. Do przeanalizowania pozostaje jeszcze sprawa reguł, norm i strategii stosowanych w procesie tworzenia tekstu. Niektóre z nich już jako stereotypy wypowiedzi o przeszłości (nieopracowane dotąd wzorce dyskursu historycznego) mogą wywoływać schematy i wzorce językowe, a nawet podsuwać określone interpretacje tekstu i ujawniać ukryte intencje autora, a sam dyskurs uczynić wyrafinowaną grą badacza przeszłości z historią i czytelnikiem.

W takim ujęciu dyskurs historyczny na pewno nie będzie służył ujawnieniu pożądanej prawdy historycznej, a także odkryciu nieznanych faktów z przeszłości, ale jedynie może ukazywać sprawność naukową badacza i prezentować doskonałość jego nieskażonego odczuciami własnymi warsztatu naukowego. I wtedy wszakże historia nadal pozostanie zgodnie z tezą Foucaulta jedynie „dyskursem władzy”.

Maciej Kawka

¹ Michel Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa. Wykłady w Collège de France 1976*, Warszawa 1998, s. 74.

² Stanisław Gajda, *Współczesny polski dyskurs naukowy*, w: *Dyskurs naukowy – tradycja i zmiana*, pod red. S. Gajdy, Opole 1999, s. 9–17.

Przeszłość, pamięć, narracja

Udawanie, że nic się nie stało i że nadal jesteśmy w stanie napisać (i przeczytać) klasyczną „powieść historyczną” może być kapitalnym pomysłem na powieść. Nieskazoni postmodernistycznymi ideami, ideologiami i teoriami, nieczuły na zapewnienia o „śmierci historii”, „śmierci narracji”, „śmierci autora” umysł podejmuje się radykalnego trudu stworzenia czegoś w rodzaju sagi, wielkiej ponadpokoleniowej panoramy czasów minionych — niezależnie, czy będą to czasy obejmujące wiek XX czy też wcześniejsze stulecia. Błądzi przez biblioteczne zbiory, przekopuje się przez archiwa, gromadzi dokumenty — i któregoś wieczora w swojej wieży ze słoniowej kości, gdy mroźny grudniowy wiatr dobiega się do szczelnie zamkniętych okiennic stawia na pustej kartce pierwsze znaki. Píše: „Rok 1863 to był dziwny rok”. Albo: „Styczniowy poranek ledwo posrebrzył dachy śpiącej jeszcze stolicy”. Albo: „Naczelnik nie mógł tej nocy zasnąć”

I zanim zdania te jeszcze dopiszą się do końca, ledwie zarysują na białej powierzchni — ich autor musi poczuć, że zamiast zdań oznajmujących — postawił pytania. Dlaczego rok 1863? Dlaczego poranek w styczniowej stolicy? Naczelnik — jaki naczelnik, dlaczego naczelnik? Dlaczego właśnie tak, przez tak ciasną bramę prostego zdania zaczynamy się przeciskać na rozległe rejony czasu, zdarzeń, do tłumów ludzi, którzy za chwilę mają się pojawić przed naszymi oczami? Dlaczego z tego miejsca w przestrzeni, dlaczego z tego punktu czasu zaczyna się rozwijać ta opowieść?

WIRUS POSTMODERNIZMU

Pamiętajmy — umysł, o którym mowa, uchronił się przed zarażeniem wirusem postmodernizmu. A jednak lęki, które zaczynają go opanowywać, świadczą, że nawet najbardziej odporni na jego działania zaczynają — właśnie teraz, na przełomie stuleci — myśleć, mówić i pisać w tonacjach, które z wypowiedziami wieszczów „końca historii” wcale nie wpadają w dysonans. Dotyczy to nie tylko pisarstwa historycznego (tzn. czyniącego historię swoim przedmiotem), ale również samego pojmowania historii, zadań historiografii, „stylu” historycznej narracji.

Nie trzeba więc wcale być postmodernistą, bez zastrzeżeń wierzyć Barthesowi, Derridzie czy Goodmanowi, by dojść do przeświadczenia, że najbardziej przekonującą opowieścią historyczną jest historia tworzenia takiej opowieści lub — spoglądając na rzecz jeszcze inaczej — jest nią swoista „autobiografia” opowieści historycznej. Wpisujący w tę opowieść wątek „autobiograficzny” (piszę ten przymiotnik w cudzysłowie, gdyż nie jest to przecież autobiografia w dosłownym znaczeniu) okazuje się jedynym wiarygodnym spoiwem takiej opowieści. Stawiając na papierze pierwsze znaki tekstu, rozpoczynamy zawsze opowieść o sobie — o sobie wobec dokumentów, cudzych narracji, cudzych wizji przeszłości, czyli wobec takich samych, jak nasza, „autobiografii”.

Jest to opowieść o tym, w jaki sposób, na jakich poziomach i poprzez jakie operacje, nasza „autobiografia” znajduje sobie miejsce wśród tego, co już istnieje. Zaś to, co istnieje, to przecież nie tyle „fakty” historyczne, ile „utekstowania” tych faktów — inne narracje o tych faktach, inne ich, odciśnięte w języku, „ślady”. Wprawdzie Nelson Goodman powiada, że „Cokolwiek opisujemy, skazani jesteśmy na taki czy inny sposób opisu”¹, ale nie brzmi to wcale pesymistycznie, jak wyrok na tych, którzy wierzą w moż-

liwość istnienia faktów historycznych „czystych”, nieopakowanych w warstwy kolejnych, nakładających się palimpsestowo interpretacji. One istnieją – tyle, że nie w postaci narracji, opowieści, historii właśnie (pamiętajmy, że rzeczownik „historia” odnosi się nie tylko do rzeczy minionych, ale w potocznym użyciu oznacza również „fikcję”, „fabuły” – a fabuły, to nic innego niż „baśnie”). One istnieją – w chłodnych, beznamiętnych zestawieniach typu chronologicznego, w kalendarzach i tekstach przypominających biblijne „spisy” albo – jak w sławnym *Sprzysiężeniu Katyliny* Salustiusza – wymieniające np. imiona osób, biorących (lub mogących brać) udział w jakimś zdarzeniu. Gdybyśmy spytali – czy w kalendarium lub „spisie” płynie czas – musielibyśmy odpowiedzieć: nie. To czas w rzeczywistości zatrzymany, zaś jego upływ znaczą jedynie zapisy dat. Ten czas naprawdę nie płynie, nie odmienia się: został bowiem „przechwycony” przez tekst – jak owa sarna z horacjańskiej pieśni „zatrzymana” na wieki u źródła.

Uruchomić ów czas może jedynie narracja – ale dokonuje się to zawsze poprzez utratę przez fakty ich „faktyczności”: stają się one w ten sposób „faktami-widzianymi-przez-kogoś”. Możemy spoglądać na nie jak na „znaki przeszłości”, ale również jak na „znaki sposobów znaczenia przeszłości” – czyli, chcąc nie chcąc, spisywać naszą własną z nimi przegodę, nasz własny sposób ich odczytywania. Być może historiograf potrafi wyćwiczyć techniki lektury cudzych narracji tak, by „wypreparować” z nich obecność samego narratora, aberracje jego widzenia, predylekcje do jednego lub abominacje do drugiego aktora „teatru przeszłości” i ich czynów (lub zaniechań). Taki jednak poziom „transparencji” źródła może być uznawany za możliwy, ale bynajmniej niekonieczny. Im wcześniej historiograf pozbędzie się złudzeń, iż oto dotyka materii przeszłości w pełnym, niczym nieskażonym jej formacie – tym lepiej. Ale wyzbycie się takich złudzeń oznacza swoistą kapitulację przed postmodernistycznym wirusem; walka o utrzymanie pozycji obrońcy „naukowości” poznania zaczyna być literackim tematem. Zważywszy np. znaczenie, jakie zyskały powieści Umberto

Eliminacja z obrazu przeszłości wszystkiego, co w przeszłości tej akcydentalne, niepewne, kruche – wszystkiego zatem, co mogło się zdarzyć lub zdarzyło, choć nie musiało – to właśnie dowód swoistego „imperializmu” narracji i przeświadczenia, że o przeszłości można jedynie „opowiadać”, gdyż opowiadanie jest – faktycznie – „rozumieniem” dziejów

Eco, wcale nie szkodzi to literaturze, zwłaszcza wtedy, gdy uruchamia mechanizmy parodii, autoparodii, dopuszcza wszelkie sylwiczne zestawienia cytatów, wersji i konwersji, ironię i autoironię. Zapewne – musi szkodzić samopoczuciu historii jako dziedziny wiedzy i historiografii jako dziedziny naukowego pisarstwa. Co jednak jest lepsze: ujawnienie faktu, iż stoi się na rozdrożu, czy też przybieranie pozory drogowskazu, który wprawdzie wskazuje kierunek, ale nie jest w stanie w kierunku tym pójść?

Tradycyjnie, rzekłbym: tradycjonalistycznie pojmowane zadanie narracji historycznej polega na swoistym „rzutowaniu” zdarzeń z osi ich diachronicznego następstwa na wertykalną oś ich hierarchii. Porządkowanie dokonujące się w ten właśnie sposób eliminuje z mechaniki dziejów tak niesłychanie ważny jej element jak przypadek, nieprzewidywalność, nieznana ludziom, ukryta (a możliwa do dostrzeżenia jedynie *post factum* i tym samym zamieniona w konieczność) koincydencję odległych czynników. Eliminacja z obrazu przeszłości wszystkiego, co w przeszłości tej akcydentalne, niepewne, kruche – wszystkiego zatem, co mogło się zdarzyć lub zdarzyło, choć nie musiało – to właśnie dowód swoistego „imperializmu” narracji i przeświadczenia, że o przeszłości można jedynie „opowiadać”, gdyż opowiadanie jest – faktycznie – „rozumieniem” dziejów.

Tymczasem ma rację Paul Ricoeur, gdy pisze: „(...) czynimy własnym, przyswajamy sobie nie obce przeżycie, odległą inwencję, niegdysiejszą sytuację, lecz pozazdarzeniowy sens i horyzont świata, do którego ten sens nas odsyła”². Ma również rację, gdy nieco dalej zauważa, iż nie jest naszym zadaniem – skoro chcemy tekst zrozumieć – odtworzenie pierwotnej sytuacji komunikacyjnej, w jakiej tekst ten uczestniczył „pierwszy raz”. Juliusz Cezar opisy swoich militarnych przewag adresował w równym stop-

niu do własnych poddanych – co do nas, ludzi początków XXI wieku. To do nas, a nie tylko do Koryntian, Efezjan czy Galatów pisał św. Paweł. „Wszechczasowość sensu oznacza, że jest on otwarty dla wszystkich odczytań. Z tą chwilą dziejowość (tzn. osadzenie w konkretnym, „historycznym” tu i teraz – Z.B.) lektury staje się przeciwwagą dla tej wszechczasowości; skoro tekst wymyka się autorowi, sytuacji, pierwotnemu odbiorcy zawsze może postarać się o nowych czytelników. (...) Pozazdarzeniowa faza sensu jest źródłem wszystkich nowych aktualizacji”³.

Co może, co powinno się stać, by narracja historyczna stawała się „otwarta” na wszystkie odczytania i zarazem stawała się „lekturą lektur” przeszłości – ujawniając, z całą otwartością, swoją „autobiograficzność”, swoje miejsce (jako tekstu) wśród innych tekstów, które nie są „zdarzeniami”, ale „obrazami zdarzeń”?

Linda Hutcheon pisze, że historiograficzna metaopowieść (*meta* – gdyż objaśnia ona nie tylko historię, ale także same mechanizmy objaśniania) „wymaga od czytelnika utekstowionych śladów literackiej i historycznej przeszłości, ale także świadomości tego, co dzieje się – wskutek ironii – z tymi śladami. (...) Marco Polo Itala Calvino w *Niewidzialnych miastach* jednocześnie jest i nie jest historycznym Marco Polo. Jakim sposobem możemy dzisiaj »poznać« włoskiego odkrywcy? Możemy to uczynić jedynie poprzez teksty – z jego własnymi włącznie (*Il Milione*), z których Calvino w sposób parodystyczny czerpie szkielet swej opowieści, wątek podróży i jego charakterystykę”⁴. Powołuje się też na słowa Umberto Eco z *Dopisków na marginesie „Imienia róży”*: „książki zawsze mówią o innych książkach i wszelka opowieść snuje historię opowiedzianą”⁵.

IMPLIZJA NARRACJI

To, co „otwiera” narrację historyczną na nowe odczytania, na nowe – mówiąc za Ricoeurem – „zdarzenia słowne” (czyli interakcje: tekst – lektura) może zostać nazwane „implizją narracji”. Narracja nie „eksploduje”, nie rozszerza się gwałtownie na zewnątrz, ogarniając nowe obszary i nowe teksty, ale niejako „zapada się” w siebie samą, we własne wnę-

trze. „Eksplodacja” oznaczałaby zarazem „rozgęszczenie” narracyjnej materii – implodacja przeciwnie: materię opowieści „zagęszcza”, sprawiając, że jedne wątki „wpadają” na inne, wciskają się w obce struktury i zarazem „oddają” swoje fragmenty na rzecz tych struktur. To już nie aprioryczna projekcja diachronii na oś hierarchii, albowiem hierarchiczność ustępuje tu miejsca tektonice. Tektoniczność zamiast linearności – to rzeczywiste przejście, prawdziwa przemiana natury tekstowego „obrazu historii” dokonująca się bynajmniej nie na styku historiografii i literatury (takie podejście bowiem niczego nie zmieniałoby w dotychczasowych ujęciach), ale wewnątrz całości pisarstwa.

„Implodacja narracji” sprawia, że stajemy nie tyle wobec opozycji „historia/narracja historyczna”, ile dialogu „przeszłości” i „pamięci”. To pamięć jest „tektoniczna”; to pamięć uruchamia w nas nie tyle „opowiadacza”, ile archeologa. Problem „pamięci” jest po wielokroć ważniejszy niż problem przetworzenia bezmiennnej diachronii na równie bezmienną, bezczasową (a nie „wszechczasową”) hierarchię⁶.

Uruchomienie pamięci, zrozumienie przyczyn pamiętania i zapomniania, dialog z pamięcią, maski pamięci – oto niewielki wycinek problemów, z jakimi pisarstwo historyczne przełomu XX i XXI wieku musi się uporać, jeśli rzeczywiście chce przeszłość zrozumieć, a nie tylko ją interpretować. Przykładem takiej „implodującej” narracji jest np. *Pamiętnik z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego. Przykładem takim jest pisarstwo Tadeusza Konwickiego, Wiesława Myślińskiego; są nim eseje Marii Janion, Ryszarda Przybylskiego czy Jarosława Rymkiewicza. Bojaźliwie, ale w tę właśnie stronę zmierzają Paweł Huelle i – zwłaszcza w powieściach najnowszych – Olga Tokarczuk.

Znacznie więcej przykładów takiej właśnie narracji, opartej na skomplikowanych grach przeszło-

Sens trzeciej postaci „implodującej narracji” zrozumiałem po lekturze książki autora *Shoah* o pamięci, przeżyciu, mechanizmach powrotów do przeszłości. Ta narracja zapada się w bezruch, trwanie, jednoczesność przeciwnieństw w nas, w świecie, który jest „teraz”, choć przecież nie mamy pewności, czy nie jest „wczoraj” albo „jutro”

ści i pamięci znajdziemy w literaturze europejskiej. Jej mistrzem jest Günter Grass, co potwierdził książką *Idąc rakiem*⁷, atakującą pamięć zbiorową – skostniałą w mitach, w wyobrażeniach, we wszystkich tych nienawistnych pisarzowi *common senses* niemieckiej (i nie tylko) publiczności, które zarażają bezruchem kolejne pokolenia. To jest powieść o pamięci, a także o zapominaniu, bowiem ktoś, kto chce pisać o pamięci, musi także pisać o mechanizmach niepamięci. O spychaniu przeszłości w niebyt, o cichej zмовie milczenia, która znowu jest czymś innym niż niepamiętanie, gdyż jeśli umawiamy się, że milczymy – to znaczy pamiętamy aż nadto dobrze (to właśnie wspomniana przeze mnie wyżej „maska” pamięci). Gwałtowna i entuzjastyczna reakcja na tę książkę zdaje się nie być współmierną do jej wewnętrznego powikłania – jeszcze większego niż to, do jakiego zdążył nas Grass przyzwyczaić w *Szczurzy*, *Turbocie*, a nawet – w niechętnie z kolei przyjętym – *Rozległym polu*. Wielopłaszczyznowość – czyli tektonika – tej powieści odpowiada pokładowi pamięci wrastającym w rzeczywistość współczesną i w światy wirtualne, istniejące w internetowej Sieci. Grass z precyzją chirurga przecina dawne i zarazem snuje nowe powiązania tych płaszczyzn: tragedię statku „Wilhelm Gustloff” wiąże z narodzinami narratora powieści, dziejami jego matki, losem patrona zatopionego w styczniu 1945 „Titanica III Rzeszy” zamordowanego przez żydowskiego antyfaszystę, losem jego samego, a także doświadczeniem syna narratora, mordującego w niezrozumiałym (a może właśnie zrozumiałym?) odruchu swego rówieśnika, pseudo-neofaszystę, którego wynalazł na internetowym czacie. Przeszłość zostaje opleciona siecią misternych „linków”, staje hipertekstualna: do nikąd nie zmierza, nie zaczyna się w żadnym, jednoznacznie określonym punkcie i nigdzie praktycznie się nie kończy. Możemy wejść w nią w dowolnym miejscu, ale jeśli już tam wejdziemy – pochłonie nas jak labirynt. Wyjść można jedynie „teoretycznie” – po prostu negując samo istnienie labiryntu, pogrążając się w zмовie niepamięci, w udawanie, że świat zaczął się w 1945 albo w 1989 roku.

Juliusz Cezar opisy swoich militarnych przewag adresował w równym stopniu do własnych poddanych — co do nas, ludzi początków XXI wieku. To do nas, a nie tylko do Koryntian, Efezjan czy Galatów pisał św. Paweł

To jedna z dróg. Inną znajdziemy w wydanej niedawno, a znanej francuskim czytelnikom od 1978 roku powieści Georges'a Pereca *Życie. Instrukcja obsługi*⁸. Prawdopodobnie jest to jedna z najważniejszych powieści, jakie napisano w XX wieku, a z całą pewnością – jedna z najważniejszych i zarazem najbardziej zagadkowych jakie poświęcono stuleciu, które niedawno dobiegło końca. Wyrafinowanie, a zarazem perwersja zastosowanej tu „implodującej narracji” polega na tym, że autor dokonawszy już dekonstrukcji (która zarazem jest niesłuchanie precyzyjnym budowaniem) i oddawszy nam we władanie warstwę tego, co zostało, wyposażył nas w narzędzia tyleż atrakcyjne (struktura olbrzymiej powieści oparta jest na ruchu szachowego skoczka oraz na przechodzeniu z rozdziału do rozdziału pewnych motywów i słów kluczy, według zasad permutacyjnych); Perek był członkiem ekskluzywnego towarzystwa artystycznego Ouvreir de Litterature Potentielle – OULIPO, założonego m.in. przez Raymond Queneau, a skupiającego, na wieczność, malarzy, pisarzy, matematyków, teoretyków literatury, których zadaniem jest tworzenie ścisłych algorytmów, stosowanych później w dziełach plastycznych i literackich. Ich użycie powoduje po prostu, iż ruiny, w których myśkujemy, zapadają się coraz bardziej, zagęszczają, tworząc w końcu materię nie do przebycia.

Perek – odwołując się do wyeksploatowanego przez literaturę motywu wielopiętrowej kamienicy – otwiera przed nami świat: zdarzeń, obrazów tych zdarzeń, obrazów obrazów... itd. Dzięki temu zaczynamy podróżować w przestrzeniach rzeczywistych i imaginacyjnych, dotykać autentyków tylko po to, by przekonać się, że to kopie lub pastisze. Cofamy się w czasie – o kilkadziesiąt, a nawet kilkaset lat tylko po to, by upewnić się, że wciąż jesteśmy w Paryżu lat 70. XX wieku. Na dodatek w potężnym dziele stopniowo zaczynają zanikać rządzące nim początkowo reguły, stając się własnymi zaprzeczeniami. Porządek zamienia się w chaos, po czym nieoczekiwanie powraca w zmienionej postaci, przywołuje nas do po-

rzędu, buduje w nas wiarę, że istnieje jakaś oś, jakieś centrum tego rumowiska – i natychmiast ją nam zabiera.

Oto właśnie przeszłość – i pamięć: zapadające się w siebie rumowisko. Oto życie. Jego „instrukcja obsługi” to klucz uruchamiający życie, a zarazem ustanawiający jego bezruch. Ład przywoływany jedynie po to, by mógł sam siebie wyszydzić.

I droga trzecia – o której wspominam dlatego, iż uwiadomił mi ją przypomniany niedawno przez telewizyjną „Trójkę” olbrzymi, blisko dziewięciogodzinny film dokumentalny Claude’a Lanzmanna *Shoah*⁹. Losy tego filmu – pokazywanego w Polsce pierwszy raz w połowie lat 80. po radykalnych ingerencjach cenzury – są już same opowieścią o przeszłości i pamięci. Atakowany wściekle za rewizjonizm i skłonności syjonistyczne, ale także za postmodernistyczny immoralizm i tym samym antysemityzm (przypomina się tu choćby reakcja światowej krytyki na książkę Hannah Arendt *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła* oraz prace Jana Grossa) lub uprawianie „holokaustowego businessu”, film Lanzmanna obronił się nie tyle jako wstrząsający dokument społeczno-psychologicznych kontekstów Zagłady, ile jako potężny moralitet o pamięci. Bo przecież w filmie tym nie ma zdjęć archiwalnych, nie ma żadnych materialnych dokumentów przeszłości: powiedzielibyśmy – nie ma „tekstów”. A przecież są relacje ofiar, świadków, katów. Jest powolne, niechętnie ujawnianie tkanki zapomnianego i jeszcze bardziej gęstej tkanki wypartego z pamięci. Jest poruszane w ludziach ciężkie, obrosłe resentymentami, schematami, myślowymi zbitkami, „zdroworozsądkowymi” wizjami tego, co minęło koło zapomniania – pamiętania. Jest też narastająca, gęstniejąca cisza – która przyjdzie po słowie, które się wypowiedziało lub które zechciało się

wypowiedzieć. To *limes* tego filmu i zarazem *limes* zastosowanej przez Lanzmanna metody rozumienia (bo wcale nie „interpretowania” przeszłości).

Sens tej trzeciej drogi, sens tej trzeciej postaci „implodującej narracji” zrozumiałem po lekturze książki autora *Shoah* o pamięci, przeżyciu, mechanizmach powrotów do przeszłości¹⁰. Ta narracja zapada się w bezruch, trwanie, jednoczesność przeciwnieństw w nas, w świecie, który jest „teraz”, choć przecież nie mamy pewności, czy nie jest „wczoraj” albo „jutro”.

„Implodująca narracja”, stawiająca naszą pamięć wobec przeszłości pozwala nam spisywać – w materii rzeczy minionych, a raczej w istniejących ich obrazach, nasze własne biografie i autobiografie. Jest na nie miejsce – bowiem nic, co zostało powiedziane, nie zostało powiedziane do końca.

Zbigniew Bauer

¹ N. Goodman, *Jak tworzymy sąd*, przeł. M. Szczubiałka, Warszawa 1997, s. 11; zob. także J.H. Miller, *Narracja i historia*, przeł. M. Adamczyk, „Pam. Lit.” 1984, z. 3 i H. White, *Poetyka pisarstwa historycznego*, pod red. E. Domańskiej i M. Wilczyńskiego, Kraków 2000.

² P. Ricoeur, *Zdarzenie i sens w wypowiedzi*, w: *Egzystencja i hermeneutyka*, wybór, opracowanie i wprowadzenie St. Cichowicz, przeł. E. Bienkowska i in., Warszawa 1985, s. 324.

³ Tamże.

⁴ L. Hutcheon, *Historiograficzna metapowieść: parodia i intertekstualność historii*, w: *Postmodernizm. Antologia przekładów*, pod red. R. Nycza, Kraków 1997, s. 387.

⁵ Tamże; U. Eco, *Zapiski na marginesie „Imienia róży”*, w: *Imię róży*, przeł. A. Szymanowski, Warszawa 1987, s. 599.

⁶ Por. M. Zaleski, *Formy pamięci. O przedstawianiu przeszłości w polskiej literaturze współczesnej*, Warszawa 1996.

⁷ G. Grass, *Idąc rakiem*, przeł. S. Błaut, Gdańsk 2002.

⁸ G. Perec, *Życie. Instrukcja obsługi*, przeł. W. Brzozowski, Warszawa 2002.

⁹ *Shoah*, 1985. Films Aleph, Historia Films, 566 min.

¹⁰ C. Lanzmann, S. Schneider, *Formen von Erinnerung. Ein anderer Blick auf Gedenken, Erinnern und Erleben*, Marburg 1998.

Sienkiewicz w polskiej świadomości historycznej i potocznej

W uzasadnieniu, przyznanej w 1905 roku Sienkiewiczowi nagrody Nobla, wbrew potocznej opinii nie „Quo vadis” było głównym argumentem. Sprawozdawca czasopisma „Wędrowiec” pisał, iż sędziowie „najdłużej (...) zatrzymywali się (...) nad «Potopem» i «Krzyżakami», a więc utworami, w których Sienkiewicz był „na wskroś pisarzem polskim”. Dlatego w fragmentach protokołu jury znalazły się następujące sformułowania: „Narodowi polskiemu te widome dla wszystkich geniusze są jeszcze potrzebniejsze niż gdzie indziej, one bowiem jednoczą cały naród, one stawają w obliczu świata jako przedstawiciele rodaków swoich, one przedstawiają i bronią pamięci historycznej (...), one wreszcie podtrzymują ducha i zagrzewają do walki (...)”¹

Nie jest bowiem przypadkiem, że Nobel Sienkiewicza zbiegł się z okresem, gdy „sprawa polska”, w związku z rewolucyjnymi wydarzeniami w Rosji, stała się znów aktualna. Pisał o tym korespondent warszawskiej gazety „Słowo”: „Odnaczenie to przychodzi w chwili historycznej, gdy jeden świat, z którym los nas związał, wali się, a na gruzach jego (...) nowy świat usiłuje powstać, gdy ludy Rosji, która była więzieniem narodów, chcą sobie mieszkanie, prawa i wolności urządzić. W tej chwili my, Polacy, walczymy o narodowe nasze prawo i o naszą wolność”².

Z tych przede wszystkim powodów na pierwszym planie znalazły się dzieła patriotyczne o wyraźnych pierwiastkach narodowych. Przede wszystkim Trylogia ze względu na ugruntowane w opinii, nie tylko polskiej, przekonanie o narodowym przesłaniu cyklu pisanego „dla pokrzepienia serc”. W strukturze tego dzieła odtwarza się z niezwykłą wyrazistością dziewiętnastowieczny, rozbiorowy stereotyp „polskości”, wiążąc go z szerszą problematyką tożsamości i świadomości narodowej³.

Na miejsce Trylogii w dziejach polskiej literatury miała wpływ nie tylko jej formalna atrakcyjność: wartki tok akcji, kreacje bohaterów, łatwo przyswajalne konwencje powieści historyczno-przygodowej, umiejętności stylizacyjne i swoboda narracyjna. Zwłaszcza w momencie jej druku, dołączył się, z wielką sugestywnością czynnik patriotyczno-narodowy, odsyłający do tego okresu dziejów, w którym można było odnaleźć świadectwo wydobywania się Pola-

ków z – wydawałoby się – ostatecznego upadku i poniżenia. Było to istotne dla ówczesnej społeczności przeżywającej „szok” po powstaniu 1863 roku. O psychologicznym aspekcie oddziaływania Trylogii pisał Kazimierz Wyka w szkicu *Sprawa Sienkiewicza*:

„Sienkiewicz trafił Trylogią na moment dość szeroko odczuwanego znużenia hasłami pozytywizmu (...) Trylogia w swoim bezkrytycznym uznaniu dla przeszłości i dla najwykleszych cech polskiego charakteru narodowego posiada znamiona dzieła wybitnie kompensacyjnego, przez swoją przesadę nastawionego na pewne leczenie kompleksów psychosocjalnych. Nastrój, w jakim znajdowało się społeczeństwo polskie w dwadzieścia lat po powstaniu styczniowym, na pewno był przesadny w niewieźle we własne siły, przesadny w krytyce przeszłości, przesadny w kreśleniu wad narodowych (...) Na kompleks małej wartości ówczesnego społeczeństwa polskiego odpowiedzią było pobudzenie kompleksu buńczucznej pewności siebie. Tego dokonał Sienkiewicz i takie postępowanie stanowi typową terapię kompensacyjną, typowe leczenie zastosowane do psychiki zbiorowej”⁴.

Tezy Wyki przekonująco objaśniają podstawy wielkiego sukcesu dzieła. Wymagają jednak rozwinienia, zwłaszcza w wskazanych aspektach: narodowym i tradycyjnym. One bowiem sytuują Trylogię wśród prądów epoki, ówczesnych polemik i opinii o charakter i znaczenie problematyki narodowej w rozbiorowej sytuacji Polski. Warto przy tym pa-

mieć, że wskazane przez badacza „znużenie hasłami pozytywizmu” wiąże się w płaszczyźnie ideowej z kryzysem epoki w latach osiemdziesiątych XIX w. Starły się wówczas dwie zasadnicze koncepcje zachowania substancji narodowej: pozytywistyczna, która metody utrzymania tożsamości narodowej i zwiększenia możliwości oporu wobec zaborców, dostrzegała w procesach rozwoju cywilizacyjnego i demokratycznych zmianach, oraz konserwatywna, sięgająca po wzory przeszłości wywodzone z tradycji. Konserwatyści posługiwali się argumentacją patriotyczną o historycznym zabarwieniu⁵. Korzystali również z repertuaru mitologii narodowej i romantycznej. Jednakże w praktyce politycznej epoki nie mieściły się dobrze tak krańcowe postawy. Bowiem ani pozytywiści nie odrzucali kategorycznie tradycji romantycznej, uznając ją za podstawowy kanon narodowego światopoglądu, ani konserwatyści (zwłaszcza z kręgu krakowskich „stańczyków”) nie byli zwolennikami bezkrytycznej wizji przeszłości i przeciwnikami „cywilizacyjnego postępu”. Historyczna „szkoła krakowska” (profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego: Józef Szujski, Stanisław Smolka, Michał Bobrzyński) winą za upadek Rzeczypospolitej obarczała wewnętrzny rozpad państwa, spowodowany szlachecką anarchią („złotą wolnością”) i brakiem rozsądku politycznego. W dziełach historyków „szkoły” zarysował się nowoczesny i krytyczny pogląd na dzieje Polski. Polemizując z poglądami romantycznych historyków pisał Michał Bobrzyński: „Usunięto naród polski i jego przeszłość spod praw ogólnych, którym w rozwoju swoim ulegają inne narody, przyznano mu wyjątkową rolę i posłannictwo w ludzkości, i dla tej misji pozwolono mu istnieć bez poszanowania rządu i prawa, bez wojska i podatków (...) Był to już zupełny ołbęd (który – TB) przeniesiony na skrzydła poezji, doprowadził do nazwania Polski – Chrystusem narodów”⁶.

Twórczość Sienkiewicza, a zwłaszcza jego powieści historyczne wyraźnie mieszczą się między dwiema tymi orientacjami. Pisarz żywił kult przeszłości historycznej i akcentował mit jej wielkości. Ale, jak pisał polemizując z Włodzimierzem Spasowiczem: „Chrystusować przeszłość jest przesadą, ale

nazywać ją jawnogrzesznicą jest niemniejszą...”⁷. Dzieje Polski traktował jako wielką i solidarną wspólnotę zamieszkujących ją narodów. Dla pisarza niebezpieczeństwem były wszelkie próby destrukcji dawnego organizmu państwowego i społecznego. Dlatego sposób, w jaki Sienkiewicz przedstawił stosunki polsko-ukraińskie w *Ogniem i mieczem*, od samego początku wzbudzał kontrowersje. W apologetycznej recenzji powieści Stanisław Tarnowski napisał, iż autor posiadał tajemnicę pisania bez fałszowania dziejów⁸; natomiast Bolesław Prus stwierdzał: „...Podał on (tj. Sienkiewicz – TB) wizerunek dziejów, ale w głównych zarysach negatywny, wprost im przeciwny”⁹. Kolejne opinie o powieści układały się według tej właśnie opozycji. Ich sens był najczęściej ideologiczny, umacniający stereotypy, który mniej miały wspólnego z powieściowym światem, więcej natomiast z nadbudowanymi nad nim przeświadczeniami. Ostatnio spór wybuchł od nowa w związku z filmową wersją *Ogniem i mieczem*. Gwałtownie zaatakował wizję pisarza Zygmunt Kałużyński¹⁰. Bronili Sienkiewicza historycy: Janusz Tazbir i Władysław Andrzej Serczyk. Ten ostatni pisał: „Twierdząc, że całkiem uzasadniona jest teza, że na kartach Trylogii (...) wizerunek (Kozaczyzny – TB) niewiele różni się od historycznej rzeczywistości. Pokazana została ona w całej swej wielkości, wewnętrznym skomplikowaniu i zewnętrznych uwarunkowaniach, a zarazem w chwilach słabości, momentach targających nią ciemnych namiętności”¹¹.

Inaczej, z perspektywy ukraińskiej, oceniał powieść Piotr Tyma: „...Obraz kozaczyzny oraz uznawanych przez wszystkich Ukraińców (...) ukraińskich bohaterów narodowych Bohdana Chmielnickiego i Maksyma Krzywonosy, przedstawiony w powieści Sienkiewicza, jest nie do zaakceptowania przez świadomą swojej historii elitę ukraińską”¹².

Ponieważ w aksjologii patriotycznej pisarza miejsce centralne zajmowała historyczna koncepcja niepodległej Rzeczypospolitej, zasadniczą wartością była dla niego integralność terytorialna i społeczna państwa. W tej koncepcji mieszkańcy „Rzeczypospolitej Obojga Narodów” – to „dzieci eiusdem matris”. Z tej perspektywy oceniał Sienkiewicz wydarzenia

ukraińskie połowy XVII wieku, traktując je jako „wojnę domową” i bratobójczą. Nie ograniczało to jednak możliwości aktualizacji, które nadawały obrazom Trylogii sens ideowy. Sienkiewicz w „buncie” kozackim doszukiwał się bowiem współczesnych analogii, i to takich, które pozwoliły by na zmylenie cenzury rosyjskiej. Sienkiewicz „grał” z cenzurą, unikając niebezpiecznych nazw i pojęć oraz „pseudonimując” działania zaborców. Przedstawiając genezę i przebieg „dwóch lat dziejów naszych” pisarz mocno uwydatnił sojusz Chmielnickiego z Tatarami. I nie tyle ważne jest historyczne znaczenie tego sojuszu, ile jego czytelna współczesna aluzyjność, wskazująca przede wszystkim na efekt końcowy: zabór i represje. W *Ogniem i mieczem* Zaćwilichowski przepowiada: „Hej, nieszczęsna Ukraino! Krymscy poganie włożą ci łańcuch na szyję i na galerach tureckich wiosłować będziesz!”. Natomiast w *Panu Wołodyjowskim* ks. Kamiński kończy swoją opowieść-parabolę: „Jeśli zaś miarę w zawziętości przebieżecie, tedy nie będzie ani dla jednych ani dla drugich zmiłowania i poganin posiadzie tę ziemię na wieki wieków”. Dla zmylenia cenzury pisarz posłużył się wielopoziomowym kamuflażem; nie tylko Tatarzy, lecz i Kozacy układający się w XVII wieku z Moskwą, dla czytelnika okresu zaborów, mogli się stać prefiguracją zaborcy. Ówczesna Warszawa w Kozakach widziała przede wszystkim oddziały represyjne, tłumiące polskie „bunt”. Taki rozkład blasków i cieni musiał wpłynąć na wyidealizowany obraz szlachecko-sarmackiego społeczeństwa. Tak np. określał „fałsz” *Ogniem i mieczem* w znanej recenzji Bolesław Prus: „Oto jest szkielet potworu nazywającego się wojną kozacką. Materiały do niej tkwiły we wszystkich klasach, we wszystkich stosunkach Ukrainy (...); hetman Potocki podpalił ogień, a ks. Wiśniowiecki, o ile mu na to pozwalały jego duże zasoby, jeszcze większe okrucieństwo, a bardzo ograniczone zdolności i miłość kraju — o tyle płomień podlegał. (...) Wymalował on (Sienkiewicz — TB) tylko cyferblat zegara, ale kółek i sprężyn nie pokazał (...)”¹³.

Zarzuty Prusa wyglądają poważnie. Warto jednak przyjrzeć się dokładniej wewnętrznemu światu powieści, aby stwierdzić, czy wszystkie one się wery-

fikują; czy przedstawiając swoją koncepcję powstania Chmielnickiego tworzył pisarz świadomie tekst antyukraiński? I czy była to fantazja zupełnie dowolna, nie licząca się z materiałami historycznymi epoki? Już wcześniej został przytoczony sąd Władysława A. Serczyka o adekwatności literackiego wizerunku siedemnastowiecznej Ukrainy i historycznej rzeczywistości. Podobnie twierdzą wybitni historycy polemizujący z Olgierdem Górką: Władysław Tomkiewicz¹⁴ i znawca historii XVII wieku Władysław Czapliński¹⁵. Nie ulega jednak wątpliwości, że ocena powstania Chmielnickiego jest w powieści negatywna. Niemniej określając je jako „wojnę domową” Sienkiewicz traktował powstanie inaczej, niż zaborcze wojny zewnętrzne. Dlatego opinie o przedstawieniu powstania Chmielnickiego w tendencyjnym, fałszywym i negatywnym wymagają korekty.

Sienkiewiczowski literacki obraz siedemnastowiecznej Ukrainy, kształtują dwa kompleksy wyobrażeń. Kompleks tradycji romantycznej, powiązany twórczością „szkoły ukraińskiej” i twórczością Juliusza Słowackiego oraz kompleks historyograficzny, inspirowany przez źródła z epoki i opracowania współczesne, głównie Karola Szajnochy i Ludwika Kubali oraz badaczy z kręgu „szkoły krakowskiej”. Oba „kompleksy” przenikały się wzajemnie. Wpływały na powstawanie takiej sugestywnej wizji literackiej, która z utrwalonym w świadomości powszechnej obrazem historii łączyła wyobrażenie przestrzenne. To nie przypadek, że Sienkiewicz mocno wpłynął na mentalny i mityczny kształt „wielkiej” ojczyzny z rozległymi kresowymi terytoriami. W ich obrębie mieszczą się podstawowe elementy „ikonosfery stepowej”, której „stałymi składnikami (...)” były kurhany, drewniane krzyże, burzany, bielejące a przypadkowo odkryte kości i stare zbroje, ślepi lirnicy, oraz widniejące w oddali chutory i cerkiewki. Mieściły się one w polu obrazowym toposu «matki-Ukrainy», ziemi kojarzonej w XIX wieku z kolebką narodu polskiego (...)»¹⁶. Sienkiewicz tworzy swą istotą „księgą kresową” ze stereotypowym obrazem stepu: rozległego, pustynnego, dzikiego; stepu — pobojowiska, pokrytego kurhanami, mogiłami i ruinami, przez który przechodzą wojska i przelatuje dra-

pieżne i wróżebne ptactwo. Step generuje także powieściową historię. „Wstał ze stepów Chmielnicki i urosł na olbrzyma” (OM, II, 388).

Pozostając jedynie w obrębie wizji „przeszłościowej” nie jesteśmy w stanie do końca wyjaśnić wpływu, który uzyskał Sienkiewicz na kształt polskiej świadomości historycznej. Takim rozstrzygającym czynnikiem stanie się rosnąca popularność powieści jako ważnego elementu rodzącej się kultury masowej. Pisarz swój wielki sukces osiągnął dzięki upowszechnieniu utworów, nie tylko jako publikacji książkowych, lecz także drukowi odcinkowemu w prasie. Tym sposobem coraz większy zasięg miało przesłanie „krzepiące” w Trylogii i idea zwycięstwa siły duchowej nad aparatem władzy w *Quo vadis*¹⁷. Wzmacniało się zapotrzebowanie na historyczny mit kompensacyjny. Zarazem Trylogia według Krzysztofa Mętraka jest „wizją polskiego charakteru narodowego”. „Nauczyciel narodu”, „Hetman dusz polskich” – w takie to patetyczne formuły wpisywano dawniej twórczość Sienkiewicza, co budziło (mniej lub bardziej uzasadnione) sprzeciwy części krytyki. Pisarz, mocniej niż wielu innych twórców epoki, ujmował to narodowe zadanie w sposób atrakcyjny i komunikatywny. Sprzyjała temu wielokrotnie opisywana, umiejętność Sienkiewicza zaciekawiania odbiorcy, posługiwanie się technikami znanymi i łatwo przyswajalnymi, elementami dynamicznej akcji, przygody, konwencjami i wątkami erotycznymi. Przede wszystkim zaś wyzyskanie środków aktywizujących wyobraźnię czytelnika. O „plastyczności”, „malarzkości” Sienkiewiczowskiej wizji pisano wielokrotnie¹⁸. Cechowało go „myślenie obrazami”. To z kolei stwarzało w czytelnicznym odbiorze iluzję prawdziwości przedstawień, naiwnie realistyczny odbiór sekwencji zdarzeń i postaci fikcyjnych. Do legend lekturowych należą czytelniczne próby wpłynięcia na los bohaterów i msze za dusze innych (np. Longinusa Podbiپیęty¹⁹). Słowem, „czytanie” Sienkiewicza, zwłaszcza w dziewiętnastym i na początku dwudziestego wieku, uruchamiało cały szereg reakcji należących do kanonu zachowań narodowych i wyobrażeń historycznych Polaków. Wzmacniały je jeszcze obie wojny światowe, w których wzory Sien-

kiewiczowskich bohaterów były wielokrotnie wykorzystywane i powielane. Odmienny aspekt „sprawy Sienkiewicza” dostrzegł krytycznie doń nastawiony Witold Gombrowicz. Autor *Ferdydurke* pisał:

„Ażeby zrozumieć nasz romans sekretny (gdzie kompromituje) z Sienkiewiczem należy dotknąć sprawy drastycznej, a mianowicie problemu «wytwarzania urody» (...) W tej sieci chłonnego uwodźcielstwa ginie (...) wartość, a decydujący staje się efekt zewnętrzny (...) Sienkiewicz (...) z rozkoszą oddaje się cały na usługi przeciętnej wyobraźni (...) Niezwykły geniusz, ale nieco żenujący, geniusz od tych nieco wstydlivych marzeń, którym oddajemy się przed zaśnięciem (...) geniusz «łatwej urody»”²⁰.

Ta koncepcja – w pewnym stopniu upraszczająca widzenie twórczości Sienkiewicza – odkrywa jednak jeden z istotnych sposobów jego odbioru. Wskazuje na pokusę zewnętrznego i oczywiście powierzchownego odczytywania jego dzieł. Jest jednak Gombrowicz także autorem innej wskazówki lekturowej:

„Jeśli przestaniemy w nim (Sienkiewicz – TB) widzieć nauczyciela i mistrza, jeśli zrozumiemy, że jest to poufny nasz marzyciel, wstydlivy opowiadacz snów, to książki jego urosną na miarę sztuki o charakterze spontanicznym, której analiza wprowadzi nas w mroki naszej osobowości. Gdybyśmy pisarstwo Sienkiewicza potraktowali w ten sposób, jako wyładowanie instynktów, pragnień, tajnych aspiracji, ujrzelibyśmy w nim prawdy o sobie, od których (...) włosy stanęły by nam dęba”²¹.

Gombrowicz proponuje więc lekturę przekształcającą słabość pisarza w siłę pozwalającą na odsłanianie wpisanych w jego pisarstwo polskich ukrytych kompleksów. „Myślenie Gombrowiczem”, pojawiło się jednak za późno i natrafiło na wzmocnione w latach osiemdziesiątych, stereotypowe odczytywanie pisarza. Oto np. w nielegalnym *Glosariuszu*, ukazał się (nie jedyny zresztą) szkic o Sienkiewicz, pióra Franciszka Nieckuli pod znamienym tytułem *Ku nadwątleniu serc*. Pojawił się w nim odświeżony emocjonalny ton apoteozy z całym dobrodziejstwem inwentarza:

„Czy nam się to podoba, czy też nie, z woli społeczeństwa, a wbrew ujadaniom warszawskiej krytyki,

stał się wielkim pisarzem narodowym, ważnym składnikiem narodowego kodu kulturowego, narodową wartością kulturową (...). Nie bierzcie jego utworów do waszego prosekutorium, by je pokroić, ponieważ one żyją. Nie puszczajcie jego dzieła przez waszą sieczkarnię metodyczną, by je pociąć na jalo-wą sieczkę interpretacyjną, bo to ani mądre, ani po-żyteczne. Nikczemną brednią jest porównywanie Sienkiewicza z Dumasem czy Cooperem ...”²².

W tym stylu uformowany obraz Sienkiewicza (z bezwzględnej i insynuacyjnej oceną jego „przeciwników” i oskarżeniem wypaczeń szkolnych) jest dowodem ciągłej obecności jednego z aspektów wyznawczej lektury wszystkiego co stworzył „wielki Polak”. Nie jest to jednak odczytanie współczesne, raczej po-wrót do stereotypów jeszcze ubiegłowiecznych. Za-sadniczo, wpisanie twórczości Sienkiewicza w nowe ramy kulturowe, przekształca ją w swoisty „produkt” kultury masowej. Ów proces rozpoczął się jeszcze u schyłku XIX wieku, w momencie wkraczania kolej-nych utworów pisarza (zwłaszcza *Quo vadis*) na listy światowych bestsellerów. Powieści Sienkiewicza za-częły się pojawiać zarówno w przeróbkach (dla mło-dzieży, dla ludu, dla maluczkich), jak i w adaptacjach scenicznych, operowych i „żywych obrazach”. Pojawi-ły się także masowo reprodukcje ilustracji do utwo-rów (Stachewicza, Kossaka, Styki), a także serie pocztówek. Owe przejawy zbiorowego kultu pisarza, który „dobrze się sprzedawał” coraz widoczniej wprowa-dzały go w nowoczesne już obiegi. Równocześnie hi-storyczna strona jego twórczości ulega wyraźnemu „spłaszczeniu” i prymitywizacji. Zasadniczego przeło-mu dokonało kino. Od tego momentu rozpoczyna się zmiana w odbiorze pisarza; coraz częściej staje się on „oglądany”, nie „czytany”.

Biorąc pod uwagę czynnik czasu, osłabienie funkcji książki i jej oddziaływania w współczesnej kulturze masowej, obecność Sienkiewicza w kinie należy uznać za symptom czasu. Jest to jednak czyn-nik wyraźnie redukujący dotychczasowy wpływ pi-

sarza na świadomość narodową. Sienkiewicz bo-wiem, jak mało który twórca, jest także pisarzem słowa. Wymagającym nie tylko spontanicznego, lecz także uważnego, krytycznego odczytania. Ujęcia fil-mowe zaś widoczniej sprzyjają stereotypizacji. Być może w przyszłości pojawiają się dwa spojrzenia na autora Trylogii: wizualne – dostępne rzeszom wi-dzów kinowych oraz lekturowe i bardziej „elitarne”.

Tadeusz Bujnicki

¹ Szwedzka Akademia Umiejętności o Sienkiewiczu, „Wędro-wiec” 1905, nr 52.

² „Słowo” 1905, nr 318.

³ Na ten temat zob. J. Jedlicki, *Jakiej cywilizacji Polacy potrze-bują*, Warszawa 1988, s. 39.

⁴ K. Wyka, *Sprawa Sienkiewicza*, w: *Szkice literackie i arty-styczne*, t. I, Kraków 1956, s. 122–123.

⁵ Zob. A. Jaszczuk, *Spór pozytywistów z konserwatystami o przyszłość Polski 1870–1903*, Warszawa 1986, s. 8–17.

⁶ M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, Warszawa 1986, s. 59.

⁷ H. Sienkiewicz, *Mieszaniny literacko-artystyczne*, *Dzieła* 50, Warszawa 1950, s. 190.

⁸ S. Tarnowski, *Z najnowszych powieści polskich*, II. Henryka Sienkiewicza „Ogień i mieczem” Cyt. za: S. Tarnowski, *O literatu-rze polskiej XIX wieku*, Warszawa 1977, s. 738.

⁹ B. Prus, „Ogień i mieczem” – powieść z dawnych lat Hen-ryka Sienkiewicza. Cyt. za: Trylogia Henryka Sienkiewicza. *Stu-dia, szkice, polemiki*, Warszawa 1962, s. 182–183.

¹⁰ Z. Kałużyński, *Kozacy i aniołowie*, „Polityka” 1996, nr 5, s. 52.

¹¹ W. A. Serczyk, *Jak zdobyto (i utracono) Dzikie Wschód. Kozak wszystko umiał*, „Polityka” 1996, nr 9, s. 69.

¹² P. Tyma, „Ogień i mieczem” w ukraińskich oczach. *Zaproszenie do dialogu*, „Tygodnik Powszechny” 1999, nr 10.

¹³ B. Prus, „Ogień i mieczem” (...), *Trylogia Henryka Sien-kiewicza*, s. 182.

¹⁴ W. Tomkiewicz, *Wartości historyczne „Ogień i mieczem”*, „Przegląd Powszechny” 1934, t. 204.

¹⁵ W. Czapliński, *Głos do Trylogii*, Wrocław 1974.

¹⁶ S. Uliasz, *Literatura kresów – kresy literatury*, Rzeszów 1994, s. 53.

¹⁷ Pisał Sienkiewicz w liście.

¹⁸ Np. Prus, Matuszewski.

¹⁹ Zob. S. Tarnowski, *Z najnowszych powieści polskich*, II. Henryka Sienkiewicza „Ogień i mieczem”, w: S. Tarnowski, *O literaturze polskiej XIX wieku*, Warszawa 1977, s. 716.

²⁰ W. Gombrowicz, *Sienkiewicz*, w: *Dzieła*, t. 7, Kraków 1986, s. 353.

²¹ Jw., s. 363.

²² F. Nieckula, *Ku nadwątleniu serc*, w: *Głosariusz od staro-żytności do pozytywizmu*, Wrocław 1992, s. 287.

Trylogia po amerykańsku

Kiedy anglista (albo amerykańista) zaczyna kłusować w łowieckich rewirach polonistyki, trudno chyba się dziwić, że pragnie ustrzelić od razu najgrubszego zwierza. I że przymierza się do niego od swojej, anglo-amerykańskiej strony. Skoro Sienkiewicz zastrzelił tyle zwierząt w Ameryce (na pewno odetchnęły one z ulgą, gdy w marcu 1878 r. odplynął wreszcie do Europy), nie powinien mieć pretensji o to, że ktoś chce zapolować na niego po angielsku. Tym bardziej, że takich myśliwych było do tej pory zaskakująco mało — ostatnia książka na ten temat pochodzi z roku 1968 i ukazała się w Rzymie!

Przywołany tu amerykański epizod w życiu Sienkiewicza to na pewno interesujący początek dla wszelkich rozważań nad recepcją autora *Quo vadis* w Ameryce, choć z samą recepcją ma on niewiele wspólnego. Sienkiewicz nie pojechał do Ameryki sprzedawać swoich książek, bo w roku wyjazdu, 1876, jeszcze ich nie napisał. Gdy zaopatrzony w amerykańską wizę wyjeżdżał za Atlantyk przez Londyn i Liverpool, miał na koncie — z ważniejszych utworów — jedynie *Na marne*, *Sielankę*, *Starego sługę* i *Hanię*. Już w kalifornijskim Anaheim kończył „małą trylogię” *Selim Mirzą* — i pisał coraz więcej, bo oprócz „nowel amerykańskich” to właśnie w Kalifornii tworzył *Szkice węglem*. Materiału amerykańskiego (*Za chlebem*, *Latarnik* czy *Sachem*) starczyło mu zresztą aż do *Ogniem i mieczem*. Można by nawet upierać się, że to właśnie pobyt w Ameryce uczynił z dziennikarza — pisarza, ale jest to równie karkołomne przedsięwzięcie, jak widzieć w amerykańskim doświadczeniu Sienkiewicza powód jego zerwania z pozytywizmem na rzecz bardziej konserwatywnych przekonań — tym bardziej, że Sienkiewicza pisma o Ameryce, szczególnie te późniejsze, tchną naiwną chwilami wiarą w *american dream*, utożsamiany przez autora Trylogii z demokracją, egalitaryzmem i kultem męskości.

Ślad amerykański w twórczości Sienkiewicza próbowano od dawna — ale nad Wisłą raczej niż nad Mississippi — tropić w kowbojsko-indiańsko-westernowych elementach Trylogii. Nie bał się tego Krzyżanowski, nie bał się Miłosz w swej *The History of Po-*

lish Literature; Wyka pisze wręcz o „westernowo-amerykańskich zasobach pamięci” autora *Ogniem i mieczem*. W Dzikich Polach widywano prerie, w kresach w ogóle — amerykańską *frontier*, w koniu Kmicica — mądrego mustanga z gór Santa Ana, w Kozakach — Indian; to ostatnie porównanie przebija nawet z ostatniej hoffmanowskiej katastrofy. Sęk w tym, że choć westernowe sceny może i rozgrywały się jeszcze gdzieś w Stanach Zjednoczonych lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, *Listy z podróży o Ameryce* świadczą o czymś zgoła przeciwnym: dla Sienkiewicza jest to kraj całkiem już bezpieczny, bezpieczniejszy może nawet na swych prowincjonalnych „kresach”, gdzie rządzi tak podziwiane przez Sienkiewicza prawo *lynchu*. Rewolwer zabrany za Atlantyk spędził większość podróży w walizce, budząc wesołość amerykańskich znajomych, a napotkani Indianie byli trochę egzotyczni, ale bardziej biedni, stłamszeni, niegroźni. Są oczywiście w historycznych powieściach Sienkiewicza momenty jakby żywcem przeniesione z westernu: wytarzany w smole i pierzu czarny charakter z *Na polu chwały* i oczywiście Czapliński, wyrzucony przez Skrzetuskiego przez drzwi „saloonu” Dopuła. Ale znowu nie są to sceny „z życia wzięte” przez autora.

Można powiedzieć, że „westernizacja” Trylogii jest specjalnością polską. Ten aspekt najpoczytniejszej, jeśli wierzyć popularnym sondażom, powieści polskiego tysiąclecia, lansowany od lat sześćdziesiątych poprzedniego wieku, wygląda raczej na kolejną już próbę przebiccia się z polskim bestsellerem

wszechczasów do czytelnika anglosaskiego. Czy może kolejnego przebicia się, bo przebój ten już raz się na ten rynek przebił. Jeżeli bowiem prezydent Stanów Zjednoczonych mógł pisać, że podczas kampanii wyborczej znajdował pociechę „w nieśmiertelnej Trylogii” i wspominać z nostalgią swych żołnierzy z wojny amerykańsko-hispańskiej jako „godnych Zagłoby i spółki”, to jest to chyba wystarczający dowód na zaistnienie Sienkiewicza w Ameryce nie tylko jako autora *Quo vadis*, której to pozycji prezydent ów, i to nie byle jaki, bo sam Theodore Roosevelt, wcale za najlepszą powieść nie uważał.

Tym bardziej, że Sienkiewicza sprzedawało w USA sprzedawców wielu i dość nieporadnych. Sienkiewicza tłumaczył w Ameryce (i w Anglii, choć znacznie mniej chętnie i ze znacznie mierniejszym skutkiem) kto chciał – jako „Rosjanina” nie chroniła go bowiem żadna konwencja o prawach autorskich (Rosja, czy to carska, czy komunistyczna, z zasady nie podpisywała takich dziwnych traktatów). Konkurencję tę wygrał człowiek bynajmniej nie największego talentu, ale za to największej obrotności i pracowitości, Amerykanin irlandzkiego pochodzenia, Jeremiah Curtin (1835–1906), wedle słów Sienkiewicza „najstraszniejsza i największa piła, jaką wyobrazić sobie może fantazja dziewięciu poetów”. „Piła” wymusił na Sienkiewiczu pisemne oświadczenie, że „nikt nie jest upoważniony do przekładania moich dzieł na angielski, oprócz Jeremiasza Curtina”. „Jeremiasz” zawdzięcza więc Sienkiewiczowi sławę i przede wszystkim fortunę; nie da się jednak ukryć, że to właśnie dzięki bardzo niedoskonałemu tłumaczowi, jakim był Curtin, polska literatura ustanowiła pierwszy i do tej pory przez żadnego polskiego pisarza nie pobity rekord popularności za granicą – i więcej, że to głównie dzięki niemu jakikolwiek polski autor zaistniał w świadomości popularnego czytelnika anglojęzycznego. Liczne fragmenty z listów do przyjaciół świadczą o tym, iż Sienkiewicz doskonale zdawał sobie z tego sprawę i zapewne właśnie dlatego pomagał jak mógł temu „człowiekowi użytecznemu”.

To pewnie, że swą popularność w USA zawdzięcza Trylogia również *Quo vadis*; Curtin nie miał powodu cieszyć się ze sprzedaży swych *With Fire and*

Sword (1890), *The Deluge* (1891) i *Pan Michael* (1893). To wszechogarniająca amerykańska mania *Quo vadis* (książki, która Rooseveltowi szczególnie do gustu nie przypadła), trwająca przez kilka lat od pierwszego wydania angielskiego z r. 1896 i przypominająca rozmiarami chyba tylko *Harry'ego Pottera*, pociągnęła za sobą wszystko inne i stała się powodem głośniego skandalu z *Teutonic Knights*, gdy jeden z konkurentów Curtina wydał *Krzyżaków* po angielsku na trzy lata przed ukazaniem się oryginału – a że ten był jeszcze nie skończony, piracka wersja kończyła się na śmierci Danusi!

Jednak już wtedy, w czasach nie tak przecież odległych od ostatnich wojen indiańskich, mało kto w Ameryce kupował Trylogię dlatego, że przypominała mu opowieści z Dzikiego Zachodu. Pierwsze amerykańskie porównania bieżyły w innym kierunku: ku Homerowi i Walterowi Scottowi, ku romansom rycerskiemu, a więc nie tyle do gatunku westernowego, co do jego wspólnych z Trylogią korzeni. Porównania z historyjkami o kowbojach, jeśli były, zdarzały się prawie wyłącznie w prasie polonijnej.

Co ciekawe, tę samą prawidłowość można było zauważyć przy próbie reintrodukcji (wracając na chwilę do żargonu łowiecko-zoologicznego z pierwszego akapitu niniejszego tekstu) Sienkiewicza dokonanej pod koniec XX w. przez zmarłego na sam koniec wieku Wiesława Stanisława Kuniczaka. Ten urodzony we Lwowie polski emigrant i amerykański pisarz przeciwstawił prymitywnej często dosłowności przekładu Curtina konsekwentne „unowocześnienie” Trylogii w świadomej próbie nie przekładu co jej adaptacji do gustów współczesnego czytelnika amerykańskiego. Powstał twór dziwny: jego *With Fire and Sword* jest o 70% słów dłuższe od oryginału, mimo doszczętniej amputacji epilogu (tego zabiegu dokonał zapewne po to, by nie razić czytelnika krwawym opisem batalistycznym Beresteczka). Zwiększenie objętości książki jest przede wszystkim wynikiem daleko posuniętego nad tłumaczenia: tam na przykład, gdzie Sienkiewicz opisuje jednym zdaniem krajobraz Dzikich Pól, Kuniczak dogrywa jednoakapitową wariację na temat *Stepów akermanskich*; co Sienkiewicz pozostawia wyobraźni lub wiedzy czytel-

nika, Kuniczak woli na wszelki wypadek powiedzieć prosto z mostu, najlepiej kilka razy, by na pewno dotarło. Ci z amerykańskich slawistów (w Ameryce polonistyka nie istnieje jako osobny dział filologii), którzy nie poparli swymi autorytetami tej próby, narzekali, że za mało w tym wszystkim Sienkiewicza a za dużo Kuniczaka. Najbardziej zaś ucieszyli się komparatyści, bo diametralnie różne a konkurencyjne przekłady Curtina i Kuniczaka stały się dla nich niewyczerpanym źródłem materiału porównawczego. A recenzenci gazetowi i internetowi dalej swoje: jeśli polonusi, to western, jeśli nie, to romans rycerski.

Albo jego najnowsza odmiana. Amerykańscy studenci renomowanego amerykańskiego uniwersytetu, przed którymi piszący te słowa stają od czasu do czasu dzięki hojności Fundacji Kościuszkowskiej, by oprócz wszędzie pożądanej Szymborskiej raczyć ich innymi jeszcze polskimi noblistami, orzekają natychmiast, niezmiennie, zgodnie, niektórzy wręcz z zachwytem, że *Ogniem i mieczem* – które przeczytali w wersji dwudziestowiecznej – to czysty, żywy Tolkien. Tolkien, czyli *fantasy*. Nie western, bo obecni amerykańscy dwudziestolatkowie nie oglądają filmów z Johnem Wayne, i z gatunkiem tym kojarzy im się co najwyżej *Tańczący z wilkami*. Bo jakże: silni mężczyźni z mieczami na koniach, dzikie, bezkresne stepy, Tatarzy jak orkowie, wszystko zaś umiejscowione w krainach tak odległych historycznie i geograficznie, że nierzeczywistych (cóż z tego, że piękna mapa na wewnętrznej okładce – u Tolkienu są jeszcze lepsze!). A jeszcze ten początek: „Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia. Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprowadzono więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki”. Czysta fantazja! A że rok 1647, kiedy zaraz wybuchnie powstanie Chmielnickiego? Równie dobrze

mógłby to być rok 3019 w kalendarzu Śródziemia i zaraz rozstrzygną się losy Wojny o Pierścienie. Warszawa? Współczesny czytelnik amerykański na pewno częściej słyszał nazwę Gondoru – szczególnie przy obecnej manii z adaptacją filmową Tolkienu.

Czy zatem za niespełna rok, gdy Gandalf z Frodem znów pojawią się na ekranach całego świata, by dokończyć swych zmagnię z Sauronem, należy pod każdym amerykańskim kinem umieścić stoisko z Trylogią (Sienkiewicza)? Może tak, bo różni wydawcy w Ameryce z uporem godnym kolejnej sienkiewiczowskiej manii nie przestają wypuszczać na rynek tłustych tomiszcz w barwnych obwolutach z polskim nazwiskiem (czasem pisanym „Henry K. Sienkiewicz!”). Na tylnej okładce zachęcają do czytania tej „masywnej książki”, „epickiej prozy”, „wspaniałego połączenia historii i wyobraźni”, „nieprzerwanej akcji i przygody”, „opisującej dzieje miłości kobiety i mężczyzny, rozłączonych przez wojnę i chaos”. Czy znajdują czytelników? Trochę znajdują, co widać w najlepszym z dostępnych materiale o współczesnej recepcji popularnej – działach opinii czytelnicznych księgarni internetowych. Nawet po wyłączeniu wszystkich o polskich lub polsko brzmiących nazwiskach, zostaje jeszcze dość innych. A ci inni piszą tak (tu tylko kilka przykładów wypowiedzi o *Ogniem i mieczem*): „Książka trochę przegadana, ale dobrze się czyta, choć znacznie gorsza niż *Taras Bulba* Gogola”, „Mimo że jestem pochodzenia ukraińskiego, podoba mi się ta książka; piękna mitologia, świetne opisy, postacie zapadające w pamięć”, „Najlepsza powieść wszechczasów. Lepiej się za nią nie zabierać, jeśli nie ma się dużo wolnego czasu. Jeżeli tylko ktoś przebrnie przez przydługi wstęp, przeczyta ją od deski do deski”, „Są książki, które sprawiają, że ich czytelnik czuje się częścią jakiegoś uprzywilejowanego kręgu. *Ogniem i mieczem* to jedna z nich”, „Podniecająca opowieść, pełna życia i namietności. Chwyta za serce już na początku i nie puszcza. Jak to się stało, że jest tak mało znana w Ameryce?! Może gdyby za adaptację filmową zabrał się Peter Jackson...” Peter Jackson, producent filmowej adaptacji *Władcy pierścieni*. No właśnie!

Jan Rybicki

Kiedy historia przyspiesza...

Stanisław Vincenz, prozaik, eseista i tłumacz urodził się w roku 1888, zmarł w 1971. Daty te wyznaczają określoną sumę doświadczeń życiowych i intelektualnych. Jego główne dzieło, tetralogia „Na wysokiej połoninie” obejmuje ponad dwa tysiące stron druku. Łączy w sobie różnorodne formy gatunkowe – od eseju etnograficznego czy, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, antropologicznego – po tomy o charakterze wyraźnie powieściowym

Cykl wydawany w latach 1936–1979 powstawał zatem na przestrzeni kilkudziesięciu lat, z wyrazną cezurą wojenno-okupacyjną, która nie tylko stanowi przyczynę luki w procesie twórczym ale, przede wszystkim, zmieniając wiedzę autorską, zmienia perspektywę budowania wnętrza pisanego dzieła i charakter kolejnych tomów, dzieląc historię na przed i po wojnie, świat zaś – na Polskę przedwojenną i kraje emigracji. I chociaż fabularna rama cyklu prezentującego ludzi i kulturę huculczyzny obejmuje okres od wieku XVIII, aż po lata siedemdziesiąte XIX stulecia, to zmiana jakościowa punktu widzenia, spowodowana doświadczeniami lat wojennych, staje się widocznym wyznacznikiem ideologii dzieła.

O ile tom pierwszy stanowił rozległą prezentację przeszłości huculczyzny, jej rodów i bohaterów, obyczajów i instytucji, świata materialnego i duchowego, mieszczącego się pomiędzy religią a sakralizacyjnym „oswajaniem” przyrody, o tyle tomy następne są już fabularnym budowaniem wiedzy o tej minionej kulturze. Nowość w ujmowaniu jej historyczności polega na tym, że przedstawiony świat zostaje sprowadzony do przeszłości zamkniętej na zawsze, zakończonej katastrofą i zamienionej w rzeczywistość coraz bardziej się oddalającą, coraz mniej wyrazną, zderacjonalizowaną, której historia może zostać przywołana właściwie jedynie w postaci mitu.

Vincenz nie próbuje, śladem powieści historycznej, dokonywać rekonstrukcji faktów, nie dąży do odtwarzania – choćby fikcjonalnego – jednostko-

wych i zbiorowych działań, składających się na historię. Nie usiłuje być epickim historiografem huculczyzny. Jest natomiast kimś w rodzaju antropologa-prozaika, zainteresowanego przede wszystkim człowiekiem i kulturą. Taki człowiek stanowi cel tych pisarskich dociekań, autor zaś próbuje dorzeć do tego celu przez fabularyzowaną diagnozę etnograficzną, zagęszczenie wybranych wątków z materiału folklorystycznego, z legend i podań (zob. np. powieściowy opis prac przy wielkim wyrębie pierwotnej puszczy), i przez przyporządkowanie im światopoglądowych uzasadnień. Wszystko to, tak czy inaczej, pozostaje treścią historii, dlatego też historia musi być obecna w polu pisarskich dociekań.

Zawieszenie tetralogii *Na wysokiej połoninie* między eposem a powieścią oznacza idealizację świata pasterskiego, której źródłem jest trwanie poza historią

Ale jaka jest to historia? Jak powiedzieliśmy już, nie jako proces, również nie jako działanie teleologiczne. Wyimki historii, bo te właśnie stają się tematem narracji, mają odsłaniać nie ciągłość procesów historycznych, lecz ich decydujące momenty: rozpad pierwotnych form wspólnoty pasterskiej, różnicowanie ekonomiczne tożsame z socjalnym rozwiązaniem. To niejako od wewnątrz społeczności. Czynniki zewnętrzne pojawiają się, zdaniem Vincenza, w momencie upadku Rzeczypospolitej. Państwo

do tej pory niemal nieingerujące w życie odległych terytoriów górskich, zostaje zastąpione przez organizację silniejszą, sprężystą administrowaną, a co za tym idzie – opresywną w sposób bardziej skuteczny, niż np. usiłowania magnatów. Lud, egzystujący do tej pory jeśli nie wręcz *poza* historią, to na jej marginesach, zostaje schwytyany w gęstą sieć regul państwowej biurokracji, egzekwowanych przepisów, powinności i sankcji, przymusu policyjnego, nade wszystko zaś obowiązku wojskowego, spełnianego w dodatku poza obszarem ojczystych Karpat, w dalekich a nowoczesnych krainach monarchii austro-węgierskiej.

Kolejny w ujęciu Vincenzowskim moment przemowlowy ma miejsce wtedy, gdy idylliczna kraina ulega merkantylizacji, pojawia się towar, jako zbędny w istocie obiekt pożądania oraz pieniądź, konieczny do jego osiągnięcia. Żeby posiadać pieniądze należy wykonać pracę, która przestaje służyć zaspokojeniu niezbędnych potrzeb, a przemienia się w składową systemu kapitalistycznego, nastawionego na wyzysk, choć bez wyraźnego określenia autorskiego, komu to mianowicie odbiera się wartość dodatkową, kto przechwytyuje zysk i kumuluje kapitał. Owszem, proces ten pokazany z oddalenia i odniesiony do „Europejczyków” ma charakter negatywny, ale już w życiu Huculów nabiera cech szlachetnie altruistycznych – służyć ma ogółowi, zapobiec klęsce głodu.

Ta marksowska terminologia klasycznej, dziewiętnastowiecznej myśli ekonomicznej pojawia się nie bez kozery. Autor bowiem, tęskniący do świata idealnego (idealizujący w pewnym zakresie realny świat historyczny) ma świadomość bezwzględnego końca kultury pasterskiej, do tego stopnia archaicznej, że rudymenarnego wzorca dla niej poszukuje w Grecji homerowej, a odniesienia dostrzega np. w wątkach religii Indii. Idealizacja ta, z której pisarz zdaje sobie doskonale sprawę, służy podkreśleniu egzemplarycznej funkcji przedstawienia. Rzeczywistość nie była idealna, wręcz przeciwnie. Jednak z chwilą, gdy w miejsce *historii* podstawiamy *mit* (w trylogii Tomasza Manna *mit* będzie zastępnikiem historycznego prawdopodobieństwa), dokonujemy operacji wartościującej po to, żeby, po pierwsze,

stworzyć wyjaśnienie, po drugie – wzorzec postępowania w procesie dziejowym. Czy jakiegokolwiek możliwości wpływania literatury na rzeczywistość istnieje?...? Sam autor zdaje sobie sprawę z tego ograniczenia, nie rezygnując wszakże z walki o moralne doskonalenie jednostek. Jest to dla niego obowiązek, w którym zawiera się sens pisania.

Dychotomia *mit*–*historia* narzuca swoiste reguły dyskursu. Zawieszenie tetralogii *Na wysokiej połoninie* (na co zwracała uwagę krytyka) między eposem a powieścią oznacza idealizację świata pasterskiego, której źródłem jest trwanie *poza* historią. Dostrzeżenie zmiany bierze się z dawno dokonanego odkrycia, że cywilizacje miasta i wsi biegną nie tylko w odmiennym rytmie, ale i z różną szybkością – co przesądza o ich odmiennej historii. I nie jest rzeczą przypadku, że w momencie, w którym Vincenz podejmuje wątek rodzącej się, a raczej importowanej industrializacji, formowania obiegu towarowo-pieniężnego, jednym słowem – powstawania kapitalizmu, materię eposu zastępują struktury powieściowe przypominające w niejednym dziele osiemnastowieczne (Daniela Defoe), będące odpowiednikiem cywilizacyjnej nowoczesności. Zagadnienie literackiego opisu, rozumianego jako zagadnienie poznania, determinuje formę. Stabilność i – pozorna – ponadczasowość *mitu* narzucają wariant epicki. Proces przemian, na które składają się drobne wstrząsy i wielkie katastrofy domaga się formy powieściowej.

Ten drugi świat, historyczny, konotowany w powieści wypiera, czy wręcz unicestwia mityczny świat eposu. Ta katastrofa nie zostanie nigdzie ukazana wprost (może raz, w symbolicznej formie lawiny, ale zauważmy, że jest ona czymś naturalnym, choć wywołanym przez działalność człowieka dewastującego przyrodę). Zapowiadana jest jednakże w tradycyjnym języku biblijnym. Armagedon oznacza pożar świata, jego zagładę, jego figurą będzie w utworze

Vincenz nie próbuje, śladem powieści historycznej, dokonywać rekonstrukcji faktów, nie dąży do odtwarzania — choćby fikcjonalnego — jednostkowych i zbiorowych działań, składających się na historię. Nie usiłuje być epickim historiografem huculszczyny. Jest natomiast kimś w rodzaju antropologa-prozaika, zainteresowanego przede wszystkim człowiekiem i kulturą

Wyimki historii, bo te właśnie stają się tematem narracji, mają odsłaniać nie ciągłość procesów historycznych, lecz ich decydujące momenty: rozpad pierwotnych form wspólnoty pasterskiej, różnicowanie ekonomiczne tożsamy z socjalnym rozwarstwieniem

lokomotywa. Vincenz nie chce, nie odważy się doprowadzić dziejów huculczyzny do pierwszej wojny światowej, nie mówiąc o drugiej. To, dla opowieści karpackiej, nie *ta* historia, to całkowicie odmieniny wątek dziejów. Jednakże wszystko to, co się w epoce totalitarnej dokonało, daje znać o sobie, choćby w konstruowaniu wątków żydowskich. Apologia chasydyzmu, który na tych ziemiach powstał i losy bohaterów chasydzkich przypowieści zostały napisane w zupełnie czytelnym cieniu Holocaustu. Tu, między innymi, mit w najściślejszym sensie zostaje połączony z historią przedstawioną w tekście, choć jego sens staje się wówczas zrozumiały, gdy nastąpi odwołanie do historii nieobecnej bezpośrednio w cyklu, przekraczającej jego chronologię, ale zarazem w sposób oczywisty interpretującej „wstecz” jej znaczenie.

Ostatecznie Vincenzowski stosunek mitu do historii, w tym przynajmniej dzieła, wygląda następująco: świat huculski, idealna cywilizacja archaicznej kultury pasterskiej stała się oto platońską Atlantyda. Symbolika ta nie wymaga komentarza. Składnikiem historii (nie teologii!) jest Armagedon, apokaliptyczna przyczyna zagłady Atlantydy, o tyle nietypową, że będąca całkowicie ludzkim dziełem. To tutaj, gdy mowa jest o zagładzie Atlantydy, mówi się w istocie o drugiej wojnie światowej, będącej węzłem hitlerizmu i stalinizmu. W takiej strukturze dziejowej jest jednak również miejsce na odrodzenie. Apokatastaza, przywrócenie stanu pierwotnego – nie dosłowne, ale w jakiejś nowej, możliwie doskonałej postaci – być może stanie się faktem, a zatem stanie się historią. W taki sposób nastąpi powrót do, jak określa apokatastazę Arystoteles, stanu naturalnego bytu. Sprzeczność pomiędzy idealnością mitu, a realnością historii zostanie zniesiona. Obecne

w tzw. literaturze kresów pragnienia w większości przypadków dałoby się sprowadzić do tęsknoty za przeszłością. Jej mityzacja pełni jednak zazwyczaj funkcje wyłącznie idealizacyjne, chciałoby się rzec – dekoracyjne. Natomiast Vincenz, który filozofię Hegla uczynił tematem swej rozprawy doktorskiej, proponuje model dialektyczny, interpretujący i ujawniający sensy historii.

Pytanie, czy ta diagnoza dziejów jest prawdziwa, ściślej – na ile jest prawdziwa, byłoby złe postawione. Mamy tu przecież do czynienia z literaturą, nie historiografią, czy nawet historiozofią. Naczelną zaś funkcją literatury staje się, w ostatecznej instancji, przeciwstawienie pamięci – zagładowi. Jak pisał w szkicu pod charakterystycznym tytułem *Rzeczywistość urojona?*:

Z chwilą, gdy w miejsce historii podstawiamy mit (w trylogii Tomasza Manna mit będzie zastępnikiem historycznego prawdopodobieństwa), dokonujemy operacji wartościującej po to, żeby, po pierwsze, stworzyć wyjaśnienie, po drugie – wzorcowe postępowania w procesie dziejowym

„Zwyciężają ci, którzy (...) pozostawiają *reinen Tisch*, czyli nie zostawiają dostępu dla wspomnień.(...) Jakub Burckhard uważa, że piramidy z czaszek stawiane niegdyś w Bagdadzie przez Tamerlana pozostawiły w tych krajach wspomnienia takie, że nikt nie potrafi tam wierzyć w najzwyczajniejsze ludzkie cnoty i odruchy”.

Rzeczą literatury jest ocalenie owych ludzkich cnót i odruchów metodą przeciwstawienia mitu – historii, pamięci – zagładowi. Rolą naczelną tak pojmowanego pisarstwa nie jest opis, lecz diagnoza, a ściślej rzecz ujmując nauka z opisu historii dająca się wyprowadzić. Pozornie to niewiele, a jednak nie tylko ten, niezasłużenie mało znany pisarz postępuje w ten sposób. By nie być gołosłownym, wystarczy przywołać jako jeden tylko przykład – kompozycję *Doktora Faustusa* w jej warstwie historycznej.

Włodzimierz Próchnicki

Biblia Wujka w języku i kulturze polskiej

Zmarły przed kilkunastu laty wybitny historyk i teoretyk literatury polskiej profesor Konrad Górski, analizując warsztat pisarski księdza Jakuba Wujka, nie zawahał się umieścić jego talentu obok takich wielkości XVI wieku, jak Jan Kochanowski, ks. Piotr Skarga, Marcin Kromer, czy też Stanisław Orzechowski. Studium Górskiego „Jakub Wujek jako pisarz” ukazywało księdza Wujka przede wszystkim w kontekście jego dorobku kaznodziejskiego, zwłaszcza „Postylli mniejszej”. Trudno nie pamiętać także o nieprzeciętnej aktywności polemiczno-dogmatycznej Jezuity z Wągrowca. Nie te jednak zasługi, jakkolwiek znaczące, czynią jego spuściznę najważniejszą. Dziełem pomnikowym, rzec by można opus magnum życia i działalności Jakuba Wujka pozostanie tłumaczenie na język polski Pisma Świętego, dzieła, któremu teolog poświęcił większą część swojego, niezbyt długiego, życia (1541–1597)

POLSKI „PÓŁ-CICERON” WOBEC WYZWAŃ EPOKI

Zadanie, jakiego podjął się Jezuita z Wągrowca było niebagatelnej wagi. Szło bowiem nie tylko o zmierzenie się z trudną materią słowa natchnionego i oddanie go w języku o zgoła odmiennych uwarunkowaniach gramatycznych, mentalnych oraz kulturowych, ale przede wszystkim o wyjście naprzeciw potrzebie Kościoła katolickiego, który po wystąpieniu Marcina Lutra (1517) i niemałych sukcesach reformacji tak w wymiarze europejskim, jak też rodzimym, stanął wobec bardzo trudnych wyzwań. W tej atmosferze „gorączki religijnej” epoki, w której, zgodnie z protestanckim *credo* zawartym w formule *sola Scriptura*, przekład i wykład Pisma Świętego stawał się szczególnym orężem w walce międzywyznaniowej, powierzono ks. Wujkowi, jako najlepiej przygotowanemu, tłumaczenie kanonu biblijnego na język ojczysty.

Pozornie wydawać by się mogło, że zadanie tłumacz miał ułatwione chociażby poprzez dokonania swoich poprzedników. Kończące się stulecie, nie darmo zwane złotym wiekiem polskiej Biblii, przyniosło bowiem szczególnie bogaty dorobek translatorski. Znaczące osiągnięcia stały się tu udziałem przede wszystkim obozów protestanckich, które

w XVI wieku zdobyły się na dwa pełne przekłady Biblii (*Biblia brzeska*, *nieświeska*) oraz kilka tłumaczeń Nowego Testamentu (Szymona Budnego, Marcina Czechowica, Stanisława Murzynowskiego, Jana Sandeckiego-Maleckiego) i Psalterza (Jakuba Lubelczyka, Pawła Milejewskiego, Macieja Rybińskiego). O wiele skromniej na tym tle prezentowały się dokonania katolików. Konkurencji tej nie stwarzała średniowieczna w znacznym stopniu jeszcze i niewolniczo naśladowująca wzorce czeskie *Biblia królowej Zofii*. Z kolei wydana w Krakowie u Scharffenbergera *Biblia Leopoldy* (1561) zdecydowanie ustępowała tak pod względem wierności, jak i „gładkości słowa” dwa lata młodszej kalwińskiej *Biblii brzeskiej*. W świetle tej statystyki obóz katolicki znalazł się wyraźnie w defensywie. Zadanie Wujka polegało więc nie tylko na przywróceniu mocno zachwianych proporcji ilościowych, ale przede wszystkim na daniu przekładu, który mógłby sprostać wyzwaniom postawionym przez protestantów, a w szczególności odznaczającej się niemałymi walorami językowymi *Biblii brzeskiej*, które i sam Wujek doceniał, dając temu wyraz w przedmowie do własnego tłumaczenia Nowego Testamentu.

Zgodnie z wymogami należytej procedury, uprzednio zaprotęgowany do generała jezuitów

Claudia Aquaviva przez swojego przełożonego Marcina Laternę jako polski „pół-Ciceron”, około roku 1584 otrzymał Wujek zgodę na przekład i z przyrodzonym sobie zapalem i energią niezwłocznie przystąpił do pracy. Nie był to jednak okres, w którym Wujek mógłby wyłącznie poświęcić się pracy przekładowej. Czas ten zmuszony był dzielić między powtórna misją obrony wiary katolickiej przed innowiercami w Siedmiogrodzie, dokąd wysłany został na wyraźne życzenie samego króla Stefana Batorego, a następnie zadaniami przełożonego domu św. Barbary w Krakowie. Praca nad przekładem trwała więc etapami i pierwszy swój „sноп żniwa” przyniosła w postaci ksiąg Nowego Testamentu, wydane w Krakowie w roku 1593.

ARS TRANSLATORIA, CZYLI O TAJEMNICACH WARSZTATU PRZEKŁADOWEGO WUJKA

Edycja ta inicjowała dzieło, do którego w sposób nadzwyczaj sugestywnie wydaje się odnosić łacińska maksyma *habent sua fata libelli*. Ukazanie się przekładu Nowego Testamentu, a w rok później Psalterza okazało się bowiem początkiem niemałych trudności tłumacza, którego efekty pracy stały się obiektem krytyki głównie ze strony przełożonego zakonu ks. Stanisława Grodzickiego. Zdaniem Grodzickiego Wujek dawał pierwszeństwo sensowi nad dosłownością, zbyt wiele uwagi poświęcając wytworności stylu i pięknu słowa. W istocie metoda pracy Wujkowej, dająca prymat *Wulgacie*, ale nie pomijająca także tekstu hebrajskiego i greckiego, trzymała się Hieronimowej zasady *non verbo a verbo, sed sensum exprimere sensu* (nie słowo w słowo, lecz by sens odpowiadał sensowi), którą ten przejął od Cicerona i Horacego. Wzorce te sytuowały więc tłumacza wśród spadkobierców najlepszych tradycji w dziedzinie sztuki przekładowej. Tajemnice warsztatu przekładowego Wujka odsłaniają przede wszystkim osobne wydania Nowego Testamentu i Psalterza, jakie ukazały się jeszcze za życia tłumacza. Jak zauważają badacze (Danuta Bieńkowska, ks. Jan Gołąb, Maria Kossowska, Joanna Sóbczykowa) na kartach Wujkowego przekładu widoczny jest stały trud poszukiwania kompromisu

Szło nie tylko o zmierzenie się z trudną materią słowa natchnionego i oddanie go w języku o zgola odmiennych uwarunkowaniach gramatycznych, mentalnych oraz kulturowych, ale przede wszystkim o wyjście naprzeciw potrzebom Kościoła katolickiego. Przekład i wykład Pisma Świętego stawał się szczególnym orężem w walce międzywyznaniowej

między nakazem wierności względem języka oryginału, a możliwościami i normą języka przekładu. W tym drugim przypadku oznaczało to przede wszystkim sięganie po bogactwo synonimiki polszczyzny końca XVI wieku, uszanowanie jego normy składniowej, tak by przekład był „gładko po polsku uczyniony” (sformułowanie ze wstępu do Nowego Testamentu). Liczne komentarze kładzione na marginesie i po tekście stanowiły niewątpliwie świadectwo nie tylko należącego przygotowania teologicznego, ale też wielkiego wyczucia filologicznego wobec języka przekładu, który pod koniec XVI wieku przeżywał swoje renesansowe ubogacenie. Dla tłumacza wrażliwego na walory językowe polszczyzny tego okresu oznaczało to z jednej strony o wiele większą swobodę przekładową, niż dane to było tłumaczom wcześniejszym, ale też swoisty dramat wyboru, o którym, próbujący kilka lat przed Wujkiem jakże udanie swych sił na niwie tłumaczenia Psalterza, Jan Kochanowski napisze w liście do swego przyjaciela Stanisława Fogelwедера, iż w pracy przekładowej dwie boginie się mu ukazują: *Necessitas* i *Poetica*, „jedna kliny i haki niosąca”, a druga „niby czarem tchnąca”¹. Ks. Wujek najwyraźniej szukał pogodzenia obydwu bogiń, co pozo- rnie mogło stwarzać wrażenie zbytnej swobody przekładu i budzić zrozumiałe po części w tym okresie obawy. Mimo trudności oraz interwencji ze strony przełożonych, Wujek kontynuował prace nad przekładem dalszych ksiąg Starego Testamentu, doprowadzając swoje zamierzenie do końca w roku 1596. Opinii o tej części swojej pracy oraz wydania całości przekładu jednak ks. Wujek już nie doczekał. Zmarł w Krakowie 27 lipca 1597.

PERYPETIE Z CENZURĄ I PÓŹNIEJSZE LOSY WUJKOWEGO PRZEKŁADU

Zaledwie w kilka tygodni po śmierci kongregacja prowincji zakonu jezuitów nakazała poddać całość przekładu rewizji, powołując w tym celu tzw. Komisję Pięciu z ks. Grodzickim na czele. Wydany w dwa lata po śmierci Wujka pełny tekst Biblii w jego tłumaczeniu nosi na sobie znamiona owych ingerencji cenzorskich. Wobec braku autorskich wersji ksiąg Starego Testamentu wydany za życia tłumacza Nowy Testament oraz Psalterz stwarzają możliwość oceny skali tych zmian. Opinie badaczy są w tym względzie podzielone. Zdaniem jednych ingerencje nie są na tyle znaczące, by przekładowi odmówić miana *Biblii Wujkowej*, inni pracę cenzorów oceniają jako „katastrofę” Wujkowego dzieła, nazywając tę edycję „Biblią niby-Wujkową”. W oparciu o miarodajne wyniki badań (Danuta Bieńkowska, ks. Janusz Frankowski, ks. Konrad Gąsiorowski, ks. Jan Gołąb, Maria Kossowska) można dziś stwierdzić, iż zmiany wniesione przez cenzorów były poważne i w różnej skali dotknęły tekst autorski. Polegały głównie na uzgodnieniu przekładu Wujka z *Wulgatą*, tzw. Klementyńską z 1592 r., która na mocy postanowień Soboru Trydenckiego zyskała rangę tekstu kanonicznego — *editio authentica*.

Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak stwierdzić, iż praca Komisji Pięciu czyniła tekst lepszym tam, gdzie raził on w imię „większej wyrozumiałości” pewną potocznością (liczne emfazy), czy też nadmiernie odbierał cechy poetyckości tym księgom, które, jak Psalterz, z natury swej te cechy posiadały. Zauważyć także należy, iż powrót w wydaniu pośmiertnym do większej wierności względem *Wulgaty* sprawił, iż „ocaleniu” uległo szereg konstrukcji, które tą drogą zasiłiły później korpus utartych frazeologizmów polszczyzny, a których proveniencja biblijna przybrana została w leksykalno-składniową szatę łacińską. Z tego bowiem tekstu początek swój biorą zwroty i syntagmy zadowinione na trwałe niczym skrzydlate słowa, czy też *loci communes* polszczyzny tak literackiej, jak i potocznej: *szata godowa*, *pokarm duchowy*, *znaki czasu*, *czynić postu-*

gę, stanąć na nogi, *nie mieć gdzie głowy skłonić*, *czas się wypełnił*, *chwała na wysokości Bogu*, *a na ziemi pokój ludziom dobrej woli*.

Łacińską proveniencję mają także syntaktyczne cechy uważane za typowe wyznaczniki stylowe polszczyzny biblijnej, a które z pieczołowitością zachowuje pośmiertne wydanie *Biblii Wujka*, jak postpozycyjny szyk przydawki przymiotnikowej i zaimkowej, postpozycyjno-finalna pozycja czasownika w zdaniu, wypowiedzenia złożone z imiesłowowym równoważnikiem zdania.

FENOMEN WIELOWIEKOWEJ OBECNOŚCI BIBLIJ WUJKA

Nolens volens ostatecznie tekstem, który niemal w niezmiennym kształcie językowym przez ponad trzy i pół wieku (366 lat) pełnić będzie rolę tłumaczenia kanonicznego dla katolików polskich, stała się ocenzurowana edycja z roku 1599, w tej roli, *de facto*, zastąpiona dopiero przez współczesną *Biblię Tysiąclecia* (1965). Oznaczać to miało tym samym utrwalanie się cech stylowych polszczyzny biblijnej opartych nie tyle na „właściwościach mowy polskiej”, o których uszanowanie tak usilnie zabiegał Wujek, lecz ich łacińskich, pośrednio także greckich i hebrajskich wzorach.

Zdaniem Grodzickiego Wujek dawał pierwszeństwo sensowi nad dosłownością, zbyt wiele uwagi poświęcając wytworności stylu i pięknu słowa. W istocie metoda pracy Wujkowej, dająca prymat *Wulgacie*, ale nie pomijająca także tekstu hebrajskiego i greckiego, trzymała się Hieronimowej zasady *non verbo a verbo, sed sensum exprimere sensu* (nie słowo w słowo, lecz by sens odpowiadał sensowi), którą ten przejął od Cyncera i Horacego

Fakt owej kilkunwiekowej obecności w kulturze religijnej narodu jednego przekładu uznać należy za swoisty fenomen językowo-kulturowy, niemający praktycznie precedensu w europejskich językach. Źródłem tego stanu rzeczy było z jednej strony malejące w XVII i kolejnych wiekach, wraz z wygaśnię-

ciem ognisk kontrreformacyjnych, zainteresowanie coraz to nowymi próbami przekładu i wykładu Piśma Świętego, z drugiej zaś osiągnięty poziom zadowolenia przez katolików w dziedzinie poszukiwania rodzimego języka godnego tekstu natchnionego. Wreszcie stan ten mógł być także po części wynikiem potraktowania formuły, która w sposób należyty widniała na karcie tytułowej Wujkowego tłumaczenia: „z pozwoleniem stolicy apostolskiej”, jako swoistego imprimatur, nadającego przekładowi rangę kanoniczną, podczas gdy w istocie ta odnosiła się do przyzwolenia ze strony Stolicy Apostolskiej danej Wujkowi przed, a nie po przekładzie.

Paradoksalnie poniekąd ów status edycja z roku 1599 zawdzięczała także obozowi protestantów. Wydany bowiem w roku 1632 w Gdańsku nowy przekład, tym razem z połączonej po zgodzie sandomierskiej (1570) inicjatywy protestantów polskich, jako odpowiedź na tłumaczenie katolickie, zdradza, jak pokazują to prace filologiczne (Maria Kossowska), wyraźne powinowactwa w zakresie warstwy językowej z tekstem Wujka. Przekład gdański, analogicznie do Wujkowego, także zyskał swego rodzaju rangę tłumaczenia kanonicznego, by w tej roli przetrwać praktycznie do czasów współczesnych. Podobieństwo języka obydwu przekładów oraz fenomen ich kilkunastowiecznej obecności legły ostatecznie u źródeł kształtowania się z czasem daleko idącej stylowej odrębności polszczyzny biblijnej, tworzenia się swoistego jej kodu i normy stylizacyjnej.

WZORZEC STYLU BIBLIJNEGO W LITERATURZE POLSKIEJ

Znaczenie przekładu Biblii ks. Jakuba Wujka, czy jak chcą niektórzy niby-Wujka, ma również szerszy niż tylko językowy wymiar. Trwale wartości kulturowe tego tłumaczenia polegają także na wpływie, jaki

Wydany w roku 1632 w Gdańsku nowy przekład, tym razem z połączonej po zgodzie sandomierskiej (1570) inicjatywy protestantów polskich, jako odpowiedź na tłumaczenie katolickie, zdradza, wyraźne powinowactwa w zakresie warstwy językowej z tekstem Wujka

Tekstem, który niemal w niezmiennym kształcie językowym przez ponad trzy i pół wieku (366 lat) pełnić będzie rolę tłumaczenia kanonicznego dla katolików polskich, stała się ocenizowana edycja z roku 1599. Oznaczać to miało tym samym utrwalanie się cech stylowych polszczyzny biblijnej opartych nie tyle na „właściwościach mowy polskiej”, o których uszanowanie tak usilnie zabiegał Wujek, lecz ich łacińskich, pośrednio także greckich i hebrajskich wzorach

przez stulecia wywierał on na literaturę polską. Wśród historyków literatury nie brak stanowisk, które w Wujkowym przekładzie upatrują najbardziej oryginalnego przedsięwzięcia w dziedzinie prozy artystycznej polskiego odrodzenia (Witold Chwalewik). Nie ulega wątpliwości, iż tekst tego tłumaczenia stał się swoistą normą i źródłem stylizacyjnych odwołań, których świadectwo dali najwięksi twórcy literatury polskiej. Jednym z pierwszych był Wespazjan Kochowski, na modłę psalmów kreujący tyleż osobistą co ogólnonarodową wizję historyzoficzną w cyklu zwanym *Psalmidią polską*. W Wujkowym przekładzie szukał należytej miary prozodycznej i paralel mesjanistycznych dla swych *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adam Mickiewicz, a Juliusz Słowacki uczynił go wzorem symboliczno-profetycznego przesłania w poemacie *Anielli*. Wpływ tego tłumaczenia na kształt poetyckiego słowa łatwo zauważalny jest w twórczości Cypriana Kamila Norwida, Stanisława Wyspiańskiego, a także Leopolda Staffa. Wielekroć dostrzegane mistrzostwo w dziedzinie operowania porządkiem składniowym oraz intonacyjno-rytmicznym czyni Wujka pionierem na gruncie polskim w sferze zastosoowania wersetu biblijnego i w rezultacie współtwórcą gatunku prozy rytmicznej.

Osobny wkład wniósł ks. Jakub Wujek na niwie rozwoju polskiej translatoryki biblijnej oraz teorii i praktyki przekładu w ogóle. Widoczne głównie w autorskim przekładzie poszukiwanie nie formalnej odpowiedniości pomiędzy oryginałem a przekładem, lecz jednostek i konstrukcji treściowo i kulturowo równoważnych w obydwu językach, wyprzedzało w pewnym sensie o kilka stuleci metodę trans-

lacji określaną dziś mianem ekwiwalencji dynamicznej (Eugene Nida).

Niezwykle losy Biblii w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka, nade wszystko fenomen kilkuwiekowej obecności i oddziaływania na język i świadomość jego użytkowników, czynią ten przekład niewątpliwie czymś więcej niż tylko świadectwem religijnym, ale jak trafnie ujął to przed laty Stefan Sawicki: „(...) z czasem drogocenną księgą polskości, skarbem kultury narodowej przechowywanym zarówno w zasobnych bibliotekach ludzi wykształconych, jak i w rodzinnych skrzyniach warstw ludowych”³. Dla rodaków opuszczających rodzinne ziemie była *Biblia Wujka* zamkniętą w natchnionym słowie skarbnicą mowy ojczystej, „arką przymierza” z krajem ojczystym. Tę kulturową, czy wręcz narodową wartość Biblii w przekładzie ks. Jakuba Wujka bodaj najbardziej sugestywnie oddaje opowiadanie Henryka Sienkiewicza *Wspomnienie z Maripozy*. Oto narrator, por-

uśmiechnął się i odpowiedział: „Jedną książkę mam w domu: *Biblię Wujka*, którą czytuję co dzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich...”⁴.

Śmiało rzec można, iż opowiadanie to stanowi osobliwy pomnik wdzięczności, jaki pod koniec XIX wieku Pisarz-noblista wystawił Temu, który, dając u schyłku XVI stulecia mowie polskiej Pismo Święte, stworzył podwaliny pod kształtowanie się na najlepszych wzorach polszczyzny literackiej.

Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka od kilku dziesięcioleci nie pełni już funkcji tekstu kanonicznego w Kościele katolickim w Polsce. W tej roli zastąpiona została tłumaczeniami wyrosłymi na kanwie współczesnych osiągnięć nauk biblijnych oraz nowszych technik i teorii translacyjnych. Dla wielu jednak, nie tylko wiernych, Wujkowy przekład sprzed czterech z górą wieków pozostaje nadal tym, w którym polszczyzna natchniona przystroiliła się w najbardziej odświętną i dostojną szatę.

Stanisław Koziara

**Jan Kochanowski napisze, iż w pracy
przekładowej dwie boginie się mu ukazują:
Necessitas i *Poetica*, „jedna kliny i haki
niosąca”, a druga „niby czarem tchnąca”.
Ks. Wujek najwyraźniej szukał pogodzenia
obydwu bogiń**

te-parole pisarza, spotyka w dalekiej Ameryce sędziego emigranta z czasów powstania styczniowego, który zwraca jego uwagę osobliwą polszczyzną, rodem z innej epoki, pełnej archaizmów i zarazem doślejności. Na pytanie, skąd u niego taki język, starzec

¹ Por. List Jana Kochanowskiego do Stanisława Fogelwедера, w: Jan Kochanowski, *Dzieła wszystkie. Wydanie sejmowe*, T. I – cz. 1. Psalterz Dawidów, opr. J. Woronczak, Wrocław 1982, s. 465.

² Por. List Jana Kochanowskiego do Stanisława Fogelwедера, w: Jan Kochanowski, *Dzieła wszystkie. Wydanie sejmowe*, T. I – cz. 1. Psalterz Dawidów, opr. J. Woronczak, Wrocław 1982, s. 465.

³ S. Sawicki, „*Biblia*” *Wujka w kulturze polskiej*, „Studia Gneśnensia” 1975, t. 1, s. 318-319. Przemówienie wygłoszone w roku 1973 w Wągrowcu podczas uroczystości odsłonięcia i poświęcenia pomnika ku czci ks. Jakuba Wujka.

⁴ H. Sienkiewicz, *Wybór nowel i opowiadań*, opr. T. Bujnicki, BN Seria I, nr 231, Wrocław 1988, s. 408.

Świadomość historyczna w perspektywie globalnej

Duże znaczenie dla oceny sensowności jakiegokolwiek popularyzowania (również akademickiego) wiedzy o przeszłości mają jego społeczne efekty. Trafnie zauważył Hans Georg Gadamer, że sprawa ogólnego znaczenia przeszłości niepokoi ludzkość nie tyle jako problem poznania naukowego, lecz głównie jako kwestia własnej świadomości

Świadomość, w kontekście historii, to te elementy wiedzy o dziejach, które są częścią świadomości społecznej człowieka lub grupy społecznej, do której sam się zalicza albo też został do niej zaklasyfikowany. Z tego względu wiedza jaką posiada na temat przeszłości dzieli się na tą, która jest mu narzucona i znajomość jej jest od niego wymagana przy różnych okazjach, ale do której nie przywiązuje on większego znaczenia, i na tą, z którą się on utożsamia i wartościuje ją, a często nadaje jej symboliczne znaczenie. Ten drugi rodzaj wiedzy historycznej, będący podstawowym składnikiem świadomości historycznej, wpływa na postawy i zachowanie człowieka w życiu publicznym¹.

Początki budowania świadomości historycznej to rekonstrukcja przeszłości podawana przez dom rodzinny, instytucje życia społecznego, a także szkolnictwo (od podstawowego po akademickie). Jeżeli się zważy, że kolejni popularyzatorzy opierają się w tym procesie na uznawanym przez nich systemie wartości, a odbiorca zmuszony jest do liczenia się z ich autorytetem, ma więc stosunkowo wąski margines swobody do kształtowania indywidualnej i pozbawionej presji świadomości historycznej, będącej także świadomością podbudowaną metodologicznie. Nie to jednak jest niebezpieczne dla pojmowania przeszłości i jej aktualnego znaczenia. Większe szkody przynosi uleganie modnym, ale nie do końca uzasadnionym orientacjom poznawczo-filozoficznym podsuwającym emblematy pojęciowe epistemologicznie niejednoznaczne.

Charakter współczesnych przemian cywilizacyjnych, niepokojąca tendencja do redukowania tożsa-

mości narodowej na rzecz eksponowania uniwersalności i globalności, sprawiają, że świadomość historyczna narzucająca określone patrzenie na przeszłość własną, w tym i własnego narodu, często staje w opozycji do nich. Globalizacja – której wyznacznikiem są głównie przemiany o charakterze ekonomicznym – w sensie ideowym pojmowana jest jako proces aksjologicznego ujednolicania oraz dążenie do uniformizacji kultur i narodowych tożsamości. W obliczu tego procesu często pojawia się niepokojące pytanie o znaczenie polskiej historii. Niektórzy nawet wieszczą jej koniec, zakładając, że po wejściu Polski do ogólnoeuropejskich i ogólnoswiatowych struktur politycznych i gospodarczych, muszą zostać przewartościowane dotychczasowe polskie konteksty geopolityczne i historyczne. Wydaje się, że takie zapatrywanie pozbawione jest merytorycznych podstaw. Świat – jakie by nie były jego horyzonty czasowe i przestrzenne – pod względem ideowym, zbudowany jest na respekcie wobec inności. Globalizm to zjawisko historyczne, mające wielowiekowe dziejowe umocowanie. Jego skala jest oczywiście przestrzennie zróżnicowana. Za jego przejaw można uznać chociażby średniowieczny uniwersalizm. Współcześnie jego odmienność polega jednak na tym, że łatwiejsze i szybsze są możliwości przenoszenia różnych idei, które ze swojej natury pozornie mogą stanowić zagrożenie dla narodowej tradycji. Obawa, aby nie rozmyła się tożsamość narodu – będąca jednym z produktów świadomości historycznej – jest całkowicie uzasadniona tylko w tym względzie, gdy adaptuje się formę i jakość historycznego przekazu do sposobu myślenia nie uwzględniającego różności – także narodowych.

Niepokojący jest zwłaszcza rozróżnienie między kulturą inteligentną a kulturą reszty społeczeństwa. Sądzę, że elity są bardziej zagrożone wyobcowaniem się z narodowego społeczeństwa, z którego się wywodzą, co przejawia się w ich większym otwarciu na globalne, ponadnarodowe zjawiska historyczne. Wynika to z właściwego elicie przekonania, iż reszta społeczeństwa jest publicznością masową, niekompetentną i źle przygotowaną do odbioru wartościowych propozycji intelektualnych. Stąd poszukiwanie w dziejach właściwych dla danej wspólnoty kulturowych ideałów – zazwyczaj wykraczających poza narodowe schematy. Zgodnie z tą zasadą odczytuje się np. polskie oświecenie, wskazując na to, że polskie państwowe elity – w tym i monarcha Stanisław August Poniatowski – rekompensowały swój kulturowy prowincjonalizm przez adaptację idei kosmopolityzmu, co pozwalało im uczestniczyć w bardziej wartościowej – w ich pojęciu – cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Przeciwnicy tego podejścia wskazują, że dominacja kosmopolitycznych wartości przyczynia się do utraty tożsamości narodowej i zatarcia jej swoistego charakteru. Często więc tworzą wyolbrzymione oraz bezpodstawne wizje oryginalności własnej kultury i dziejów. Tak rozumieją np. polski romantyzm i wskazują, że i współcześnie adaptacja jego idei może uchronić polską świadomość historyczną przed dominacją obcych kanonów aksjologicznych.

„Globalizacja” i towarzyszące jej często takie pojęcia jak: „społeczeństwo informacyjne”, „prawa człowieka”, bez historii są pojęciami abstrakcyjnymi, utrwalanymi tylko w kontekście technologicznym, jako źródła pewnych nawykowych postaw. Tkwiące w świadomości historycznej – zbiorowej lub jednostkowej – przykłady z dziejów polskich, podkreślające różnorodność kultur występujących w polskiej przeszłości, ułatwią ich przyswojenie i wskazują na ich praktyczny charakter.

Rzetelna autorefleksja nad polskimi dziejami, połączona z przejmowaniem powszechnie akceptowanych uniwersalnych wartości, umożliwiła przewyższanie uprzedzeń, tak często tkwiących w polskiej świadomości historycznej ze względu na ksenofobiczne traktowanie własnej przeszłości i obawę,

że jest się przedmiotem ataku ze strony kulturowych ideałów dyskredytujących narodowe tożsamości. Nie prowadzi to do rozpadu tradycyjnego polskiego ładu normatywnego, lecz wzbogaca go o nowe treści i formy wyrazu, np. autentyczny, a nie wymuszony względami politycznymi czy ideologicznymi – jak w czasach komunizmu – solidaryzm z cierpiącymi. Uważam, że jest to tym łatwiejsze, że nastroje egalitarne były trwałym elementem świadomości społeczeństwa polskiego.

Globalizacja w sensie ideowym wymusza pewne zmiany w świadomości historycznej. Zarówno merytoryczne, jak i wartościujące. Najtrudniejsza wydaje się zmiana ogólnego postrzegania polskiej przeszłości. Przez lata wytworzył się pewien topos poznawczy historii Polski – i co charakterystyczne wykracza on poza ustalenia faktograficzne historyków. Ma on patetyczny charakter. Jego klasycznym motywem są treści wpisane w schematy mesjaniistyczno-wojenno-niepodległościowe. Stygmatyzacja narodowej przeszłości – bliska wielu Polakom męczeńską kazuistyką, obsesyjne niekiedy nawiązywanie do wydarzeń tragicznych i bolesnych (zaborzy, powstania, przegrane wojny – choć zwycięskie bitwy) ma utwierdzać tożsamość narodową Polaków. Każdy z tych wątków jest niezmiernie żywy, ale nie wolno ograniczać świadomości do niektórych tylko wydarzeń. Pamięć o nich nie wyklucza adaptowania do polskich warunków wartości uniwersalnych, pozytywnych, ale Polakom obcych. Polski układ normatywny może być rozbudowany poprzez wprowadzenie do niego chociażby takiej konstelacji wartości, która generowałaby identyfikację z państwem i postawy aktywnego uczestnictwa w życiu publicznym. Powinny one wejść na trwałe do polskiej świadomości społecznej. Zaś popularyzacja historii – zwłaszcza ta zorganizowana w szkolne ramy – powinna zachęcać do takich zachowań.

Jednakże towarzysząca często globalizacji mialność informacyjna upraszcza ocenę wielu historycznych faktów – zwłaszcza tych, które są mało medialne. Zawiera wątpliwe przesłania i tworzy takie konstelacje wartości, które stają się publiczną zachętą do banalizacji wydarzeń o głębszym sensie. Zaś

wielbioną w niej ikoną stają się takie, które nie tylko że często goszczą w mediach, ale nie zmuszają do głębszej refleksji. Doskonale takie podejście zilustrował Janusz Głowacki reklamując swoją nową sztukę *Czwarta Siostra*. Napisał mianowicie, że jedną z bohaterów sztuki „...nie za bardzo poruszyła śmierć trzydziestu kobiet i dzieci, które zginęły w trafionym bombą autobusie. To nie dlatego, że nie jest wrażliwa. Po prostu wyplakała wszystkie łzy, oplakując przez pięć dni, razem z całą planetą, śmierć księżnej Diany...”². Pokazany przez Głowackiego model medialnego odczytywania rzeczywistości dziejowej, zwłaszcza tej czasowo nieodległej, najczęściej wypacza znaczenie wielu faktów i wydarzeń. Przykładowo w europejskiej prasie – po tragedii World Trade Center – po odruchach solidaryzmu z ofiarami oraz wyrazach wsparcia i współczucia dla Amerykanów, zaczęły pojawiać się tezy, że zniszczenie nowojorskich wież wstrząsnęło Europejczykami prawie tak samo jak śmierć Lady Diany. Takie patrzenie na te dwie tragedie to nie tylko efekt jakby bezpośredniego uczestniczenia w danej tragedii, ale też konsekwencje przyjętego światopoglądu i kanonu wartości będących konstytutywnymi składnikami świadomości historycznej. Należy je również traktować jako punkt zwrotny w rozumieniu epoki globalizacji a także dziejów świata po II wojnie światowej.

W niemal powszechnym odczuciu globalizacja przejawia się w standaryzacji i uniformizacji kulturowej. Za symbol tego procesu uznawane są Stany Zjednoczone. Przeciwnicy globalizacji uznają je za przyczynę wszelkiego zła na świecie. Stały się więc wrogiem powszechnym, weszły w pustkę, która się wytworzyła po upadku komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego³. Wrogość wobec Ameryki stała się czynnikiem integracyjnym świata, a na kontynencie europejskim globalizacja pojmowana jest jako antyeuropejskość. Dlatego jakiegokolwiek zaangażowanie się USA w konflikty zbrojne po 1945 roku – w obronie wolności demokratycznych – odczytywa-

ne jest, zwłaszcza w Europie jako przejaw ich ekspansjonizmu militarnego i gospodarczego. Polacy generalnie przyjmują postawy odmienne, ukształtowane w wyniku historycznych związków ze Stanami Zjednoczonymi, obecnością olbrzymiej Polonii w USA, jak również pamięci o ich roli w podtrzymywaniu nadziei w Polakach na uzyskanie pełnej suwerenności po II wojnie światowej. Również „normatywna regulacja zachowań w Ameryce przez zasady religijne i moralne” – jak powiada Zdzisław Krasnodębski – silniejsza niż w Europie, bliska zwłaszcza tradycyjnie myślącym Polakom, skutecznie osłabia ideowe wpływy antyglobalistów. Można więc stwierdzić, że tylko niewielki fragment idei globalizacji – jak i powszechnych wobec niej postaw antyglobalistycznych – odgrywa pewną rolę w odczuwaniu przez społeczeństwo polskie własnej i powszechnej historii.

Globalizm zmienia także postawy poznawcze historyków. Wśród polskich badaczy przeszłości dominujący był jeszcze całkiem niedawno pogląd, że badaniu przeszłości powinna towarzyszyć metodologiczna powściągliwość. Historyk winien czuć dystans emocjonalny do badanych zagadnień. Ta iluzja „neutralności poznawczej” – jak to określił Gadamer – powodowała tabuizację niektórych fragmentów polskiej przeszłości. Wzmacniała ich stereotypizację. Nie zezwalała na ich wszechstronne przebadanie. Łatwo zauważyć, że pod wpływem nowych koncepcji metodologicznych docierających do Polski, badacze polskiej przeszłości tworzący obraz narodowych dziejów częściej niż kiedykolwiek nie odgradzają się już od własnych myśli i przekonań – nie rezygnując przy tym z naukowej rzetelności.

Józef Brynkus

¹ P. Hassner, *Ta stara dobra Europa*, „Gazeta Wyborcza” 2003, 15–16 lutego, s. 9.

² J. Głowacki, *Opowieść o dwóch Moskwach*, „Gazeta Wyborcza” 2003, 15–16 luty, s. 22.

³ J. Maternicki, *Teoretyczne i metodologiczne podstawy dydaktyki historii*, Warszawa 1990, s. 223–227.



Leszek Wrona

Archiwum X

Tytuł cyklu moich felietonów wydaje się posiadać znaczenie przenośne, jednak faktycznie odnosi się do czegoś realnego, z czym mamy styczność w życiu codziennym. Tym archiwum jest nasza pamięć lub jeśli wolimy posługiwać się terminologią naukową – „system pamięci”.

Archiwum to posiada zadziwiające właściwości do końca niepoznane i wątpię, aby zostały w najbliższym czasie dokładnie wyjaśnione. W naukowym żargonie możemy napotkać termin „magazyn pamięci” wprowadzający w błąd odbiorcę niezaznajomionego z podstawami psychologii. Błąd ten polega na traktowaniu pamięci jako miejsca „zmagazynowania” indywidualnych doświadczeń, czyli przeżyć, obrazów, wiedzy teoretycznej czy praktycznych sposobów działania. Nasza wiedza o pamięci ujawnia inny obraz opisywanego fenomenu. Pamięć jest systemem, który dalece różni się od biblioteki czy archiwów obecnych w różnych instytucjach. Ani w bibliotekach, ani w znanych archiwach książki czy dokumenty same nie znikają z półek, nie przenoszą się też z miejsca na miejsce. Nie zanotowano (przynajmniej dotychczas) właściwości rozrodczych zawartości składowanej w tych szacownych miejscach. Nie słyszałem, aby jakaś książka leżąca w bibliotece zmieniła swą treść. Być może specjaliści od zjawisk paranormalnych doświadczyli takich „faktów”, ale było to tematem moich poprzednich felietonów. Wszystkie wspomniane wyżej zjawiska mają miejsce w naszej pamięci. Niektóre zapisy pamięciowe znikają na zawsze, inne pojawiają się ponownie, jeszcze inne zmieniają się nie do poznania. Zapominamy numery telefonów, nazwiska; nie pamiętamy kto rozpoczął kłótnię małżeńską; wydaje się nam, że na pewno nie my.

Spróbujmy odpowiedzieć na kilka kolejnych pytań. „Dlaczego niektóre treści i zdarzenia ulatują nam z pamięci?” Pierwsza z hipotez, która ma wyjaśnić to zjawisko, głosi, że zapisy pamięciowe samistnie zanikają, jeśli przez dłuższy czas nie posługujemy się nimi. Zapominamy treści nudnej lektury,

o której przestajemy myśleć od razu po przeczytaniu; szybko pobędziemy się zapisu nic nie znaczących wypowiedzi polityków obiecujących w trakcie akcji przedwyborczej złote góry i świetlaną przyszłość. Hipoteza ta znajduje częściowe potwierdzenie w wynikach badań neurofizjologicznych.

Inne wyjaśnienie odwołuje się do zjawiska nakładania się zapisów pamięciowych (interferencji). Zapis późniejszy wymazuje wcześniej zapamiętane treści i odwrotnie – to co zostało zapamiętane wcześniej utrudnia zapisanie nowych informacji. Interferencję można złagodzić stosując np. przerwy w trakcie zapamiętywania kolejnych porcji informacji. Nie da się jednak na szczęście, całkowicie usunąć interferencji. Gdyby to było możliwe, to pamiętalibyśmy równie dobrze treści aktualne i nieaktualne, błędy w myśleniu, jak i poprawne jego drogi. Przed takim chaosem chroni nas wykryty przez von Restorffa w pierwszej połowie XX wieku fakt lepszego utrzymywania się w pamięci treści wyróżnionych jako subiektywnie ważniejsze od innych, bardziej użyteczne, czy nietypowe np. dziwaczne.

W literaturze psychologicznej opisane są przypadki osób nieposiadających daru zapominania. Pamiętają oni wszystko co raz zobaczyli lub usłyszeli. Nie wiem czy wypadałoby podziwiać te fenomenalne zdolności, czy współczuć ludziom dotkniętym tą wadą. Wątpię, aby bez zapominania można było w prosty sposób opanować sztukę relacji i wartościowania nabytych informacji. Czasami wydaje się, że coś uleciało nam z pamięci, a jednak przypominamy sobie to później, niekiedy dzieje się to nieoczekiwanie bez naszego świadomego udziału.

Czym spowodowane jest to zjawisko? Skoro po pewnym czasie wraca pamięć danej treści to znaczy, że nie była ona zapomniana a jedynie zagubiona. Zjawisko to ma miejsce wtedy gdy zapamiętywaliśmy jakieś treści nie tworząc klucza do wydobywania ich z pamięci. Kluczem może być na przykład zbiór haseł, skojarzenia czy informacje o sposobie ulokowania nowej informacji w zbiorze wiadomości

obecnych w pamięci. Jeśli zapamiętujemy w sposób chaotyczny, starając się jedynie o zwiększanie wartości naszego archiwum, może spotkać nas nieoczekiwana przykreść – nie potrafimy odnaleźć dostępu do zapisu pamięciowego wtedy, gdy zachodzi taka konieczność np. w trakcie egzaminu. Ten znany fakt stał się źródłem różnorodnych pomysłów tworzenia technik usprawniających pamięć poprzez tworzenie skutecznych kluczy wspomagających systematyzację zapisu informacji, jak i wydobywania go z pamięci.

Usługi wyspecjalizowanych firm oferujących usprawnianie pamięci sprowadzają się między innymi do instruktaży i treningów w konstruowaniu i zastosowaniu wspomnianych kluczy. Istnieje jednak specyficzny przypadek zapominania odpornego na działanie takich sposobów. Jest to motywowane zapominanie opisane przez twórcę psychoanalizy, Zygmunta Freuda. Faktycznie nie jest to zapominanie, a blokowanie w pamięci treści niecenzuralnych, niewygodnych, wstydlivych albo wprawiających nas w przerażenie. W naszym archiwum są takie wspomnienia, które staraliśmy się kiedyś zepchnąć z pola świadomości. Takie starania są świadome i manifestują się w naszych myślach zwrotami: „lepiej o tym nie myśleć”, „po co mam się denerwować”, „to jest bez znaczenia”.

W miejsce zablokowanych wspomnień wchodzą nowe interpretacje zdarzeń, które z pozoru jesteśmy w stanie zaakceptować. Na przykład nie pomogliśmy przyjacielowi w trudnej sytuacji życiowej; wtedy blokujemy tę część wspomnienia, która świadczy o groźnej sytuacji, natomiast tworzymy na własny użytek bajeczkę o szacunku dla prywatności przyjaciela, co nie pozwoliło nam na ingerencję. W podobny sposób rozprawiamy się czasem z pamięciowym zapisem tych wspomnień, które w naszej własnej opinii stawiają nas w złym świetle. Nauczyciel, który przeholował w stawianiu jedynek tłumaczy sobie i innym, że dba o poziom nauczania, natomiast zapomina o swoim wrogim nastawieniu do uczniów – ofiar takiego zniwa. Zdaniem twórców psychoanalizy takie blokowanie pamięciowe jest szkodliwe dla zdrowia psy-

chicznego. Jego skutkiem może być powstawanie kompleksów, które prowadzą do zaburzeń emocjonalnych. Wyobrażamy sobie Pana A, który ma tendencję do niekonwencjonalnych zachowań pod wpływem alkoholu. Woli nie pamiętać co czynił w tak zwanym „pijanym widzie” i wydaje mu się, że jest wesoły i dowcipny. Po pewnym czasie nie wiedzieć czemu zaczyna bać się spotkań z ludźmi, czuje się nie-swojo w trakcie publicznych wystąpień tłumacząc się sam przed sobą przepracowaniem, stresem, albo niekorzystną sytuacją biometeorologiczną. Naprawdę jednak źródłem złego samopoczucia jest nieuświadomiony wstyd i lęk przed odrzuceniem przez ludzi. Bywa, że takie kompromitujące wspomnienia nagle odblokowują się i wtedy Pan A truchleje ze strachu. Po stosunkowo krótkim czasie wypiera je jednak do najgłębszych zakątków archiwum pamięciowego i znów wydaje mu się, że nic się nie stało. Najłatwiej blokować w pamięci intencje własnego postępowania i pokazywać sobie oraz innym zupełnie inny obraz. Ludzie żądni władzy, szczytów i bogactwa udają przed sobą i wyborcami, że kieruje nimi altruizm, chęć służenia innym, pracy na rzecz dobra publicznego i inne bogobojne motywy.

Nie można odnosić tego do wszystkich osób znaczących, piastujących urzędy, ale w niektórych przypadkach przeciętny odbiorca publicznych wystąpień takich ludzi bez trudu rozpoznaje ich prawdziwe intencje, o wiele łatwiej niż sam ich „nosiciel”.

Być może ktoś z czytelników odczuł w tym momencie niesmak. Zmąciłem przecież nieco obraz człowieka racjonalnego, świadomego swych działań. Obiecuję jednak, że w następnym odcinku odpowiadając na pytania: co i dlaczego pamiętamy, oraz jakie są źródła przekształceń zapisu pamięciowego postaram się pokazać, że nie ma powodu do niepokoju. Pamięć jest systemem, który dobrze nam służy, a to co wydaje się wadą jest korzystne i ma swe uzasadnienie.

Nie zapominajcie o następnym numerze „Kon-spektu”. Ja nie zapomnę o swej obietnicy.

Leszek Wrona



W numerze poświęconym naukom historycznym uznałem za stosowne napisać o potrzebie badań nad historią polskiego sportu. Skłoniło mnie do tego także przypomnienie przez prof. Feliksa Kiryka sylwetki profesora Ignacego Zarębskiego, który — kto o tym pamięta? — był wielkim miłośnikiem kultury fizycznej, kuratorem Akademickiego Związku Sportowego z ramienia Senatu Uczelni. Jako prezes Klubu Uczelnianego AZS w latach 1970-1974 miałem okazję współpracować z profesorem i rozmawiać z nim o potrzebie uprawiania sportu. Ten wielki humanista gorąco propagował sport wśród młodzieży akademickiej, a w naszej uczelni zainspirował także badania jego historii. Pod jego kierunkiem powstała też moja praca magisterska z historii wychowania fizycznego i sportu w Krakowie od końca XVIII wieku do roku 1918, która ukazała się drukiem w 8. tomie „Prac Historycznych” „Rocznika Naukowo-Dydaktycznego WSP w Krakowie” (1977).

Kto dziś pamięta takie gry — browar, meta, rochwist, wolant, żydek...

Choć tradycje wychowania fizycznego i sportu w Polsce sięgają czasów odległych, to badania nad jego przeszłością nie znajdują właściwego miejsca w historiografii. Tę nieobecność w historycznych badaniach należy tłumaczyć wielowiekową tradycją niedoceny wychowania fizycznego i sportu. Pierwsze próby zainteresowania się tą dziedziną życia społecznego obserwujemy dopiero pod koniec XVIII i na początku XIX stulecia, kiedy to uwidacznia się tendencja do przypominania, opisywania i ukazywania rodzimych tradycji wychowania fizycznego i sportu oraz upowszechniania narodowych form ćwiczeń fizycznych, gier i zabaw ruchowych. Na szczególną uwagę zasługuje dzieło historyka Łukasza Gołębiowskiego *Gry i zabawy różnych stanów...*, wydane w Warszawie w 1831 r. Tendencje te nasiliły się w drugiej połowie XIX wieku. Ukazują się wtedy liczne opracowania o grach i zabawach ruchowych. Żywe zainteresowanie polskimi tradycjami wychowania fizycznego i sportu spotykamy w dwudziestoleciu międzywojennym. Z tego okresu pochodzą pierwsze próby opracowań syntetycznych i podręczniki wychowania fizycznego. W 1917 r. ukazała się praca Teodora Drabczyka *Wychowanie fizyczne młodzieży jako zadanie społeczne z punktu widzenia historycznego* (II wydanie w 1924 r.)

i w 1925 r. Eugeniusza Piaseckiego *Dzieje wychowania fizycznego* (II wydanie w 1927). Obszerną pracę poświęconą dziejom olimpizmu i początkom polskiego ruchu olimpijskiego wydał w 1926 r. Stanisław Polakiewicz.

Historia wychowania fizycznego i sportu, czy też szerzej ujmując kultury fizycznej, jest w naukach historycznych dyscypliną stosunkowo młodą. W Polsce dopiero w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia związana z nim problematyka trafiła na warsztaty badawcze historyków. Badania nad dziejami wychowania fizycznego i sportu przyspieszono w latach sześćdziesiątych przede wszystkim dzięki wyodrębnieniu się na uczelniach zakładów historii i organizacji kultury fizycznej. Dzisiaj, już chociażby z uwagi na to, że sport stał się zjawiskiem o ogromnym, stale powiększającym się zasięgu i dynamicznym rozwoju, szeroko powiązanym z zachodzącymi we współczesnym świecie procesami społeczno-politycznymi, gospodarczymi i kulturowymi, nikt nie kwestionuje potrzeby prowadzenia badań naukowych w tym zakresie. Przeszłość tej dziedziny życia jest przedmiotem badań naukowych nie tylko historyków skupionych w akademiach wychowania fizycznego, ale także innych ośrodków badawczych, zwłaszcza w uniwersytetach i wyższych szkołach pe-

dagogicznych. Nie trzeba przypominać bowiem, że sport jest zjawiskiem społecznym, a więc i historycznym, takim samym jak nauka, oświata, teatr, technika i wiele innych dziedzin sprzężonych bezpośrednio z ogólnym procesem rozwoju społeczeństwa, wychowania i kultury. Sport jest integralną częścią historii miasta, regionu, środowiska, narodu czy też państwa, a zbadanie jego przeszłości pozwala pełniej naświetlić i zinterpretować obraz dziejów. „Nieuznawanie sportu jako ważnej, integralnej części narodowej historii prowadzi do jej okrojenia, a nawet zafalszowania” – twierdził Tadeusz Łepkowski, jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich historyków (*Człowiek i historia*).

Historia kultury fizycznej w Polsce ma już znaczący dorobek, wyrażający się licznymi pracami o charakterze podstawowym, wydawnictwami źródeł, studiami i monografiami, pierwszymi próbami syntezy dziejów wychowania fizycznego i sportu, jak również wieloma opracowaniami szczegółowymi, problemowymi i jubileuszowymi, a publikacje z tego zakresu znajdujemy w różnych wydawnictwach. Z pewną satysfakcją należy stwierdzić, że problematyka historii wychowania fizycznego i sportu znalazła również zainteresowanie wśród pracowników naszej uczelni. Jak już wcześniej wspomniałem inspiratorem tych badań był profesor Ignacy Zarębski, obecnie zrozumienie dla tej problematyki wykazują profesorowie Jacek Chrobaczyński i Ludwik Mrocza, a także piszący te słowa. Powstało już wiele prac magisterskich dotyczących działalności Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” we Lwowie, Starym Sączu i Tarnowie, historii sportu krakowskiego, krakowskich olimpijczyków. Ludwik Mrocza, Kazimierz Karolczak i Czesław Michalski przedstawili referaty naukowe na II Konferencji Naukowej poświęconej przeszłości dziejów polskiej kultury fizycznej, a problematyka sportowa znalazła swoje miejsce na wszystkich konferencjach polsko-ukraińskich nt. *Lwów. Miasto, społeczeństwo, kultura*. Kultura fizyczna jako integralna część historii miasta i regionu znajduje stosowne miejsce w monografiach redagowanych przez Feliksa Kiryka. Szczególnie duży wkład wnieśli nasi historycy w opracowanie haseł

rzeczowych i osobowych z zakresu sportu zawartych w *Encyklopedii Krakowa*.

Wychowanie fizyczne i sport w naszym kraju mają bogate tradycje. Ćwiczenia fizyczne uprawiano od bardzo dawna, a rozwój ich form i funkcji odbywał się w ścisłym związku z przemianami gospodarczo-społecznymi, politycznymi, kulturalnymi i obyczajowymi.

Ogłaszając w 1967 roku stulecie polskiego sportu, dokonano istotnego zubożenia tradycji kulturowych w tej dziedzinie. Mało kto uświadamia sobie, że zorganizowane formy współzawodnictwa sportowego liczą sobie nie mniej lat niż samo państwo polskie, a świadczą o tym choćby zapisy dotyczące staropolskich sportów konnych. Najstarszy znany opis zawodów konnych w Polsce znajduje się w *Kronice Polaków* Wincentego Kadłubka (1160–1223). Przedmiotem opisu są wyścigi rozegrane w Dolinie Prądnika w czasach półlegendarnych, przed powstaniem państwa polskiego, ale zawarte tam realia wskazują na istnienie podobnych zawodów we wczesnym średniowieczu. Wśród ludu wiejskiego popularne wówczas były: dźwiganie ciężarów, zapasy, ciskanie głazami i kamieniami, różne formy skoków. Te zawody miały nieraz charakter obrzędowy i odbywały się podczas różnych uroczystości, świąt i jarmarków. Józef Ignacy Kraszewski w literackiej wizji *Starej Baśni* tak przedstawia płasy i zabawy młodzieży związane z kultem letniego przesilenia słonecznego (późniejsza noc świętojańska, święto Kupały): „Niewiasty jeszcze wiodły tany, gdy chłopcy z zapalonymi żagwiami zaczęli przeskakiwać ogniska, a potem wyścigać się po łące i wybiegać na polanki z nimi. Gdzie indziej lano miód w ogień na ofiarę Białemu Bogu, przygaśł płomień na chwilę i wybuchł z nową mocą. Parobczaki nieraz spotkali się w uskoku, wśród płomieni i dymu, uderzali o siebie, nieraz śmiejąc się chwytali za bary, padali na ziemię i tarzali mocując. U wszystkich ognisk razem rozpoczęły się skoki, a wnet potem z ogniem pogony. Z zapalonymi żagwiami, których ogień w biegu nie powinien zagasnąć obiegano posiane zboża, barcie, łąki, wołając Kupały”.

Począwszy od najstarszych, udokumentowanych form współzawodnictwa fizycznego, gier i zabaw,

ich rozwój podlegał w Polsce przemianom typowym dla europejskiego kręgu kulturowego. W średniowieczu istniały dwa nurty kultury fizycznej: rycerski i mieszczański-plebejski.

Istniejące świadectwa pisane i ikonograficzne wskazują, że zawody biegowe i konne należały do najlepiej rozwiniętych w Europie. Na szczególnie wysokim poziomie stały polowania, można nawet mówić o ukształtowaniu się unikalnej w skali europejskiej etyki myśliwskiej. W miastach feudalnych powstawały od XIII wieku stowarzyszenia mieszczańskie, mające na celu doskonalenie umiejętności obronnych za pomocą współzawodnictwa w strzelaniu. Istotą doroczych zawodów było strzelanie z łuku i kuszy do drewnianego lub glinianego kura, stąd nazwa organizacji – Bractwo Kurkowe. Od panowania Bolesława Krzywoustego (1106–1138) w ośrodkach dworskich odbywały się turnieje rycerskie zwane też gonitwami. Były to średniowieczne igrzyska sportowe uprawiane przez klasę rycerską w celu podniesienia sprawności wojskowej. Przeprowadzano je według średniowiecznego kodeksu rycerskiego, nakazującego walkę uczciwą z pominięciem podstępów i niedozwolonych środków, który stanowi do dziś etyczne podstawy walki sportowej i zasady *fair play*. Turnieje rycerskie opisywane są często w kronice Jana Długosza *Historia Polonica*, następnie przez wszystkich znaczących dziejopisów polskich, w dziełach Marcina Bielskiego, Marcina Kromera, Świętosława Orzelskiego i Macieja Strykowski. Polscy rycerze słynęli z wielkiej siły, sprawności fizycznej i bojowej. Odnosili wiele sukcesów w turniejach rycerskich w różnych krajach Europy, zdobywając sławę międzynarodową, jak Zawisza Czarny, który w 1417 r. na dworze hiszpańskim odniósł zwycięstwo nad rzeckim niepokonanym dotąd Janem Aragońskim.

Ludowe odmiany sportów, bez wahania uznawane za początek sportu w wielu państwach, istniały na setki lat przed powstaniem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, co tak niefortunnie uznano za początek ruchu sportowego w naszym kraju. Kto dziś

pamięta takie gry, jak browar, meta, rochwist, wolant, żydek i inne uprawiane przez polskie społeczeństwo. Pismo „Wychowanie fizyczne” nie bez słuszności przypomniało w 1928 roku „Jesteśmy narodem posiadającym piękną i bogatą rodzimą tradycję we wszystkich działach kultury. Mało jednak mamy skłonności do badania tej tradycji, a najmniej badaj – do pielęgnowania tych jej elementów, które dadzą się pogodzić z wymogami życia nowoczesnego. Jednym z jaskrawszych przykładów tej karygodnej obojętności na skarby rodzimej cywilizacji jest bez wątpienia stosunek do staropolskich zabaw i gier ruchowych. U wielu narodów Zachodu ogłoszono w tym przedmiocie szereg poważnych dzieł naukowych, a prastare gry i pieśni i piosy uczyniono niezbędną częścią składową narodowego wychowania. U nas dążność podobną już zapoczątkowano; na przeszkodzie jej stoi wszakże nieznanomość znacznej części własnego w tej dziedzinie bogactwa”. Nie ma na to lepszego dowodu, jak wspomniane rzekome stulecie sportu polskiego. W krajach anglosaskich gry palantowe, jak krykiet czy baseball, mają status narodowych. U nas palant został wyśmiany jako gra niepoważna i niegodna naukowej pracy historyczno-etnograficznej.

Dzieje gier i zabaw ruchowych zarówno młodzieży jak i dorosłych stanowią fascynującą, lecz tylko fragmentarycznie zapisaną kartę historii kultury fizycznej. Potrzebę tę doceniał w pełni wśród polskich badaczy Eugeniusz Piasecki, który w latach międzywojennych rozpoczął szeroko zaplanowane badania źródłowe i terenowe nad rozwojem gier i zabaw ludowych. Wojna przerwała niemal ukończone badania, a szczątki archiwum badań oraz fragmenty egzemplarza pierwszego opracowania nie doczekały się dotychczas kontynuacji i wydania. W tego typu badaniach należałoby uwzględnić bogatą literaturę piękną – zarówno prozę, jak i poezję oraz dawne pamiętniki... lecz o tym i o polskich tradycjach z epoki odrodzenia i oświecenia w numerze następnym.

Czesław Michalski

Działalność KU AZS

W wielu dyscyplinach zakończyła się pierwsza runda rozgrywek Ligi Międzyuczelnianej krakowskiego środowiska akademickiego. Zespoły i zawodnicy naszego Klubu mogą poszczycić się szeregiem imponujących wyników

Od lat wizytówką naszej uczelni są kobiece sekcje lekkiej atletyki i pływania. W biegach przełajowych reprezentantki Uczelni trenowane przez mgr Małgorzatę Tokarz zajmują drugie miejsce i przegrywają tylko z silną pierwszoligową sekcją AZS AWF Kraków. W biegu na dystansie 600 m trzecie miejsce zajęła Joanna Szpyt z I roku filologii polskiej, piąte Aleksandra Surowiec z II roku pedagogiki specjalnej, szóste Ewa Szczypczyk z II roku pedagogiki społeczno-opiekuńczej. W biegu na dystansie 1000 m Agnieszka Pietruszka z II roku filozofii zdobyła piąte miejsce, a Agnieszka Pabisz z III roku biologii ósme. Również drugie miejsce zajmuje na półmetku rozgrywek sekcja pływacka kobiet tracąc do zespołu UJ zaledwie 2 punkty. Sekcja trenowana przez mgr Barbarę Orłowską zajęła wiele medalowych miejsc w poszczególnych konkurencjach. Sztafeta 4x50 m stylem dowolnym w skla-

dzie: Barbara Mikołajczyk, Agnieszka Kiełbusiewicz, Barbara Idzikowska i Katarzyna Wołoch była najlepsza. Drugie miejsce zajęła Agnieszka Kiełbusiewicz z II roku filologii rosyjskiej – na 50 m stylem klasycznym, zaś trzecie miejsca wywalczyły: Barbara Mikołajczyk z I roku pedagogiki specjalnej – na 50 m motylkiem i stylem grzbietowym, Katarzyna Wołoch z III roku wychowania fizycznego – na 100 m stylem dowolnym i Agnieszka Kiełbusiewicz – na 100 m stylem klasycznym.

Sekcja piłki nożnej – po zwycięstwach nad Akademią Rolniczą 4:1, Uniwersytetem Jagiellońskim 3:2 i Collegium Medicum 5:2 – zajmuje drugie miejsce w swojej grupie. Trenerem zespołu jest mgr Piotr Pastuszko.

Mimo zwycięstw studentów z czwartego roku WOiWF – Michała Znamierowskiego w kategorii do 60 kg i Roberta Skrzeczyńskiego w kategorii do 66



Obóz w Białce

kg – zespół KU AZS AP w judo w punktacji ogólnej jest na czwartym miejscu. Pozostałe zespoły w Lidze Międzyuczelnianej zajmują pozycje w środku tabeli.

W mistrzostwach pracowników Uczelni w tenisie ziemnym najlepszym okazał się Ireneusz Krech z matematyki. Dalsze miejsca zdobyli: Ignacy Tokarz ze Studium WFiS, Marek Karwala z Instytutu Filologii Polskiej, Krzysztof Błoński z Instytutu Neofilologii, Erwin Turdza i Tomasz Świdzki z Instytutu Matematyki. Pracownicy naszej uczelni doceniają rolę sportu i bardzo chętnie go uprawiają. W każdy czwartek w godzinach wieczornych mają do dyspozycji basen pływacki, a w piątki korzystają z siłowni i sali gimnastycznej dzięki zajęciom organizowanym przez Towarzystwo Asystentów. Odnoszą również sukcesy w zawodach sportowych. Marek Karwala i Mariusz Opila wygrali mistrzostwa powiatu brzeskiego w debłu tenisa ziemnego, zaś Ignacy Tokarz z Antonim Malcherkiem z Nowej Dęby zdobyli brązowy medal w grze pojedynczej w mistrzostwach Polski nauczycieli w badmintonie w kategorii wiekowej powyżej 45 lat.

Dzięki pomocy finansowej prof. Michała Śliwy, rektora naszej uczelni, Klub Uczelniany AZS zorganizował w lutym obóz narciarski w Białce Tatrzańskiej. W przygotowaniach do startów w sezonie wiosennym prowadzonych przez trenerów Małgorzatę i Ignacego Tokarzewiczów wzięło udział 22 studentów

Dzięki wsparciu finansowemu KU AZS, Uczelnianej Komisji Socjalnej, Rady Zakładowej ZNP i Instytutu Geografii, który nieodpłatnie wypożyczył autobus, 28 lutego i 1 marca 2003 roku przeprowadzone zostały w Białce Tatrzańskiej mistrzostwa Uczelni w narciarstwie alpejskim wśród dzieci, studentów i pracowników z udziałem blisko 60-ciu narciarzy. Wśród dzieci rozegrano zawody w trzech kategoriach wiekowych. W kategorii od 5 do 9 lat wygrała Agnieszka Bar, przed Agatą Bar i Małgorzatą Ostrowską; od 10 do 16 lat – na medalowych miejscach uplasowali się: Marcin Dyduch, Lina Tarnawska i ex aequo Monika Makuch i Adrianna Ostrowska. W kategorii powyżej 17 lat

zwyciężył Daniel Turdza przed Kingą Brodą i Łukaszem Tokarzem. W rywalizacji studentów najlepszymi okazali się: Natasza Styczyńska (III rok politologii), przed Anną Janik (I rok wychowania plastycznego) i Karoliną Dudek (I rok pedagogiki specjalnej), Jackiem Małkiem (IV rok wychowania obronnego z wychowaniem fizycznym), Mateuszem Budzyńskim (IV rok geografii), Tomaszem Szybką (I rok wo z wf). Wśród pracowników Uczelni zwyciężyła Grażyna Piasecka-Broda, przed Kim Tarnawską i Jolantą Ślęczką, oraz Piotr Malarz, który pokonał Ignacego Tokarza i Zbigniewa Tarnawskiego.

Wielkim sukcesem naszych studentów zakończył się start w Narciarskich Akademickich Mistrzostwach Polski, które odbyły się 3–6 marca w Zakopanem. 10-osobowy zespół trenowany przez mgr Janinę Cieszkę zwyciężył w punktacji drużynowej kobiet i mężczyzn szkół pedagogicznych. Na ten sukces zapracowali przede wszystkim: Małgorzata Styczyńska (III rok politologii), która zdobyła złote medale w slalomie gigancie, dwuboju slalomowym oraz srebrny medal w slalomie specjalnym, Anna Janik (I rok wychowania plastycznego) – srebrny medal w slalomie gigancie, Artur Horecki (I rok wychowania obronnego z wychowaniem fizycznym) – złoty medal w slalomie gigancie i srebrny medal w dwuboju slalomowym, Mateusz Budzyński (IV rok geografii) – trzy brązowe medale – w slalomie gigancie, w slalomie specjalnym i dwuboju slalomowym.

*

25 lutego odbyło się Walne Zebranie Klubu Uczelnianego AZS AP, na którym ustępujący prezes To-



Fot. Marian Pasternak

masz Wachowicz złożył sprawozdanie z działalności Klubu za ostatnie dwa lata. Klub prowadził działalność w 10 sekcjach sportowych, do których należało 276 członków. Do największych sukcesów należy zaliczyć drużynowe Mistrzostwo Polski Szkół Pedagogicznych w pływaniu kobiet, o których pisaliśmy w 11 numerze „Konspektu”. Mimo trudnej sytuacji finansowej Klubu, dzięki wsparciu władz Uczelni zorganizowano obozy sportowe na Chorwacji i w Białej Tatrzańskiej, w których uczestniczyli przedstawiciele wszystkich sekcji. Klub organizuje Koszykarską Ligę Akademii Pedagogicznej (tzw. KLAP) oraz ligę piłki nożnej i siatkowej. Przygotowuje również mistrzostwa Uczelni w badmintonie, narciarstwie, pływaniu, tenisie stołowym i ziemnym. W dyskusji podnoszono problemy finansowe, zaproponowano, aby środki finansowe przeznaczone na działalność sportową wydzielono z budżetu samorządu studenckiego.

W wyniku wyborów prezesem Klubu został Tomasz Nowocien, student II roku politologii, lekkoatleta, reprezentant Uczelni w biegu na 200 i 400 m. Wiceprezesami zostali: do spraw organizacyjnych – Łukasz Smogorowski, student IV roku polonistyki (sekcja pływacka i lekkiej atletyki), do spraw sportowych – Marcin Szewczyk, student II roku historii (piłka nożna), do spraw finansowych – Tomasz Gawlik, student II roku filozofii (piłka nożna), do spraw promocji sportu – Anna Baran, studentka IV roku politologii (piłka koszykowa). Funkcję sekretarza Klubu pełnić będzie Natasza Styczyńska, studentka III roku politologii (sekcja narciarska), ponadto w skład zarządu weszli: Sebastian Bańdo, student IV roku historii (lekka atletyka), Łukasz Czekaj, student IV roku wychowania obronnego (judo), Tomasz Wachowicz, student IV roku geografii, oraz pracownicy: Ignacy Tokarz ze Studium Wychowania Fizycznego, będący pełnomocnikiem rektora ds. sportu, oraz Czesław Michalski z Instytutu Historii.

Zdzisław Dąbrowski (1930–1983), koszykarz, wielokrotny reprezentant Polski, międzynarodowy trener piłki koszykowej, pracownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie.

Urodził się 18 lutego 1930 roku w Mielcu. Do Krakowa przeprowadził się wraz z rodzicami w 1936 roku. Tu uczęszczał do szkoły powszechnej i gimnazjum. W latach 1950–1954 studiował w krakowskiej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, gdzie uzyskał dyplom nauczyciela wychowania fizycznego i tytuł trenera koszykówki II klasy. Stopień magistra wychowania fizycznego uzyskał w 1971 r. Już w okresie studiów pracował jako instruktor koszykówki w Gwardyjskim Towarzystwie Sportowym „Wisła” Kraków, a w latach 1954–1960 jako kierownik szkolenia. Od 1960 r. był trenerem koszykówki w GTS „Wisła” i SKS „Podgórze”. W latach 1972–1980



Zdzisław Dąbrowski i Stanisław Wiśnios

pracował w Międzyuczelnianym Klubie Sportowym AZS Kraków na stanowisku kierownika Wydziału Sportowego. W 1974 r. został zatrudniony jako nauczyciel wychowania fizycznego w Studium Wychowania Fizycznego i Sportu przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, obejmując jednocześnie obowiązki trenera sekcji piłki koszykowej Klubu Uczelnianego AZS. Dał się tu poznać jako dobry dydaktyk i wychowawca młodzieży. Posiadał wybitne zdolności organizacyjne, czego dowodem były wzorowo współorganizowane przez niego Mistrzostwa Polski Wyższych Szkół Pedagogicznych w pilce ręcznej w 1975, 1977 i 1979 roku. Był także kierownikiem corocznych (od 1977 r.) obozów wakacyjnych „Młodzieżowych Organizatorów Sportu” w Wilkasach k/Giżycka.

Błyskotliwą karierę sportową rozpoczął jeszcze w okresie gimnazjalnym. W 1947 r. został zawodnikiem Sekcji Koszykówki GTS „Wisła”. Jego wielki talent sportowy i wysoki poziom umiejętności sprawiły, że już w pierwszym roku swojej kariery zawodniczej powołany został do kadry narodowej koszykarzy. W reprezentacji Polski wystąpił 69 razy. Trzykrotnie reprezentował też barwy narodowe w Akademickich Mistrzostwach Świata. Jako zawodnik wykazywał się wyjątkowymi umiejętnościami strzelec-

kimi. W latach 1951–1953 zdobywał tytuły ligowego króla strzelców. Znaczny był jego udział w zdobyciu przez zespół GTS „Wisła” tytułów mistrza Polski (w koszykówce w 1954 roku). Z powodu trwałej kontuzji wcześniej zakończył karierę sportową i został trenerem drużyny juniorów GTS „Wisła”, zdobywając z tym zespołem trzykrotnie tytuł Mistrza Polski i dwukrotnie wicemistrza kraju.

Swojej ulubionej dyscyplinie sportowej pozostał wierny do końca życia. Doskonała znajomość koszykówki sprawiła, że uzyskał wszelkie uprawnienia sędziowskie w koszykówce. Te wysokie kwalifikacje spowodowały, że sędziował setki spotkań krajowych w ekstraklasie i licznych turniejach międzynarodowych. Jako sędzia międzynarodowy prowadził 150 spotkań, w tym 30 o Puchar Europy. Obsługiwał też Mistrzostwa Europy juniorów w Jugosławii i Uniwersjadę w Moskwie oraz szereg innych. Za całokształt osiągnięć sportowych i szkoleniowo-organizacyjnych otrzymał szereg wyróżnień i odznaczeń, m.in. Tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu (1966), Medal 100-lecia Sportu Polskiego, Złotą Odznakę Polskiego Związku Koszykówki.

Zmarł nagle 15 stycznia 1983 r. w Krakowie, tam też został pochowany na cmentarzu w Bronowicach.

Czesław Michalski



Marek Karwala

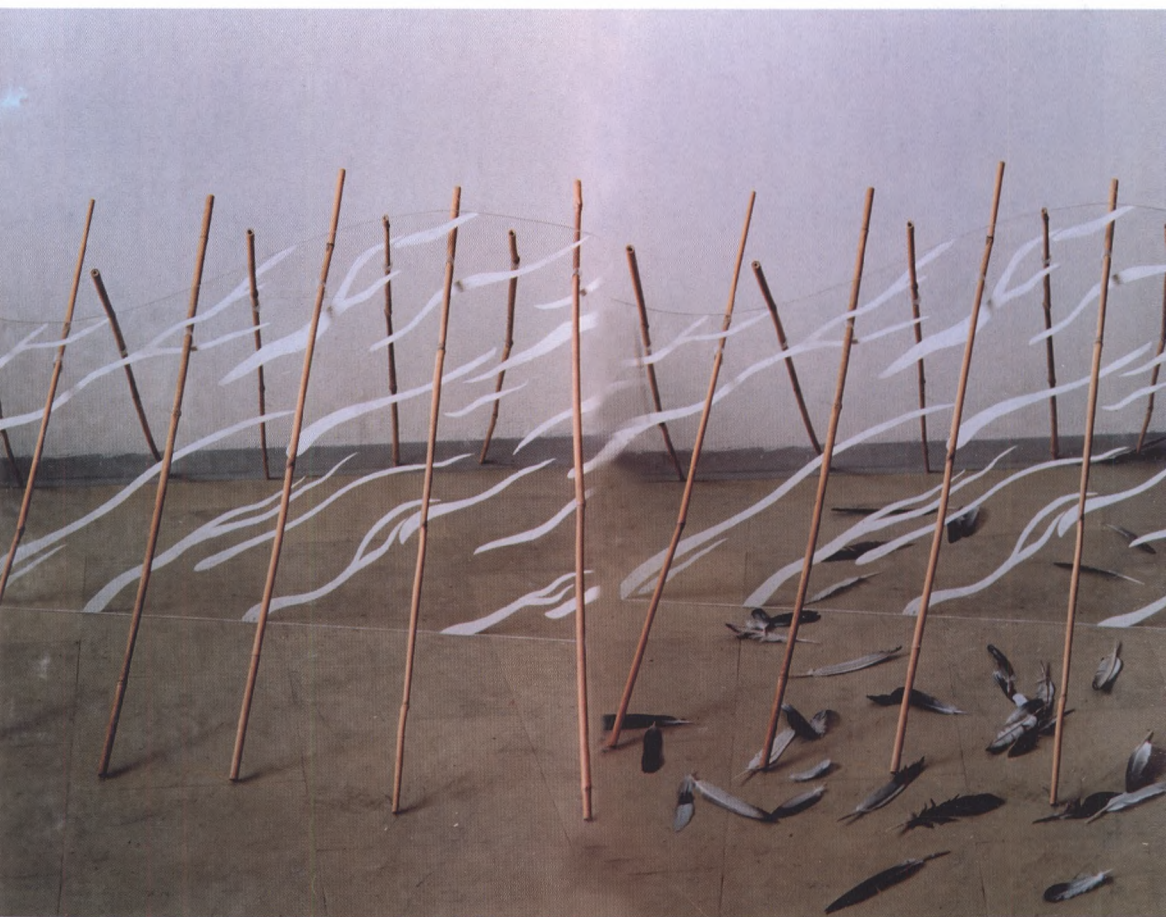
**Galeria
konspektu**

Grażyna Borowik — przestrzeń sztuki zintegrowanej

Grażyna Borowik, rodem z Częstochowy, ukończyła w 1979 roku studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (dyplom z wyróżnieniem z zakresu malarstwa uzyskała w pracowni prof. Adama Marczyńskiego). Obecnie jest adiunktem (II st. kwalif.) w Instytucie Sztuki Akademii Pedagogicznej w Krakowie, gdzie prowadzi zajęcia z malarstwa oraz problemów formy i wyobraźni plastycznej. Sprawuje także opiekę nad galerią „Zejście” przy ul. Mazowieckiej, prezentującej głównie prace studenckie, ale goszczącej też wybitnych twórców (m.in. Jonasza Sterna, Jana Tarasina, Jerzego Beresia...). Ma w dorobku sporo wystaw indywidualnych oraz udział w licznych ekspozycjach zbiorowych w kraju, jak również poza granicami (m.in. w Krakowie, Wrocławiu, Warszawie, Radomiu, Jeleniej Górze, Częstochowie, Wałbrzychu, Zamościu, Kaliszu..., w Niemczech, Włoszech, Meksyku, Jugosławii, USA, Japonii, Korei Południowej, Portugalii, Hiszpanii, Anglii, Kanadzie, Holandii, Białorusi, Szwecji, na Węgrzech, we Francji). Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, wykonuje instalacje plastyczne, fotografie, od kilku lat jest także aktywna w zakresie sztuki performance oraz projektowania graficznego. Sporadycznie realizuje scenariusze do filmów animowanych. Otrzymała wiele prestiżowych nagród artystycznych, a jej prace posiadają instytucje państwowe oraz kolekcjonerzy prywatni. Uprawia również z dobrym skutkiem poezję; jest laureatką kilku nagród w tej dziedzinie, m.in. Złotego Lauru Klemensa Janickiego, jaki otrzymała w Poznaniu w 1997 roku.

Grażyna Borowik rozpoczynała swą twórczą przygodę (jeśli tak można określić coś, co jest wyborem, pasją, a równocześnie profesją) od malarstwa i pozostała mu wierna do dziś. W pewnym jednak momencie — bardzo wcześnie, bo już na ostatnim roku studiów — poczuła, że czworokąt i płótno w pewnym sensie ją ograniczają, dlatego postanowiła wyjść ku przestrzeni trójwymiarowej. Pozostawała wówczas, jak mówi, pod urokiem malarstwa Georges’a Braque’a i — co może wydać się z pozoru paradoksalne — właśnie on, choć sam poruszał się przecież na płaszczyźnie, zainspirował ją do takich peregrinacji. Jego wersja kubizmu, jakby „cieplejsza”, była artystce bliższa od nieco „chłodniejszej”, bardziej wyrafinowanych prac Picassa.





Laguna, instalacja, 1995

Grzegorz



Rysunki D'arte (X, III, IV), kolaż, 1996





Instalacja



Miejsca, olej, 2001



W poszukiwaniu własnej tożsamości
instalacja, 1994

Skoro mowa o powinowactwach, to warto wymienić tu również cenionego przez Grażynę Borowik niemieckiego malarza, rzeźbiarza i twórcę instalacji, Ariselmę Kiefera, wprowadzającego do swoich nastrojowych prac elementy symboliki mitologicznej i historycznej. Wydaje się, że właśnie chęć wypowiedziania określonych sensów, zmierzanie do point, nie zagnieżdżanie się jedynie w kręgu „czystej” abstrakcji, estetycznej gry, twórczość krakowskiej artystki czyni w jakiejś mierze pokrewną działaniom niemieckiego klasyka nowoczesności.

*

W malarstwie, rysunku, fotografii, instalacjach Borowik stara się z dużą konsekwencją kreować określony komunikat. Niekiedy nie ujawnia się on od razu, egzystuje jedynie na zasadzie dyskretnych sugestii, czasem podszeptu dochodzącego z drugiego lub trzeciego planu, ale zawsze wyczuwa się jego obecność. Te prace „mają coś do powiedzenia”. Ów stan rzeczy wyda się czymś naturalnym, gdy zdamy sobie sprawę z procesu powstawania tych prac. Każda z nich poprzedzona jest bowiem żmudną fazą przygotowań – i to zarówno w sensie intelektualnym, jak i warsztatowym; samo działanie stanowi jedynie dopełnienie i zarazem ostatni akt twórczej aktywności.

Artystka najpierw przygotowuje precyzyjny scenariusz, a później – realizując go – uczestniczy w akcji bezpośrednio oraz uaktywnia świadków zdarzenia. Onegdaj w jednej z warszawskich galerii pod rozciągniętą grubą skórą zwierzęcą (trzymaną przez widzów i zarazem współuczestników) umieściła na zasadzie kontrapunktu delikatną materię (coś na kształt kołderki), na której stawiała lekarskie bańki. Ciszę przerywał jedynie intensywny rytm pracy serca odtwarzany z magnetofonowej taśmy... Innym razem w *performance* o tytule *Błękitna rapsodia* (aluzja do utworu George’a Gershвина) zostało wykorzystane pulsowanie (nieomal „meliczne”) ultrafioletowych świetlówek, które – na zmianę – wydobywały i ukrywały treść umieszczonych obok niewielkich obrazków... Spore zainteresowanie wzbudziła akcja, którą Grażyna Borowik zrealizowała w Korei Południowej podczas spotkania kilkudziesięciu

artystów z kilku kontynentów. Swoją *Wieżę Babel* rozpoczęła od przeczytania po polsku własnego wiersza, później zaś przedstawiciele różnych nacji zapisywali we własnych językach na pięciu rozległych formatowo białych tkaninach utrwaloną w pamięci warstwę brzmieniową. Tak skonstruowana lingwistyczna „Wieża Babel” uległa następnie dekonstrukcji, gdy jej pomysłodawczyni zanurzyła zapisane gęsto tkaniny w wodzie...

*

Autonomicznym nurtem w sztuce jest tzw. „książka artystyczna”. Obiekty tego typu zachowują pewne cechy książki, która jest dla nich bazą i punktem odniesienia, ale pełnią zupełnie inną funkcję, nie służą bowiem do czytania, lecz są realizacjami przestrzennymi o różnorodnych formatach. Grażyna Borowik wykonała cały szereg takich prac – jej „książki” zachowują formaty zwykłych książek, są formami w zasadzie rzeźbiarskimi, najczęściej ciężkimi, wykonanymi z metalu, z przyspawanymi literami, które bynajmniej nie układają się w sensy, ale pełnią rolę estetyczne.

*

Jak już zostało powiedziane artystka zaczynała od malarstwa i jest mu wierna do dzisiaj. W jej olejnych obrazach na płótnie uwidacznia się dominacja koloru. Uwagę zwracają odważne – niemal barokowe – asocjacje barwne, rozległy diapazon niuansów i odcieni tej samej tonacji oraz umiejętność budowania klimatu. W tej feerii barw niemal niezauważalnie, jakby nieśmiało rysują się geometryczne linie, sugerujące określone miejsca – niekiedy realne trójwymiarowe przestrzenie, w których rozgrywają się kolorystyczne spektakle.

Grażyna Borowik z dużą swobodą i kreatywnością sięga po różnorodne techniki i środki wyrażania. Nieobcy jest jej także kolaż; w instalacjach można dostrzec niektóre rozwiązania charakterystyczne dla prądu w sztuce zwanego *popartem*, ale co wydaje się szczególnie istotne – artystka najlepiej czuje się w obszarze interdyscyplinarności (różne formy aktywności plastycznej harmonijnie uzupełnia poprzez słowo i dźwięk).

Marek Karwala

Wiersze jesieni i zimy

Chciałbym kiedy kwiaty i liście prą w jesień
— opisać wam barwy skweru mej ulicy
błękitny klematis, krzewy róż i żółcie
zimowego jaśminu ginące z wahaniem

opisując to wiem że ja też się waham
że język także błądzi jak stopy pomiędzy
nimi, lawendą a mydlnicą... opuszczam
nagle skwer i oto wchodzę w belkot wiersza

przemierzamy życie i czymże jest ten skwer
jeśli nie sposobem by przemóc cierpienie
wy przechodzący łatwo przez przeszkody drzewi
powiedzcie gdzie zmierza kolor wszystkich kwiatów

i jak to się dzieje, że uderza kolor
że zdaje się lekki i żywy jak skrzydło?

Czy jednak dowiemy się kiedyś dlaczego
zblizamy się szybko aż do granic krzyku
i dlaczego zimą, gdy kłębek po kłębku
znika sweter ręce szukają modlitwy

jedyna odpowiedź gdy tuż trzeci miesiąc
na pytanie czy kocham jak pierwszego dnia
miłość jest jedynie lotem błyskawicy
aż serce się otworzy podwójnie na oścież

niczym okiennica przyjmująca światło
doznanie mgły szarej i powagi świerków
kiedy kolor zniknie w dniu pierwszego śniegu
i zaczniemy śledzić wędrówki królików

zamykać gdy kaszle? otwierać, gdy wzdychasz?
— uczymy się tylko manewrować klamką

Bertrand Degott urodził się w 1955 r. w Colmar w Alzacji, jest ojcem czworga dzieci. Należy do tzw. „poetów uniwersyteckich”, którzy — jak u nas Stanisław Barańczak, Edward Balcerzan czy w mikrokosmosie Akademii Pedagogicznej, Jagoda Cieszyńska — uprawiają poezję obok pracy naukowej w uczelni. Degott jest maître de conférences (adunktem) w Uniwersytecie Franche Comté. Pracę doktorską pt. *Ballade n'est pas morte (Ballada nie umarła)* wydał w 1996 r. Zajmuje się zagadnieniami form poetyckich (ballada, sonet, z tego zakresu pisze pracę habilitacyjną), a także typów wersyfikacyjnych najnowszej poezji. Jako poeta wydał w Gallimardzie dwa tomy: *Ebolements et taillis (Zwaliska i niskopiennie lasy 1996)* oraz *Le Vent dans la brèche (Wiatr w szczelinie 1998)*. Wiersze publikował w „La Nouvelle Revue française”, „L'Ouvrir”, „La Bartavelle”, „Neige d'août”, „Triages”, „Verso”, „Dierèse”, „La Revue de Belles Lettres”.

*

Powinnaś zobaczyć ten bukiet na stole
ta jemioła, owoc dzikiej róży, baze
posłuchać co mówi, to nic niezwykłego
że szybko zrywany na deszczu... niestety

jeśli więc możliwa jest ułomność wiersza
ta bezsilność gdy trzeba wypowiedzieć świat
skąd rozdźwięk tak wielki słów które kochamy
i sposobu w jaki żyjemy w nas samych?

gdyby można było włączyć się w plusk wody
naszych błot, i w chłupot naszych marnych ścieżek
mieć wsparcie w kamieniu nim zakrzepnie woda
zanim zima szczerzi owoc dzikiej róży

jaki wtedy bukiet wypalony słońcem
i jaki śpiew odmienny ptaka co ten sam?

Bertrand Degott, którego wiersze prezentujemy (*Poemes d'automne et d'hiver*), jest współczesnym poetą, nawiązującym do tradycyjnych form średniowiecza i renesansu – ronda, ballady, sonetu francuskiego, których podstawą jest rym i charakterystyczne walory rytmiczne. W tłumaczeniu starałem się oddać przede wszystkim rytm frazy i klimat tych utworów, czerpiących między innymi (jak w przypadku ostatniego wiersza) z tradycji villonowskiej. Aby możliwie wiernie oddać treść i nastrój wierszy – zrezygnowałem z obecnego w oryginale ścisłego rymu, który w przekładzie mógłby wymusić niepotrzebną ekwilibrystkę słowną. Za istotne uznałem jednak zachowanie wyraźnego rytmu, opartego na dwunastozgłoskowcu. W ostatnim wierszu postanowiłem wprowadzić jedenastozgłoskowiec, gdyż według mnie właśnie ta forma brzmi w języku polskim znacznie lepiej w utworze o charakterze ballady.

SJ

*

Otom ja w wieku w którym poważnieje
głos który mówi bez chwili wytchnienia
jak mówi nasza świadomość i rzeźbi
głębokie prawa naszego uczucia
oto więc jestem – i nie wiem dlaczego
dotarłem tutaj bo obca mi była
żłobiona bruzda – tak więc oto jestem
i wzywam z nocy najciemniejszej głębi
ciebie (Franciszku) na kolanach w żwirze
by poczuć karku przetręcane kręgi

bezsnieżna zima deszcz zmywa ulice
asfalt i nasze betonowe mury
niebo wstrzymuje zniewoloną duszę
cóż dam ci w zamian w podzięcie ludzkości
dar testamentu i napis nagrobny
wiedz gdy (Franciszku) otwierasz podwoje
inny niż twoi śmiertelni kompani
nie będę szukał powrozu ni sznura
by poczuć karku przetręcane kręgi
przed pięćdziesiątką zapada się oko
samo, bez dziobów i harmidrów ptasich
to moje serce o kształcie buraka
a kształt ten czasem ocieka obficie
daję je w zamian, to serce kochanka
serce pokryte bliznami odcisków
na naszej gwieździe (Franciszku) gdzie lśnimy
jeśli jest tyle sposobów, by jaśnieć
to ja wybieram miłosną kurzawę
by poczuć karku przetręcane kręgi

ŚMIERĆ – mam jej bać się? a jeśli jej szpilka
trafi, jak zmylić drapieżnego ptaka?
czy lepiej prawić o algebrach nieba
czy szukać wsparcia Franciszka Villona
by poczuć karku przetręcane kręgi

Tłumaczył Stanisław Jasionowicz

Regina Lubas-Bartoszyńska

Poezja Bertranda Degotta

Klasycyzujący nurt w poezji frankofońskiej ostatnich dziesięcioleci daje o sobie znać raz po raz nowymi edycjami. Pośród poetów średniego pokolenia tego nurtu takich, jak William Cliff, Dominique Pagner, Jacques Réda, Jean Pierre Colombi, należy wymienić Bertranda Degotta, związanego od dwudziestu lat z Besançon.

Poezja Degotta to poezja refleksji i zadumy nad szaleńczym tempem dnia codziennego, upływającym czasem, miłością i życiem rodzinnym, cywilizacją zachodnią i wschodnią, a także nad istotą poezji i jej formą. Zanurzona jest w kontemplacji przyrody, zwłaszcza górzystego pejzażu Jury, drzew i kwiatów, które w postaci gałązek dzikiej róży, bazi czy jemioli zdobią wnętrza domów. Degott posługuje się formą częściej klasycznie regularną niż rozregulowaną, sięga po gatunki poetyckie, żywotne od wieków. Można powiedzieć, że zainteresowania naukowe uczonego poety przekładane są na język jego poezji. To sonet, zwłaszcza sonet francuski, z dystychem zwieńczającym cztery strofy czterowersowe, utrzymany w rygorach aleksandrynu, staje się jedną z najczęściej stosowanych przez poetę form poetyckich. Takie też sonety pisze każdego roku w okresie sylwestrowo-noworocznym i posyła je w charakterze życzeń noworocznych swym przyjaciołom.

Drugą metatekstualną formą poetycką Degotta jest ballada, i to „ballada mała” – jak chcą reguły poetyk – utrzymana we wzorcu ośmiowersu i ośmiozłogłoskowca, a nawet czasem zwieńczona akrostychem, np. ta, orientująca nas gatunkowo, o incypicie: „J'ignore encore à quoi cette ballade” (*Nie dbam, jeszcze po co ta ballada*), kończąca się sześciowersem, by przywołać sześcioliterowe nazwisko

własne: Degott: D estin... E t... G uidez... O dieux... T ant... Toute., (Eboullement et taillis)... Na dodatek, każda strofa kończy się refrenem: „Toute chose et moi-même aux mains des dieux” („Wszystkie rzeczy i ja sam w ręku bogów”).

Refleksja autotematyczna wyraża nie tylko preferencje poetyckie Degotta, wyrażone wprost przywołaniem nazwisk, mistrza ballady – François Villona, czy François Malherbe'a, lub przez zastosowanie form poetyckich, które stanowią przedmiot w jednym z publikowanych tu przekładów-sonetów, napisanym 2 stycznia 2003 r.

Pośród refleksji, jakie wywołał zimowy bukiet na stole, znajdziemy także tę, nawiązującą do tematyki drukowanego w tym numerze „Konspektu” fragmentu tekstu Degotta na temat autobiografizmu w poezji (całość *Regarder le monde en vers – Zobaczyć świat w wierszu* – drukowana będzie w „Annales Academiae Pedagogicae Cracoviensis”).

Poczucie niższości poematu, jego niemożność mówienia o świecie zewnętrznym („son impuissance à parler du monde extérieur”), pytanie, „skąd znajdujemy tyle odchyłeń od słów bliskich naszemu sposobowi ich życia w naszym wnętrzu” („d'où vient qu'on trouve autant d'écart des mots qu'on aime à notre façon de le vivre à l'intérieur?”), to poetycka transpozycja pytań postawionych w sposób naukowy w drukowanym poniżej fragmencie zatytułowanym „Le vers autobiographique: Réda, Cliff, Colombi” i skonfrontowanych z najnowszymi poglądami Lejeune'a na ten temat wyrażonymi w piśmie „La Faute à Rousseau” (z wiosny ubiegłego roku), który został poświęcony problemowi autobiografizmu w poezji.

Widzieć i wskazywać świat wierszem

„Poeci piszą źle. Taki już ich urok. (...) Piszą źle, mając do pokonania tylko jedną przeszkodę, ale taką, której nie sposób pokonać. Odnajdują ją wszędzie. Jest nią słowo”
G. Perros, *Papier collé*

Język, będąc specyficznie ludzką właściwością jest, jak słusznie zauważa Yves Bonnefoy, „najlepszą i najgorszą z rzeczy”: najgorszą, bo jego potoczne użycie, ta językowa alienacja, utrzymuje nas na powierzchni rzeczy, odbierając nam poczucie doświadczania rzeczywistości, wrażenie spontanicznego uczestnictwa w świecie; najlepszą zaś w stopniu, w jakim poezja, „rekompensując niemożność języka” (Mallarmé), pozwala odtworzyć ukrytą twarz świata i dotrzeć do jego wewnętrznej istoty

Właśnie to wyraża Michel Collot, gdy pisze: „Wiersz poszukuje nieosiągalnego punktu odniesienia, horyzontu, ku któremu zmierza, lecz który jest naznaczony brakiem. W tym niepowodzeniu chciałoby się odczytać odkrywanie prawdy bytu, która odsłania się tylko wtedy, gdy się oddala” (M. Collot, *La Poésie moderne et la structure d'horizon*).

Celem poety są jednocześnie słowa i rzeczywistość; znak, a zarazem rzecz (...). Innymi słowy, poeta odzwierciedla podwójne napięcie: wobec języka i wobec świata. Z jednej strony trzeba bowiem „dać jaśniejszy sens słowom dobrze znanym” (znów Mallarmé!), nie przestając zarazem mówić w pospolitym języku albo też mówić językiem codzienności, „dając wyraz doświadczeniu muzyki, która jest mocą słowa”. Poeta musi ponadto widzieć to, co ukryte, nie deformując jednakże tego, co znane. Inaczej, musi on wskazywać na rzeczywistość przekraczając ją jednocześnie, sytuując swój wiersz pomiędzy autobiografią a „pamiętnikiem duszy” (Hugo). Krótko mówiąc, jak pisze znów Yves Bonnefoy: „(...) ze wszystkich form ludzkiej działalności poezja jest tą, która, tak daleka od zwykłego używania słów, na tychmiast stawia problem ich wartości w życiu, w tej możliwej pełni, którą chcielibyśmy nazwać życiem” (Y. Bonnefoy, *La meilleure et la pire des choses*).

Gérard Genette wykazał już wszystko to, czego mogło brakować w dziele Jeana Cohena. Chciałbym wskazać tylko na jego definicję wiersza jako „techniki językowej produkcji pewnego typu świadomości, której spektakl świata nie wywołuje na co dzień” i przywołać ogólnie znaną definicję Zen: „Zen jest umysłową postawą, specyficznym sposobem ujmowania rzeczywistości, «widzeniem» rzeczy takimi, jakimi naprawdę są, bez intelektualnych *a priori*, bez interwencji emocji: widzeniem kwiatu, krajobrazu, kamyka, ptaka, zaby”.

Wiersz można odnieść do każdej z tych dwóch definicji, ważne jest tylko to, by stan świadomości, który został tu przywołany pozwolił zobaczyć świat w odmienny sposób: jak(o) znaną nam rzeczywistość a zarazem jako coś odmiennego, lecz co także jest rzeczywiste. Christian le Dimma, profesor w Hiroszimie (...), tak pisał o relacjach pomiędzy doświadczeniem poetyckim i doświadczeniem mistycznym (...): „Poszukiwania, prowadzone przez niektórych poetów, mające na celu stworzenie z wiersza narzędzia poznania rzeczywistości mogłyby być porównane do ascezy, praktykowanej przez mistyków, poszukujących mądrości. We współczesnej poezji mamy do czynienia z próbą przejścia „na drugą stronę rozpaczy” (Comte-Sponville), by móc przyjąć to,

co jest. Owo «tak» na to, co jest, staje się możliwe dzięki wysiłkowi na rzecz obrazów-emocji, umożliwiających „widzenie” zamiast „myślenia”.

Wiedząc, że myśl i język są nierozłączne, i że wszelkie oddziaływanie na jeden z tych czynników pociąga modyfikację drugiego, możemy także uznać wiersz za środek, pozwalający na modyfikację myślenia a nawet jego zatrzymanie, by uzyskać stan świadomości, pozwalający „widzieć” w sposób, o którym mówi koan Zen.

Widać więc, że ten sam imperatyw „poznania rzeczywistości” można odnieść nie tylko do racji politycznych (Aragon) czy etycznych (Bonnetfoy), lecz także do działań o naturze mistycznej. Ów wymóg „widzenia” wywołuje problem znaczenia przenośnego, prowadząc do zracjonalizowania użycia obrazu. Istotnie, w miarę, jak napięcie pomiędzy prawdą metaforyczną a prawdą dosłowną podważa punkt odniesienia (z referencyjnego punktu widzenia nie jest prawdą stwierdzenie, że „zwykli liść *jest* skrzydłem ptaka” i mąci to czystość widzenia), wielu poetów porozumiewa się poprzez stulecia tak, jak surrealizm, który podaje dłoń Wiktorowi Hugo z jego *Wojną retoryczną i pokojem składni*. Od Guillewica, dyskredytującego metaforę, do Clifffa, protestującego przeciwko „fałszywemu determinantowi”, widać przejawy tego, co – za Aragonem, lecz nie z tych samych powodów – można nazwać *realizmem* w poezji. Podtrzymywanie więzi z czytelnikiem oznacza także dla poety wskazywanie *na wstępie* wspólnego nam wszystkim świata.

Po wielokroć – choćby dlatego, że całe jego dzieło je podważa – Jacques Rêda wyraża swoje przywiązanie do tradycyjnego rozróżnienia pomiędzy poezją i prozą: „Nie wiem dlaczego piszę raz prozą, a kiedy indziej wierszem, lecz nigdy jednak nie piszę pomiędzy nimi, to znaczy wierszem wolnym, który określiłbym najchętniej jako *wiersz mętny*” (J. Rêda, „Le Monde” 21 IV 1995).

Wiersz regularny miałby przewagę z dwóch konkretnych powodów: „wers jest regułą, która nie gwarantuje oczywiście samej jakości tego, co odmierza (źdźbło słomy, złota nić, skrawek sznurka), jest jednak jedynym narzędziem służącym precyzji, jakim

disponuje poezja i ten, kto się nim posługuje. To jej jedyny kaftan bezpieczeństwa” (J. Rêda, „Libération” 15 VI 1995).

Po pierwsze, jako dostępny wszystkim wspólny mianownik; po drugie, przez to na co pozwala jako odniesienie do zwykłego świata, wychodząc zaś ku temu, czego zabrania, ku przekroczeniu granic. W tej sytuacji nie zawaham się przed stwierdzeniem, że wers regularny mógłby się stać obiektywnym sposobem (prawdopodobnie ani jedynym ani też najskuteczniejszym...) spełnienia pojawiającego się obecnie wymogu widzenia świata przy jednoczesnym dzieleniu z odbiorcą doznaniem obecności. I właśnie w tym „wyjściu poza” należałoby upatrywać istotę poezji „brzmieniowej” czy eksperymentalnej: rozumiem z niej tak mało, bo opuściła ona zarazem rym i znany nam świat, tak, że zainteresowana jest już tylko meandrami swojego własnego języka i stąd jej ciągle wybieranie fałszywych ścieżek, tak w dziedzinie formy, jak i w świecie referencji...

Poeta-rzemieślnik wersu dysponuje swobodą odsłaniania lub pozostawiania w ukryciu swoich narzędzi, czasem czyniąc wręcz z tych zabiegów istotę swej poezji. Wracając jednak do naszych poetów (Cliff, Rêda, Colombi – przyp. tłum.) powiem, że spomiędzy formalnej doskonałości Colombiego i „niezgrabności” Clifffa wyłania się poczucie mnogości możliwych rozwiązań w poezji rymowanej. Skłania mnie to do ponownego rozważenia tego, co Philippe Lejeune mówił o poezji wierszowanej jako środka parodii. Czy parodia jest tym, co stanowi o specyfice wiersza w stosunku do prozy? Odpowiadając na to pytanie z punktu widzenia pewnej *doxy* ktoś mógłby powiedzieć, że każdy gatunek u swojego schyłku zmierza ku parodii i że w związku z tym poezja używająca rymów może dziś brzmieć wyłącznie jak parodia. W istocie przedmiotem parodii – i ta konkluzja jest dla mnie istotniejsza, niż cały prowadzący do niej wywód – byłaby sama poezja rymowana. Ścisłej rzecz biorąc, wydaje mi się, że ścisły wers mógłby być uznany za sposób modalizacji, dając wypowiadającemu się poecie możliwość nieodpowiadania do końca za swoje słowo: „– William Cliff: Ponieważ dziesięciowiersz jest formą poetycką,

pozwała mi on na liryczne wtręty, które nie pasują do prozy. Pisanie wierszem jest jak pisanie w cudzym słowie. Tak więc niektóre niestosowności, które mogłyby zostać uznane za błędy oraz refleksje, które w prozie przyjęto by wprost, tu są przedstawione jako perspektywa (*en perspective*).

– C.I.: Czy to umożliwia ironię?

– W.C.: Właśnie. Dystans. Dostojewski mówił: (rymowane wiersze) są głupstwem, ale pozwalają powiedzieć to, co w przeciwnym razie uchodziłoby za impertynencję” (*William Cliff: la vie comment ça rime*).

Poezja wierszowana interesuje mnie właśnie dlatego, że pozwala „nie przylegać” w pełni do tego, co jest wypowiadane. Usytuowana pomiędzy słowem skutecznym (prozą) a słowem „natchnionym” (wiersz wolny), byłaby ona poezją par excellence – tak bardzo narzuca się myśl, że zadaniem poezji nie jest poszukiwanie prawdy. Jeżeli jednak od początków istnienia poezji rym był środkiem poezji lirycznej, dlaczego teraz nie mógłby zostać narzędziem „liryzmu krytycznego” (Jean-Michel Maulpoix) czy też „liryzmu otrzeźwionego” (Jean-Claude Pinson)? Tym, co powoduje, że rym jest podejrzanym, jest być może ryzyko bezwarunkowego poddania się mu, gdy jednocześnie on sam może zmienić znaczenie

całej reszty. Czy tak, jak chiński garncarz, nacinający naczynie, które przed chwilą utoczył, poeta piszący wierszem powinien w jakiś sposób na nowo podważyć możliwość udoskonalenia swego dzieła? Pozostaje więc czerpanie z samej istoty rymu nawet takich środków, które wyrażają dystans wobec niego. Między sprzecznościami Wiktora Hugo, verlainowską pogardą, akrobatycznymi rymami od Banville’a do Rostanda, historia literatury pokazuje, że możliwości jest wiele...

W tej sytuacji rymowany wiersz mógłby być użyteczny poetom, według których poezja *ma coś do powiedzenia*. Poza tym, co powiedzieliśmy o metrum i rytmie (...), śpiewność wiersza nadaje mu walor mnemotechniczny, którego brak gdzie indziej, a także możliwość zestrojenia się z „pieśnią świata” – czy też, jak kto woli, z „muzyką sfer”. Nie chcę tu definiować żadnego z tych pojęć, bo zbyt dużo już powiedziałem o tym „czymś do powiedzenia”. To pewne, że poezja jest czymś więcej, niż rymem, ale nie da się zaprzeczyć, że on *także* tworzy poezję.

Bertrand Degott

Tłumaczył Stanisław Jasionowicz

Niniejszy tekst jest fragmentem artykułu, zatytułowanego *Regarder le monde en vers* (Oglądać świat wierszem)

Jaka historia jest nam potrzebna?

Wokół dziedzictwa kulturowego, świadomości historycznej i edukacji

W siedzibie Misji Rzeczypospolitej Polskiej przy Unii Europejskiej w Brukseli obejrzeć można obraz Franciszka Starowieyskiego, namalowany w 1997 roku. Przedstawia on kobietę siedzącą na mechanicznym byku, która mocnym uściskiem ramienia pociąga za sobą inną postać kobiecą z wyraźnie zarysowaną aureolą wokół głowy. U dołu obrazu znajduje się inskrypcja, będąca częścią kompozycyjną obrazu: „Divina Polonia rapta per Europa profana”

Obraz ten, a właściwie jedno z możliwych odczytań treści w nim zawartych, w połączeniu z symbolicznym miejscem jego ekspozycji, stało się przyczyną ostrego protestu. O ile bowiem zawarte w nim elementy ikonograficzne kierują nasze myśli najpierw ku starożytności i ku związanej z nią tradycji literackiej, o tyle inskrypcja natychmiast podsuwa historyczno-ideologiczną interpretację sensu. Rzecz w tym jednak, że całość wcale nie poddaje się jednoznacznej interpretacji.

Niniejszy artykuł jest próbą odczytania obrazu Starowieyskiego jako tekstu kultury. Oznacza to poszukiwanie znaczenia lub wielu znaczeń dla treści o charakterze symbolicznym, obecnych w artystycznej wizji współczesnego malarza. Sądzę, że dogodnym kontekstem interpretacyjnym będą w tym przypadku: europejskie dziedzictwo kulturowe, świadomość historyczna Polaków i obecne w niej stereotypy, ponadto polska historiografia, zwłaszcza XIX-wieczna oraz współczesna edukacja historyczna. Wymienione pojęcia łączy fakt posiadania po części wspólnych obszarów znaczeniowych a zarazem skomplikowanych relacji.

Wróćmy zatem do obrazu. Kobieta siedząca na byku budzi skojarzenia związane z powszechnie znanym w kręgu kultury europejskiej mitem o uprowadzeniu Europy, rozpowszechnionym w świecie antycznym dzięki *Metamorfozom* Owidiusza. Wyobra-



zenie to wspomagane jest przez niezliczoną ilość przedstawień ikonograficznych, poczynawszy od malarstwa wazowego i ściennego czasów starożytnych po wielkie płótna nowożytnych mistrzów: Tycjana, Veronesego, Lorraina. To właśnie one na równi ze słowami poety utrwaliły w wyobraźni kolejnych pokoleń Europejczyków śnieżnobiałego byka – Zeusa, unoszącego na swym grzbiecie fenicką księżniczkę

Europę. Oboje podążali drogą słońca ze Wschodu na Zachód ku wyspie Krecie, gdzie narodzili się ich potomkowie — Grecy i gdzie rozwinęła się kultura, która dała początek kulturze europejskiej. „U zarania dziejów Europy — jak pisze Norman Davies — znany ludzom świat leżał na Wschodzie. Na Zachodzie czekało Nieznane”.

Budowanie wspólnej Europy jest nowym cywilizacyjnym wyborem i wyzwaniem, które należy podjąć szukając dla niego uzasadnienia w kulturze — w filozofii, etyce, religii. Tu właśnie rysuje się nowe zadanie edukacyjne dla historii

Mit ten może więc być odczytywany jako świadectwo fundamentalnej roli cywilizacji Bliskiego Wschodu w ukształtowaniu kultur europejskich oraz obecności w niej pierwiastka duchowego. Boski Zeus przenosi w osobie fenickiej księżniczki dziedzictwo kulturowe Wschodu na Zachód, a wykorzystując swą siłę, władzę i potencję daje początek nowej cywilizacji. W wielu kulturach europejskich i pozaeuropejskich postać byka symbolizuje moc życia, przywołuje też skomplikowane znaczenie sfery sacrum. Zetknięcie z nim oznacza zawsze kontakt śmiertelników z granicą świata niedostępnego ich doświadczeniu. Byk uosabia także porządek wprowadzony przez boga po pokonaniu sił chaosu. Jego potężne rogi są orężem do walki z realnymi przeciwnikami jak i z mocami demonicznymi.

Obraz Starowieyskiego, który choć przywołuje mit Europy, nie jest przecież jego kolejną wersją artystyczną. Malarz dodaje nowy element symboliczny — postać kobiety w aureoli. Inskrypcja sugeruje dość jednoznacznie, że jest nią Polonia, określona mianem *divina*, więc święta, boska, wieszczka, nadprzyrodzona, w przeciwieństwie do Europy, której przypisane jest określenie *profana*, zatem świecka, niewtajemniczona w służbę bożą, a nawet nieczna, złowroźna. Europa i Polonia zwarte są w mocnym uścisku (*rapta*), który oznaczać może porwanie, uwiedzenie, popychanie do czegoś, przyspieszone przyswojenie czegoś, ale też wleczenie, rabowanie, łupienie. Pozorna lakoniczność łacińskiej inskryp-

cji, przełożona na język ojczysty poraża nas potencjalną wieloznacznością sensu. Słowa uruchamiają potoczną świadomość historyczną a wraz z nią ozywać zaczynają dobrze tu zakorzenione stereotypy narodowe.

Słowa powyższej inskrypcji mogą ułożyć się w sekwencję znaczeniową, która wzmocniona obrazem budzić będzie lęk. Polonia jako ofiara wykorzystana przez złowroźną, nieczną Europę. Tak ponura wizja przyszłości jest możliwa, ponieważ powstaje jako projekcja tego co napisano lub powiedziano o przeszłości. Ma oparcie w znanych z literatury i historiografii obrazach przeszłości, ukazujących dzieje Polski w perspektywie upadku państwowości niezawinionej lub zwinionej przez naród. Ileż to razy — w ujęciu choćby Józefa Szujskiego — Polska wierna etosowi stawała się bezwiedną ofiarą bożego i historycznego porządku bytu. Zdradzona przez nieczne państwa zachodnie sama pozostawała na straży misji cywilizacyjnej, którą pełniła wiernie od początku swego politycznego zaistnienia, pomimo iż wielokrotnie kładło się to cieniem na gmachu państwa. Oto w dużym uproszczeniu pesymistyczna wizja przeszłości utrwalała zwłaszcza przez XIX-wieczną historiografię. Ale taka właśnie uproszczona, a następnie dowolnie przywoływana w postaci gotowych argumentów politycznych i ideologicznych wizja przeszłości, silnie przy tym oddziałująca na wyobraźnię i emocje, skutecznie utrzymywała się w potocznej świadomości historycznej. Raz przyswojone obrazy przeszłości wraz z przypisaną do nich oceną dziejów i dziś jeszcze z trudem poddają się modyfikacji, stając się źródłem i nieustanną pożywką dla myślenia stereotypowego.

Polonia jako ofiara wykorzystana przez złowroźną, nieczną Europę. Tak ponura wizja przyszłości jest możliwa, ponieważ powstaje jako projekcja tego co napisano lub powiedziano o przeszłości. Ma oparcie w znanych z literatury i historiografii obrazach przeszłości, ukazujących dzieje Polski w perspektywie upadku państwowości niezawinionej lub zwinionej przez naród. Ileż to razy Polska wierna etosowi stawała się bezwiedną ofiarą bożego i historycznego porządku bytu

Ale słowa inskrypcji mogą też ułożyć się w zupełnie inną sekwencję znaczeniową. Oto Polonia, niosąca w sobie pierwiastek duchowy i świecka Europa, stoją jak niegdyś Zeus i Europa, przed powtórłą szansą wzajemnego wzbogacenia, przyswojenia czegoś Nieznanego. Wizerunek mechanicznego byka oraz Europy ze skrzydłami elfa przeciwstawiony Polonii z jaśniejącą nad jej głową aureolą i rozpromieniona biało-czerwona bryła mogą dodatkowo wzmocnić wymowę tak zinterpretowanego znaczenia inskrypcji. On również ma oparcie w wizjach literackich i historiograficznych. Z tą różnicą, że jasno uświadomiony cel rysujący się na horyzoncie naszych oczekiwań odwołuje się do wizji przeszłości, która zakorzenienia nasze poczucie tożsamości narodowej i kulturowej zarazem. Tożsamości kulturowej w wymiarze europejskim.

Grecka wizja świata starożytnego wyróżniała zasadniczo trzy obszary: Grecję utożsamianą z Europą, świat kultur Wschodu oraz świat barbarzyńców z Północy. Granice między barbarzyńską Północą a helleńskim Południem wyznaczały nie tylko odległość i zapory naturalne, lecz przede wszystkim różnice kulturowe, dotyczące poziomu rozwoju języka, instytucji politycznych, prawa, wierzeń, a zwłaszcza brak przynależności do wspólnego kręgu piśmienictwa. Fenomen europejskiej przestrzeni kulturowej polegający na różnorodności i bogactwie elementów etnicznych występujących w różnym czasie historycznym z nasileniem niespotykanym gdzie indziej, dostrzegli już romantycy. Jednak dopiero koniec XX w. przyniósł myśl o wspólnocie zdolnej do stworzenia optymalnych warunków samorealizacji dla różnych grup etnicznych, kulturowych i społecznych. W tym właśnie sensie budowanie wspólnej Europy jest nowym cywilizacyjnym wyborem i wyzwaniem, które należy podjąć szukając dla niego uzasadnienia w kulturze – w filozofii, etyce, religii. Tu właśnie rysuje się nowe zadanie edukacyjne dla historii.

Jesteśmy skłonni twierdzić, że tradycyjna misja historii, zawarta w cycerońskiej maksymie *Historia magistra vitae est* już się wyczerpała. Zwyczaj stosowania w sytuacjach codziennych gotowych rozwiązań z przeszłości możliwy był dopóki wierzone w niezmiennie warunki życia człowieka. Współczesna edukacja historyczna, której zadaniem jest instytucjonalne kształtowanie świadomości historycznej, powinna polegać na ukazaniu uczniom historycznych źródeł tożsamości w wymiarze indywidualnym, społecznym, narodowym i ogólnokulturowym. Edukacja ta ukierunkowana na przyszłe zadania uczyć powinna odwoływania się do przestrzeni minionych doświadczeń w celu poszukiwania pozytywnej motywacji i poczucia sensu. Poznawanie dziedzictwa przeszłości powinno wiązać się z akceptowaniem wartości, które dawałyby motywację i oparcie do podejmowania działań.

Raz przyswojone obrazy przeszłości wraz z przypisaną do nich oceną dziejów i dziś jeszcze z trudem poddają się modyfikacji, stając się źródłem i nieustanną pożywką dla myślenia stereotypowego

Tak więc obraz Starowieyskiego potraktowany jako tekst kultury stał się rodzajem dialogu, którego przedmiotem są tradycja, historia i współczesność. Artysta proponuje nam swoją wizję przyszłości, w której na naszych oczach dopełniać zaczyna się dawna opowieść mityczna, dopełnia się także historia. Wymiana między przeszłością a przyszłością dokonać może się jedynie poprzez żywą teraźniejszość kultury. Potwierdzają się słowa Zbigniewa Herberta, mówiące o tym, że tradycja nie jest masą spadkową, którą dziedziczy się bez wysiłku, lecz jak każdy kontakt z przeszłością i kulturą wymaga pracy.

Violetta Julkowska

Historią związani



Jesteśmy narodem, dla którego historia zdaje się być chlebem powszednim.

Podręczniki, skrypty, przekazywały i przekazują — zależnie od czasu wydania — wzorce obywatelskiej i patriotycznej postawy. Poza literaturą niemałą rolę w kształtowaniu naszej świadomości historycznej odgrywały sztuki piękne. Jednak ich historyczne aspekty nie prowadzą się wyłącznie do ścisłego przedstawiania faktów, szczegółowego obrazowania detali źródeł

Sztuki piękne nie tylko zmierzały do dosłownego opisywania historii. Nie będąc w ścisłym tego słowa znaczeniu rodzajem historiografii — opisywaniem dziejów, bardziej spełniały warunki typowe dla historiografii. Twórcze aspekty wizji artystycznej skłaniały bowiem artystów bardziej do rozważań wokół określonych problemów, aspektów i kontekstów historycznych, niż do dosłownego opisywania i ilustrowania wydarzeń narodowych. Warto o tym pamiętać porównując zgodność niektórych przedstawień historycznych w malarstwie z rzeczywistością faktografią. Ten rozdzźwięk, jako zarzut był stawiany większości obrazów Jana Matejki, przez jemu współczesnych. Zarzucano mu, że nie stosuje jedności miejsca, akcji i czasu, że zbyt swobodnie posługuje się kostiumem i rekwizytami, słowem, że potrafi w przestrzeni obrazu zbyt swobodnie zonglować faktami, przedmiotami i postaciami, nie mówiąc o typach fizjonomicznych zbyt często powtarzalnych.

Wtedy kiedy sztuce przypisywano specjalną narodową misję „krzepienia serc” historyzm był traktowany przez historyków w Galicji rozważnie i asekuracyjnie. Postawa lojalizmu wobec CK Austrii kała przyjaciółom Matejki, Stanisławowi hr. Tarnowskiemu i Józefowi Szujskiemu, z obozu Stańczyków sceptycznie patrzeć na powstające płótno pt. *Rejtan* (1866). Również Cyprian K. Norwid w swej postawie estetyczno-etycznej miał za złe Matejce, że w obrazie tym zbyt mało jest harmonii, porządku i miary z du-

cha antyku. Natomiast Józef Kraszewski był wręcz wstrząśnięty faktem obrazowania i tym sposobem publicznego wywlekania niechlubnych stron polskiej historii („Policzkować trupa matki się nie godzi”, M. Szypowska, *Jan Matejko wszystkim znany*, Warszawa 1976, s. 154).

Dla nas współczesnych cenniejsze jest kryterium tzw. artyzmu, narzucające bardziej prawdę wizji artystycznej, niż kryterium dosłowności przekazu. To powoduje, że bardziej ceniona jest linia rozwojowa Michałowski — Grottger — Matejko — Wyspiański, niż Bacciarelli — Norblin — Orłowski — Juliusz Kossak — Andriolli. Jest to sprawa nie tylko skali, rozmachu i ciężaru gatunkowego dzieł tych dwóch grup artystów, ale właśnie w każdym indywidualnym przypadku szczególnie napiętej wewnętrznie dramatycznej prawdy, oddającej wymownie ducha swego czasu. W rezultacie dynamiczne i szkicowe płótna Piotra Michałowskiego, jego konie bardziej nas poruszają, niż perfekcyjnie rysowane i malowane także motywy Juliusza Kossaka, ilustrującego Trylogię Henryka Sienkiewicza. Ostry realizm szczegółu w rysunkach Artura Grottgera, napiętnowany dramatem powstania styczniowego, jego politycznymi konsekwencjami, uderza w strunę naszego narodowego patosu bardziej, niż uroczyste i bogate w szczegóły historii i zwyczaju rysunki oraz grafiki

Problemem polskiej sztuki nie jest niekomunikatywność, czy artystyczna wartość sama w sobie. Jej problemem jest jej prowincjonalność wynikająca z geopolityki

Jeana Pierre'a Norblina – Francuza zauroczonego Polską, czy Aleksandra Orłowskiego, artysty zawałającego, ciągle w biegu gdzieś na rozległych obszarach Rosji (w tym zaboru rosyjskiego). Natomiast fascynacja polską szlachecką Michała Elwiro Andriollego, włoskiego pochodzenia, ilustrującego *Pana Tadeusza*, zdają się przenosić nas bardziej w świat szlacheckiej baśni, jakże innej niż wizja Polski upadłej, ale i wielkiej chwałą swego oręza lub szlachetnością swych obywateli na monumentalnych płótnach Matejki, innej niż dramatyzm przedstawienia Polonii na kartonie do witrażu Stanisława Wyspiańskiego.

Malarstwo stawiane było nie tylko wobec historii wydarzeń. Samo stawalo się częścią historii, będąc jednym ze źródeł jej poznania. Nasze wyobrażenie o Polsce średniowiecza wspomaga ikonografia tamtego czasu. Obrazy tablicowe nie tylko są obiektami kultu religijnego, ale poprzez obecną w nich rodzajowość, sztafaż, kostiumy, odwzorowane przedmioty – poza źródłami pisanymi i samymi zabytkami rzemiosła artystycznego, które się jeszcze uchowały – są znakomitymi dokumentami epoki. Bezcennym źródłem poznania średniowiecznych zwyczajów, specyfiki życia, wierzeń, z barwną informacją o rzemiosłach, w polskiej kulturze jest np. *Kodeks Baltazara Behema* z 1505/1506 r. Miniatury, jaśniejące barwą klejnotów, z dużym realizmem po prostu opisując życie społeczne tamtego czasu.

Fizjonomie typów naszych przodków z XVII w. utrwaliłiśmy sobie dzięki tzw. portretowi sarmackiemu, skonwencjonalizowanemu i bardzo reprezentacyjnemu. Natomiast ostry realizm portretu trumiennego, uprzytamnia nam, że pomimo idealistycznej ideologii tamtego czasu, wcale narodem zbyt pięknym nie byliśmy.

Szczegółowe przedstawienia panoram i widoków Warszawy, tzw. weduty autorstwa Bernardo Belotta, zwanego Canalettem, dzięki takiej archiwizacji miasta stały się bezcennym źródłem wzorców

odbudowy stolicy po II wojnie światowej. Brawurowe sceny batalistyczne i rodzajowe Józefa Brandta, Maksymiliana Gierymskiego, to jeszcze jedne „obszary” skupienia w określonej przestrzeni i fabule wielkiego bogactwa polskiego zwyczaju i kostiumu.

Poza funkcją wiążącą malarstwo z dziejami naszych wydarzeń, jest ono również opowiadaniem jakichś historii, przedstawianiem akcji za pomocą umownych środków iluzji. Zasięg tematów od religijnych do laickich, rozbudowanych, wielofigurálnych, bądź kameralnych dowodzi, że te środki iluzji w zależności od konwencji i stylu w dziejach historii sztuki sprowadzały się do doskonalenia i różnego rozumienia oraz stosowania tzw. realizmu. Śledząc takie przemiany zauważamy, że tzw. wierność rzeczywistości widzialnej, potocznej nie sprowadza się tylko do fotograficznego podobieństwa. Szarża polskich kirasjerów pod Samosierrą na małych płótnach Michałowskiego to przede wszystkim efekt iluzji kurzu, mgły, dymu i zaledwie zarysów żołnierzy.



Jan Matejko, *Stańczyk*

Guernika Pablo Picassa, olbrzymie płótno, to ekspresywny, bezwzględnie kubistycznie deformowany krzyk – protest artysty przeciwko wybuchowi wojny domowej w Hiszpanii i zbombardowaniu przez generała Franco w 1937 r. miasteczka o tej samej nazwie.

Takie opowieści, nie będące ilustracjami, są przykładami nie tylko artystycznej wrażliwości ich twórców, ale i ideologizacji ich poglądów. Artyści niezależnie od swego warsztatowego przygotowania są częścią historii. Michałowski wielbił Napoleona. Picasso w 1944 r. wpisał się na krótko do partii komunistycznej. Wtedy kiedy rola twórców rozumiana jest służebnie wobec ideologii i czasu, w którym przyszło im żyć, przedkładają swą społeczną rolę nad artystyczną swobodę. Choć Matejko tworzył, kiedy już narodził się impresjonizm, a w wielu miejscach jego obrazów znajdujemy echa swobodnej techniki wykorzystania koloru i plamy malarskiej, trwał w swej misji służenia narodowi („ja nie komponuję i nie maluję tak, jak rozumiem warunki artystycznej doskonałości obrazu”, domniemane słowa Matejki cytowane za M. Poprzeczką, *Pochwała malarstwa*, Gdańsk 2000, s. 162). Andrzej Wróblewski, artysta osobny polskiego socrealizmu, choć kontestujący ideologię komunistycznej estetyki, wierny pozostał do końca niezależnym poszukiwaniom formalnym, wbrew zarzutom tzw. formalizmu stawianym przez władzę większości niezależnych twórców.

Artysta zanurzony w określonym czasie, sam zmienia historię, wpływając na wiele aspektów życia społecznego. Takie intencje mieli rosyjscy konstruktywiści w 1917 r. Sam ten kierunek w sztuce będący początkowo propagandą rewolucji radzieckiej, z czasem rozwijając się poprzez edukację, szkoły, jak miało to miejsce w przypadku Bauhausu, określił w XX w. standardy architektury – standardy geometrii, prymatu bryły i struktury materiałów nad dekoracją i detalem; zwrócił szczególną uwagę na funkcjonalność budownictwa.

Społeczny wymiar sztuki to odrębny problem rozważań. Niemniej fakt, że artysta nie jest tylko ilustratorem historii oraz obowiązującej ideologii państwowej, lecz staje się kreatorem własnej ideologii,

jest niewątpliwie specyfiką ostatniego, minionego XX wieku. Od przełomu XIX i XX w. swą rolę pojmował on rewolucyjnie. Zarówno w obszarze przemowych zmian w sztuce, jak i ich sprzężenia z rewolucyjną filozofią społeczno-polityczną. Nie bez powodu twórcy pierwszej awangardy oraz ich późniejsi kontynuatorzy postępowość swą w sztuce łączyli z lewicowymi poglądami. Twórcy tego okresu widząc początkowo swą misję po stronie mas społecznych, z czasem jednak stali się awangardą wąskiej grupy twórców i animatorów, kształtującą obecną kulturę wysoką.

Polska sztuka posiada pewien kanon edukacyjny. Historyzm, jest jego permanentną częścią. Wtedy kiedy polscy artyści wyzwalali się z powinności

Warto wreszcie się zastanowić, czy dla nas Polaków obrazy i konteksty historyczne dzieł plastycznych są wciąż żywotne i mogące budzić społeczne emocje. Niewątpliwie same dzieła malarskie, graficzne w stopniu niewielkim. Co najwyżej negatywne emocje budzą liczne pomniki — koszmarny, masowo produkowane przez dyżurnych artystów z kręgów państwowo-kościelnych

cechowych, byli uzależnieni od mecenatu elit politycznych: króla, dworu, magnaterii. Również artyści zagraniczni pracujący na naszych terenach mieli ściśle określone, zleczone zadania. W czasie utraty niepodległości służba narodowa, była oczywistym celem większości pracujących tu twórców. Ale wszystko to, co dla nas jest czytelne i oczywiste, nie zawsze jest zrozumiałe dla innych narodów. Złożoność historycznych polskich losów, natłok symboli, zawilgości wydarzeń oraz ich licznych personifikacji, czyni, że np. obrazy Matejki, czy Jacka Malczewskiego nie są czytelne dla większości Europejczyków, pomimo bardzo ostrego weryzmu ukazywania postaci, przedmiotów i otoczenia przedstawień. Stanisław Taranowski wspomina: „Na wystawie paryskiej w r. 1867 zdarzyło się nam przypadkiem stać przed Rejtanem kolo Francuzów. Jeden z nich tłumaczył innym, że

ten co leży na ziemi, zgrał się w karty, jak wskazują rozsypane dukaty, chce sobie w łeb strzelić, ci trzej nad nim perswadują mu, że nie ma znowu czego tak bardzo rozpaczać.” (M. Szypowska, dz. cyt., s. 146).

Trudność odbioru polskiej sztuki tak obciążonej kontekstem historycznym, specyficznymi nastrojami i klimatami powagi, smutku, melancholii jest argumentem stawianym przeciw naszej sztuce, zapominając, że w całej światowej sztuce zagadnienia powagi, roztrząsania ważnych kwestii historycznych czy egzystencjalnych są częstym dziedzictwem przedstawień. Rodzi się tu przewrotne pytanie czy wszystkie obrazy historyczne, batalistyczne lub alegoryczne europejskich mistrzów są powszechnie znane i czytelne, jak byśmy tego oczekiwali od polskiej sztuki. Odpowiedź jest oczywista, że nie.

Sztuka jak każdy język komunikacji wymaga nauki, nazywania słów, umiejętności budowania zdań i zdolności odczytywania kontekstów i znaczeń. Problemem polskiej sztuki nie jest niekomunikatywność, czy artystyczna wartość sama w sobie. Jej problemem jest prowincjonalność wynikająca z geopolityki. Stąd często zauważalna jest jej wtórność w stosunku do sztuki zachodniej, gdzie rodziły się zjawiska, style, kierunki decydujące o kulturze europejskiej. Nawet najbardziej nieudolne historyzujące obrazy Francji czy Włoch osadzone były w centrum kulturowego motoru przemian.

Warto wreszcie się zastanowić, czy dla nas Polaków obrazy i konteksty historyczne dzieł plastycz-

nych są wciąż żywotne i mogące budzić społeczne emocje. Niewątpliwie same dzieła malarskie, graficzne w stopniu niewielkim. Co najwyżej negatywne emocje budzą liczne pomniki – koszmary, masowo produkowane przez dyżurnych artystów z kręgów państwowo-kościelnych. Poza tym, że zainteresowania nasze kosmopolityzują się, zmieniły się również nośniki przekazu wizualnego. Wciąż żywo oddziałują na nas obrazy Józefa Brandta, Juliusza i Wojciecha Kosssaków, Jana Matejki, Jacka Malczewskiego, Henryka Siemiradzkiego, Antoniego Gierymskiego, Józefa Pankiewicza, ale poprzez fotografie i kino, ujawniając się w wizualnej atrakcyjności nowych mediów. Choć obrazy naszych narodowych malarzy są stałym uzupełnieniem ilustracyjnym podręczników historii, to jednak prawdziwie szeroki rezonans społeczny znalazły one za pośrednictwem filmów z historycznym kontekstem Aleksandra Forda (*Krzyżacy*) Jerzego Hoffmana (*Trylogia* wg Sienkiewicza), Andrzeja Wajdy (*Brzezina*, *Panny z Wilka*, *Pan Tadeusz*) Jerzego Kawalerowicza (*Faraon*, *Quo Vadis*). Twórcy ci wyraźnie w swych obrazach wykorzystują malarskie inspiracje do stylizacji formy, kolorytu, kostiumu, scenerii, światła i powietrza.

Czy to dużo? Pokrzepiająco dużo, zakładając, że filmy te – nazywane obecnie przez krytykę obrazami – zobaczyło już wiele milionów ludzi.

Romuald Oramus

Kilka uwag o czasie



Stanisław Jasionowicz

Miejsca wspólne

Chociaż z racji zawodu dość często mówię o historii literatury, wiem, że nie wolno mi mówić tak, jak historyk. To przecież domena specjalistów. Jednak znalazłem na to sposób. Otóż kto zabroni mi mówić o czasie? A czas dotyczy — i dotyka — tak samo mnie, jak specjalistę od przeszłości

doświadczeniem człowieka. Przykładem może być autobiografia, ta „historia życia”. A wszystkie te znaczenia łączy pojęcie czasu.

Zastanawiam się, czym jest dla mnie czas. I niestety, (jeśli spojrzeć na to z perspektywy oryginalności wywodu) pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mi do głowy, jest myśl, że w samym pojęciu czasu zawiera się próba opisu podstawowego doświadczenia człowieka, którym jest przemijanie. Czy istnieje bardziej palący problem, niż przemijanie? Wiadomo, z punktu widzenia Historii historia mojego własnego przemijania jest mało interesująca. Jednak zarówno moja historia, jak i Historia przez duże „h” to nie tylko „sprawozdania z przemijania” mnie samego, moich bliskich czy zupełnie nieznanymi mi ludzi, a nawet całych społeczeństw czy kultur. To także katalog indywidualnych i zbiorowych sposobów zatrzy-

mywania czasu. Bo właśnie „wyjście poza czas” jest największym marzeniem człowieka, a być może także niewypowiedzianym sensem procesu historycznego.

Wewnętrzny impuls, który skłania nas, by zakorzenić świadomość w czymś, co niezmiennie i ponadczasowe jest wzruszająco *ludzkim* odruchem, ale jest też trudnym i niebezpiecznym wyzwaniem: przecież to, co niezmiennie, jest zwykle postrzegane poprzez doświadczenie nieustannej zmiany: choćby fizycznej i wewnętrznej zmiany w nas samych i w naszym otoczeniu. To chyba dlatego wciąż tak często słyszymy westchnienia w rodzaju: „Przed wojną, to były zimy!”, albo: „Za komuny było lepiej” („bo miałam wtedy dwadzieścia lat”), czy też zaklęcia w stylu: „Od jutra zmieniam swoje życie”... Nawet pozornie neutralne „będzie lepiej” znaczy: będzie inaczej, a w żadnym razie: „tak samo”.

Odkrycie sensu mitów jako „odwiecznego” sposobu wyjścia poza czas było jednym z największych osiągnięć dwudziestowiecznej humanistyki, głównie dlatego, że uświadomiło współczesnemu człowiekowi, że także on sam tworzy mity. Jest prawdą, że mity mogą być zarówno przejawem „wiecznej prawdy o człowieku”, jak też stawać się pożywką dla fundamentalnego fałszu, uzasadniając nierzadko przemoc i gwałt. Ale istotne jest to, że mit nie może już być dziś odczuwany tylko jako ustalona raz na zawsze „bezdyskusyjna prawda”. Mit rekonstruuje się wciąż na nowo, żyjąc w aktywnej wyobraźni pokoleń. Bo wyobraźnia, ta *z y w a p a m i ę ć*, nie jest jedynie rezerwuarem, gromadzącym przeszłe zdarzenia, lecz spoiwem, budującym więź pomiędzy tym, co było, a tym, co „nigdy się nie wydarzyło, lecz jest wiecznie prawdziwe”.

Ze środowisk sfrustrowanych intelektualistów dochodzą od dawna głosy o „końcu wielkich narracji”, sygnalizując stopniowe odchodzenie od tradycyjnego, opartego na poczuciu więzi ze społecznością sposobu przeżywania (zatrzymywania) czasu.

W wielu przypadkach chodzi nadal o czystą kontestację, pojawiają się jednak próby nowych „pozytywnych” rozwiązań, polegające na umieszczeniu poza czasem małych, indywidualnych, ulotnych wydarzeń. To „poezja faktów”, które można określić jako powrót do *esse*, do „tego, co jest”. Tak widzi to między innymi Czesław Miłosz w wywiadzie, zamieszczonym w książce *Rozmowy na koniec wieku*. „Wszystkie światy są tu, teraz” — powiada poeta w wierszu *Zen codzienny*, formułując w ten sposób własną — lecz czy tylko własną? — definicję współczesnej świadomości historycznej. Jako świadek epoki i osobistego przemijania, Miłosz wyznaje w wierszu *Powrót*:

„a jednak dalej myślę, że dusza ludzka należy do antyświata
który jest prawdziwy, tak jak ten tutaj
jest prawdziwy, i straszny,
i śmieszny, i bezsensowny.
Trudziłem się i wybierałem jego przeciwieństwo:
naturę doskonałą,
wyniesioną ponad chaos i przemijanie,
ogród niezmienny po drugiej
stronie czasu”.

Okazuje się, że od marzenia dziewiętnastowiecznych realistów, by „mówić o tym, co jest” był tylko krok do „unieśmiertelnienia rzeczywistości” — po to, by „uchwycić istotę”, by dotrzeć do „wiecznej teraźniejszości” przez uchwycenie „obiektywnych” (czytaj: łączących przeszłość, teraźniejszość i przyszłość) mechanizmów, rządzących losem.

Także historycy są dziś w stanie zaproponować własne sposoby „powiązania czasów”. W swojej

książce *Na zamku Sinobrodego* George Steiner zestawia słynną (w świecie kultury) powieść *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta z nie mniej słynną w środowisku historyków monografią sinologa Josepha Needhama, zatytułowaną *Nauka i cywilizacja Chin*. Według Steinera, w każdej z tych książek porządek nauki i porządek kultury przenikają się w indywidualnej, „autorskiej” wizji złożoności doświadczenia *przeszłości, która nas dotyczy* — nas, jako reprezentantów gatunku ludzkiego i jako niepowtarzalne indywidua, dążące do przekroczenia własnej kondycji poprzez poczucie fundamentalnej łączności z tymi, którzy przeminęli.

„Ufaj prawdom ponadczasowym” oraz „żyj chwilą”, „przyjmuj to, co się zdarza” — te dwa skrajne style „wychodzenia poza czas” dziwnie ciężko ku sobie, a jak wiadomo, skrajności bywają zaskakująco do siebie podobne. Mit, religia, sztuka, historia czy „opowieść o życiu” były „od zawsze” sposobami zatrzymania tego, co przemija. Dziś twórczość literacka, nauki historyczne i pogłębiona refleksja na temat losu mogą nadal odgrywać poważną rolę w budowaniu „nowej obiektywności”, może w postaci jakiejś „subiektywności transcendentalnej”, pozwalającej jaśniej dostrzegać związki pomiędzy „historią życia obywatela X”, „historią kontynentu Z” i „historią Tristana i Izoldy”.

Czas kończyć te dywagacje. Jeśli złamałem tym razem zasadę, którą sam sobie wyznaczyłem: jeden esej, jeden wątek, to trudno — problem czasu jest wyjątkowo długą i wielowątkową historią.

Stanisław Jasionowicz

Teresa Michałowska

Pochwała filologii

Książka Romana Mazurkiewicza *Polskie średniowieczne pieśni maryjne. Studia filologiczne* składa się z dwóch części. Pierwszą, pełniącą rolę obszernego wprowadzenia, otwiera *Rzut oka na dzieje badań...* przynoszący szczegółowo i kompetentnie zarysowany szkic rozwoju historycznej i filologicznej refleksji nad pieśniami religijnymi w Polsce od XVI i XVII w., poprzez wiek XIX, aż po ostatnie lata, obfitujące w prace historycznoliterackie i edytorskie, a także – w odkrycia nowych tekstów. Po tym, jakże pożytecznym i pouczającym przeglądzie, następuje *Ogólna charakterystyka zasobu*. Autor rozważa na wstępie dyskusyjny problem periodyzacji rozwoju pieśni religijnej w polskim średniowieczu, skłaniając się ku niedawno sformułowanej, przekonującej propozycji chronologicznej Wiesława Wydry, który wyodrębnił trzy fazy dziejów twórczości pieśniowej: do końca XIV wieku; od końca XIV do połowy wieku XV; od połowy XV do połowy XVI stulecia. W tym duchu Roman Mazurkiewicz dokonuje uporządkowania i systematyzacji zasobu polskich pieśni maryjnych. W dalszym ciągu przedmiotem opisu autora są m.in. tematy pieśniowe, średniowieczne zbiory tekstów (zachowane i niezachowane), trudności w dochodzeniu autorstwa poszczególnych utworów. Stosunkowo dużo uwagi poświęcono związkom pieśni maryjnych z liturgią mszalną i zjawisku „obrastania” świąt kościelnych (np. Zwiastowania, Wielkiego Tygodnia,

cyjnej utworów następują refleksje dotyczące „językowo-poetyckiego obrazowania” oraz „imion symbolicznych” Maryi. W tym (z założenia skrótowym) ujęciu zabrakło mi jednak uwag o niezwyklej walorze artystycznym podmiotowych monologów Marii, zarówno w niektórych pieśniach o tematyce Bożego Narodzenia, jak zwłaszcza w scenach pod krzyżem (*Lament świętokrzyski!*). Rodzi się tu przecież najczystsza liryka polska, a cierpiąca Maria staje się ucieleśnieniem najgłębiej przeżywanego, ludzkiego macierzyństwa.

Omawiany rozdział, z uwagi na jego rozległy zasięg problemowy, pełni rolę celnego i wartościowego (choć niewielkiego rozmiarami) wprowadzenia do mającej nastąpić serii analiz literackich. Dla na-

Roman Mazurkiewicz, Polskie średniowieczne pieśni maryjne. Studia filologiczne
Kraków 2002 Wydawnictwo Naukowe AP, 414 s.

Wniebowzięcia) pieśniami o stosownej tematyce. Po rozważaniach na temat form wokalnego wykonywania pieśni, struktury wersyfikacyjnej i kompozy-



Fot. Mieczysław Więclawek

stępującego po nim *Inwentarza polskich pieśni maryjnych do połowy XVI wieku* nie znajduję dostatecznych słów pochwały. Wyrażam wielkie uznanie zarówno dla pomysłu, jak dla kompetentnego i precyzyjnego wykonania, żalując jednocześnie, że nie podjęto dotychczas inicjatywy opracowania w taki oto sposób całego zasobu pieśniowego.

Druga, zasadnicza część książki: *Studia i analizy* składa się w istocie z dwóch niezależnych bloków problemowych: pierwszy z nich wypełniają analizy wybranych pieśni maryjnych; drugi – obszerne studium porównawcze polskiego zasobu pieśniowego z zasobem czeskim.

Poddane analizie pieśni maryjne zostały wybrane i uszeregowane (jak zdradza autor na s. 14) według „klucza” teologicznego. Trzy pierwsze zostały przeznaczone na „najważniejsze święta maryjne o rodowodzie starochrześcijańskim”: na święto Narodzenia Maryi (pieśń o incipicie *Anna święta i na-bożna...*), na święto Zwiastowania i Wcielenia (pieśń o incipicie *Mocne Boskie tajemności...*), na święto Zaśnięcia i Wniebowzięcia (pieśń o incipicie *Swiebodność Boga żywego...*). Czwarty utwór o incipicie: *Kwiatek czysty, smutnego sierca ucieśzenie...* nie wiąże się z określonym świętem maryjnym, ale zawiera pochwałę „zasług i cnót” Maryi „w perspektywie jej eschatologicznego orędownictwa”. Decyzja co do wyboru określonych utworów ma charakter podmiotowy i z tego względu nie podlega dyskusji. Jako czytelniczka książki zabrakło mi jednak w tym zestawie utworów najbardziej reprezentatywnych dla zasobu polskich pieśni maryjnych; mam na myśli przede wszystkim wspomniany już wcześniej *Lament świętokrzyski*. Nie upominam się o *Bogurodzicę* tylko z uwagi na tematykę wcześniejszej, znakomitej książki autora.

Analizując kolejne utwory autor przyjął i konsekwentnie realizował procedury badawcze uznawane za tradycyjnie filologiczne; myślę, że efekty jego dociekań dowodzą stałej aktualności i niezawodności takiej właśnie metody postępowania naukowego. W centrum uwagi znalazły się dociekania tekstologiczne, określane mianem „restytucji tekstu”. Z prawdziwą maestrią wprowadzono czytelnika w gąszcz

problemów, z jakimi styka się badacz mający do czynienia czy to z jednym (często niewyraźnym, niewolnym od usterek) zapisem utworu, czy to z paroma zapisami, z których każdy kryje w sobie własne zagadki i może dokumentować nieco odmienną redakcję tekstu. Dopiero uporządkowanie sfery tekstologicznej, zaproponowanie najbardziej prawdopodobnego i historycznie umocowanego odczytania warstwy leksykalno-składniowej utworu umożliwia jego „eksplikację”: dotarcie do pokładów semantycznych, umożliwiających historycznoliterackie objaśnienie zawartych w nim sensów. Ta egzegeza odznacza się wszechstronnością i wnikliwością, a zarazem wyczuleniem na podłoże teologiczne, co w naturalny sposób narzuca tematyka pieśni. Dociekliwość badacza zmierza też w innych jeszcze kierunkach: podejmuje on trud dociekań autorstwa, datowania czy komparatystycznych prób wskazania „wzorców i analogii” utworów. Tu chciałabym wyrazić podziw dla studium o pieśni *Mocne Boskie tajemności*. Zwłaszcza fragment dotyczący „problemu autorstwa” budzi uznanie nie tylko bogactwem wykorzystanych materiałów źródłowych, ale też pomyślnością interpretacji zwrotu „Mistrz Maciej o tobie pisze”, który (czego nie dostrzegł nikt przed Mazurkiewiczem) może odnosić się nie do autora tekstu, ale do jakiegoś „mistrza”, będącego dlań godnym przywołania autorytetem.

Osobne słowa najwyższego uznania należą się studium dotyczącemu zadziwiającej na tle zasobu polskich utworów maryjnych pieśni *Kwiatek czysty, smutnego sierca ucieśnienie*. Aby dokonać eksplikacji tekstu, autor musiał zagłębić się w skomplikowaną problematykę średniowiecznej symboliki florystycznej i kolorystycznej. Polisemiczność symboli, należących w tej epoce do „języków” różnych sztuk równocześnie, narzuca wielokierunkowy i wielopłaszczyznowy tryb ich deszyfracji. Autor szukał oparcia – co oczywiste – w tradycji biblijno-chrześcijańskiej, a mając na uwadze teologiczne sensy znaków symbolicznych poszukiwał też różnych sposobów ich „użycia” w pokrewnych tematycznie tekstach religijnych. Wyniki analiz autora w pełni przekonują, choć na marginesie tekstu pojawiają się

W bogaty nurt badań nad średniowieczną spuścizną polskiej poezji maryjnej wpisał się Roman Mazurkiewicz, zarówno przez swe edycje źródeł maryjności polskiej z okresu średniowiecza – książki: *Jaśniejsza tysiąc nad słońce* (Kraków 2000) oraz *Teksty o Matce Bożej. Polskie średniowiecze* (Niepokalanów 2000) – jak opracowania poszczególnych zabytków poezji maryjnej w czasopiśmie specjalistycznym „Salvatoris Mater”. Tematykę tę podejmuje również ostatnia monografia Romana Mazurkiewicza: *Polskie średniowieczne pieśni maryjne. Studia filologiczne* (Kraków 2002). Omówienie kanonu polskiej religijnej pieśni maryjnej epoki średniowiecza jest zadaniem niezwykle wagi naukowej wobec faktu przynależności tego zasobu do najstarszej warstwy religijności polskiej w jej postaci elitarnej i masowej.

Dzięki zastosowaniu nowoczesnych sposobów eksplikacji polskich śpiewów maryjnych odsłonił autor nie tylko wysoki poziom teologiczny i literacki utworów, ale wskazał na źródła inspiracji religijnej i charakter wzorców, do których odwoływali się średniowieczni mistrzowie w przekazie tajemnic maryjnych przyobleczonych w poetyckie brzmienie staropolskiej mowy. Efekty tej wielowarstwowej analizy filologiczno-mariologicznej zainteresują z pewnością liczne grono polonistów, biblistów, liturgistów, mariologów, historyków religijności i kultury masowej, sztuki i dawnej twórczości muzycznej. Książka Romana Mazurkiewicza może stać się ważnym stymulatorem dla dalszych badań nad staropolską kulturą religijną i jej związkami z łacińskim dziedzictwem duchowej tradycji europejskiej. Opracowanie prowokuje bowiem do pytań o miejsce i zakres zastosowania pieśni maryjnej w życiu polskiej społeczności religijnej. W nowym świetle domaga się ono krytycznego potraktowania roli pierwiastka maryjnego w paralelnej warstwie średniowiecznej tradycji innych Kościołów europejskich (czeskiego, niemieckiego, włoskiego, francuskiego czy krajów skandynawskich).

Józef Jerzy Kopec

czasem znaki zapytania czytelnika. Oto np. czy „kwiatek czerwony, róża zamorska” – to rzeczywiście „symbol Bożej, oblubieńczej, płomiennej miłości” (s. 304), albo: czy tylko taki właśnie sens symboliczny jest tu ewokowany, skoro czerwień była (chyba jednak przede wszystkim, poprzez skojarzenie z krwią) symbolem męczeństwa. Na sąsiedniej stronie (s. 305) Mazurkiewicz przytacza w tekście św. Antoniego z Padwy takie słowa dotyczące Maryi: „Była czerwona podczas męki Syna...”. Motyw krwi (czerwieni) przenika *Lament świętokrzyski*, co nie wydaje się przypadkowe i, jak mierniam, mieści w sobie treści symboliczne.

Zamykające książkę studium *O staroczeskich wzorcach i analogiach polskich średniowiecznych pieśni maryjnych* (s. 323-362), będące efektem drobiazgowych badań komparatystycznych, przeprowadzonych z budzącą podziw kompetencją, stanowi prawdziwie miłowy krok w badaniach nad polską pieśnią średniowieczną. Potrzeba spenetrowania zasobu poezji staroczeskiej pod kątem jej możliwego oddziaływania na naszą twórczość narodową była odczuwana i deklarowana przez badaczy jeszcze w XIX wieku (por. s. 323-326), jednak pracy takiej nie podjęto w sposób systematyczny. Roman Mazurkiewicz wykonał niezbędne badania porównawcze w odniesieniu do pieśni maryjnych, a ich rezultaty przedstawił w sposób usystematyzowany, wyodrębniając następujące grupy tekstów – z uwagi na różny stopień ich powiązania z czeskimi wzorami: a) pieśni tłumaczone z oryginałów czeskich (np. *Nas uszech nadziejo przemiela; Zdrowa, matko Syna Bożego*); b) przekłady pieśni łacińskich za pośrednictwem wersji czeskich (np. *Zdrawa, gospodze miłoty... — Salve regina*); c) przekłady i parafrazy pieśni łacińskich przy hipotetycznym pośrednictwie czeskim (np. *Zdrowaś gwiazdo morska — Ave, maris stella*); d) Pieśni oryginalne wykazujące powinowactwa z utworami staroczeskimi (tu: *Bogurodzica; Posłuchajcie, bracia miła; Radości wam powiedam*).

Nie zgłaszając uwag szczegółowych do efektów tej świetnie wykonanej pracy porównawczej pragnęłabym jedynie zaproponować autorowi wspólną re-

fleksję nad kategorią „oryginalności”, powracając wielokrotnie w jego rozważaniach. Np. na s. 14, kiedy prezentuje on zasadę dokonanego przez siebie wyboru tekstów, czytamy: „wszystkie są utworami oryginalnymi”. O oryginalności niektórych pieśni pisze też na s. 43: „Nawet bowiem w najstarszym okresie (...) przewaga utworów tłumaczonych z łaciny lub z języka czeskiego nad pieśniami oryginalnymi wcale nie rysuje się tak wyraźnie. (...) Powstają wówczas... utwory... do dzisiaj uchodzące za dzieła oryginalne”. Wreszcie, by nie mnożyć przykładów, wspomnę tylko przytoczoną wyżej systematykę, uwzględniającą pieśni „oryginalne” (wśród nich *Bogurodzicę* i *Lament świętokrzyski*).

We wszystkich wskazanych (ale i innych) miejscach utwór „oryginalny” przeciwstawia się dziełu przełożonemu z innego języka, a tak pojęta „oryginalność” jest jednoznacznie opatrywana znakiem dodatnim i sugeruje wyzność artystyczną utworu oryginalnego nad przekładowym. Taka (dająca się łatwiej zrozumieć na tle współczesnych pojęć) aksjologia wydaje mi się nieco ahistoryczna i niepasująca do poetyckiej twórczości średniowiecza. *Ars* średniowieczna wymuszała przecież niejako, jeśli nie translację wybranego wzorca, to przynajmniej stałe korzystanie z tradycyjnie utrwalonych tematów, motywów, obrazów, formuł, cytatów, stanowiących niezbędne zaplecze erudycyjne każdego twórcy; raczej wielorakie związki z wzorami, niż niezależność od

nich uważano za znamię doskonałości, uczoności i poszanowania autorytetów, zwłaszcza — w przypadku utworów religijnych, od których oczekiwano poprawności teologicznej. Czy powszechna w polskim piśmiennictwie średniowiecznym praktyka tłumaczenia (wiernego, swobodnego, parafrazowania) wzorów może obniżyć ocenę wartości artystycznej dzieł? Czy np. *Rozmyślanie przemyskie*, tak szczerze czerpiące z różnych źródeł (oto temat-rzeka dla prof. Wacława Twardzika) można uznać za utwór pozbawiony „oryginalności”? Pragnę jednocześnie wyrazić głębokie przekonanie, że domniemana niezależność od obcych pierwowzorów niektórych pieśni religijnych wynika z braku odpowiedniej dokumentacji i jest po prostu kwestią „stanu badań”, a nie ich „oryginalności”. I wreszcie pytanie: jak rozumieć „oryginalność” *Bogurodzicy* (w świetle badań Mazurkiewicza oraz całej wcześniejszej literatury przedmiotu) lub *Lamentu świętokrzyskiego* (w świetle choćby tylko znakomitego studium Sante Graciotiego oraz odpowiedniego fragmentu omawianej książki, s. 355–358)?

Zgłoszone pytania i uwagi w najmniejszym stopniu nie rzutują na ogólną ocenę książki. *Polskie średniowieczne pieśni maryjne* uważam za kolejne, ważne osiągnięcie w dorobku naukowym autora, a nade wszystko — za ciekawe wydarzenie w rozwoju polskiej mediewistyki literackiej.

Teresa Michałowska

Esej o polskim Wrześniu 1939

Tytuł interesującego eseju Jacka Chrobaczyńskiego „Nie okrył się niestawą naród polski”, oparty jest na opublikowanej w podziemiu przez generała Stefana Roweckiego „Grota”, dowódcę Armii Krajowej, broszurze zatytułowanej „Czy wrzesień 1939 r. okrył niestawą naród polski?” Generał Rowecki słusznie twierdzi, że nie, gdyż biliśmy się dzielnie, i nawet usprawiedliwia opuszczenie przez Naczelnego Wodza, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, walczących wojsk, wyjazd do Rumunii, która to decyzja została wówczas przyjęta powszechnym oburzeniem i jeszcze dziś, mimo znacznie spokojniejszej oceny, jest trudna do wytłumaczenia i obrony

Jacek Chrobaczyński, dokonując podsumowania sytuacji powstałej w Europie w efekcie ukształtowanego po I wojnie światowej i potwierzonego w traktacie wersalskim porządku, wymienia zasadnicze powody wybuchu wojny. „Wybuch drugiej wojny światowej stanowił logiczną konsekwencję stopniowego, choć stałego rozpadu systemu wer-

salskiego oraz rosnącej destabilizacji międzynarodowej. U jej źródeł leżały: polityka Trzeciej Rzeszy wsparta przez Włochy, Japonię i Związek Sowiecki, bierna postawa ówczesnych mocarstw: Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych, a także nieludzka ideologia niemieckiego nazizmu i sowieckiego komunizmu (bolszewizmu)”.

Bardzo trafny jest opis postaw społeczeństwa polskiego, zjednoczonego w obliczu najpierw niemieckich żądań i nacisków, a następnie najazdu i, później, okupacji. To cały czas był ten sam naród, głęboko patriotyczny, odważny, zdecydowany walczyć najpierw w obronie, a następnie o odzyskanie niepodległości. Pod tym względem nie ma w zasadzie większych różnic w całej polskiej historiografii. Na tym tle niezrozumiałe są stwierdzenia Chrobaczyńskiego o „małości polskich przywódców” (s. 21); uzasadnieniem tej „małości” ma być brak wyobraźni co do zamierzeń Hitlera i Stalina oraz odrzucenie idei Rządu Narodowego na wzór 1920 roku, nieposłuchanie przez prezydenta (Ignacego Mościckiego) apelu intelektualistów z marca 1939, którzy postulowali „włączenie wszystkich stronnictw do pracy nad bezpieczeństwem kraju” (s. 21), co jest właściwie tym samym, „nie mówiąc już o oficjalnej, państwowej propagandzie z jej najbardziej kłamliwym, nadętym i spektakularnym hasłem: «nie oddamy nawet guzika»” (s. 44). Sugeruje to, że polska po-



Jacek Chrobaczyński

lityka w 1939 roku mogła być inna, co zresztą twierdzili wówczas i jeszcze wiele lat po wojnie ludzie tak wybitni, jak np. Stanisław Cat-Mackiewicz, uważający Józefa Becka za głównego sprawcę naszych nie-szczęść postulującego w gruncie rzeczy przyjęcie warunków Hitlera i wspólny przy boku Wehrmachtu marsz na Moskwę.

Moim zdaniem w 1939 Polska nic innego niż uczyniła zrobić nie mogła, Beck nie popełnił żadnego większego błędu, a wciągnięcie Anglii do wojny z Niemcami było wszystkim, co można było uzyskać. Nie jest winą Polski, że nasi sojusznicy żałośnie zawiedli, chociaż trzeba pamiętać, że wypowiedzenie 3. września wojny Niemcom przez Anglię i Francję przekształciło lokalną wojnę w konflikt światowy i już od tego momentu klęska Hitlera była przesądzona; żaden Rząd Narodowy, wciągnięcie partii opozycyjnych itp. nie zmieniłoby sytuacji w obliczu niemiecko-sowieckiej agresji.

Szansą na zakończenie wojny już jesienią 1939 roku było wypełnienie zobowiązań przez Anglię, a zwłaszcza Francję, mającą przewagę nad Niemcami pod każdym względem, liczby czołgów, samolotów i żołnierzy. Na ten temat istnieje ogromna literatura, a ostatnio ukazała się kolejna praca bardzo dobrze dokumentująca przewagę Francji na froncie zachodnim zarówno jesienią 1939, jak i wiosną 1940 roku (Wolfgang Venohr, *Stauffenberg – symbol oporu*, Warszawa 2002). Jacek Chrobaczyński twierdzi, że „nie wiadomo” (s. 152), czy uderzenie wojsk

śniej – prezydent Paul von Hindenburg nie musiał wcale mianować Adolfa Hitlera kanclerzem Rzeszy. Na ogół nikt nie mówi, że nie wiadomo, co wówczas by się stało. Nie da się tego rodzaju sporów rozstrzygnąć przez odwołanie się do empirii.

Najlepszym rozdziałem książki Jacka Chrobaczyńskiego jest, w moim przekonaniu, sam opis przebiegu kampanii wrześniowej – *Dramatu wrześniowego dzień po dniu*. Znakomicie dobrane są fragmenty dzienników znanych pisarzy, wypowiedzi polityków, dowódców, zwykłych ludzi. Najbardziej wstrząsający jest dla mnie znany wiersz Mariana Hemara:

„I tak to pamiętam – żeś wbiegła do mego pokoju i z progu Krzyknęła: Wiesz? To już wojna – i wszystko, co stało się
potem,

Po tych słowach, to była już tylko daleka droga,
Samotna droga, której już nigdy nie zrobię z powrotem”.

Istotnie, dla wielkiego poety i polskiego patrioty, jak również dla bardzo wielu ludzi, z tej drogi nie było powrotu. Pamiętam na jednej z przedwojennych kronik filmowych zachód słońca, w czwartek 31 sierpnia 1939 roku kończył się dla Polski i dla bardzo wielu ludzi – „szczęśliwy, krótki sen” – to także fragment wiersza Hemara, pełnego tęsknoty i pisanego w dalekim Londynie w czasach, gdy wydawało się, że rządy komunistów w Polsce nie skończą się nigdy. Również dla moich rodziców: ojca, który walczył zarówno w 1920 roku, jak i w 1939 (i w Armii Krajowej), i dla matki, która urodziła się

w 1920 roku i mówiła, że w szkole – wojny i powstania to było coś nieprawdopodobnie dalekiego, co nigdy już

Jacek Chrobaczyński, *„Nie okrył się niestawą naród polski”
Społeczne aspekty Września 1939 roku*
Wydawnictwo Naukowe AP, Kraków 2002, 206 s.

francuskich we wrześniu 1939 na Niemcy zakończyłoby wojnę? Oczywiście, jak zawsze w tego rodzaju sporach, każdy ma prawo upierać się przy swoim zdaniu, ale w takim razie, trzeba być konsekwentnym i twierdzić, że nie wiadomo nic. Historycy są zgodni, że wystarczyłoby jedno lokalne uderzenie w Nadrenii w 1935 i Hitler musiałby się cofnąć, co doprowadziłoby do upadku nazizmu, a jeszcze wcze-

przecież nie może się zdarzyć, i że pamiętała jeszcze, jak powstańcy 1863. przychodzili na lekcje wychowawcze, to był krótki sen. Po wojnie, w ponurych latach Polski Ludowej, tata wielokrotnie powtarzał, że my nie możemy sobie wyobrazić jak wspaniale było w Polsce, że to wszystko co nas otacza, cały komunizm ze swoją nędzą, chamstwem i kłamstwem, zmienił nasz kraj, ludzi, wszystko tak dalece, że nie

jest nasza wina, że nawet nie możemy tego zrozumieć, bo nie mamy porównania.

Opisując przebieg kampanii, najważniejsze bitwy i heroiczny polski opór oraz nadzieje związane z odsieczą, która nie miała nadejść, autor jednak przyjmuje utrwalony punkt widzenia, a mianowicie wojny przede wszystkim z Niemcami. W wymiarze wojskowym tak istotnie było, chociaż w miarę wydłużania się niemieckich linii zaopatrzeniowych i rosnących strat rosły nadzieje na opór na tzw. Przedmościu Rumuńskim. Natomiast w wymiarze politycznym agresja sowiecka była pod pewnymi względami nawet ważniejsza od niemieckiego najazdu, gdyż ostatecznie przekreślała szanse na jakikolwiek dalszy zorganizowany polski opór. Stanowczo zbyt mało autor pisze o wojnie polsko-sowieckiej, która jest istotnym fragmentem kampanii wrześniowej. Na ten temat istnieje przecież bogata literatura, poczynając od Władysława Poboga-Malinowskiego, aż do cieszących się ostatnio dużą popularnością opracowań Karola Liszewskiego. Tę samą optykę prezentuje autor pisząc o postawach polskiego społeczeństwa w warunkach okupacji; nie twierdzi, jak komuniści w swojej zakłamanej historiografii, że była tylko jedna niemiecka okupacja, ale w gruncie rzeczy tylko tę niemiecką analizuje, np. pisząc: „Fenomen jednak Września polegał na tym, że klęska zjednoczyła społeczeństwo bardziej niż w przeszłości niejedno efektowne zwycięstwo (...) zdecydowana większość społeczeństwa ogłosiła swoisty wewnętrzny, polsko-polski Treuga Dei, jednocząc się i prezentując zaciętą nieustępliwość wobec wroga... Zwróćmy jednak uwagę, że pojawiły się w kraju grupy społeczne, które okupanci po części zdołali pozyskać swoją demagogią, ideologią, czy społeczną ofertą. Jednak nie odegrały one większej roli... Choć przykłady kolaboracji, niekiedy widocznej i drażniącej, w obu okupacjach wystąpiły” (s. 142). Skala kolaboracji na terenach włączonych na mocy paktu Ribbentrop – Mołotow do Związku Sowieckiego była nieporównywalnie większa niż na terenach okupowanych przez Niemcy, tzn. w Generalnej Guberni. Bardzo długa jest lista kolaborantów (m.in. Tadeusz Boy-Żeleński, Wanda Wasilewska, Stanisław Jerzy

Lec, Leon Pasternak, Jerzy Putrament, Elżbieta Szemplińska, Adam Ważyk, Józef Prutkowski, Leopold Lewin, Włodzimierz Sokorski, Wiktor Grosz, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Julian Strykowski) i są to często nazwiska w polskiej kulturze i literaturze znaczące. Wielu z nich wypisywało rzeczy nie mieszczące się dziś w głowie, jak np. nazywanie dnia 17 września 1939 roku „dniem wyzwolenia”. (Leon Pasternak *Wiersz noworoczny*). Bardzo szczegółowo problem kolaborantów sowieckich omawia Bohdan Urbankowski w pracy *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*. Ten wstydlivy rozdział dziejów najnowszych, celowo przemilczany i zaklamywany, pozostaje w gruncie rzeczy nadal znany jedynie bardzo wąskiemu kręgowi specjalistów. Szkoda, że książka Chrobaczynskiego nie przyczynia się do jego dokładniejszego poznania. W zamian autor uważa za stosowne włączyć się do krytyki Piusa XII podnosząc, bardzo często w złej wierze wielokrotnie stawiane zarzuty i to wytłuszczonym drukiem: „Krytyka stanowiska papieża ze strony środowisk polskich – i nie tylko – z biegiem lat wojny i okrutnych jej doświadczeń – nie zmieniła zachowawczej postawy (i oceny, przynajmniej w niektórych kręgach). Pod adresem papieża kierowano oskarżenia o sympatie proniemieckie i obojętność wobec dramatu wojennych ofiar... Sprawa stosunku Piusa XII do wybuchu wojny, jej ofiar, a także stosunku do Polaków pozostaje w historiografii nadal dyskusyjna” (s. 113). Jest to jednak konstatacja nad wyraz jednostronna i autor sam zdaje sobie z tego sprawę, cytując łagodzącą powyższe stwierdzenie opinię ks. Waleriana Meysztowicza ze znanej książki Pierre’a Bleta. Szkoda, że nie zacytował z tej samej książki np. innego, w moim przekonaniu, znacznie lepiej wyjaśniającego postawę Ojca Świętego Piusa XII fragmentu: „...w wypowiedzi skierowanej do ambasadora Włoch w maju 1940 r. Papież powiedział: «We Włoszech wszystkim wam wiadomo, co dzieje się w Polsce, powinniśmy mówić bardzo mocno, powinniśmy rzucać płomienne słowa przeciwko tym aktom bezprawia. Jeżeli tego nie czynimy, to dlatego, że w ten sposób pogorszymy jeszcze sytuację ofiar»”. (Pierre Blet, *Pius XII i druga wojna światowa*

wa w tajnych archiwach watykańskich, Katowice 2000), narażając się tym samym na zarzut braku niezbędnej przecież dla historyka bezstronności.

Bardzo interesujące jest dokonane przez autora podsumowanie, w którym między innymi pisze: „Wrzesień powinien pozostać jedną z najważniejszych dat w naszej historii... powinien być... źródłem i motywem do głębszej refleksji. Spokojnego dyskursu, nie tylko w sferze działań tamtego czasu, tamtego kontekstu, tamtej klęski i doświadczenia. Nie sprowadzać się wyłącznie do próby pojednania polsko-niemieckiego czy polsko-sowieckiego... Nie powinna go pokryć patyna czasu ani przesłonić bieżąca polityka” (s. 155). Trudno nie zgodzić się z tymi słowami, ani z dalszym ciągiem rozumowania autora, gdy radzi, aby nawet w spojrzeniu na odzyskanie wolności i niepodległości w 1989 roku, i w wejściu do NATO w 1999 roku oraz w doświadczeniach Polski demokratycznej dostrzegać także perspektywę tamtego września. Jest to szczególnie ważne w obliczu narastającej ignorancji szczególnie w obszarze historii, zwykłego nieuctwa, politycznego i zwyczajnego chamstwa, wyraźnego osłabienia patriotyzmu.

Esaj Jacka Chrobaczyńskiego jest ważnym głosem w dyskusji nie tylko nad najnowszą historią, ciągle w wielu kręgach i środowiskach żywą i dyskutowaną, lecz także nad wieloma zagadnieniami związanymi z dramatycznymi losami Polski i Polaków podczas II wojny światowej. Jak zawsze można dyskutować nad tym, czy wszystkie odpowiedzi i poglądy autora są słuszne; w moim przekonaniu – nie są. Ale różnice zdań są nie tylko podstawą funkcjonowania demokracji, lecz również rozwoju nauki w każdej dziedzinie. W niektórych kwestiach autor stawia pytania, na które, według mnie, odpowiedzi zostały już udzielone, w innych jakby unikał odpowiedzi, np. co mieli uczynić politycy polscy decydujący w roku 1939 o polskiej polityce zagranicznej, aby uniknąć katastrofy wrześniowej? W tej kwestii komuniści twierdzili, że należało zgodzić się na wkroczenie Armii Czerwonej do Polski, na co słusznie nie zgodził się minister Beck twierdząc, że Armia Czerwona jak raz wejdzie do Polski, to już nie wyjdzie. Natomiast niektórzy, bardzo nieliczni, politycy

prawicy uważali, że należało ustąpić Hitlerowi, nie przyjmować na siebie pierwszego uderzenia Wehrmachtu, przeczekać, a następnie przyłączyć się w odpowiednim momencie do zwyciężających aliantów. Pogląd ten, w moim przekonaniu absurdalny, jest powtarzany czasami po dziś dzień. Moje pokolenie nie pamięta już wojny, ale dobrze pamięta propagandę komunistyczną żerującą na wojnie, hasło – nigdy więcej wojny, miało uwiarygodnić dyktatorskie rządy PZPR. W pewnym okresie silnych antyniemieckich urazów i postaw, w znacznym stopniu przecież zrozumiałych, tego rodzaju propaganda miała swoje znaczenie. Stopniowo, wobec załamania się gospodarki i wyraźnej niezdolności systemu do podejmowania pojawiających się wyzwań, była tylko irytującym przykładem skostnienia i braku wyczucia. Jak każda wojna agresywna, również niemiecki i sowiecki najazd na Polskę obrócił się po latach przeciwko agresorom. Nie tylko upadła Trzecia Rzesza, ale Niemcy utraciły terytoria, których już nie udało im się odzyskać, a niemieckie straty w wielu dziedzinach są ogromne. Jak trafnie zauważył Chrobaczyński, pokusa zbrojnego rozwiązywania konfliktów jest drogą do katastrofy.

Szkoda tylko, że ta bardzo wartościowa i potrzebna książka zawiera zbyt wiele, moim zdaniem pomyłek, nieścisłości, a nawet błędów. Oto kilka przykładów, lecz jest ich znacznie więcej: określenie Polski „*wersalski bękart Europy*” (s. 13) – chodzi chyba o znane wystąpienie Mołotowa w dniu 31 X 1939 r. na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRS, wielokrotnie błędnie cytowane, gdzie miał on rzekomo powiedzieć o naszym kraju: „koszmarny bękart traktatu wersalskiego”, a w rzeczywistości powiedział: „poroniony płód traktatu wersalskiego”, (po rosyjsku – „urodliwoje dietiszcze”); twierdzenie, że major Henryk Sucharski w dniach 1–7. 09. 1939 roku „dowodził bohaterską obroną polskiej placówki na Westerplatte” (s. 177) – w rzeczywistości obroną Westerplatte dowodził kpt. Franciszek Dąbrowski, mjr Sucharski był załamany nerwowo, chciał kapitulować i był niezdolny do dowodzenia (Mariusz Boroński, *Westerplatte, w obronie prawdy*, Gdańsk 2001); Wilhelm Keitel – „najbliższy doradca Hitlera

w podejmowaniu najważniejszych decyzji” (s. 166) — feldmarszałek Keitel bardzo by się zdziwił, gdyby mógł to przeczytać, w rzeczywistości był figurantem i potakiewiczem, z którego opinią, jeśli w ogóle jakąś miał, Hitler z pewnością się nie liczył. Hitler w zasadzie nie słuchał nikogo i trudno mówić w ogóle o doradcach führera, a jeśli już, to raczej był nim nazywany „mózgiem III Rzeszy” dr Joseph Goebbels. Heinrich Himmler „został jednak rozpoznany i ujęty przez żołnierzy brytyjskich” (s. 164) — w rzeczywistości nikt go nie rozpoznawał ani nie ujmował, bo sam się zgłosił na punkcie kontrolnym w Bremer-vorde, a następnie ujawnił swoją tożsamość; nadal wszystkie okoliczności, a przede wszystkim skandaliczna głupota i niedbalstwo Brytyjczyków, którzy dopuścili do samobójstwa Himmlera stanowią przedmiot przeróżnych domysłów i spekulacji (Hugh Thomas, *Tajemnica śmierci i bogactw Heinricha Himmlera*, Warszawa 2002). Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski: „Po przystąpieniu Włoch do wojny wyjechał do Portugalii, później poseł na Kubie” (s. 160), w rzeczywistości wyjechał do USA, gdzie popełnił samobójstwo (został mianowany ambasadorem RP na Kubie, ale nigdy tam nie pojechał). Wreszcie błąd innego, znacznie poważniejszego, rodzaju: „Chciałbym w tym miejscu zakwestionować to powszechne przekonanie, że «byliśmy narodem bez Quislingów»” a autor podaje jako przykłady kolaboracji ONR i Władysława Studnickiego, dodając, że „kolaboracją na masową skalę sami Niemcy nie byli zainteresowani” (s. 140–141). W rzeczywistości Obóz Narodowo-Radykalny był

najbardziej chyba antyniemiecką organizacją podczas okupacji, walczył na najtrudniejszych, z uwagi na wysiedlenia Polaków terenach zachodnich, głównie w Wielkopolsce, płacąc bardzo wysoką cenę tej walki. Postulował także przyłączenie do naszego kraju Pomorza, Dolnego i Górnego Śląska oraz Prus Wschodnich. Władysław Studnicki, znany germanofil, ale też wielki polski patriota istotnie rozmawiał z Goebbelsem w Berlinie o jakiejś formie odbudowania państwowości polskiej pod niemieckim protektorem, biorąc za dobrą monetę pojednawcze przemówienie Hitlera z października 1939 roku, ale dowiedziawszy się od swojego rozmówcy, że to przemówienie ma propagandowy charakter, przy okazji protestował tak mocno przeciwko niemieckim zbrodniom, popełnianym w Polsce, że gestapo umieściło go w areszcie domowym. Z pewnością nie o taką kolaborację nazistom chodziło. Problem poszukiwania przez Niemców kolaborantów po stronie polskiej jest skomplikowany, ale jednak takie próby były podejmowane wielokrotnie. Do bardziej znanych należą rozmowy z byłymi premierami Leonem Koźłowskim i Kazimierzem Bartlem, odrzucili oni jednak niemieckie oferty. Generalnie wydaje mi się, że można zaryzykować twierdzenie, iż mimo wszystkich różnic, nasz naród nie wydał Quislinga, co jest powodem do dumy.

Tego rodzaju, wynikające chyba z nadmiernego pośpiechu, pomyłki nie umniejszają jednak wielkiej wartości książki profesora Jacka Chrobaczyńskiego.

Stefan Niesiołowski

Wielka Historia Polski została obmyślana i opracowana w kręgu badaczy związanych z Akademią Pedagogiczną w Krakowie, przez zespół złożony z kilkunastu autorów, którymi kierował Feliks Kiryk. Znacząca użyteczność dydaktyczna wyróżnia to wydawnictwo spośród innych podobnych. Autorzy (i wydawcy) najwyraźniej dbali o to, by z dzieła o tak znacznych rozmiarach łatwo było korzystać. Temu służy rozdzielenie całości na 15 woluminów niemal równych rozmiarów, przy tym niezbyt grubych i przez to bardzo poręcznych w użyciu. Aby dokonać tego rozdzielenia, autorzy nie zabiegali o jakiś głęboko uzasadniony podział periodyzacyjny, ani o nadanie poszczególnym tomom odpowiednich tytułów – wyróżniali je tylko datami krańcowymi. Przy tym – co jest rzeczą zrozumiałą – dziejom nowszym poświęcono więcej miejsca, niż dawniejszym.

Wielka historia Polski jest przeznaczona dla uczniów, którzy chcą poszerzyć wiedzę o dziejach ojczystych. Z myślą o takim właśnie odbiorcy sporządzono narracje tekstowe. Autorzy starają się w nich ukazać strukturę obrazu historycznego, stąd unika się przeładowania go nadmiarem faktów, spośród których wprowadza się jedynie te, które są niezbędne do przeprowadzenia rozumowania. Równocześnie zadbano o to, by czytelnik mógł zaspokoić ciekawość, skonkretyzować przedstawione w narracji zjawiska i procesy. W tym celu, dla wykładu dziejów Polski przygotowano równoległe kronikę wydarzeń, w której znalazły się liczne informacje wzbogacające narrację podstawową. W rozdziałach zawierających wykład dziejów powszechnych umieszczono kalendaria i tabele chronologiczne.

W tekście głównym znaleźć można obszernie wyjaśnienia terminów historycznych, odpowiednio z tego tekstu wydodrębnione i uwzględniające potrzeby użytkowników o różnym stopniu czytania w lekturze historycznej i o różnych możliwościach poznawczych. Każdy tom ma uzupełnienia, w których opisane zostały istotne dla naszych dziejów zjawiska i problemy. Są to narracje szczegółowe będące wzorcami wyjaśniania i oceniania zjawisk historycznych.

Wśród wydanych dotychczas wielotomowych dziejów Polski *Wielka Historia Polski* jest pozycją najbardziej udaną.

Alojzy Zielecki

Oryginalna kompozycja wewnętrzna ułatwia posługiwanie się nim i wyszukiwanie pożądanej informacji. Głównej części narracyjnej w tomach, podzielonej na rozdziały, towarzyszy drukowane równoległe obszerne kalendarium. W ten sposób czytel-

Wielka Historia Polski, pod red. F. Kiryka, t. 1–15, Kraków 1997–2002, 4296 s.

nik, nawet słabo obeznany z tematem, ma łatwy dostęp do treści obrazującej zarówno różne zagadnienia procesu dziejowego, jak również konkretne wydarzenia. Ma też możliwość łączenia jednego z drugim, bez niebezpieczeństwa (zdarzającego się na poziomie nauki szkolnej) utraty orientacji w chronologii. Poza tym w poszczególnych tomach znajdują się mapy przeglądowe – dobrze, że nie przeładowane treścią (jak to bywa w atlasach historycznych) i dzięki temu bardzo przejrzyste.

Hasła słownikowe, wyjaśniające obszerne pojęcia gospodarcze, ustrojowe, kulturowe, itp., graficznie wyróżnione ramką i odmienną czcionką umieszczono także w odpowiednim miejscu. Na końcu tomów znalazły się uzupełnienia, na które składają się różne zestawienia chronologiczne oraz omówienia szczegółowych zagadnień. Autorzy starali się przy tym (bardzo słusznie) o przedstawienie historii Polski na tle dziejów powszechnych, a przede wszystkim dziejów naszych najbliższych sąsiadów. W korzystaniu z dzieła pomaga atrakcyjna szata zewnętrzna.

Specyficznym uzupełnieniem treści zawartych w tomach 1–10 i 14 jest osobny, także ilustrowany, słownik biograficzny polskich „bohaterów, królów, wodzów, polityków, ludzi kultury i sztuki”. Obejmuje on biogramy ponad 3 tysięcy osób (znajduje się w tomach 11, 12 i 13). Ten oryginalny pomysł ułatwia wyszukiwanie potrzebnej informacji i wiadomości na temat, który przy lekturze wzbudza zainteresowanie. Często przecież przy czytaniu historii chce-

my się dowiedzieć czegoś więcej o osobach odgrywających jakąś ważną rolę, a zazwyczaj w „normalnym” podręczniku takich wiadomości, jak choćby daty życia, nie znajdziemy.

Omawiane opracowanie nie jest oryginalną syntezą w znaczeniu jakiegoś odmiennego niż dotychczas, nowatorskiego spojrzenia na dzieje Polski. Nie rości sobie takich pretensji. Jest pracą popularnonaukową, adresowaną do wszystkich zainteresowanych dziejami Polski, także do młodzieży szkolnej. Wielką wartością dzieła polega właśnie na tym, że dzięki bardzo oryginalnej (rzec można pionierskiej) koncepcji opra-

Wielka Historia Polski stanowi oryginalną i udaną próbę zwięzłego przedstawienia historii Polski, w połączeniu z historią powszechną – od pierwszych śladów zorganizowanego społeczeństwa po koniec wieku XX.

Przy preferencji dla historii politycznej wiele miejsca poświęcono przedstawieniu najważniejszych problemów z zakresu dziejów gospodarki, kultury, przemian demograficznych i społecznych, podstawowej informacji o sprawach wyznaniowych i narodowościowych. Autorzy poszczególnych tomów szczególną uwagę zwracają na przedstawienie procesów dziejowych, uwarunkowań następujących zmian, decydujących dla zmiennych losów państwa polskiego. Teksty są wolne od zaangażowania emocjonalnego, a autorzy dbają o przedstawienie najnowszych wyników badań, wplatając do narracji wyniki własnych studiów. Nie unika się omawiania spraw trudnych, drażliwych, dyskusyjnych i ukazywania kontrowersyjnych ocen formułowanych przez różnych badaczy.

Dzieło zostało przygotowane przez zespół, który nie tylko posiada dużą wiedzę historyczną, ale i zarazem umiejętności dydaktyczne. Książka jest znakomitą podręcznikiem dla słuchaczy studiów wyższych różnych kierunków. Może być też przydatna, chociaż niewystarczająca, dla studentów historii.

Wojciech Wrzesiński

cowania, może ono służyć i do poważnych studiów (studentom szkół wyższych), i do nauki szkolnej jako uzupełnienie obowiązujących podręczników, i do powtórzenia oraz utrwalenia przez egzaminem opanowanego już materiału. Może również z powodzeniem być pomocne tym, którzy w swej pracy naukowej lub literackiej potrzebują informacji historycznych. Wyznam także, że sam niejednokrotnie będę do niego sięgał – na przykład przy pracach redakcyjnych – po niektóre szczegółowe, a tu łatwe do odszukania informacje.

Jan Małecki

Michał Zięba

Michał Bałucki na nowo odczytany

Ważnym wydarzeniem wśród wydawnictw naukowych końca 2002 roku było ukazanie się obszernego tomu zatytułowanego „Świat Michała Bałuckiego”. Wydawcą książki jest krakowska oficyna Collegium Columbinum, a jej redaktorem naukowym prof. Tadeusz Budrewicz. Książka ukazała się w serii Biblioteka Tradycji Literackich

Świat Michała Bałuckiego jest pierwszą zbiorową monografią pisarza, na którą składają się syntezy historycznoliterackie autorów z 12 ośrodków naukowych w Polsce. Skrócone wersje niektórych artykułów były prezentowane na konferencji zorganizowanej w setną rocznicę śmierci Michała Bałuckiego przez Instytut Filologii Polskiej Akademii Pedagogicznej w Krakowie w 2001 r.

28 prac poprzedzonych wstępem Tadeusza Budrewicza grupuje się wokół kilku tematów – problemów. Pierwszy obejmuje czas, miejsce oraz osoby związane z działalnością pisarską autora *Domu otwartego*, a więc Galicję i środowisko krakowsko-łwowskie drugiej połowy XIX wieku.

Otwiera go artykuł Agnieszki Janiak kreślącej wizerunek Kazimierza Bartosze-

wicza, autora pierwszej monografii Bałuckiego z roku 1902, konstruowany na podstawie pozostawionej korespondencji krakowskiego pisarza i wydawcy. Z zamieszczonej po nim pracy Marii Konopki dowiadujemy się o popularności wydanych drukiem utworów Bałuckiego w czasach mu współczesnych mierzonej częstotliwością ich występowania w zbiorach bibliotek i wypożyczalni galicyjskich; o jego bliskich związkach z Lwowem i teatrem łwowskim ze szkicu Agnieszki Marszałek, a o stosunku komediopisarza do „macierzystego” teatru krakowskiego z obszernego studium Jana Michalika. Wystawieniom teatralnym komedii Bałuckiego i ich miejscu w repertuarze komediowym teatrów w Królestwie Polskim i w Galicji poświęcona jest również praca Barbary Konarskiej-Pabiniak.

Druga grupa tematów dotyczy różnych aspektów twórczości literackiej i krytycznoliterackiej krakowskiego pisarza.

Wnikliwą analizę dramatów, humoresek, opowiadań i obrazków (*Dom otwarty*, *Album pańien*, *Szpital wariatów*, *Typy i obrazki krakowskie*, *Nowele i obrazki*), zawierają szkice Pawła Próchniaka, Ewy Ihnatowicz, Jadwigi Zacharskiej, Joanny Zajkowskiej. Natomiast postrzeganie komedii Bałuckiego jako gotowych „scenopisów” to wynik obserwacji tekstowych zawartych w artykule Jerzego Waligóry. Ponadto młodzieńcze poematy Bałuckiego: *Dziewczyna spod lasu*, *Cicha miłość*, *Bez chaty*, *Ziemowit – książkę mazowiecki* poddał analizie Andrzej Gurbiel.

Świat Michała Bałuckiego, pod red. Tadeusza Budrewicza
Wydawnictwo Naukowe AP, Kraków 2002, 536 s.

Nowe spojrzenie na twórczość krytycznoliteracką autora *Grubych ryb* podkreślające gruntowne opanowanie warsztatu i trafność jego sądów dotyczących utworów teatralnych wystawianych w teatrach galicyjskich prezentuje w swojej pracy Anna Sobiecka.

Michał Bałucki w oczach krytyki literackiej i artystycznej to temat szkicu Kazimierza Gajdy, gdzie na wstępie znajdziemy zacytowaną opinię recenzenta „Przeglądu Polskiego” Feliksa Konecznego, świadcząca o popularności komediopisarza w końcu lat dziewięćdziesiątych XIX w.: „dziesięćkroć wolimy na scenie nawet słabsze utwory p. Bałuckiego od przetrzaskanego śmiecia z francuskiej lub niemieckiej tandety scenicznej”.

Autorzy prac „teatralnych” zwracają uwagę na niekonwencjonalne pomysły w rozwiązywaniu przez Bałuckiego konfliktów scenicznych w jego komediach (szkice: Dobrochny Ratajczakowej i Ewy Paczoskiej).

Przypomniany został także (w artykule Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej) jedyny dramat pisarza *Kiliński* oraz nie dość wyraźnie odnotowywana w jego biografiach i niedoceniana twórczość prozatorska komediopisarza. Jako pisarz realista, autor nowel i powieści, był Bałucki nie tylko uważnym obserwatorem życia, ale i nowatorem w zakresie stylu i języka. Poświadczają to zamieszczone prace: Ewy Ihnatowicz, Barbary Szargot, Renaty Dźwogół, Marii J. Olszewskiej, Tomasza Sobieraja. Był także, co wynika z obszernego studium porównawczego Barbary Bobrowskiej przywołującej niedokończony utwór *Kraków w roku 1950*, sceptycznym wizjonerem „fantastą-futurologiem” na wzór Prusa czy Verne’a.

Jako uzupełnienie badań historycznoliterackich w zbiorze znalazła się również praca językoznawcza Edwarda Klisiewicza o asocjacjach językowo-kulturowych wymyślonego przez Bałuckiego ironicznego określenia małego miasteczka galicyjskiego – „Pipidówka”.

Wśród innych tematów związanych z życiem i twórczością Bałuckiego rozpatrywanych przez autorów szkiców znalazł się jego stosunek do kobiet (artykuły Agnieszki Greli i Jadwigi Zacharskiej), relacje Bałucki – Kraszewski (praca Magdaleny Rudkowskiej), oraz zainteresowania pisarza rzeźbą (artykuł Doroty Kielak).

Znane i nieznane fakty z życia M. Bałuckiego zamieszczone w pracach Bogdana Burdzieja, Tadeusza Budrewicza i Jakuba A. Malika to ostatnia, niezwykle interesująca, niemal sensacyjna grupa zagadnień zamykająca zbiorową monografię pisarza.

Rozważania B. Burdzieja dotyczą bowiem starannie dotąd omijanej kwestii prawdopodobnego pochodzenia żydowskiego pisarza snute na podstawie jego zainteresowania Żydami widocznego w wielu utworach z lat 1861–1899 oraz w faktach biograficznych. Natomiast T. Budrewicz ukazując, na podstawie dokumentów i relacji z czasopism rzeczowy przebieg jubileuszy dwudziestopięciolecia de-

biutu i działalności teatralnej w latach 1884 i 1893 oraz uroczystości pogrzebowych, podkreśla istotne znaczenie M. Bałuckiego dla polskiej literatury i polskiego społeczeństwa w okresie „największej wziętości i sławy”. Ostatecznie, w oparciu o wiarygodne źródła ustala także okoliczności, czas i miejsce jego śmierci w dniu 17 października 1901 r., śmierci samobójczej w stylu młodopolskim, będącej, jak napisał w swoim artykule J.A. Malik, „ostatnią ze sztuk” krakowskiego komediopisarza.

Ograniczone ramy recenzji sprawozdawczej nie pozwalają na szersze omówienie wszystkich zgromadzonych w tomie studiów znanych i uznanych badaczy twórczości, zdaniem T. Budrewicza, „najwybitniejszego przed Stanisławem Wyspiańskim pisarza «krakowskiego» przez swoją biografię i tematykę prac literackich”. Każda z nich jest ważna, gdyż wnosi nową porcję wiedzy o jednym z najbardziej reprezentatywnych, a jednak dziwnym zrządzeniem losu, z niejasnych przyczyn po części zapomnianym twórcy.

Ważne jest i to, że książka *Świat Michała Bałuckiego* często burzy utarte przekonania „grzeszące” jednostronnością w ocenie pisarza. Zgromadzone w niej prace wzbogacają jego wizerunek artysty i człowieka, jednego z głównych przedstawicieli galicyjskiego „parapozytywizmu”, pisarza wcześniej podziwianego, uznanego, a potem, w epoce modernizmu, tragicznie wyobcowanego „szczutego”, ośmieszanego, niemal uznawanego za „orędownika filisterstwa”.

Perspektywa stu lat, jakie upłynęły od jego śmierci pozwoliła autorom prac zgromadzonych w tomie na postrzeganie Bałuckiego z potrzebnym w wielu kwestiach dystansem. Bogata i różnorodna twórczość pisarza ukazana w nowym świetle i jakby na nowo odkryta zyskuje dzięki tej książce na wyrazistości. Książce – dodajmy – którą czyta się z dużym zainteresowaniem. Spojrzenia na Bałuckiego badaczy o różnym temperamencie, którzy raz rozważnie i skrupulatnie, to znowu emocjonalnie i młodzieńczo-buńczucznie, zgodnie z wymaganiami monograficznej syntezy nie polemizują ze sobą, lecz tworzą spójną, chociaż mozaikową całość, dając solidną podstawę pod przyszłą nowoczesną biografię pisarza.

Michał Zięba

Jacek Chrobaczyński

Wojenny Kraków

W 1992 roku ukazał się pierwszy tom „Dziejów Krakowa”, autorstwa Jerzego Wyrozumskiego. Później, w mniej lub bardziej regularnym odstępie, wydano tomy kolejne, zaś u schyłku roku 2002 tom piąty, pióra Andrzeja Chwalby, w Krakowie uznany — jak najbardziej słusznie — za książkę miesiąca (styczeń 2003)

Seria ta jest właściwie pierwszym, solidnym i nowoczesnym źródłowo i interpretacyjnie, spojrzeniem na tysiącletnie niemal dzieje jednego z najważniejszych miast w Polsce. Szkoda, że nie jest to już całość — seria jest bowiem przewidziana na sześć tomów — że ten ostatni, niezwykle trudny w opracowaniu, bo obejmujący okres po roku 1945, znajduje się jeszcze w przygotowaniu. Niezależnie od tego stan badań nad krakowskimi dziejami, to wiele setek pozycji pomniejszych: monografii, edycji źródłowych, przyczynków, relacji i wspomnień, pamiętników, dzienników. Dlatego każdy autor syntezy musi dysponować niemałą wiedzą ogólnohistoryczną, znajomością źródeł, itp. W przypadku zaś omawianego tomu — umiejętnością poruszania się na styku historii i polityki, historii i ludzkiej pamięci. Znam to również z własnego doświadczenia; wojna, okupacja i konspiracja to obszar poznania historycznego, którego ta skala źródłowo-warsztatowych trudności dotyczy w niemałym stopniu. Dlatego z olbrzymim zainteresowaniem czytałem pracę Andrzeja Chwalby, który jest historykiem doświadczonym i wytrawnym, błyskotliwym, dobrze piszącym i świetnie „czującym” sprawy społeczne, a przy tym człowiekiem odważnym, co w sposób szczególny dotyczy właśnie okresu wojny i okupacji. Jak dotąd znaliśmy bowiem jego dorobek obejmujący dzieje XIX i przełomu XIX i XX wieku. To prawda, że historyk powinien stale poszerzać pole swoich penetracji źródłowych, a to, że autor zdecydował się na wkroczenie w obszar badań tak zasadniczo odmiennych od tego czym zajmował się dotychczas, budzi mój nieklamany podziw i respekt. Tym bardziej, że „wycieczka” do okresu 1939–1945 jest wielce udana. Przynosi korzyść zarówno czytelnikowi, jak i całej historiografii Krakowa.

Autor wykonał sporo pracy badawczej, spenetrował zespoły archiwaliów — tych znanych, ale i nowych, które w epoce wolności słowa i badań zostały historykom udostępnione. Osobiście upominałbym się jeszcze o pewną ważną sprawę. Dotychczas krakowscy, czy szerzej — polscy badacze zajmujący się dziejami Krakowa w latach niemieckiej okupacji, penetrowali, co rozumiałe, zasoby polskie. Ale w przypadku Krakowa, „stolicy” Generalgouvernement, właściwie nikt nie sięgnął jeszcze do zasobów z Niemiec czy Austrii (np. Bundesarchiv Koblenz, Monachium itp.). Znamy zatem perspektywę „niemieckiego” Krakowa dość jednostronnie, głównie poprzez akta miejskie, dziennik Hansa Franka, akta tzw. rządu GG, jednostronne opinie o sporach na szczytach niemieckich (Hans Frank — Heinrich Himmler, Frank — Hermann Goering). Andrzej Chwalba, poszedł szlakiem dotychczasowych badaczy. Nie jest to błąd, ale raczej niedopełnienie. Może już czas najwyższy, by któryś z młodych historyków krakowskich odbył dłuższy i solidny staż archiwalny



Andrzej Chwalba

w Niemczech i Austrii i przygotował edycję dostępnych źródeł, a na ich podstawie dobrą pracę o „niemieckim” Krakowie z tamtych lat. Byłoby to z pożytkiem dla wszystkich. A może Archiwum Państwowe w Krakowie lub krakowski Oddział Instytutu Pamięci Narodowej, w ramach wymiany międzyarchiwalnej, mogłyby taką pracę wykonać? Jest to nam wszystkim potrzebne, bo inaczej, będziemy dalej poruszać się w tej samej materii źródłowej.

Andrzej Chwalba świetnie też orientuje się w literaturze przedmiotu, którą zresztą obficie w swojej syntezie wykorzystuje. To wielki jej atut. Niekwestionowana zaś erudycja autora i dobre pióro sprawiają, iż pracę, choć obszerną (i ciężką!), czyta się dobrze. Autor zresztą, chyba w sposób zamierzony, postawił silny nacisk na świadomość i tożsamość historyczną, można by rzec — „krakowską”.

Lekturze pomaga też niewątpliwie wewnętrzna konstrukcja pracy — w części adaptowana przez autora z innych opracowań (*Kraków niemiecki*, *Kraków polski*), a po części twórczo rozwinięta (*Kraków ukraiński*, *Kraków żydowski*). Ta propozycja metodologiczna ma swoje plusy i minusy. Te cztery „Krakowy” wpisują się świetnie w koncept całości — od września 1939 roku poczynając, na ofensywie styczniowej 1945 roku kończąc, tym bardziej, że autor solidnie przeanalizował rozwój przestrzenny wojennego Krakowa. Ważnym dopełnieniem jest też próba bilansu, a całość uzupełniają, starannie dobrane i przemyślane, zdjęcia, mapy, wykresy i tabele. A zatem koncept dominacji układu rzeczowego nad chronologicznym. Jego plusem jest zamknięcie pewnych całości: polityka i praktyka okupacyjna, problem żydowski, społeczność polska, itd. Minusem zaś, rezygnacja z tego co nazywamy dynamiką procesu historycznego w ujęciu całościowym. W efekcie, czytając pracę Andrzeja Chwalby, z rozdziału na rozdział, „wznosimy się spiralnie i opadamy” analizując kolejne wątki (całości?), „łamiąc” niekiedy zasady chronologii.

Jest też i drugi aspekt tego metodologicznego wyboru. O ile w przypadku wielu autorów, którzy „dzielili” wojenno-okupacyjno-konspiracyjną przestrzeń analizy na dwa pola obserwacji: „Kraków niemiecki” i „Kraków polski”, cechą nadrzędną była systematyka okupacji — z jej dwoma podsys-

temami: okupant i okupowani — to u Chwalby wygląda to nieco inaczej, czasem wręcz przypominając groteskową ciekawostkę (np. Kraków ukraiński?). Oczywiście o wiele łatwiej jest „zderzyć” ze sobą dwa główne wątki merytoryczne: okupant i okupowani, tym bardziej, że ich istotą były wzajemne relacje oraz relacje wewnątrz nich. Pozwala to bowiem uchwycić, wspomnianą wcześniej, dynamikę zjawiska. Ponadto, „Kraków ukraiński”, istniejący zresztą w mikroskali (ok. 2 tys. Ukraińców), był przecież częścią składową „Krakowa niemieckiego”, podsystemu — okupant, a nie jakąś suwerenną czy też równoważną z niemieckim całością. Podobnie i „Kraków żydowski” był częścią „Krakowa polskiego”, tj. „Krakowa okupowanych”.

To nie zarzut czy przygana wobec metodologicznego wyboru Andrzeja Chwalby, a głos w dyskusji, bo przecież tylko merytoryczny dyskurs porządkuje i inspirować. Nie sądzę skądinąd, aby ta właśnie kwestia ciążyła w jakiś zasadniczy sposób nad całością syntezy. Jest w niej zresztą co najmniej kilkanaście obszarów, które mogą wywołać polemikę z autorem. Tak jest zawsze, gdy następuje przewartościowanie dotychczasowego obrazu, gdy autor pracy historycznej burzy pewien utrwalony stereotyp czy mit. Andrzej Chwalba to czyni, a ja go w tym popieram, szczególnie, gdy analizuje postawy i zachowania, gdy mówi o „ludku krakowskim”, stosunkach polsko-żydowskich. Znać, iż coś po Jedwabnem (i nie tylko) się zmieniło, że zafalszowany niekiedy obraz martyrologiczno-heroiczny społeczeństwa polskiego (i krakowskiego) pod okupacją ulega reinterpretacji, niczego nie ujmując ani martyrologii, ani heroizmowi. A okragłe zdania — w rodzaju: „nie wydaliśmy Quislinga” — zdania tak po prawdzie nic nie mówiące, już dawno powinny być odesłane do lamusa nieprawdy historycznej. Ponadto Andrzej Chwalba świetnie porusza się po sferze społecznej procesu historycznego, czego nie spotykaliśmy w takim stopniu w poprzednich tomach *Dziejów Krakowa*. To również czyni tę pracę wartościową i oryginalną.

Kończąc te luźne uwagi, chciałbym podkreślić, iż otrzymaliśmy książkę ważną w dorobku krakowskiej historiografii, dobrze napisaną, świetnie wydaną (gdyby tylko nie ta cena!) i potrzebną.

Andrzej Chwalba, *Dzieje Krakowa. Kraków w latach 1939–1945*
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002, 488 s.

Z dziejów szkolnictwa parafialnego

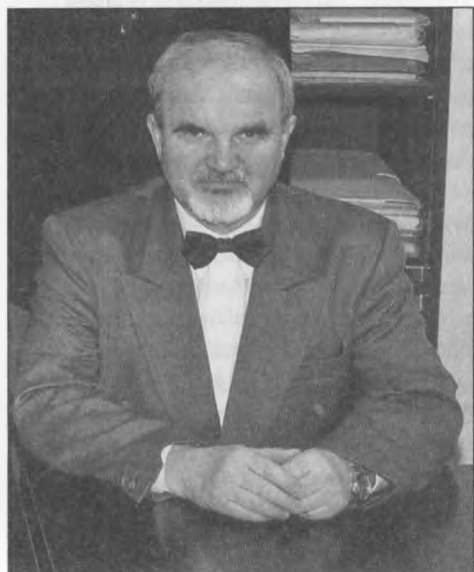
Refleksja nad historią szkolnictwa w dawnej Polsce, w tym także parafialnego w ostatnich latach pogłębiła się w znaczący sposób. W końcu przełamany został monopol ustaleń sięgających przełomu XIX i XX w. Przyczyn kilkudziesięcioletniej stagnacji w badaniach szkół niższych upatrywać należy przede wszystkim w problemach źródłowych, ale i metodologicznych. Szkoły niższego typu nie pozostawiły własnych archiwaliów, trzeba je więc odtwarzać w szeroko zakrojonych kwerendach, obejmujących różnorodny i rozdrobniony materiał źródłowy. Tworzą go zarówno akta konsystorskie, akta rektorskie Uniwersytetu Jagiellońskiego, akta grodzkie, księgi miejskie, kroniki, zapisy testamentowe, rękopisy i druki szkolne itp. Historycy szkolnictwa epoki staropolskiej starają się także konstruować nowe problemy historyczne, nieliczne są natomiast próby zastosowania badań antropologicznych i socjologicznych.

Dla badaczy zawsze szczególnie interesujące były duże ośrodki miejskie z utrwalonymi tradycjami oświatowymi. Tak też jest w wypadku książki Jana Krukowskiego, który podjął się syntezy *Szkolnictwa parafialnego Krakowa w XVII wieku*.

Siedemnastowieczny Kraków jako miasto uniwersyteckie, stolica diecezji, ważny ośrodek monastyczny, liczący w tym czasie ponad 30 kościołów był bowiem także miejscem kształtowania się wzorców organizacyjnych polskiego szkolnictwa parafialnego.

Charakteryzując tzw. „miasto szkolne” autor zestawił wszystkie instytucje zajmujące się nauczaniem w Krakowie (od 1612 do 1702 roku), poczynając od Akademii Krakowskiej, kolonii akademickiej, czternastu szkół przykościelnych, seminarium duchownego, wewnętrznych i zewnętrznych szkół zakonów żeńskich oraz męskich, a także szkół żydowskich. Przedstawienie materii zdarzeń wymagało szerokiej analizy środowiska nauczycielskiego, uczniowskiego, charakterystyki programów nauczania, prezentacji ideałów wychowawczych, a w końcu także ekonomicznych podstaw funkcjonowania szkół parafialnych.

Przyjęty przez autora plan poznawczy objął ocenę warunków społecznych, gospodarczych i religijnych kształtujących warunki funkcjonowania ówczesnej szkoły. Krakowskie szkolnictwo parafialne, po okresie reformacji, która nie sprzyjała jego rozwojowi, zdecydowanie wzmocniło się w końcu XVI w. (niebagatelny wpływ biskupa Jerzego Radziwiłła), pracy szkół nie zakłócił nawet potop szwedzki, ale dopiero wstrząsy z początku XVIII w. (zresztą nie tylko wojenne). Na szkoły spory wpływ miała także władza miejska, co dokumentują przytaczane przez Krukowskiego archiwalia.



Jan Krukowski

Główna analiza autora potwierdza, że siedemnastowieczna szkoła była instytucją kościelną, a nauczanie elementarne pełniło jednocześnie rolę *scholae cantorum*, stąd utylitarny charakter programu i jego widoczne związki z potrzebami liturgii. Jak wynika z ustaleń Jana Krukowskiego miejska szkoła w XVII w. realizowała program wypracowany jeszcze w czasach odrodzenia, tylko w niewielkim stopniu poddany modyfikacjom. Szkoła wprowadzała uczniów w świat kultury łacińskiej, kultury pisma.

Prowokujące do szczegółowych analiz traktowanie szkoły jako in-

stytucji kulturotwórczej, znaczącej dla rozwoju społecznego, wymagało prześledzenia procesu powstawania programu szkoły elementarnej, procesu na który wpływ miały nie tylko zarządzenia kościelne, ale także akademickie. Ujawnił się tu krytycyzm badacza historii, który zdecydowanie rozdzielił deklarowane i realizowane zalecenia ustaw szkolnych

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na podjętą przez autora próbę odtworzenia karier zawodowych nauczycieli szkół parafialnych. Wymagało ono drobiazgowej eksploracji archiwaliów, a zestawiony, precyzyjny aneks prezentujący nauczycieli (rektorów, nauczycieli pomocniczych, kantorów i ich pomocników...) poszczególnych szkół na pewno okaże się niezwykle przydatny dla wszystkich zainteresowanych siedemnastowieczną oświatą krakowską.

Nauczanie w szkole było zajęciem prestiżowym, ale autor wskazuje także, że nauczyciel nie zawsze

posiadał odpowiednie wykształcenie, a niebagatelny wpływ na jego zatrudnienie miała sytuacja materialna danego kościoła.

Do interesujących wniosków dochodzi także Krukowski w analizie codziennego życia studenckiego, śledzi udział młodzieży w życiu miasta, przygląda się kalendarzowi świąt uczniowskich, a także ich wybrykom..., a w końcu karierom i awansowi zawodowemu mieszczan. Zawsze ujawnia się tutaj przemożny wpływ najbliższego środowiska na sposób

Jan Krukowski, Szkolnictwo parafialne Krakowa w XVII wieku
Wydawnictwo Naukowe AP, Kraków 2001, 419 s.

pracy szkoły. Interesująco zarysowane zostały także różne szkolne konflikty personalne i finansowe.

Książka Jana Krukowskiego imponuje bogactwem źródłowym, starannym i żmudnym kompletowaniem drobnych informacji, wykorzystaniem niezwykle szerokiej gamy współczesnych przekazów (po raz kolejny okazało się, jak niewyczerpanym źródłem wiedzy o siedemnastowiecznym Krakowie może być np. niewydana nadal kronika Stefana Ranatowicza), które mogą zainteresować nie tylko historyków oświaty, ale również kultury i obyczajowości.

W sytuacji dotychczasowej luki w badaniach tej problematyki, ustalenia J. Krukowskiego nabierają dodatkowej wartości. W nawale informacji czasem zdarzają się powtórzenia lub omyłki, ale całość jest trafnym i wyważonym obrazem krakowskich szkół parafialnych, a zarazem podsumowaniem długoletnich studiów autora.

Szlakami dawnej Ukrainy

Najnowsza książka Piotra Borka, stanowi w znacznej mierze kontynuację jego badań nad postrzeganiem Ukrainy przez historyków, historiografów, pamiętnikarzy, diarystów, a pośrednio społeczność szlachecką okresu staropolskiego, znanych z publikacji *Ukraina w staropolskich diariuszach i pamiętnikach. Bohaterowie, fortece, tradycja* (Kraków 2001). Praca ta poświęcona recepcji Ukrainy w staropolskim pamiętnikarstwie od schyłku XVI do rozbiorów Polski została bardzo dobrze przejęta przez środowisko naukowe nie tylko filologów, ale również historyków.

Nowy tom to osiem obszernych studiów, których walorem niezaprzeczalnym jest oryginalność ujęcia problematyki, dzięki czemu uzupełnia istotnie stosunkowo niewielki dorobek nauki (zwłaszcza polonistycznej) w tym zakresie. Owe szkice, zawierające się w ramach chronologicznych między schyłkiem średniowiecza a XVIII stuleciem, zostały podzielone na dwie części. W pierwszej, zatytułowanej *Historiografowie i pamiętnikarze*, znalazły się rozprawy, do których tworzywo czerpał badacz z twórczości tak wybitnych postaci jak Jan Długosz, Maciej z Miechowa, Marcin Kromer, Reinhold Heidenstein i wielu innych, spośród których najczęściej korzystał z dorobku Macieja Strykowski (historyka i kronikarza), Joachima Jerlicza (pamiętnikarza) i Jana Tomasza Józefowicza (diarysty). Tym ostatnim autor poświęcił zresztą osobne szkice. Doskonale wprowadzenie do problematyki percepcji ziem ruskich jako swoistej „Ukraina felix”, ziemi żyznej, opływającej w skarby naturalne, bogatą florę i faunę, z zasobnymi miastami, stanowi rozprawa o motywach arkadyjskich w pismach historiografów i pamiętnikarzy. Ale kresy, to

także miejsce krwawych zmagania na polach bitewnych, zniszczeń i gwałtów – odniesienia do tych kwestii znajdziemy w innych miejscach książki.

W jej drugiej części autor analizuje warsztat literacki piszących, czyni to m.in. na podstawie korespondencji Bohdana Chmielnickiego. Zajął się też genezą wyrazu „hajdamaka” i stylem staropolskich relacji pamiętnikarskich, dochodząc do szeregu interesujących wniosków. Studia zostały trafnie dobrane i przejrzysto dopasowane do idei przewodniej – podróży Polaków szlakami dawnej Ukrainy.

W książce znajdujemy omówienia i analizy dotyczące nie tylko rozpoznanego już materiału historyczno-literackiego. Poważnym osiągnięciem autora jest przesunięcie datowania określenia „hajdamak”, „hajdamaczyzna” o co najmniej 50 lat wstecz w stosunku do ustaleń dotychczasowej literatury przedmiotu. Z kolei w szkicu poświęconym postrzeganiu ziem ruskich przez historiografów uświadamia czytelnikowi (jako bodaj jedyny) stosunkowo wczesne pojawienie się w polskim piśmiennictwie wizerunku Ukrainy arkadyjskiej. Za sukces naukowy Piotra Borka należy uznać dotarcie nie tylko do oryginału,

Piotr Borek, Szlakami dawnej Ukrainy. Studia staropolskie Collegium Columbinum, Kraków 2002, 300 s.

ale i najpełniejszej kopii (uznanej dotąd za zaginioną) *Diaryjusza wziętego Lwowa...* Jana Tomasza Józefowicza, omówienie sylwetki i twórczości tego autora, pomijanego zwykle w nowszych bibliografiach i pracach naukowych.

O walorach merytorycznych książki przesądza materiał źródłowy wydobyty z archiwów i bibliotek Krakowa, Wrocławia, Kórnik i Lwowa, wykorzystany przez autora z ogromną skrupulatnością i krytycyzmem. Rzetelnie zebrał literaturę przedmiotu,

omówioną w nocie bibliograficznej. Pod względem formy praca została przygotowana starannie, otrzymała też interesujący kształt edytorski. Niezaprzeczalny walor stanowi także styl wypowiedzi i bogactwo zastosowanych środków narracyjnych. Książka może zatem liczyć na szeroki odbiór ze strony zarówno historyków literatury, językoznawców jak i historyków.

Interesujące i wartościowe studia Piotra Borka nie były w większości nigdzie publikowane, są oryginalnym zapisem wybranych zagadnień składających się na zwartą całość. Przysłużą się niewątpliwie podniesieniu stanu wiedzy o staropolskiej historiografii

i pamiętnikarstwie, o postawach autorów relacji wobec opisywanych wydarzeń, postaci i społeczeństw kresowych. Uważny czytelnik odnajdzie w książce zarówno rzetelną wiedzę naukową, jak też niepowtarzalną atmosferę przeniesioną przez autora szkiców z lektury dzieł historycznych, kronik, pamiętników, diariuszów i listów.

Polecam książkę Piotra Borka uwadze czytelników z pełnym przeświadczeniem, iż historia literatury, językoznawstwo i historia sensu stricto wzbogaci się o dzieło ważne wśród opracowań poświęconych kresom dawnej Rzeczypospolitej.

Profesora Bolesława Faron peregrynacje w czasie i przestrzeni

Wydawnictwo Edukacyjne podarowało nam trzecie, rozszerzone wydanie przewodnika po Jamie Michalika. Autor książki, Bolesław Faron, to postać modernistyczna, miłośnik sztuk wszelkich, pisarz i krytyk literacki, współwłaściciel oficyny wydawniczej, protektor początkujących poetów. Jak każdy z wielkich bywalców Jamy Michalika, profesor krakowskiej uczelni i jak niektórzy z nich polityk, porwany onegdaj przez stolicę. Zapalony podróżnik i koneser wiedeńskich kabaretów. Słowem osoba, która w tamtych szalonych czasach, musiałaby siedzieć przy tym samym stoliku z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, Janem Stanisławskim i Lucjanem Rydlem. Któż więc mógłby udatniej przekazać czytelnikom informacje o modernistycznym Krakowie?

Prezentowana opowieść o tych odległych czasach jest zaskakująco polifoniczna. Mamy tu bowiem relacje z krakowskiego życia kulturalnego na przełomie XIX i XX wieku, historię Cukierni Lwowskiej zwanej później Jamą Michalika, opowieść o kabarecie *Zielony Balonik*,

i wreszcie rzecz całkowicie nową, fotograficzny niemal opis wnętrza kawiarni.

Wielowątkową gawędę o specyficznej atmosferze panującej w Galicji rozpoczyna autor, najpewniej zgodnie ze swoimi zainteresowaniami, od charakterystyki młodopolskich czasopism. Pojawiają się nazwiska redaktorów i tytuły, tak ważne dla ówczesnych krakowian. Jest więc „Życie”, „Krytyka” i oczywiście „Czas”. Czymże byłby jednak Kraków bez teatru Tadeusza Pawlikowskiego? Bez czasopism, teatru i sztuk plastycznych nie mógłby narodzić się tak doskonały kabaret, jakim był *Zielony Balonik*. Miłośnicy młodopolskiego Krakowa, mogą zapoznać się w kolejnych rozdziałach z wydarzeniami kulturalnymi i atmosferą tamtych lat. Autor nie pomija w swych wędrówkach słynnych kawiarni i restauracji, miejsc spotkań poetów, pisarzy, malarzy i wszystkich tych, którzy chcieli błyszczeć w świetle wielkich artystów.

Bolesław Faron, Jama Michalika. Przewodnik literacki Kraków 2002, 171 s.

Oczywiście ten, kto chciałby jedynie zapoznać się z samą historią kawiarni i związanego z nią kabaletu, może rozpocząć czytanie od rozdziału trzeciego. Albo, jak radzi sam autor książki, usiąść przy stoliku w kawiarni przy ulicy Floriańskiej 45 i smakując kawę podziwiać wnętrza i rysunki. Profesor Bolesław Faron opisał nie tylko każdą salę cukierni Jana Michalika, ale także wszystkie obrazy, ryciny, karykatury, urokliwe przedmioty z epoki. Między sepio-

wymi kartkami książki ukryty został ulotny zapach modernizmu.

Dołączony do książki aneks i słowniczek nazwisk jest jak... kardamon dodany do kawy, nadaje smak, działa na wszystkie zmysły czytelnika. Przepiękna okładka z rozstańczonym Barbakanem i ulatującym z Bramy Floriańskiej zielonym balonikiem zachęca do lektury.

Jagoda Cieszyńska



Fot. M. Wielecławek

3 lutego br. sale kawiarni Jama Michalika były wypełnione po brzegi. Okazją do spotkania przedstawicieli krakowskiego świata artystycznego i naukowego, studentów, wydawców i wszystkich zainteresowanych młodopolskim Krakowem była promocja trzeciego wydania książki *Jama Michalika. Przewodnik literacki*. Gościem wieczoru był jej autor – profesor Bolesław Faron, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej Akademii Pedagogicznej. Przygotowaniem oprawy artystycznej spotkania zajęła się profesor Jagoda Cieszyńska – poetka, która z wdziękiem i humorem pełniła także rolę konferansjera. Profesor Faron opowiedział o atmosferze artystycznej panującej w Krakowie na przełomie XIX i XX wieku oraz o fenomenie, jaki był wówczas kabaret „Zielony Balonik”. Teksty poetyckie z tego właśnie okresu, głównie autorstwa Tadeusza Boya-Żeleńskiego, recytowała Alicja Kabała, aktorka. Trzem młodym solistkom Jadwidze i Katarzynie Wrońskim i Marii Pochoreckiej akompaniował przy fortepianie profesor Jacek Bylica. Wykonały one piosenki z repertuaru Edith Piaf oraz szlagiery kabaretowe, które publiczność przyjęła entuzjastycznie. Obok profesora Farona na „górcie kawiarnianej” pojawił się znany artysta malarz Janusz Trzebiatowski, aby podzielić się ze zgromadzonymi swoimi refleksjami o Jamie.

Uroczystość zaszczytli swą obecnością profesor Franciszek Ziejka, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, nestor krakowskich pisarzy – Julian Kawalec wraz z małżonką oraz Józef Baran, znany poeta krakowski. Właściciel kawiarni Stanisław Kuliś oraz Wydawnictwo Edukacyjne, którego nakładem ukazała się książka, podjęli zgromadzonych lampką wina, kawą i tortem.

Agnieszka Szopa

Jerzy Ciecieląg

O Flocie Czarnomorskiej

Moje fascynacje dziejami wojen na morzu sięgają jeszcze szkoły podstawowej. Do dziś pamiętam, jak z wypiekami na twarzy czytałem o bitwie pod Salaminą, działaniach hiszpańskiej Wielkiej Armady, geniuszu admirała Nelsona, bitwie jutlandzkiej, działaniach admirała Souchona na Morzu Śródziemnym czy bitwie o Midway.

Dlatego też z wielką radością wziąłem do ręki książkę Marka Hermy o działaniach rosyjskiej Floty Czarnomorskiej w czasie I wojny światowej. Już w tym miejscu chciałbym stwierdzić z przyjemnością, że czytelnik otrzymał książkę napisaną nie tylko z wielkim znawstwem tematu, ale również pisaną przystępnym, wielce ekspresyjnym językiem. Już na pierwszy rzut oka widać, że autorowi chodziło o to, aby jego książka trafiła do rąk nie tylko specjalistów, ale też „zwykłych” czytelników. Mamy tu doskonały przykład, że nawet prace o charakterze ściśle naukowym mogą mieć także wymiar popularyzatorski w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Markowi Hermie udało się w bardzo interesujący i zajmujący sposób wykazać, że działania wojenne na Morzu Czarnym, choć miały drugorzędne znaczenie, to jednak odegrały istotną rolę w I wojnie światowej. Decydowało o tym położenie geopolityczne, jak też strategia Rosji, Niemiec i Turcji, a więc uczestników wojny na Morzu Czarnym. Kluczowym celem Rosji, nie nowym zresztą, było oczywiście opanowanie cieśnin tureckich (chodziło tu przede wszystkim o obawę przed zajęciem cieśnin przez inne mocarstwo, co mogło zagrozić południowym granicom Rosji), przy czym w grę wchodziły cele nie tylko polityczne, ale także gospodarcze.

W dodatku, w przypadku wybuchu konfliktu zbrojnego, Flota Czarnomorska znalazłaby się w całkowitej izolacji, wręcz pułapce. Turcja obawiała się ekspansji Rosji w basenie Morza Czarnego, dlatego też szukała wsparcia w Niemczech. Te z kolei od dawna prowadziły politykę zmierzającą do rozciągnięcia wpływów politycznych i gospodarczych na Bliski i Środkowy Wschód (istniejące tam złoża surowców przyciągały jak magnes).

W swojej książce Marek Herma przedstawił jak, ponoszącej na innych frontach klęski, Rosji udało się odnieść sukces w czarnomorskim teatrze działań wojennych. Po początkowych niepowodzeniach Rosjan i spektakularnych sukcesach floty niemiecko-tureckiej Flota Czarnomorska osiągnęła panowanie na Morzu Czarnym. Stało się tak dzięki wprowadzeniu do służby trzech drednotów (tak na marginesie – ta nazwa zawsze bardzo mi się podobała) i zami-



Fot. Marian Pasternak

Marek Herma

nowaniu podejść do Bosforu. Flota rosyjska mogła bez większych przeszkód realizować cele strategiczne, obejmujące obronę rosyjskich wybrzeży i portów, przeciwdziałanie ewentualnym atakom wojsk przeciwnika, utrzymanie linii komunikacyjnych, blokada Bosforu i tureckiego zagłębia węglowego (fragmenty książki Marka Hermy poświęcone realizacji tych dwóch zadań czyta się wręcz z wypiekami na twarzy), wspieranie rosyjskiej Armii Kaukaskiej.

Marek Herma, Pod banderą św. Andrzeja. Rola Floty Czarnomorskiej w realizacji koncepcji strategicznych (militarnych) Rosji w latach 1914–1917
 Wydawnictwo Naukowe AP, Kraków 2002, 164 s.

Mimo tych sukcesów, uzupełnionych zdobyczami terytorialnymi Armii Kaukaskiej, rosyjskiej Flocie Czarnomorskiej nie udało się osiągnąć podstawowego celu strategicznego, czyli zdobycia tureckich cieśnin przy pomocy desantu morskiego, a stało się tak za sprawą Kwatery Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych, które przeciwne było wydzieleniu odpowiedniej ilości wojsk do przeprowadzenia operacji. Ostateczny cios planom rosyjskim zadał przewrót bolszewicki w Piotrogradzie.

Ważną rolę w książce spełniają załączniki, wśród których znajduje się także ważny wykaz najważniejszych danych taktyczno-technicznych okrętów Floty Czarnomorskiej i floty niemiecko-tureckiej, jak też zdjęcia niektórych jednostek. W gruncie rzeczy jedyna wątpliwość, jaka nasunęła mi się przy czytaniu książki, to kwestia ujednolicenia stopni wojskowych w poszczególnych flotach i podawanie ich polskich odpowiedników. Sądze, że można było

zamieścić coś w rodzaju wykazów tych stopni, bowiem poznanie np. tureckiej nazwy dowódcy floty byłoby niezwykle interesujące.

Czytelnik otrzymał bardzo interesujący obraz działań wojennych na Morzu Czerwonym, napisany przystępnym, ekspresyjnym językiem, z którym może zapoznać się nawet człowiek niemający o przedmiocie książki większego pojęcia, a przecież popularyzacja wyników badań naukowych to rzecz niezwykle istotna.



Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej

przedstawia Jolanta Bartosz

ul. Studencka 5
31-116 Kraków
tel./fax (012) 430-09-83
tel. (012) 662-67-56
<http://www.wydawnictwoap.pl>
e-mail: redakcja@wydawnictwoap.pl

ZOFIA BUDREWICZ
Instytut Filologii Polskiej

Czytanka literacka w gimnazjum międzywojennym Geneza, struktura, funkcje

Świetny, nowatorski, rzetelny i w dodatku bardzo dobrze napisany tekst. Powinien dotrzeć do wydawców, melodyków, szerokich rzesz polonistów szkolnych, aby sprowokować dyskusję nad nowym kształtem podręczników, a może nawet zainspirować do przygotowania nowej edycji czytanek.

Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Uniwersytet Śląski

Autorka skupia swą uwagę na czytance literackiej, a głównym obszarem badań czyni podręczniki Juliusza Bałickiego i Stanisława Maykowskiego, przeznaczone dla gimnazjum niższego. Wprowadza w świat podręczników szkolnych, ich autorów, wydawców, w cały system zależności towarzyszących powstawaniu podręcznika szkolnego.

ZAWARTOŚĆ: I. „Czytania” i „wyczyty”. Koncepcja antologii dla gimnazjum niższego na tle tradycji; II. Dom i okolice; III. Z domu w świat; IV. W świecie przeszłości i kultury
ZAKRES TEMATYCZNY: historia i teoria literatury, filologia polska, oświata, szkolnictwo



Prace Monograficzne nr 353, format B5

BOŻENA POPIOLEK

Instytut Historii

Kobiety świat w czasach Augusta II Studia nad mentalnością kobiet z kręgów szlacheckich

Wydoby Bożena Popiołek są niezmiernie interesujące, materiał faktograficzny bardzo bogaty; pracę czyta się niemal jednym tchem jak najbardziej pasjonującą lekturę.

Maria Bogucka, Instytut Historii PAN



Autorka wydobyła imponujący materiał archiwalny dotąd nieznany, głównie korespondencję kobiet z warstwy magnacko-szlacheckiej z ostatnich lat XVII i pierwszych trzech dziesięcioleci XVIII wieku oraz podjęła próbę określenia na jego podstawie mentalności kobiet i ich stosunku do ówczesnego systemu wartości. W kolejnych rozdziałach przechodzi od problemów wartości najwyższych ku niższym, kończąc na najniższych „curiosach, plotkach i ploteczkach”.

ZAWARTOŚĆ: 1. Wartości religijne i eschatologia; 2. Wartości indywidualne i wspólne; 3. Kobiety obraz ówczesnego świata; Indeks osób

ZAKRES TEMATYCZNY: historia powszechna, kultura, listy

Prace Monograficzne nr 350, format B5

ZDZISŁAW NOGA

Instytut Historii

Krakowska rada miejska XVI w. Studium o elicie władzy

Praca Zdzisława Nogi jest niewątpliwie jedną z najciekawszych propozycji wydawniczych z zakresu historii miast, jakie pojawiły się w polskiej nauce historycznej w ostatnim czasie.

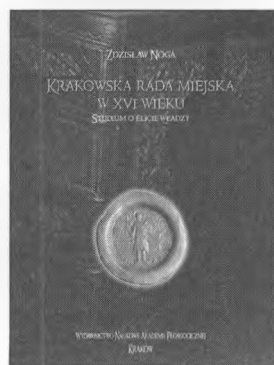
Krzysztof Mikulski, Uniwersytet Mikołaja Kopernika

Praca oparta na bardzo szerokiej kwerendzie źródłowej. Zawiera bogactwo informacji szczegółowych, dokładnie udokumentowanych. Bardzo cennym elementem monografii są notki biograficzne rajców, dające rozległą, prozopograficzną wiedzę nie tylko o samych urzędnikach, ale też o ich najbliższej rodzinie.

ZAWARTOŚĆ: I. Instytucja – Nominacje do rady; Praktyka urzędowa w mieście; Kontakty zewnętrzne; II. Ludzie – Mobilność elity władzy; Wykształcenie, skład zawodowy i aktywność gospodarcza; Przynależność etniczna i różnicowanie wyznaniowe; Koligacje, nepotyzm; Kondycja majątkowa; Elementy trwania awansu społecznego; Zakończenie; Aneks – Notki biograficzne

ZAKRES TEMATYCZNY: historia Polski, kultura polska, polityka, samorząd

Prace Monograficzne nr 355, format B5



MAŁGORZATA PAMUŁA
Instytut Neofilologii

**Wczesne nauczanie języków obcych
Integracja języka obcego z przedmiotami artystycznymi
w młodszych klasach szkoły podstawowej**

Praca propaguje prawdziwie zintegrowane kształcenie, w duchu nowoczesnym, a przy tym głęboko humanistycznym, w sensie szerokiego podchodzenia do potrzeb edukacyjnych dzieci. Ukazuje też w sposób praktyczny misję, jaką w tym zakresie może spełnić nauczyciel języka obcego.

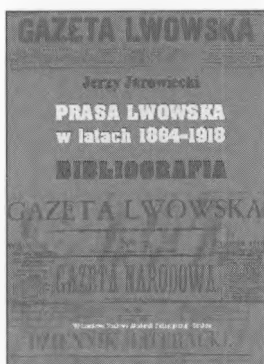
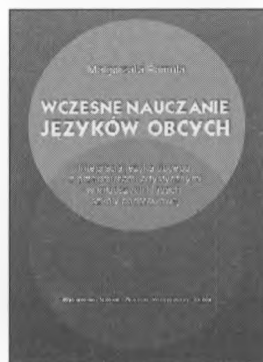
Weronika Wilczyńska, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza

Publikacja adresowana do nauczycieli języków obcych pracujących z dziećmi w młodszym wieku szkolnym, którzy chcieliby podjąć próbę połączenia zajęć językowych z zajęciami artystycznymi. Autorka kieruje ją do nauczycieli, którym bliskie są aktywne metody nauczania, którzy patrzą na dziecko w sposób holistyczny i mają na względzie jego ogólny, harmonijny rozwój.

ZAWARTOŚĆ: I. Ogólna charakterystyka rozwoju dzieci w młodszym wieku szkolnym; II. Wybrane problemy z pedagogiki wczesnoszkolnej; III. Autorski program innowacyjny oparty na integracji międzyprzedmiotowej

ZAKRES TEMATYCZNY: pedagogika, psychologia, filologie obce, szkolnictwo

Prace Monograficzne nr 341, format A5, 176 s.



JERZY JAROWIECKI

Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej

**Prasa lwowska w latach 1864–1918
Bibliografia**

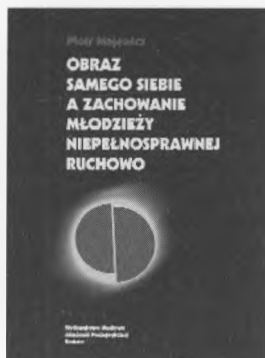
Jest to dzieło dużego formatu i na trwałe wejdzie nie tylko do polskiej, ale także ukraińskiej, niemieckiej i żydowskiej bibliografii. Poza tym daje ono świadectwo intensywności polskiego życia intelektualnego we Lwowie w latach 1864–1918.

Ryszard Ergetowski, Uniwersytet Wrocławski

Praca składa się z kilku działów: wprowadzającej w meritum tematyki rozprawy wstępnej; bibliograficznego rejestru obejmującego prasę lwowską, tygodniówki i kalendarze oraz z indeksu nazwisk i czasopism. Dzieło dopełnia album ilustracji.

ZAKRES TEMATYCZNY: prasoznawstwo, czasopiśmiennictwo, kultura polska

Prace Monograficzne nr 348, format B5, 556 s. + 38 il.



PIOTR MAJEWICZ
Katedra Pedagogiki Specjalnej

Obraz samego siebie a zachowanie młodzieży niepełnosprawnej ruchowo

Monografia ma charakter empiryczny i stanowi bardzo udaną próbę oceny wpływu niepełnosprawności ruchowej na obraz samego siebie, na zachowanie w stosunku do siebie, zachowanie interpersonalne oraz na realizację zadań. Praca stanowi istotny wkład do psychologii rehabilitacyjnej, również i do psychologii ogólnej.

Roman Ossowski, Akademia Bydgoska

ZAWARTOŚĆ: I. Zachowanie się osób niepełnosprawnych ruchowo w stosunku do siebie, innych i zadań; II. Obraz samego siebie i jego rola w zachowaniu osób niepełnosprawnych ruchowo; III. Metodologia badań własnych; IV. Obraz samego siebie młodzieży niepełnosprawnej ruchowo i pełnosprawnej; V. Charakterystyczne cechy zachowania młodzieży niepełnosprawnej ruchowo i pełnosprawnej w stosunku do siebie, innych oraz zadań; VI. Wpływ obrazu samego siebie na zachowanie młodzieży niepełnosprawnej

ZAKRES TEMATYCZNY: psychologia, pedagogika specjalna

Prace Monograficzne nr 345, format B5, 192 s.

ANNA PANEK
Instytut Nauk o Wychowaniu

Zajęcia pozalekcyjne w reformowanej szkole Oczekiwania a rzeczywistość

Książka o tej treści jest dzisiaj potrzebna, a pojawienie się jej uzupełni widoczną lukę w wiedzy na temat funkcjonowania zajęć pozalekcyjnych w szkole. Będzie ona formą pomocy dla studentów pedagogiki specjalnej, odda również spore usługi nauczycielom, zwłaszcza instruktorom zajęć pozalekcyjnych.

Tadeusz Aleksander, Uniwersytet Jagielloński

Monografia ukazuje funkcjonowanie zajęć pozalekcyjnych we współczesnej szkole średniej oraz wskazuje potrzeby i strategie optymalizacji działalności dydaktyczno-wychowawczej na tych zajęciach. Rozprawa ma charakter pracy empirycznej; pozwala spojrzeć na problemy zajęć pozalekcyjnych przede wszystkim od strony potrzeb i oczekiwań uczniów, ale także opinii, oczekiwań i postulatów dyrektorów szkół i nauczycieli prowadzących zajęcia pozalekcyjne.

ZAWARTOŚĆ: I. Przedmiot i problematyka badań; II. Założenia i dotychczasowe koncepcje zajęć pozalekcyjnych; III. Warunki organizowania zajęć pozalekcyjnych w szkole średniej; IV. Funkcjonowanie zajęć pozalekcyjnych we współczesnej szkole średniej; V. Uczestnicy zajęć pozalekcyjnych; VI. Możliwości optymalizacji zajęć pozalekcyjnych; VII. Pedagogika czasu wolnego – tradycje a współczesne implikacje

ZAKRES TEMATYCZNY: pedagogika, szkolnictwo



Prace Monograficzne nr 344, format A5, 176 s.
MAGDALENA GROCHOWALSKA
Katedra Pedagogiki Przedszkolnej i Wczesnoszkolnej

Gestykulacja i mowa O niewerbalnym komunikowaniu się dzieci w wieku przedszkolnym

Praca jest dziełem wartościowym poznawczo i metodycznie. Autorka dysponuje bardzo dobrymi materiałami z literatury przedmiotu polskiej i zagranicznej, z własnych badań empirycznych oraz doświadczeniami z praktyki wychowania przedszkolnego.

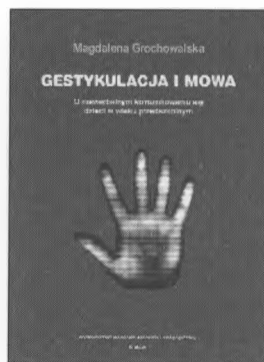
Stanisław Palka, Uniwersytet Jagielloński

Przedmiotem pracy jest analiza najbardziej nośnych komunikatów niewerbalnych, tj. gestów u dzieci w dwóch kategoriach wiekowych: 4,4–4,9 i 6,4–6,9. Autorka dokonuje analizy nie tylko w ramach wyróżnionych przedziałów, ale również przeprowadza porównania między nimi, co umożliwia uchwycenie zmian w rozwoju gestykulacji. Praca łączy w sobie trzy aspekty: teoretyczny, empiryczny i aplikacyjny.

ZAWARTOŚĆ: Komunikacja niewerbalna w procesie porozumiewania się; Dziecko jako nadawca i odbiorca komunikatów niewerbalnych – wybrane zagadnienia; Procedura badań; Gestykulacja w świetle wyników badań; Dyskusja nad wynikami; Możliwość stymulowania sprawności komunikacyjnych dzieci w przedszkolu

ZAKRES TEMATYCZNY: pedagogika przedszkolna

Prace Monograficzne nr 339, format A5, 160 s.

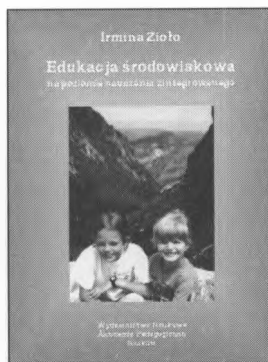


IRMINA ZIOŁO
Katedra Pedagogiki Przedszkolnej i Wczesnoszkolnej

Edukacja środowiskowa na poziomie nauczania zintegrowanego

Praca posiada wszelkie walory przewodnika metodycznego o dużych wartościach aplikacyjnych. Zawiera bardzo wartościowy zakres wiedzy przydatny dla studentów i czynnych nauczycieli na poziomie szkoły podstawowej, ze szczególnym uwzględnieniem okresu wczesnoszkolnego.

Stanisław Dziadek, Akademia Ekonomiczna w Katowicach

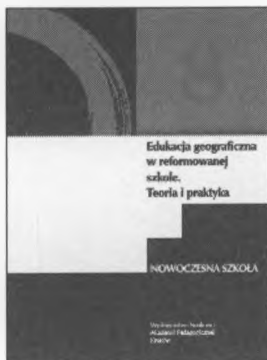


W tekście uwzględniono szereg autorskich propozycji rozwiązań praktycznych oraz zaprojektowanych przez czynnych nauczycieli środowiska. Praca adresowana jest do studentów pedagogiki przedszkolnej i wczesnoszkolnej oraz czynnych nauczycieli przedszkoli i klas początkowych.

ZAWARTOŚĆ: I. Środowisko jako przedmiot edukacji na poziomie nauczania zintegrowanego; II. Wymogi metodologiczne edukacji środowiskowej w systemie nauczania wczesnoszkolnego

ZAKRES TEMATYCZNY: pedagogika wczesnoszkolna, szkolnictwo, środowisko

Prace Monograficzne nr 346, format A5, 126 s.
ZBIGNIEW ZIOŁO (RED.)
 Instytut Geografii



Edukacja geograficzna w reformowanej szkole Teoria i praktyka

Zbiór artykułów dotyczących pozycji wiedzy geograficznej w rozwoju cywilizacyjnym oraz jej odzwierciedlenia w doborze i modernizacji treści kształcenia na wszystkich poziomach edukacji szkolnej.

ZAWARTOŚĆ: Problematyka doboru treści kształcenia geograficznego; Treści kształcenia w podręcznikach szkolnych; Wątki ekologiczne w edukacji geograficznej; Kierunki modernizacji treści kształcenia geograficznego w wybranych krajach europejskich; Doniesienia

ZAKRES TEMATYCZNY: geografia, oświata, szkolnictwo

Nowoczesna Szkoła nr 8, format A5, 160 s.

EWA GAŁĄZKA, ELŻBIETA MASTALERZ
 Instytut Techniki

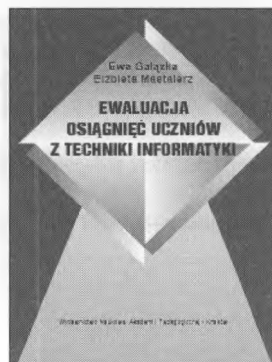
Ewaluacja osiągnięć uczniów z techniki informatyki

Publikacja prezentuje wszechstronnie problemy kontroli i oceny pracy uczniów oraz zasady przeprowadzania pomiarów osiągnięć szkolnych. Z pewnością okaże się przydatna dla studentów wychowania technicznego, a młodym nauczycielom techniki i informatyki umożliwi doskonalenie warsztatu pracy.

ZAWARTOŚĆ: 1. Problemy diagnozowania kontroli i oceny uczniów; 2. Test jako narzędzie pomiaru wiedzy uczniów; Aneks

ZAKRES TEMATYCZNY: technika, informatyka, pedagogika

format A5, 72 s.



HALINA KOŚĘTKA, BOŻENA PIETRZYK (RED.)
 Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej

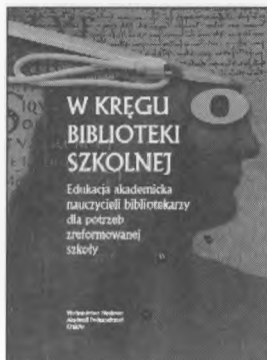
W kręgu biblioteki szkolnej Edukacja akademicka nauczycieli bibliotekarzy dla potrzeb zreformowanej szkoły

Tematyka zbioru skupia się na funkcji i roli biblioteki w procesie edukacji, formach kształcenia kadry, programach nauczania, a także formach kształcenia nauczycieli bibliotekarzy realizowanych przez wyższe uczelnie.

AUTORZY ARTYKUŁÓW: Józef Szocki, Elżbieta Gondek, Grażyna Gulińska, Jolanta Dzieńkowska, Hanna Batorowska, Anna Strzebońska, Małgorzata Gorczyńska, Bożena Pietrzyk, Ewa Wójcik, Sabina Cisek, Bogumiła Staniów

ZAKRES TEMATYCZNY: bibliotekoznawstwo, informacja naukowa

format A5, 76 s.



HALINA BURSZTYŃSKA, HALINA TURKIEWICZ (RED.)

Instytut Filologii Polskiej

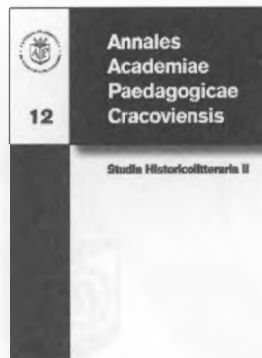
Studia Historicolitteraria II

Tom zawiera studia i szkice na temat literatury polskiej od XVII w. po lata 90. ubiegłego wieku. W szczególny sposób zostały uwzględnione zagadnienia dotyczące zjawisk literackich XIX w., Młodej Polski, okresu dwudziestolecia międzywojennego, a także doby najnowszej.

ZAWARTOŚĆ: P. Borek, *Uwagi o stylu staropolskich relacji pamiętnikarskich*; R. Narutniec, *Kreacja króla Mendoga w „Trylogii dramatycznej”*; K. Syrnicka, *Sztambuch Eustachego hr. Tyszkiewicza*; K. Gajda, *Rekonesans metakrytycznoateatralny 1815–1916*; A. Grela, *Poetyka prozy Józefa Aleksandra Miniszewskiego w aspekcie komunikacji literackiej*; M. Zięba, *Opinie Stanisława Tarnowskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim. Z prac ogłoszonych w „Przeglądzie Polskim” w latach 1866–1890*; E. Stelmach, *Fizjonomie Grottgerowskie w powieściach współczesnych J.I. Kraszewskiego*; M. Ostasz, *O przestrzeni wiejskiej w wierszach dla dzieci Marii Konopnickiej*; A. Baranow, *Powieści współczesne Henryka Sienkiewicza w kontekście twórczości Fiodora Dostojewskiego*; K. Małek, *Styl monologów wewnętrznych a charakterystyka postaci (na przykładzie powieści S.A. Mullera „Henryk Flis”)*; J. Waligóra, *Młodopolski dramat wewnętrzny*; W. Salwińska, *Kalendarze wileńskie w latach 1905–1915*; M. Białota, *Mickiewicz Redutowców*; H. Stankiewicz, *Z archiwaliów Reduty w Wilnie w latach 1925–1930*; J.S. Ossowski, *Postmodernistyczny „Porfyrion Osiełek”*; K. Ptak, *Heroizm i ofiary. W kręgu nowelistyki Juliusza Kadena-Bandrowskiego z okresu wielkiej wojny*; H. Turkiewicz, *O zapomnianej spuściźnie Jerzego Wyszomirskiego*; K. Woźniakowski, *Wileńskie jednodniówki polskojęzyczne z października 1939 r.*; W. Kolasa, *Literatura i kontestacja (krótka historia „bruLionu”)*

ZAKRES TEMATYCZNY: pamiętnikarstwo, krytyka literacka, historia literatury

Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis 12, format B5, 328 s.

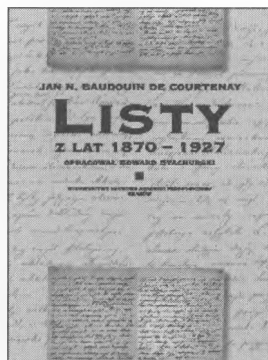


EDWARD STACHURSKI (OPRAC.),

Instytut Filologii Polskiej

Jan N. Baudouin de Courtenay

Listy z lat 1870–1927



Potrzeba wydania listów Jana N. Baudouina de Courtenay jest tak oczywista, że nie podlega żadnej dyskusji. Można tylko powiedzieć „Nareszcie” i wyrazić wdzięczność Wydawcy, że dokonał odpowiednich kwerend, sporządził odpisy listów i wykonał całą żmudną pracę edytorską.

Magdalena Smoczyńska, Uniwersytet Jagielloński

Zamieszczona w tomie korespondencja światowej sławy lingwisty i publicysty obejmuje 301 listów, których autografy dostępne są w bibliotekach i archiwach w Polsce i których dotychczas nie ogłoszono drukiem. Wśród blisko 50 adresatów są naukowcy, głównie językoznawcy, historycy literatury, historycy, uczeni innych specjalności, a także pisarze, wydawcy, księgarze i politycy. W aneksie zawarto m.in. notkę o autorze listów oraz najważniejsze dane biograficzne dotyczące osób występujących w listach.

ZAKRES TEMATYCZNY: listy, biografie, językoznawstwo, kultura

Prace Monograficzne nr 351, format B5, 352 s.



@Pismo

Internetowe Pismo Studentów Akademii Pedagogicznej
w Krakowie

INFORMACJE

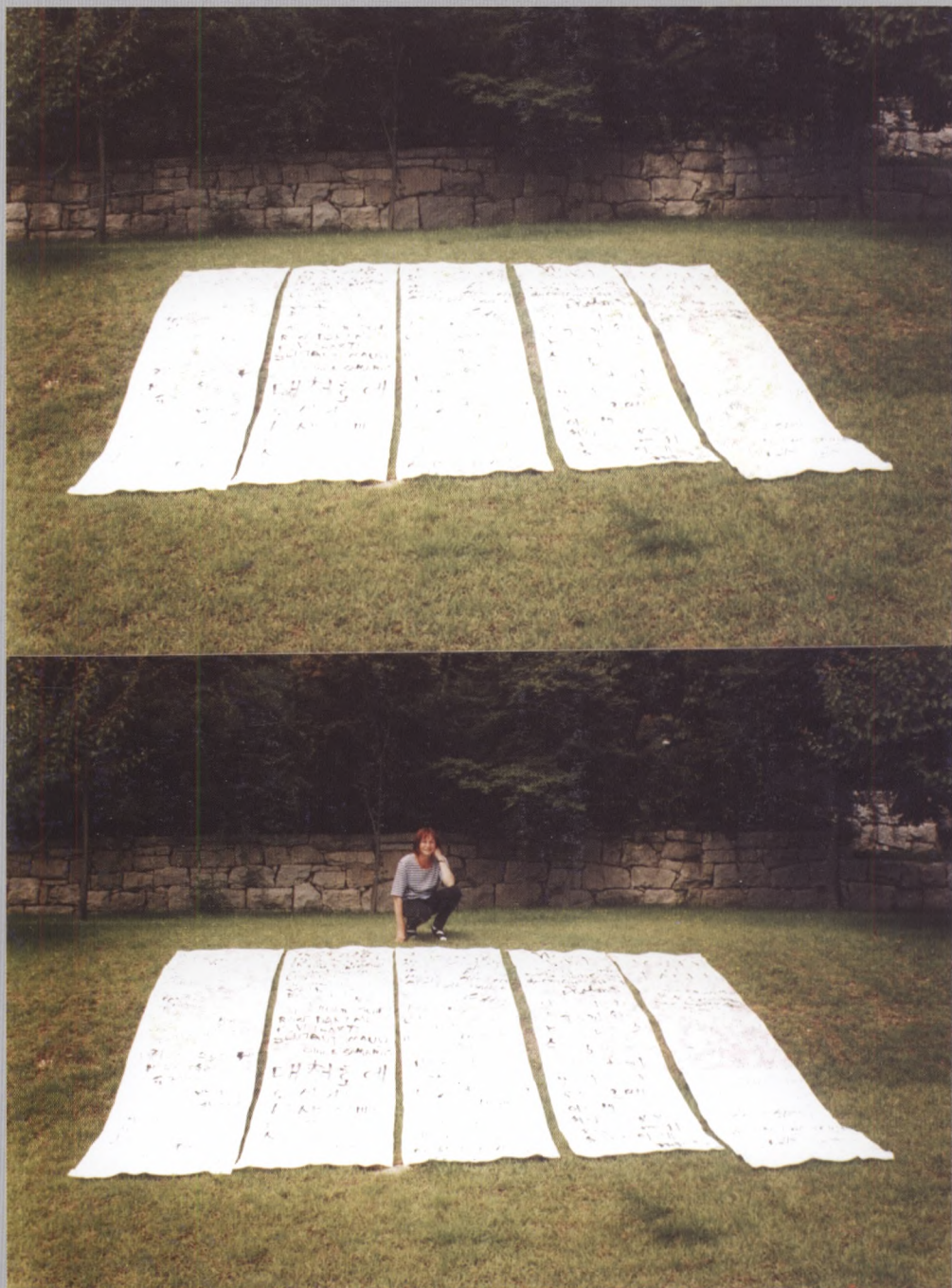
KULTURA

NAUKA

TWÓRCZOŚĆ

SPRAWY STUDENCKIE

<http://www.ap.krakow.pl/bsap>



Grażyna Borowik, *Wieża Babel* – elementy do instalacji, 1997 Korea Południowa



Grażyna Borowik, z cyklu *Gry uliczne*, 2000

■ O malarstwie Grażyny Borowik pisze Marek Karwala